



Annie Dillard

Pielgrzym
nad Tinker Creek

**Nagroda
Pulitzera**

*Jedna z najpiękniejszych
książek, jakie napisano
o otaczającym nas świecie.*



Annie Dillard

Pielgrzym nad Tinker Creek

Przełożył MACIEJ ŚWIERKOCKI

Tytuł oryginału Pilgrim at Tinker Creek

Dla Richarda

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niebo i Ziemia dla żartu

Miałam kiedyś kota - a ściśle rzecz biorąc, starego, wojowniczego kocura, który w środku nocy wchodził do domu przez okno nad moim łóżkiem i wskakiwał mi na piersi. Rozklejałam oko, gdy cuchnący moczem i krwią zwierzak podsuwał mi łeb pod sam nos i mruczał. Czasami mocno wpijał się przednimi łapami w moją pierś, wyginając grzbiet w pałąk, jakby ostrzył pazury albo domagał się mleka. Bywało, że budząc się rano, zauważałam w świetle dnia krwawe ślady pazurów na dekolcie; wyglądałam tak, jak gdyby ktoś mnie wysmagał kolczastymi różami.

Było gorąco, tak gorąco, że lustrzana tafla wydała mi się ciepła. Umyłam się przed lustrem, półprzytomna, ciągle nie mogąc otrząsnąć się z niespokojnego letniego snu, który oblepiał mnie jak morskie wodorosty.

Co ma znaczyć ta krew? I co znaczą te róże? Czy róża przywołuje zjednoczenie, a krew morderstwo, czy może raczej róża symbolizuje czyste piękno, a krew okrutną ofiarę albo narodziny? Znaki na moim ciele mogły być także emblematami albo skazami, kluczami do królestwa bądź też piętnem Kaina. Nie wiedziałam, czym są. Naprawdę nie wiedziałam. Myślałam, krew spływała ze mnie strużkami, bladła i w końcu całkiem zniknęła, a ja nie wiedziałam, czy dokonałam przed chwilą aktu oczyszczenia, czy może zniszczyłam krwawy znak paschalny. Jeśli w ogóle kiedyś się budzimy, budzimy się w świecie pełnym tajemnic, informacji o śmierci, pięknie albo przemocy... „Wygląda na to, że jesteśmy skazani na życie na tym świecie, tylko nikt nie wie dlaczego” - powiedziała mi niedawno pewna kobieta.

Są to poranne problemy, wizje, które miewamy, kiedy ostatnia fala snu wynosi nas na brzeg, na jasne światło i osuszający ciało powiew wiatru. Pamiętamy ucisk i miękka niczym małą w skorupie poduszczkę snu, na której spoczywaliśmy. Ale na wietrze ludzka skóra twardnieje - wstajemy, opuszczamy rozświetlony brzeg, by zbadać niewyraźnie majaczący w oddali ląd, i wkrótce tracimy orientację w liściastym interiorze. Przemy uparcie naprzód, niepomni niczego.

Jeszcze dziś, kiedy się budzę rano, ciągle wspominam tamtego starego kocura. Poranki nie są już krwawe, bo śpiam teraz przy zamkniętym oknie. Nie ma już tego zwierzaka i naszych wspólnych rytuałów, moje życie się zmieniło, ale wiem dobrze, że ciągle igra ze mną jakaś potężna istota. Codziennie budzę się w oczekiwaniu i nadziei, że ujrzę coś

nowego. Jeśli mam szczęście, wyrwywają mnie ze snu dziwne ptasie krzyki. Wtedy ubieram się szybko, wyobrażając sobie, że na podwórku trzepoczą się stada alek albo flamingów. Dzisiejszego ranka zauważyłam kaczkę karolinkę, czyli kaczkę leśną. Odleciała.

Mieszkam nad Tinker Creek, strumieniem płynącym w dolinie w górach Blue Ridge w Wirginii. Siedziby anachoretów nazywano niekiedy kotwiczowiskami.

Niektóre z nich były po prostu prymitywnymi szałasami, czepiającymi się kościelnych murów niczym pąkle skały. Mój dom, uczepiony brzegu Tinker Creek, traktuję właśnie jak takie kotwiczowisko. Zwrócony ku spływającej niżej strudze światła, trzyma mnie nad strumieniem, dokładnie jak kotwica pełnomorskiego statku, nie pozwalając mi odpłynąć z prądem. Dobrze się tu mieszka - i jest o czym myśleć. Miejscowe rzeczutki - Tinker i Carvin's Creek - to aktywne i dynamiczne zagadki, które zmieniają się z każdą minutą.

Symbolizują tajemnicę trwającego ciągle aktu stworzenia i tego wszystkiego, co związane z bytem, na przykład zawodność percepcji wzrokowej, lęk przed niezmiennością, dezintegrację teraźniejszości, misterność i złożoność piękna, zew seksualności, nieuchwytność wolności oraz ułomną naturę doskonałości. Góry - Tinker, Brushy, McAfee's Knob i Dead Man - to z kolei tajemnica pasywna, a przy tym najstarsza ze wszystkich. Góry są prostą zagadką creatio ex nihilo, zagadką materii, zagadką wszystkiego - czyli tego, co dane. Są olbrzymie, spokojne i chłonne. Możesz oddać swojego ducha górze, a ona zachowa twój dar i ukryje go w sobie, zamiast odrzucić z powrotem jak niektóre strumienie. Strumienie to cały świat podniet, impulsów, bodźców i urody - w takim świecie mieszkam.

Lecz moim domem są góry.

Kaczka leśna odleciała. Zauważyłam jedynie błysk jasnej torpedy, rozpruwającej listowie na swojej drodze. Po powrocie do domu zjadłam całą miskę płatków owsianych. Dopiero znacznie później pojawiła się długa, ukośna smuga światła, oznaczająca dobrą porę na spacer.

Przy ładnej pogodzie można spacerować byle gdzie, wtedy świat wydaje się atrakcyjny. Zwłaszcza woda wygląda wówczas przepięknie, ponieważ odbija w swej tafli błękitne niebo, siekając je na drobne kawałeczki na kamienistych płycznach i przemieniając w białe kaskadki piany w wartkim nurcie. Kiedy przychodzi pochmurny albo mglisty dzień, płowieje i matowieje nagle wszystko, tylko nie woda, niosąca na grzbiecie swoje własne światło. Wybieram się w kierunku torów kolejowych, na wzgórze, nad którym przelatują stada ptaków, i do lasu, gdzie żyje biała klacz. Ale ostatecznie idę nad wodę.

Jest jeden z tych cudownych styczniowych dni, kiedy niebo jest częściowo zachmurzone, a światło wybiera sobie jakiś zaskakujący fragment pejzażu, żeby mnie łudzić

złoceniem, które już po chwili skryje cień. W takie dni człowiek wie, że żyje naprawdę, i sady wielkimi susami, usiłując wyczuć pod stopami krągłość naszej planety. Nikos Kazantzakis pisze, że w dzieciństwie miał kanarka i globus. Kiedy wypuszczał kanarka z klatki, ptak przysiadł na globusie i śpiewał. Potem przez całe życie podczas włości po świecie pisarzowi wydawało się, że na jego głowie siedzi kanarek i śpiewa.

Tinker Creek ostro zakręca po zachodniej stronie mojego domu, opływa mnie więc zarówno z tyłu, od południa, jak i od północy, z drugiej strony drogi. Lubię wędrować na północ. Popołudniowe słońce kładzie się tam równiutko na powierzchni wody, nasycając odbity w toni błękit i zapalając kontury drzew, które porastają oba brzegi. Pasące się po drugiej stronie woły przychodzą nad strumień do wodopoju, zawsze też mignie mi tu gdzieś jakiś królik. Przysiadam w cieniu na zwalonym pniu i przyglądam się wiewiórkom w słońcu. Widzę stąd dwie drewniane przegrody podwieszane na linach rozciągniętych nad strumieniem nieco powyżej miejsca, gdzie spoczywa mój udający ławkę pień. Dzięki tym zabezpieczeniom woły nie mogą uciec ani w górę, ani w dół strumienia, kiedy przychodzą się napić. Wiewiórki, okoliczne dzieciaki i ja wykorzystujemy dolną przegrodę jako wiszący most, po którym można przejść na drugi brzeg. Ale dziś są tu woły.

Siedzę na powalonym drzewie i patrzę, jak na dnie strumienia ślizgają się im kopyta. To chodząca hodowla wołowiny: w swoim czasie zostaną wykorzystane nawet ich serca, skóra, ścięgna i gicze. Są produktem człowieka niczym sztuczny jedwab. Przywodzą mi na myśl pole pełne butów. Mają golenie z lanego żelaza i jęzory z poliuretanowej pianki, z której wyrabia się wkładki do obuwia. Nie można im zajrzeć do głów jak innym zwierzętom, bo ich oczy kryją wyłącznie łój albo gulasz wołowy.

Pokonuję zawieszony dwa metry nad wodą ogrodzenie, trzymając się rękami zardzewiałej stalowej linki i balansując na wąskich deskach niczym akrobata.

Gdy docieram na drugi brzeg i czuję pod nogami terra firma, część wołów zbija się w ciasne stadko i zagradza mi drogę, stając między mną a płotem z drutu kolczastego, pod którym chcę przejść. Dlatego rzucam się w ich kierunku ostrym sprintem, macham rękami i krzyczę byle co, powiedzmy: „Burza! Żmija! Klopsiki wołowe!“. Zwierzęta uciekają, wciąż zbite w ciasne stadko, i potykają się na płaskim pastwisku. Stoję pod wiatr.

Przeciskam się pod drutem kolczastym, przechodzę przez pole, przebiegam po leżącym w wodzie zwalonym platanie i oto znajduję się na środku Tinker Creek, na maleńkiej wysepce w kształcie gruszki. Jeden brzeg strumienia jest stromy i lesisty, nurt zaś pomiędzy wysepką a nim wartki i woda głęboka. Na drugim brzegu, wzdłuż pastwiska, ciągnie się płaskie pole, przez które przed chwilą przeszedłem - z tej strony woda jest płytka, a nurt

powolny. Latem, gdy poziom wody się obniża, chłodzone leniwym prądem płycizny porasta sitowie i tatarak. Pokrytą cieniutkim kożuszkim powierzchnię wody patrolują nartniki, po szlamowym dnie pełzają raki pożerające najrozmaitsze paskudztwa, skrzeczą rozglądające się dokoła gniewnym wzrokiem żaby, a srebrzynki i małe leszcze kryją się wśród korzeni przed posępnym zielonym okiem czapli. Odwiedzam tę wysepkę przez cały rok, przynajmniej raz w miesiącu. Obchodzę ją dookoła, przystaję, rozglądam się albo przysiadam okrakiem na platanowym pniu i próbuję czytać, zimą podwijając nogi pod siebie, żeby ich nie zamoczyć. Dziś siedzę na zeschniętej trawie na skraju wysepki, po tej stronie, gdzie strumień płynie z wolna. Coś mnie tu przyciąga. Przychodzę na tę wyspę jak do wyroczeni albo jak ktoś, kto po wielu latach odnalazł pole bitwy, na którym stracił kiedyś rękę albo nogę.

Wybrałam się na przechadzkę brzegiem mojej wysepki parę lat temu, w czasie kanikuły. Przyglądałam się ciekawie wodnemu żywiołowi, ale przyszłam tutaj głównie po to, żeby płoszyć żaby. Te niezbyt eleganckie zwierzęta mają zwyczaj w historycznej panice wyskakiwać z ukrycia na brzegu tuż spod ludzkich nóg, wykrzykiwać w żabim języku „O rety!” i rzucać się z pluskiem w wodę. Choć trudno w to uwierzyć, bawił mnie kiedyś ten widok - i bawi do dziś. Wędrowałam porośniętym trawą skrajem wysepki i coraz lepiej mi szło tropienie żab, zarówno tych siedzących w wodzie, jak i na brzegu. Wszędzie było ich pełno. Zorientowałam się, że muszę zwolnić kroku, by zauważyć różnicę w fakturze światła, które inaczej odbija się od mułu, a inaczej od wody, trawy albo żabich grzbietów.

Na skraju wysepki wypatrzyłam zieloną żabkę, samca. Siedział zanurzony w wodzie dokładnie do połowy i przypominał podręcznikową ilustrację płaza. Ani drgnął na mój widok.

Podkrađłam się bliżej. Oszolomiona i zdezorientowana przyklekłam na wymarżającej tu zawsze zimną trawie i wpatrywałam się w żabkę, siedzącą w strumieniu nie dalej niż metr ode mnie. Była malutka i miała szerokie, matowe oczy. Kiedy w nie zajrzałam, zmarszczyła się powoli i zaczęła jakby zapadać się w sobie, a z jej spojrzenia w jednej chwili wyparowało życie, jakby ktoś zdmuchnął płomień. Żabia skóra sflaczała, obwisła i wydawało mi się, że nawet główka zwierzątka zapada się do środka na podobieństwo przewróconego kopniakiem namiotu. Żabka kurczyła się niczym piłka futbolowa, z której uchodzi powietrze.

Patrzyłam, jak sprężysta wcześniej, lśniąca skóra na jej grzbiecie fałduje się i marszczy, a potem traci kształt.

Po chwili amorficzny, przekłuty balonik skóry płaza zafalował na wodzie niby mieniąca się piana. Był to absolutnie potworny, przerażający widok. Przyglądałam się tej scenie zatrwożona, z szeroko otwartymi ustami. Wtem w wodzie za jakby wyssaną żabką zawisł owalny cień, który rozpląnął się zaraz, a wtedy skórny woreczek zaczął opadać na dno.

Czytałam kiedyś o olbrzymim pluskwiaku wodnym, ale sama nigdy go nie widziałam. Stworzenie owo naprawdę nosi taką nazwę w Ameryce, bo jest to w rzeczy samej wielki, masywny, brązowy pluskwiak, *Lethocerus amėricanus*. Żywi się owadami, kijankami, niewielkimi rybkami i żabami. Jego chwytne przednie łapki są nieco wygięte haczykowato w tył i bardzo silne. Robak chwytą nimi ofiarę, zamyka ją w uścisku i podczas ukąszenia wstrzykuje paraliżujące enzymy - a jedno ukąszenie zupełnie mu wystarczy.

Z wyjątkiem skóry toksyczne substancje rozpuszczają wszystko, czyli mięśnie, kości i narządy wewnętrzne ofiary, które napastnik wysysa następnie jak sok przez powstałą wskutek ugryzienia ranę. Często można go zobaczyć w akcji w ciepłych słodkich wodach. Żabkę, której się przyglądałam, wysysał właśnie taki olbrzymi pluskwiak wodny. Ciągłe klęczałam w trawie, a kiedy bezkształtny, rozkołyszany strzęp skóry opadł wreszcie na dno strumienia, wstałam i otrzepałam spodnie z piachu. Brakowało mi tchu.

Oczywiście wiele drapieżników pożera ofiary żywcem. Zapewne najczęściej odbywa się to w ten sposób, że napastnik powala lub przytrzymuje zdobycz, a w każdym razie uniemożliwia jej ucieczkę, po czym pożera ją jednym kłapięciem paszczy albo rozszarpuje na kawałki. Na przykład żaby zawsze połykają zdobycz w całości, pomagając sobie przy tym przednimi łapkami. Podobno widywano żaby, które nie mogły zamknąć swoich szerokich pyszczków wypełnionych po brzegi jeszcze żywymi wazkami. Z kolei niektóre mrówki właściwie w ogóle nie muszą polować: wiosną wchodzą po prostu do ptasich gniazd, obsiadają świeżo wyklute, bezpióre jeszcze pisklęta, i pracowicie zjadają je kawałek po kawałku.

To, że świat jest brutalny i nieobliczalny, to żadna nowina. Każda żywa istota w pewnym sensie wyszła cała z katastrofy i teraz bawi na czymś w rodzaju przedłużonego, przymusowego biwaku. Ale z drugiej strony, zostaliśmy przecież stworzeni. Allah pyta w Koranie: „Azaliż mniemacie, że stworzyłem niebo, ziemię i wszystko, co jest między nimi, dla żartu?”. To dobre pytanie. Cóż zatem sądzimy o stworzonym przez Boga wszechświecie, wypełniającym niewyobrażalną próżnię niewyobrażalną różnorodnością form życia? A co myślimy o nicości, o tej wywołującej mdłości, ciągnącej się bez końca w obie strony wstędcze czasu? Czy jeśli olbrzymi pluskwiak wodny nie został stworzony dla żartu, to znaczy, że stworzono go w dobrej wierze?

Pascal wymyślił kiedyś ładne określenie dla Stwórcy, który powołałszy wszechświat do istnienia, od razu odwrócił się do niego plecami: *Deus absconditus*. Czy uważamy, że tak się właśnie stało? Czy dawniej życie miało sens, ale Bóg zabrał go i uciekł, i pożarł niczym wilk, który znika za węglem ze świątecznym indykiem w pysku? „Bóg jest wyrafinowany, ale

nie złośliwy”, powiedział kiedyś Einstein, który stwierdził również, że „przyroda skrywa różne tajemnice, ponieważ ze swej istoty jest cudowna, a wcale nie dlatego, że jest chytra”. Możliwe, że Bóg nigdzie stąd nie uciekł, tylko rozprzestrzenił się i rozszerzył tak, jak rozszerzyło się nasze widzenie i rozumienie świata, stając się utkaną z ducha i znaczenia tkaniną tak wspaniałą, subtelną i w pewien inny niż dotychczas sposób potężną, że po omacku potrafimy najwyżej wyczuć jej rąbek. Spowijając morze gęstą ciemnością, Bóg „ustanowił kraty i drzwi” i powiedział: „Będzie wam dane dojść do tego punktu, ale dalej już nie”. Jednak czy dotarliśmy właśnie choćby „do tego punktu”? Czy udało nam się jakoś dowiosłować do granic ciemności, czy raczej wciąż gramy jedynie w bezika na dnie łodzi?

Okrucieństwo jest tajemnicą - i marnotrawstwem bólu. Lecz jeśli opiszemy świat, w którym ono istnieje jako długotrwałą, brutalną grę, natychmiast wpadamy na kolejną zagadkę: na strumień mocy i światła, na tego kanarka, który siedzi pisarzowi na głowie i śpiewa. Jeżeli wszystkie epoki i rasy ludzkie nie dały się gromadnie oszukać temu samemu hipnotyzerowi

(czyli komu?), to można śmiało powiedzieć, że jednak istnieje coś takiego jak piękno - dar całkowicie bezinteresowny. Mniej więcej pięć lat temu widziałam przedrzeźniacza północnego, ptak ten rzucił się w dół zupełnie bezwładnie, jak kamień, z rynny na dachu czteropiętrowego budynku i był to akt równie beztroski i spontaniczny jak kiełkowanie nasiona albo narodziny gwiazdy.

Bo ten ptak po prostu skoczył i zaczął spadać na ziemię. Miał złożone skrzydła, jak gdyby podśpiewywał sobie na gałęzi, a nie opadał swobodnie z ogromną prędkością. Już, już miał się roztrzaskać, kiedy nagle rozłożył skrzydła z niezwykłą, jakby przemyślaną pieczołowitością, błysnął szerokimi smugami bieli, rozłożył elegancki, obramowany białą lamówką ogon, i wylądował na trawie. Wyszłam właśnie zza rogu, kiedy zauważyłam ten nierozważny skok - ale w okolicy nikogo poza mną nie było widać. Patrząc, jak spada, przypomniałam sobie stare, oklepane filozoficzne pytanie o to, czy w lesie, w którym nikogo nie ma, słychać upadek drzewa. Moim zdaniem prawidłowa odpowiedź brzmi: wszystkie akty piękna i łaski dokonują się bez względu na to, czy je postrzegamy, czy nie. Powinniśmy jednak przynajmniej starać się je zauważyć.

Innym razem widziałam kolejne чудо: rekiny na atlantyckich wodach u wybrzeży Florydy. Czasami fala podnosi się tam powyżej horyzontu, tworząc coś w rodzaju klina na tle nieba. Jeżeli stanie się w miejscu, gdzie płytkie morze wkracza na plażę, można zauważyć, że unoszona z falą woda jest półprzezroczysta i rozgwieżdżona światłem. Któregoś dnia późnym popołudniem, podczas odpływu, do plaży w pobliżu ujścia rzeki podpłynęło około stu dużych rekinów, ogarniętych łowiecką gorączką. Każda kolejna zielona fala wypiętrzająca się ze

wzburzonej wody oświetlała kłębiące się poniżej cielska drapieżników o długości od dwóch do trzech metrów. Kiedy fala zaczynała toczyć się w moim kierunku, rekiny zniknęły, a potem nad horyzontem wypiętrzała się kolejna góra wodna, w której widać było rój roztrzepotanych ryb przypominających zatopione w bursztynie skorpiony. Był to cudowny widok, zapierający dech w piersiach: siła, piękno i wdzięk urzekająco łączyły się w nim z przemocą.

Nie rozumiemy, o co w tym wszystkim chodzi. Jeżeli takie wspaniałe zjawiska to tylko przypadkowe kombinacje cząstek oszalałej materii, zapis tekstów, jakie mogłyby wystukać miliony małp, gdyby posadzić je przy milionach maszyn do pisania, to dlaczego takie fenomeny rozpalają pewne emocje w nas, którzy powstailiśmy w analogiczny sposób? I tego nie rozumiemy. Ludzkie życie to ledwo widoczny ślad na powierzchni tajemnicy, przypominający niepojęte kręte kanaliki, które w liściach kasztanowca drążą na przykład owady minujące. Powinniśmy się nauczyć patrzeć na świat szerzej, objąć go wzrokiem, zobaczyć go naprawdę i opisać, co się tutaj dzieje. Wtedy będziemy mogli przynajmniej wyjęczeć właściwe pytanie, skierowane do wszechogarniającej ciemności, albo - czego też nie można wykluczyć - odśpiewać chórem odpowiedni hymn pochwalny.

W czasach Lewisa i Clarka podpalenie prairii było powszechnie rozumianym sygnałem oznaczającym

„Spotkajmy się nad wodą”. Był to cokolwiek ekstrawagancki zwyczaj, ale chyba nie możemy być dziś gorsi.

Jeżeli świat coś nam objawia, to niewątpliwie fakt, że u podstaw życia leżą różnego rodzaju ekstrawaganckie gesty. Po pierwszym, jak najbardziej ekstrawaganckim, geście stworzenia w kosmosie już zawsze rozgrywały się wyłącznie takie zdarzenia, bez wytchnienia buchające tajemnicami i gwiazdnymi kolosami w eonach pustki z bezprzykładnym marnotrawstwem oraz rozrzutnością. Świat stał w ogniu od zarania dziejów, więc choć przyszedłam nad wodę, żeby ochłodzić oczy, wszędzie, gdzie tylko spojrzę, widzę jedynie ogień.

Wszystko, co nie jest hubką, jest krzesiwem, dlatego cały nasz świat iskrzy się i płonie.

Przyszedłam na moją trawiastą wysepkę pod koniec dnia. Strumień przybiera, a lodowata woda pomyka pod mostkiem utworzonym przez zwałony platanowy pień. Oczywiście zabia skóra zniknęła już bez śladu.

Tak długo wpatrywałam się w to miejsce na dnie strumienia, starając się omijać wzrokiem rwący nurt, że teraz kiedy wstaję, odnoszę wrażenie, że drugi, trawiasty brzeg rozciąga się niczym guma i odpływa w górę Tinker Creek. Dopiero gdy się uspokaja,

powracam na stały ląd po jaworowym pniu i znowu staję na rozległym zaoranym polu sąsiadującym z pastwiskiem.

Od zachodu zrywa się silny wiatr, a słońce co chwila pojawia się i znika. Widzę, jak cienie na ziemi przede mną ciemnieją równomiernie i rozprzestrzeniają się szybko niczym dzuma. Wszystko tak matowieje, że jestem zdumiona, że w ogóle potrafię jeszcze rozróżnić jakieś kształty. I oto nagle po ziemi przebiega światło, niczym grzywiasta fala morska, wspina się na drzewa, Po czym z powrotem znika w mgnieniu oka. Wydaje mi się, że ośleplam albo umarłam. Kiedy światło powraca, wstrzymuję oddech, a kiedy zostaje na dłużej, zapominam o nim, dopóki nie zgaśnie raz jeszcze.

Jest najpiękniejszy dzień roku. O czwartej po południu niebo na wschodzie pokryte jest powłoką martwej czerni, usianej wiszącymi nisko białymi obłoczkami.

Na zachodzie słońce oświetla ziemię, góry, a zwłaszcza nagie gałęzie, więc wszędzie srebrzyste drzewa wcinają się w czarne niebo, co przypomina negatyw jakiejś pejzażowej fotografii. Powietrze i ziemia są suche, a góry co chwilę rozbłyskują i ciemnieją na podobieństwo neonów. Chmury odsuwają się na zachód, bo nieznaną siłą błyskawicznie ściąga je z horyzontu, niczym obrus ze stołu. Świerk biały, rosnący przy płocie z drutu kolczastego, pochyla się tak głęboko na wschód, że można by pomyśleć, że złamie sobie kark.

Purpurowe cienie również pędzą na wschód; siła wiatru każe mi zwrócić się twarzą w tamtą stronę i znowu ogarnia mnie to oszałamiające, krępujące uczucie, którego doznałam, kiedy wydawało mi się, że brzeg strumienia się rusza.

O wpół do piątej przejaśnia się na wschodzie - jak to możliwe, że ta rozległa czerń jednak się rozwiła?

Piętnaście minut później z północnego zachodu nadciąga kolejna fala ciemności; i już tu jest. Świat zostaje pozbawiony światła, jakby coś je z niego wysssało, tylko na horyzoncie atramentowoczarne góry zastępuje widok innych odleglejszych, rozświetlonych gór - rozświetlonych nie bezpośrednio dotykającymi ich promieniami słońca, lecz raczej zwieszającymi się na wysokości szczytów bladymi, połyskliwymi płachtami mgły. Teraz czerń powędrowała na wschód i wszystko pozostaje na poły w cieniu, a na poły w słońcu: każda grudka ziemi, drzewo, góra i żywopłot. Nie widzę Tinker Mountain przez szeregi świerków, aż wreszcie góra zapala się niczym latarnia uliczna, pstryk, exnihilo. Jej urwiska z piaskowca różowieją i puchną. Nagle światło gaśnie i skały cofają się, jakby ktoś je odepchnął.

Słońce uderza w kępę platanów, rosnących pomiędzy mną a łańcuchem gór. Platanowe konary zapalają się, a ja nie widzę urwisk. Zniknęły. Błada sieć gałęzi, która

jeszcze chwilę wcześniej była prawie przezroczysta jak parawan, staje się nagle nieprzeniknioną zaporą połyskującą światłem. Potem gałęzie gasną, a zapalają się góry, i znowu widać urwiska.

Wracam do domu. O wpół do szóstej przedstawienie się kończy. Pozostaje po nim jedynie nierealny błękit i kilka spiętrzonych chmur wiszących nisko na północy. Widocznie zawitał do nas jakiś karnawałowy iluzjonista, wygadany prestidigitator, który wykonuje swoje sztuczki wbrew regułom sztuki magicznej.

„Mam coś w lewej ręce - mówi - mam coś w prawej ręce, mam coś w rękawie i mam coś za plecami...”

- a potem abrakadabra, pstryk palcami i wszystko raptem znika. Zostaje tylko on, dobrotliwy czarodziej o twarzy bez wyrazu; stoi w pelerynie bez choćby jednej zmarszczki, z pustymi rękami, i przyjmuje niechętnie, stłumione brawa. Kiedy znowu podnosisz na niego wzrok, cała trupa artystów zwija już manatki i rusza przed siebie. Ten proces nie ma końca. Zza gór napływają nowe zespoły aktorów, a iluzjonista wyłania się, nie zapowiedziany, zza jakiejś fałdy w kurtynie, chociaż nigdy nie podejrzewalibyście, że kryje się w niej rozcięcie. Chustki chmur znikają w czarnym cylindrze raz na zawsze. Raz, dwa i po wszystkim. Publiczność - jeśli w ogóle jest tu jakaś publiczność - czuje się skołowana i oszołomiona, bo żeby dobrze widzieć, musi nieustannie się rozglądać.

Jak ten niedźwiadek z bajki, który chciał sprawdzić, co jest za górami, wysłałam w świat. Powinnam was jednak uprzedzić, że, znowu podobnie jak ów niedźwiadek, zobaczyłam tylko górę z drugiej strony - jeszcze raz to samo. Podczas ładnej pogody mogłabym dostrzec na przykład kolejny lesisty grzbiet górski, przewalający się w słońcu niczym woda - to także byłoby dobre miejsce na biwak. W każdym razie zamierzam prowadzić w tej oto książce zapiski, które Thoreau nazwałby zapewne „meteorologicznym dziennikiem umysłu”. Będę snuć w niej różne opowieści i przedstawiać rozmaite pejzaże tej po trosze już ujarzmionej doliny; będę z bojaźnią i drżeniem penetrować jej mroczne zakamarki, których próżno byłoby szukać na mapie, bezbożne warownie, do jakich prowadzą takie opowieści, oraz widoki przyprawiające człowieka o zawrót głowy.

Nie jestem żadną uczoną - po prostu zwiedzam najbliższą okolicę. Niemowlę, które dopiero co nauczyło się podnosić główkę, rozgląda się po świecie w zadziwieniu, tocząc wokoło szczerym i otwartym spojrzeniem. Dziecko nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje, i chce się tego dowiedzieć, po kilku latach nauczy się jednak udawać, że już wszystko pojęło, i przyjmie pewną siebie postawę squattera, przekonanego, że jest właścicielem domu, w którym mieszka. Jakaś niezwykła, nabyta z wiekiem duma odwodzi

nas zazwyczaj od pierwotnego zamiaru zbadania najbliższej okolicy, przyjrzenia się pejzażowi i znalezienia odpowiedzi przynajmniej na jedno pytanie, skoro nie możemy się dowiedzieć, skąd się tu wzięliśmy - a mianowicie: co to za miejsce, na które jesteśmy skazani.

Ja myślę więc o mojej dolinie. To dla mnie miejsce spędzania wolnego czasu, pracy, a także gry. Ostrej rozgrywki, w której postanowiłam uczestniczyć, ponieważ i tak wciąż trwa, ze mną czy beze mnie - rozgrywka, zależna od umiejętności i przypadku, którą prowadzi się przeciwko niewidzialnemu przeciwnikowi - czasowi - iw której pula zwycięstwa może w każdej chwili w eksplozji światła objawić się nieoczekiwanie każdemu człowiekowi, nie tylko mnie.

Rzucam na szalę czas, za który jestem wdzięczna, i swoją energię, którą poświęcam z najwyższą przyjemnością. Istnieje w tej grze, że się tak wyrażę, ryzyko pata, a zatem możliwe, że nie będę mogła pójść dalej w żadną stronę, co zresztą, jak Bóg wie, często się w życiu zdarza. Ryzykuję też dręczące, wyczerpujące i koszarne sny, które kradną mi spokój, bo muszę w nich całe noce leżeć twarzą do ziemi w jakichś błotnistych rowach, rojących się od świeżo wyklutych owadów i skorupiaków.

Jeśli jednak udaje mi się jakoś przetrzymać noc, dzień jest już przyjemnością. Wychodzę z domu i dostrzegam coś, jakieś zjawisko, które w przeciwnym wypadku przeszłoby całkowicie nie zauważone i bez echa. A czasem sama zostaję dostrzeżona - jakaś potężna siła muska moje ramię nieskazitelnym skrzydłem i wtedy wibruję cała niby dzwon.

Jestem zatem badaczką, ale także tropicielką, a może nawet żywym narzędziem łowieckim. Niektóre plemiona indiańskie złobiły długie rowki w drzewcach strzał i nazywały je znakami błyskawicy, ponieważ przypominały esowate bruzdy, jakie pioruny wypalają w pniach drzew. Te znaki błyskawicy pełnią taką oto funkcję myśliwską: jeżeli strzała nie zabije zwierzęcia, krew z głębokiej rany wypełnia ten rowek, spływa z drzewca i skapuje na ziemię, pozostawiając ślady na szerokich liściach i kamieniach, dzięki czemu bosonogi, drżący łucznik może zapuścić się tropem zdobyczy w gęstą puszcze albo rzadki las. Jestem więc takim drzewcem strzały, ukształtowanym przez niespodziewane błyskawice i gromy z nieba, a moja książka jest prowadzącym na bezdroża szlakiem krwi.

Coś wali w nas jak w bęben, coś, co ledwo odsłania się naszym oczom; jakaś moc, która zarówno wisi nad nami niczym czarna chmura, jak i rozświetla ciemność. Ktoś gra na nas jak na flecie, a nasze tchnienie nie należy do nas. James Houston opisuje gdzieś dwie młode Eskimoski, które siedzą ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, stykają się otwartymi ustami i nawzajem dmą w swoje struny głosowe, tworząc w ten sposób chrapliwą, niezemską muzykę. Kiedy przechodzę znów na drugi brzeg po prowizorycznym mostku, będącym w

istocie ogrodzeniem dla wołów, wiatr słabnie, dostrajając się do łagodnej atmosfery zmierzchu, i teraz marszczy tylko naskórek wody. Przyglądam się płachtom światła przesuwającym się po powierzchni strumienia. Ten widok ma urok całkowitej bierności niczym światło sunące pod chmurami na polu albo piękny sen w chwili, gdy go śnimy. Wiatr stał się zaledwie leciuteńkim zefirkiem, ale człowiek żegluje przed siebie bez tchu, wciąż popychany sztormową siłą ducha.

ROZDZIAŁ DRUGI

Widzenie

Kiedy miałam sześć albo siedem lat i mieszkałam w Pittsburghu, czasami brałam bezcenną dla mnie jednocentówkę i chowałam ją gdzieś poza domem, by kiedyś ktoś obcy mógł znaleźć mój pieniążek. Był to dziwny zwyczaj - niestety, od tamtej pory nigdy już do niego nie wracałam. Z niewiadomego powodu zawsze ukrywałam monety mniej więcej w tym samym miejscu na ulicy. Chowałam je w korzeniach platana albo w szparach między pokruszonymi płytami chodnikowymi. Następnie brałam kawałek kredy i zaczynając od bliższego albo dalszego skrzyżowania, rysowałam nią ogromne strzałki, prowadzące do jednocentówki z obu stron. Kiedy nauczyłam się pisać, opatrywałam strzałki komentarzami w rodzaju: CZEKA CIĘ NIESPODZIANKA albo DO PIENIĘDZY TĘDY. Sporządzając te wskazówki, zawsze byłam mocno podekscytowana na myśl o pierwszym szczęśliwym przechodniu, który w ten sposób, bez względu na swoje zasługi, otrzyma podarunek od wszechświata. Nigdy jednak nie kręciłam się w pobliżu. Wracałam prosto do domu i nie myślałam więcej o tej sprawie, aż wreszcie kilka miesięcy później znowu czułam niewytłumaczalny impuls, który kazał mi schować kolejną jednocentówkę.

Pierwszy tydzień stycznia jeszcze się nie skończył, a ja mam wielkie plany. Wciąż myślę o widzeniu. Na świecie można zobaczyć i znaleźć bardzo wiele - na przykład nie rozpakowane jeszcze prezenty i niespodzianki. Cały świat jest usiany i usłany pieniążkami porzucanymi dookoła hojną ręką. Ale - w tym sęk - kogo może ucieszyć zwykła jednocentówka? Jeżeli pójdziesz w kierunku wskazanym przez jedną ze strzałek, jeśli przykucniesz bez ruchu na brzegu i zaczniesz przyglądać się zmarszczone drżące na powierzchni wody, po czym zostaniesz nagrodzony widokiem młodego piźmoszczura, przebijającego łapkami w drodze ze swojej norki na żerowisko, to czy uznasz ten widok tylko za błysk miedziaka i pójdziesz dalej swoją ponurą drogą? Na widok człowieka niedożywionego i wyczerpanego do tego stopnia, że nie ma siły schylić się po jednocentówkę, możemy powiedzieć, że na naszym świecie panuje straszne ubóstwo. Jeśli jednak ktoś po prostu kultywuje skromność, czyli, że się tak wyrażę, zdrowe ubóstwo, a znaleziona jednocentówka da mu dość sił, by przeżyć kolejny dzień, to ponieważ świat jest w istocie pełen jednocentówek, człowiek taki dzięki swojemu ubóstwu może niejako kupić resztę dni swego życia. Prosta sprawa. Widziały gały, co brały.

Kiedyś umiałam dostrzec owady w locie. Spoglądałam przed siebie, nie bacząc na świerki po drugiej stronie drogi, widząc tylko rozpościerającą się przed nimi powietrzną przestrzeń, i koncentrowałam się na tym pasie pustki, wypatrując latających owadów. Dziś chyba przestałam się nimi interesować, bo zarzuciłam ten zwyczaj. Dziś wypatruję ptaków. Zapewne istnieją ludzie, którzy patrząc pod nogi, potrafią zobaczyć w trawie każde pełzające w niej stworzenie. Chciałabym znać wszystkie gatunki traw i turzyc - i chciałabym, żeby mnie one obchodziły, bo wtedy moja podróż w świat stałaby się w najgorszym razie wycieczką krajoznawczą, szeregiem radosnych spotkań z nimi. Będąc kiedyś w ekstatycznym nastroju, Thoreau dał upust swojemu zachwytowi: „Jakże obszerną księgę można by napisać o pączkach roślin, a także, być może, o kielkach!”. Miło byłoby pomyśleć coś takiego. Pielęgnowuję w sobie wyobrażenie trzech w pełni szczęśliwych ludzi. Jeden zbiera kamienie. Drugi - powiedzmy, że jest to Anglik - obserwuje chmury. Trzeci z kolei mieszka na wybrzeżu i kolekcjonuje krople wody morskiej, które najpierw bada pod mikroskopem, a następnie oprawia, niczym fotografie albo klejnoty. Ja jednak nie widzę tego, co widzi specjalista, a zatem nie mam dostępu nie tylko do całości obrazu, ale i do różnych form szczęśliwości.

Niestety, zjawiska przyrodnicze należą do fenomenów, które pojawiają się nagle i równie szybko znikają.

Ryba miga mi przed oczami, a potem rozpuszcza się w wodzie niczym sól. Jelenie wydają się wstępować żywcem do nieba i nawet najbardziej kolorowa wilga blednie pośród listowia. Takie zniknięcia wprawiają mnie w oszołomienie i każą mi się skupić; mówi się, że przyroda ukrywa się ze wspaniałą nonszalancją i że widzenie to jej świadomy dar, jak obnażanie się tancerki, która kolejno zrywa z siebie siedem zasłon tylko dla mnie. Przyroda bowiem zarówno odsłania się, jak i ukrywa: jej twory raz znikają, a innym razem się pojawiają. W zeszłym roku we wrześniu migrujące epoletniki zerowały gęsto nad strumieniem na tyłach mojego domu. Któregoś dnia wyszłam, by sprawdzić, co to za rejwach, a gdy podeszłam do drzewka żółtnicy pomarańczowej, do lotu zerwała się co najmniej setka ptaków, które po prostu nagle zmaterializowały się na gałęziach. Najpierw widziałam drzewo, potem smugę koloru, a potem znowu drzewo. Podeszłam jeszcze bliżej i wtedy w powietrze wzbila się następna setka kacyków. Nie drgnęły przy tym żaden konar ani gałązka: ptaki były najwyraźniej nie tylko świetnie zakamuflowane, ale i nieważkie. Z drugiej strony można było pomyśleć, że z moich kacyków została zdjęta klątwa i z liści zamieniły się z powrotem w ptaki, więc odfrunęły z drzewa, pokazały mi się na chwilę na tle nieba i zniknęły. Kiedy ponownie spojrzałam na drzewko żółtnicy, listowie znów się zamknęło, jakby nic się nie

wydarzyło. Potem podeszłam tak blisko, że mogłam dotknąć pnia, i wtedy objawiła mi się ostatnia setka największych ptasich twardzieli, które natychmiast rozłożyły skrzydła i zniknęły. Jak to możliwe, że kryło się tam tyle ptaków, a ja nie mogłam ich dostrzec? Drzewo pomarańczowe wyglądało na nietknięte i niepotargane jak wówczas, gdy patrzyłam na nie z domu, a z jego korony dobiegały krzyki trzystu kacyków. Spojrzałam w dół strumienia, gdzie odleciały, jednak już nie było Po nich śladu. Rozglądałam się uważnie, ale nie zauważyłam ani jednego. Ruszyłam w dół strumienia, żeby zmusić ptaki do jakiejś reakcji, lecz przeleciały już strumień i rozproszyły się na wszystkie strony. Jedno przedstawienie dla jednego widza. Ilekroć dane mi jest oglądać takie spektakle, wzruszenie ściska mnie za gardło; to dary losu, połyskliwe miedziaki, skryte w korzeniach drzew.

Najważniejsze, żeby mieć oczy otwarte. Przyroda jest jak dziecięca zagadka, jak ukryty w plataninie linii rysunek: czy potraficie znaleźć ukryte pośród liści kaczkę, dom, małego chłopca, wiadro, zebkę albo but?

Specjaliści umieją wypatrzeć nawet wyjątkowo dobrze ukryte przedmioty i zwierzęta. Z pewnej książki, którą czytałam kiedyś, jeszcze za młodu, dowiedziałam się, jak najłatwiej zdobyć gąsienice do domowej hodowli: otóż wystarczy znaleźć świeże odchody gąsienic, podnieść głowę i... już masz gąsienicę. A całkiem niedawno autor innej książki przekonał mnie, że stosiki pociętych źdźbeł na polach nie są niczym dziwnym.

To robota polnych myszy, które stopniowo podgryzają rośliny, żeby dostać się do nasion w kłosach. W gęsto rosnącym na polu uprawnym zbożu nie wystarczy raz przegryźć łodygę, żeby się przewróciła, bo podtrzymują ją sąsiednie rośliny. Dlatego mysz podgryza ją na dole kilkakrotnie, a ona za każdym razem osuwa się mniej więcej o trzy centymetry, aż wreszcie kłos znajduje się na tyle nisko, że gryzoń sięga nasion. W ten oto sposób mysz pokrywa całe pole kopczykami pogryzionych łodyg, w które, jak można przypuszczać, autor wspomnianej książki nieustannie wdeptuje.

Nawet jeśli nie jestem w stanie dostrzec takich szczegółów, staram się mieć oczy szeroko otwarte.

W syrkim piasku zawsze wypatruję pułapek mrówkolwów, na terenach porośniętych trojeścią szukam poczwerek motyli monarchów, a w liściach robinii rozglądam się za larwami motyli powszelatków. Wszystkie te stworzenia spotyka się powszechnie, ale ja nie widziałam dotąd żadnego z nich. Bębnię pięściami w puste pnie drzew nad wodą, ale nigdy jeszcze z żadnego z nich nie wyfrunęła latająca wiewiórka. Na równinach zawsze obserwuję zachody słońca w nadziei, że zobaczę tak zwany „zielony promień”. Jest to rzadko widywana struga światła, która zdaje się tryskać z zachodzącego słońca niczym fontanna - pulsuje ona na

niebie przez mniej więcej dwie sekundy, po czym znika. A oto kolejny powód, żeby zachować czujność: pewien profesor fotografii z uniwersytetu stanowego na Florydzie przypadkiem zobaczył kiedyś umierającego w locie ptaka, który szarpnął się gwałtownie, stracił przytomność, runął w dół i w końcu roztrzaskał się o ziemię. Mrużę oczy, kiedy stoję pod wiatr, bo czytałam u Stewarta Edwarda White'a: „Zawsze twierdziłem, że jeśli uważnie patrzeć, można zobaczyć wiatr - ciemny, ledwo dostrzegalny, drobnutki pyłek, unoszący się wysoko w powietrzu”. White był bardzo bystrym obserwatorem, a w swojej książce *The Mountains* poświęcił cały rozdział jeleniom. Jest tam takie zdanie: „I ty możesz zobaczyć jelenia, jeśli tylko uda ci się zapomnieć o oczywistości naturalnej i zauważyć oczywistość sztuczną”.

Lecz sztuczną oczywistość niełatwo jest zobaczyć.

Oczy stanowią mniej niż jeden procent ciężaru mojej głowy. Jestem koścista i tępa, więc widzę tylko to, co chcę zobaczyć. Kiedyś przez całe trzy minuty wypatrywałam amerykańskiej żaby ryczącej, zwanej też żabą bykiem, która okazała się zaskakująco wielka. Początkowo nie zdołałam jej dostrzec, chociaż kilkunastu rozentuzjasmowanych uczestników obozu młodzieżowego dawało mi w tym celu odpowiednie wskazówki.

W końcu zapytałam:

- Jakiego koloru jest ta żaba?
- Zielonego - odparł jakiś chłopak.

Kiedy wreszcie udało mi się ją zobaczyć, zrozumiałam, z jakimi trudnościami borykają się malarze - moim zdaniem bowiem to stworzenie wcale nie było zielone, lecz miało kolor wilgotnej kory orzesznika.

Dobrze widzą zakochani i eksperci. Pojechałam kiedyś w odwiedziny do wujostwa na ranczo koni quarterów, w Cody w stanie Wyoming. Nie mieli ze mnie na farmie większego pożytku, ale wydawało mi się, że potrafię rysować, więc kiedy po kolacji siedzieliśmy jeszcze wszyscy przy kuchennym stole, wyciągnęłam kartkę i narysowałam konia.

- Kaleka, nie ma co - zawyrokowała ciotka.

Zawtórowali jej pozostali członkowie rodziny:

- Siodło można by mu założyć wyłącznie na kark.
- Biedak jest taki garbaty, że najlepiej byłoby go zastrzelić.

Na te słowa pokornie podsunęłam im papier i ołówek. W tej rodzinie wszyscy, w tym także troje moich małych kuzynów, potrafili narysować konia, i to przepięknie. Kiedy kartka w końcu wróciła do mnie, pomyślałam, że patrzę na pięć prawdziwych quarterów o połyskliwej sierści, które przez pomyłkę zamknięto w zagrodzie z łosiem z papiermache - a

przy tym

„prawdziwe” konie zdawały się wpatrywać w mojego potwora z poważnymi, zaintrygowanymi minami.

Od tej pory wystrzegam się koni jak ognia, ale potrafię nieźle narysować złotą rybkę. Rzecz w tym, że ja po prostu nie wiem tego, co wie zakochany, i nie potrafię dostrzec tej sztucznej oczywistości, którą widzi ekspert.

Herpetolog pyta pewnego tubylca:

- Czy w tym wąwozie żyją węże?

- Nie, panie.

Po czym herpetolog wraca do domu z trzema workami pełnymi - „tak, panie” - węży. Czy na tym górskim szczycie żyją motyle? Czy kwitną tu chabry i czy w tych łupkach znajdziemy groty strzał albo skamieniałe muszle?

Patrząc przez moją dziurkę od klucza, widzę tylko około trzydziestu procent światła słonecznego - reszta to głównie podczerwień i trochę promieni ultrafioletowych. Istnieją zwierzęta, które widzą je doskonale, dla mnie jednak ta część widma świetlnego pozostaje niewidoczna. Koszmarna sieć ganglionów, które ktoś ładuje niczym broń i odpala bez mojej wiedzy, tnie oraz sieka to, co rzeczywiście widzę, obrabiając obraz docierający do mojego mózgu. Donald E. Carr pisze, że organizmy jednokomórkowe nie dokonują obróbki wrażeń zmysłowych na użytek mózgu: „Jest to w pewien żaloszny sposób interesujące filozoficznie, albowiem wskazuje, że tylko najprostsze organizmy postrzegają świat takim, jakim naprawdę jest”.

W polu mojego widzenia wiecznie unosi się i płynie mgła, której nic nie rozwieje. Kiedy przyglądam się mgłę sunącej na tle gęstego sosnowego lasu, właściwie widzę tylko smugi bieli, płynące w powietrzu pośród strzępów ciemności. Widzę więc jedynie jakby niteczki bieli w ogarniającej je ciemności. Nie potrafię odróżnić mgły od zachmurzonego nieba i nigdy nie mam pewności, czy światło pochodzi bezpośrednio ze słonecznego źródła, czy jest odbite.

Ciemność i obecność tego, co niewidoczne, przeraża nas wszędzie. Naukowcy szacują obecnie, że w każdym metrze sześciennym przestrzeni międzygalaktycznej płąsa samotnie zaledwie jeden atom materii.

Przymrużam powieki i wytężam wzrok. Jaka to planeta albo nieznaną siłą powoduje odchylenia orbity komety Halleya? Jak dotąd nie jesteśmy w stanie dostrzec przyczyny tego zjawiska - na podstawie obserwacji możemy tylko zmierzyć odległość, gęstość i natężenie odbitego światła. Kołyszemy się, spowici ciemnością.

Ale nawet zwyczajna ciemność nocy podszeptuje naszemu umysłowi to i owo. Wiem, bo w sierpniu zeszłego roku zabawiłam nad strumieniem zbyt długo.

Pod pniem platana, po którym można dostać się na wysepkę w kształcie łyzy, Tinker Creek jest powolny i płytki, a przy bagnistych brzegach porastają go rzadko rosnące pałki wąskolistne. W tym miejscu zdumiewająco bujna roślinność podtrzymuje życie olbrzymich populacji owadów, ryb, gadów, ptaków i ssaków.

W bezwietrzne letnie wieczory przyczajam się na brzegu albo siadam okrakiem na pniu i zamieram w całkowitym bezruchu, wypatrując piżmoszczurów. Tamtej nocy, kiedy zabawiłam nad strumieniem zbyt długo, przycupnęłam na pniu i jak urzeczona gapiłam się na rozchodzące się szeroko, świecące odbitym światłem liliowe plamy na wodzie. Na niebie zapaliła się nagle jakaś chmura, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem elektrycznym, a wtedy jej płaskie, rozkołysane na powierzchni odbicie równie nagle pojawiło się na wodzie w górze strumienia, nie mogłam już więc dojrzeć ani dna, ani przejawów wodnego życia, zasłoniętego tym podniebnym cieniem. Tymczasem w dole strumienia, z dala od wiszącej nad wodą chmury, płynęły z prądem wodne żółwie o skorupach gładkich niby ziarna fasoli, wykonując swobodne, nieważkie ruchy jak ludzie na Księżycu. Nie wiedziałam, czy śledzić jednego upatrzonego żółwia, ryzykując, że twarz oblepi mi za chwilę jedna z licznych pajęczyn, rozpiętych na pniu i już niedostrzegalnych w zapadających ciemnościach, czy czekać, aż nadpłyną karasie, czy raczej obserwować błotnisty brzeg w nadziei, że uda mi się zobaczyć piżmoszczura, czy może podążyć wzrokiem za ostatnią z jaskółek, które porwały moje serce i pociągnęły je za sobą niczym serpentynę, najpierw przelatując pod pniem, na którym siedziałam, a potem pomykając pędem w górę strumienia i migając w powietrzu rozwidlonymi ogonkami.

Ale cienie dokoła rozszerzały się i pogłębiały, zalegając pole. Minęły tysiące lat, a ciemność wciąż jest nam obca. Czujemy się w jej obliczu jak przerażeni intruzi w obozie wroga i krzyżujemy ręce na piersiach w obronnym geście. Poruszyłam się, a wtedy na brzegu przestraszony żółw ziemny z sykiem wypuścił powietrze z płuc i schował się w skorupę. Niepokojący błysk różu tu, nieprzenikniony granat tam - odnosiłam nieodparte wrażenie, że wszędzie czają się jakieś zwierzęta. Wokół zapanował niepokój. Nie wiedziałam, czy suchy szelest, który usłyszałam, wywołał gdzieś dalej grzechotnik o wąziutkich niczym szparki oczkach, czy może wróbel, buszujący w pobliżu w uschłych już źdźbłach i łodyżkach, które wysoka woda naniósł kiedyś pod wierzbę. Jak okiem sięgnąć, woda burzyła się, jakby przewalało się w niej coś wielkiego. Nie miałam pojęcia, co to było. W ziejącej otworem norce piżmoszczura na brzegu wezbrało jakieś drzenie, więc wstrzymałam oddech, ale nie

wychynał z niej ani jeden pizmak. Fale, toczone jakby regularnymi, potężnymi pchnięciami, sunęły tymczasem dalej w górę strumienia. Noc tkiała na mojej twarzy maskę bez otworów na oczy, ja zaś siedziałam nadal jak sparaliżowana. Daleki samolot, a raczej jego przerażająca trójkątna sylwetka, przesunęła się po dnie strumienia, przywodząc na myśl płaszczkę. Wtem różową chmurkę na powierzchni rozciąła na dwoje czarna płetwa, a połówki obłoczka zlały się zaraz ze sobą i zniknęły po chwili z moich oczu. Koryto Tinker Creek wypełniła ciemność, która następnie uniosła się jak woda w studni. Na niebie zamigotały nieujarzmione, senne światelka. Dostrzegłam zarysy ciężkich podwodnych cieni, dwa blade kleksy nad rozbryzgującą się wodą i kręgi zmarszczek rozchodzących się gęsto od czarnego centrum.

W końcu spojrzałam w górę strumienia, gdzie pozostała tylko bardzo ciemna fioletowa plama cienia chmury, wiszącej tak wysoko, że jej podbrzusze połyskiwało wciąż słabym, kolorowym blaskiem odbitym od niewidocznego nieba rozświetlonego słońcem, które o tej porze znajdowało się już w połowie drogi do Chin. Nagle z tej plamy fioletu wyłoniło się ogromne, wygięte w łuk czarne cielsko. Zauważyłam tylko coś jakby lśniący walec, bo zarówno głowa, jak i ogon tego zwierzęcia - jeśli w ogóle miało ono głowę i ogon - były zanurzone w plamie chmury. Dostrzegłam pojedynczy błysk olśniewającej bieli, zwierzę zanurkowało na oślep w ciemność, a potem woda zamknęła się nad nim, a światła na niebie zgasły.

Wracałam do domu oszołomiona i drżąca; wspięłam się na wzgórze i zeszłam na dół. Potem w łóżku leżałam z otwartymi ustami, rozrzucając ramiona na boki, żeby powstrzymać wirujący mrok. Na tej szerokości geograficznej wiruję wokół osi Ziemi z prędkością około tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę i często wyobrażam sobie, że skaczę niczym delfin i zaczynam spadać na złamanie karku, a wtedy pęd powietrza z głuchym świstem podnosi mi włoski na karku i wokół skroni. Z kolei po orbicie okołosłonecznej poruszam się z szybkością stu dwudziestu tysięcy kilometrów na godzinę, natomiast nasz migotliwy Układ Słoneczny, przypominający wyrwaną z posad karuzelę, kręci się, podskakuje i gna z prędkością osiemdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę na kursie przebiegającym na wschód od gwiazdozbioru Herkulesa. Ktoś nam przygrywa na flecie, a my zapamiętane wirujemy w tańcu. Otwieram powieki i widzę, jak z wody wypelzają jakieś ciemne, umięśnione stworzenia o rozdętych skrzelach i płaskich oczach. Zamykam powieki i teraz widzę gwiazdy - dalekie światelka ustępują dalszym, a te dalsze z kolei kłaniają się najdalszym, tworzącym wierzchołek nieskończonego stożka.

Van Gogh napisał w którymś ze swoich listów, że

„mimo wszystko na świecie jest sporo światła”. Oślepia nas zarówno ciemność, jak i

światło. Zbyt wielka światłość napawa nas swoistym przerażeniem. Peter Freuchen opisuje cieszącą się złą sławą chorobę kajakową, na którą zapadają grenlandzcy Eskimosi: „Grenlandzkie fiordy znane są z tego, że czasem panuje w nich absolutna cisza morska. Leciuteńki wietrzyk nie jest w stanie zdmuchnąć nawet płomienia zapalki, a woda pozostaje gładka jak szkło. Myśliwy w kajaku musi siedzieć w całkowitym bezruchu i nie wolno mu nawet kiwnąć palcem, by nie wystraszyć płochliwych fok...

Wiszące nisko na niebie słońce razi oczy myśliwego, a otaczający krajobraz staje się nierealny. Światło odbijające się od przypominającej lustro powierzchni morza hipnotyzuje powoli Eskimosa, który nie jest już w stanie się poruszyć i nagle ulega wrażeniu, że unosi się w bezdennej otchłani i tonie, tonie, tonie... Ogarnia go paniczny strach, próbuje wstać, chce krzyczeć, ale nie może, bo jest jak sparaliżowany i wydaje mu się, że tylko opada coraz niżej i niżej”. Niektórzy nieszczęśnicy mają szczególne skłonności do ulegania tej fobii, co przyczynia się do rozpadu ich rodzin, a czasem wręcz do śmierci głodowej.

Tu, w Wirginii, zdarza się, że o zachodzie słońca chmury na południowym albo północnym horyzoncie są zupełnie niewidoczne na rozświetlonym niebie.

Czasem udaje mi się dostrzec jedną z nich tylko dlatego, że widzę jej odbicie w stojącej wodzie. Gdy po raz pierwszy odkryłam to tajemnicze zjawisko, zdezorientowana przyglądałam się chmurom, które co chwila znikwały i pojawiały się, próbowałam więc raz za razem ustalić moje położenie - a przy tym myślałam, że na południe od Dead Man Mountain szybuje chyba w powietrzu Arka Przymierza. Dopiero dużo później zrozumiałam, jak to jest możliwe: otóż spolaryzowane światło, spływające z góry, jest zawsze niezwykle słabe, bo odbite, natomiast światło w chmurach nie ulega wcale polaryzacji. Dlatego chmury niewidoczne suną pośród widocznych, aż w końcu wszystkie przepływają na drugą stronę gór - w ten sposób silniejsze światło przyćmiewa słabsze, czyniąc je zupełnie niewidocznym.

Podczas wielkiego sierpniowego deszczu meteorytów, zwanego rojem Perseid, całymi dniami opląkuję te z nich, których nie udaje mi się zaobserwować.

Spadają rzęsiście z nieba, popełniając harakiri w ogniu śmiercionośnego przyciągania, i kończą ostatecznie swój żywot, gasnąc z sykiem w oceanie. A o świecie szczelnie - niczym pokrywka garnek - nakrywa mnie coś, co przypomina z wyglądu błękitną kopułę; wtedy zapominam o bożym świecie i nie zauważyłabym nawet kolizji gwiazd i planet. Tylko czasami kawałek popielatego księżyca wspina się albo osuwa po ściankach niebieskiej kopuły, podczas gdy lokalna gwiazda eksploduje bezustannie nad naszymi głowami. Właściwie mamy do dyspozycji tylko to jedno światło, źródło wszelkiej siły, a przecież na mocy powszechnego prawa musimy odwracać od niego wzrok.

Nikt na tej planecie nie jest chyba świadom owego dziwnego, potężnego tabu, choć w naszej wędrówce przez życie wszyscy ciągle skwapliwie wykręcamy głowy to w tę, to w tamtą stronę, aby słoneczny blask nie uszkodził nam nieodwracalnie wzroku.

Ciemność przeraża, a światło razi. Strzęp widzialnego światła, które nie razi mnie w oczy, poraża z kolei mój umysł. Uginam się pod ciężarem tego, co widzę.

Wielkość, odległość i nieoczekiwana inflacja znaczeń wprawiają mnie w osłupienie i powalają. Latem przysiadam na platanowym pniu nad Tinker Creek i wpatruję się w rozświetlone dno strumienia: widzę rozedrgane, kręte ścieżki, wyżłobione przez ślimaki w mule.

Rak wykonuje jakiś gwałtowny ruch, lecz nie wiem, co się stało, bo skorupiak znika natychmiast w tumanach mułowej zasłony dymnej. Spoglądam w wodę: drobnica, płotki, ukleje. Myśląc o rybach karpiovatych, nie mogę się opędzić od wizji karasia, od której omal nie dostaję szału. Przyglądam się powierzchni strumienia: nartniki, pęcherzyki powietrza i opadające na dno liście. Nagle moje własne odbicie przeraża mnie do tego stopnia, że niemal tracę zmysły. Przecież te ślimaki chodziły mi po twarzy! Wreszcie strasliwym wysiłkiem woli dostrzegam z drzeniem chmury - cirrusy. Kręci mi się w głowie i wpadam do wody.

Niebezpiecznie jest patrzeć.

Pewnego razu stałam na jakimś garbatym głazie na szczycie pobliskiej Purgatory Mountain, obserwując przez lornetkę odbywającą się niżej wielką jesienną migrację sokołów wędrownych, aż wreszcie zorientowałam się ze zgrozą, że za chwilę dołączę do tych ptaków, bo podobnie jak one znajdę się w powietrzu - tyle tylko że runę w dół jak kamień. Oczywiście nie pierwszy raz korzystałam z lornetki, ale najwyraźniej nie umiałam utrzymać równowagi na garbatym kamieniu, obserwując jednocześnie sokoły. Zachwiałam się na nogach. Świat w moich oczach zaczął przybliżać się i cofać - widziałam wszystko na przemian w skrótach perspektywicznych albo w planie ogólnym. Olbrzymi płowy ptak, sokół wielkości słonia, okazał się jasnobrazową gałęzią rosnącej w pobliżu sosny nadmorskiej. Zaczęłam więc śledzić wzrokiem prawdziwego drapieżnika o smukłych, zakończonych szponami nogach, lecącego na tle bezchmurnego nieba; machinalnie odwracałam za nim głowę, a kiedy opuściłam nieco lornetkę i zobaczyłam majaczące w okularze moje własne ramię, ugięły się pode mną kolana.

Jak to możliwe, że astronomowie z Mount Palomar nie spadają, milcząc, osłepieni, ze swoich małych, zabudowanych krzesełek?

Kręci mi się w głowie z oszołomienia i nie rozumiem tego, co widzę. Gołym okiem jestem w stanie pokonać odległość dwóch milionów lat świetlnych, dzielących nas od

galaktyki Andromedy. Często nabieram do słoja wody ze strumienia i po powrocie do domu wlewam ją do białej porcelanowej miseczki. Wracam do niej, kiedy drobinki mułu opadają na dno, i widzę na nim ślady maleńkich ślimaczków, jednego lub dwa wyplawki, które kręcą się przy powierzchni wokół brzegu miski, wijące się gorączkowo jak w tańcu shimmy nicienie, a w końcu, jeśli wyteżę wzrok, dostrzegam nawet mikroskopijne ameby. Najpierw przypominają muscae volitantes, latające muszki w żargonie okulistów, czyli ruchliwe, koncentryczne plamki, które pojawiają się nam przed oczami, kiedy wpatrujemy się na przykład w odległą ścianę. Potem ameby przypominają mi kropelki skoagulowanej wody, mają niebieski odcień i są półprzezroczyste jak spoczywające w misce okruchy nieba. Wreszcie wybieram sobie jeden okaz i spędzam wieczór wraz z nim, na jego modłę. Patrzę, jak powolutku wyciąga jakby ziarniste nibynóżki, penetrując swoje niezgłębione, mokre środowisko. Czy ten pierwotniak czuje uważne spojrzenie, którym go mierzę?

A może powinnam wyciągnąć amebę z wody, pokazać jej Andromedę, rozerwać cieniutką błonę żyjątką?

Mieszam wodę palcem, żeby jednokomórkowcowi nie zabrakło tlenu. Może powinnam kupić sobie tropikalne akwarium, wyposażone w mechaniczny generator tlenu i lampki, i przygarnąć pierwotniaka jako zwierzę domowe? Tak, opowiedziałby zapewne swoim potomkom, które urodziłby przez podział, że wszechświat mierzy pół metra na półtora i że jeśli dobrze nastawią uszu, usłyszą szum muzyki sfer.

Ach, w naszej Galaktyce wszystkie tajemnicze wieczory rozświetlają lampki. Dzisiejszej nocy błąkam się od okna do okna, co często mi się zdarza, wypatrując znaku, którego jednak nie widzę. Nierozzerwalnie złączone ze sobą przerażenie i piękno stanowią wstęgę błękitu wplecioną we frędzle szat zarówno wielkich, jak i małych rzeczy. Żadna kultura niczego nie wyjaśnia, a żaden biwak nie jest prawdziwą przystanią i nie zapewnia spokoju. Możliwe jednak, że nie widzimy wszystkiego. Galileusz mniemał, że komety są złudzeniem optycznym. To żyzny grunt dla myśli: bo skoro jesteśmy dziś pewni, że komety złudzeniem optycznym nie są, możemy traktować słowa naszych uczonych z na nowo rozbudzoną nadzieją. A jeśli naprawdę istnieją gdzieś błyszczące, otoczone blankowanymi murami miasta, wiszące do góry nogami ponad piaskami pustyni? Jakież to kryształowo czyste jeziora i dające chłód palmy daktylowe ludzkie karawany mijają obojętnie? Dopóki nasze kolejne, wykonywane na oślepk skoki w ciemność nie rozświetlą drogi do takich miejsc, będziemy potykać się w mroku i błąkać o głodzie. Odwracam się od okna. Jestem ślepa jak nietoperz i słyszę jedynie napływające ze wszystkich stron echa moich piskliwych krzyków.

Trafiłam ostatnio przypadkiem na cudowną książkę Mariusa von Sendena pod tytułem

Space and Sight

(Przestrzeń i wzrok). Kiedy chirurdzy zachodni nauczyli się wreszcie przeprowadzać skutecznie i bezpiecznie operacje katarakty, w całej Europie i Ameryce zaczęto dokonywać zabiegów na dziesiątkach pacjentek i pacjentów w każdym wieku, niewidzących od urodzenia wskutek choroby. Von Senden zgromadził liczne dokumenty dotyczące takich przypadków, albowiem lekarze badali postrzeganie zmysłowe chorych i ich poczucie przestrzeni przed operacją oraz po niej, a jego sformułowane na podstawie tych badań wnioski są fascynujące. Otóż według von Sendena ogromna większość pacjentów obojga płci i bez względu na wiek nie miała żadnej orientacji przestrzennej.

Kształt, odległość i wielkość były dla nich wyłącznie nic nie znaczącymi słowami. Na przykład pewien pacjent „nie znał pojęcia głębi, którą mylił z krągłością”.

Przed operacją lekarz dawał niewidomym sześciany i kule, a chorzy wodzili po tych bryłach językiem albo rękami i nadawali im poprawne nazwy. Po zabiegu pokazywano pacjentom te same bryły, nie pozwalając im jednak ich dotykać - i wtedy okazywało się, że nie umieli rozpoznać ich wzrokowo. Jeden z chorych stwierdził, że lemoniada jest „kwadratowa”, ponieważ szczypała go w język tak jak przedtem dłoń, w których obracał sześcianik. O pewnej małej pacjentce po operacji jeden z lekarzy napisał: „Właściwie nie zna ona pojęcia wielkości czy rozmiaru, nawet w takim ograniczonym zakresie, w jakim poznaje świat, posługując się zmysłem dotyku. Dlatego kiedy poprosiłem, żeby mi pokazała, jak duża jest jej mama, nie podniosła ani nie rozpostarła rąk, tylko rozstawiła palce wskazujące w odległości kilkunastu centymetrów od siebie”. Wielu okulistów cytuje wypowiedzi swoich pacjentów świadczące o podobnej ułomności. „Wiedział, że pokój, w którym się znajduje... jest częścią domu, nie potrafił sobie jednak wyobrazić, żeby dom mógł być większy od pokoju”; „Ludzie niewidomi od urodzenia... nie mają poczucia wysokości ani odległości. Uważają, że dom położony w odległości kilometra znajduje się blisko, choć trzeba długo iść, żeby do niego dotrzeć... Chory nie wie, że wożąca go w górę i w dół winda porusza się po linii pionowej, tak jak nie zdaje sobie sprawy, że pociąg porusza się po linii poziomej”.

Dla tych, którzy odzyskali wzrok, widzenie to czyste, nie skażone znaczeniem wrażenie zmysłowe: „Ta dziewczyna doświadczyła czegoś, czego doświadczamy wszyscy w chwili narodzin, ale o czym natychmiast zapominamy. Ujrzała świat, który jednak nie znaczył dla niej nic, widziała bowiem jedynie różne odcienie jasności”. I dalej: „Zapytałem pacjenta, co zobaczył; odpowiedział, że rozległe pole światła, w którym wszystkie przedmioty były matowe, zlewały się ze sobą i zdawały się poruszać. Nie potrafił rozróżnić poszczególnych przedmiotów”. Inny pacjent widział tylko „plątaninę kształtów i kolorów”. Gdy pewna

dziewczyna, która odzyskała wzrok po operacji, zobaczyła po raz pierwszy w życiu fotografie i obrazy olejne, zapytała: „Dlaczego wszędzie jest na nich pełno takich ciemnych plamek?”. „To nie są żadne plamki, tylko cienie - wyjaśniła jej matka. - Dzięki nim ludzkie oko może rozróżniać kształty. Gdyby nie cienie, wiele rzeczy sprawiałoby wrażenie zupełnie płaskich”. Joan odpowiedziała: „Ale świat w moich oczach właśnie tak wygląda.

Wszystko jest płaskie i zasnutte ciemnymi plamami”.

Jednak najciekawsze okazało się pojmowanie przestrzeni przez chorych. Jak opisuje jeden z lekarzy, pewien pacjent „ćwiczy zmysł wzroku w osobliwy sposób: zdejmuje but, ciska go przed siebie, po czym próbuje ocenić odległość, na jaką go odrzucił; następnie robi kilka kroków w kierunku buta i usiłuje wziąć go do ręki; nie udaje mu się, więc postępuje kilka kolejnych kroków i znowu próbuje, aż wreszcie jego wysiłki zostają uwieńczone sukcesem”. „Jednak nawet na tym etapie, po trzech tygodniach od odzyskania wzroku - ciągnie von Senden - przestrzeń, tak jak ją rozumie pacjent, kończy się wraz z jego przestrzenią wizualną, czyli kolorowymi plamami, ograniczającymi zasięg zoperowanego wzroku. Pacjent nadal nie wie, że większy przedmiot (jak na przykład krzesło) może przesłonić mniejszy (jak na przykład psa) ani że w takim przypadku ten ostatni wciąż jest obecny w pokoju, chociaż już go nie widać”.

Na ogół ludziom, którzy odzyskali wzrok, świat jawi się jako oślepiające kłębowisko kolorowych plam.

Postrzeganie barw sprawia im przyjemność i szybko uczą się ich nazw, ale poza tym cierpią okrutne męki, bo nauka widzenia przysparza rekonwalescentom poważnych kłopotów. Wkrótce po operacji pacjent „zazwyczaj wpada na jedną z owych kolorowych «plam» i dopiero wtedy stwierdza, że posiada ona masę, ponieważ stawia opór, tak jak każdy przedmiot. Kiedy następnie obchodzi ją dookoła, zauważa - a w każdym razie może zauważyć, jeśli się trochę postara - że nieustannie przechodzi pomiędzy widzianymi kolorami, że może ominąć przedmiot i że jego część znika potem stopniowo z pola jego widzenia; może też się zorientować, że bez względu na to, jak bardzo kluczcy i w którą stronę zmierza - na przykład czy wchodzi do pokoju przez drzwi, czy też wychodzi - zawsze rozciąga się przed nim pusta przestrzeń. Dopiero wtedy powoli zaczyna zdawać sobie sprawę, że przestrzeń istnieje także za jego plecami, chociaż jej nie widzi”.

Wysiłek umysłowy konieczny do przeprowadzenia takiego rozumowania przekracza możliwości wielu pacjentów. Wielkość świata, który uważali dotąd za coś rozczulająco małego, co można ogarnąć dotykiem, przytłacza ich - jeśli w ogóle udaje im się ją pojąć.

Ciąży im także świadomość, że przez cały czas wcześniej, bez ich wiedzy i zgody,

widzieli ich obcy ludzie, którym być może wcale nie wydawali się atrakcyjni.

Przygnębiająco wielka liczba pacjentów nie chce korzystać z odzyskanego wzroku i dalej poznaje kształty przedmiotów, wodząc po nich językiem, a poza tym popada w apatię i rozpacz. „Dzieciak widzi, ale nie korzysta z oczu. Dopiero kiedy się go do tego zmusi, ogląda przedmioty ze swojego najbliższego otoczenia, lecz nie można go skłonić, żeby się trochę wysilił i zechciał się przyjrzeć obiektom położonym poza zasięgiem jego ręki”. Oto, co pisze lekarz o pewnej dwudziestoletniej dziewczynie: „Jej nieszczęsny ojciec, który wiązał z zabiegiem wielkie nadzieje, napisał do mnie, że córka mocno zamyka oczy, kiedy chodzi po mieszkaniu, a zwłaszcza gdy wchodzi albo schodzi po schodach, i że nigdy nie jest szczęśliwsza ani nie czuje się swobodniej niż wtedy, kiedy zamyka powieki i znów jak dawniej nie widzi zupełnie nic”.

Piętnastoletni chłopak, który zakochał się w koleżance w domu opieki dla niewidomych, wypalił w końcu:

„Nie, naprawdę nie zniosę tego dłużej. Chcę, żebyście mnie odesłali z powrotem do domu opieki. Jeżeli nic się nie zmieni, wyrwę sobie oczy”.

Niektórzy pacjenci, zwłaszcza młodzi, uczą się widzieć, ale odzyskany wzrok zmienia ich życie. Jeden z lekarzy zauważa „gwałtowną i całkowitą utratę tej uderzającej i cudownej pogody ducha, jaka charakteryzuje ludzi niewidomych”. Ślepiec, który nauczył się posługiwać wzrokiem, wstydi się życia, jakie prowadził dawniej. Stroi się, przesadnie dba o siebie i generalnie usiłuje robić dobre wrażenie. Dopóki nie widzi, traktuje wszystko obojętnie, chyba że nadaje się to do jedzenia, natomiast po operacji „dokonuje się w nim całkowita zmiana hierarchii wartości; jego myśli i pragnienia ulegają potężnym zaburzeniom, a niektórzy pacjenci pod wpływem takich emocji symulują, stają się zazdrośni, a nawet zaczynają kraść i oszukiwać”.

Z drugiej strony, wielu pacjentów odzyskujących wzrok wyraża się życzliwie o świecie i poucza nas, jak nudna jest rzeczywistość widziana naszymi oczami.

Pewien pacjent opisał ludzką rękę, której nigdy wcześniej nie widział, jako „jasny, prześwitujący przedmiot”.

Chłopiec, któremu pokazano kiść winogron, zawołał:

„To coś jest ciemne, niebieskie i połyskliwe... Ale nie gładkie, bo są w tym różne zgrubienia i zagłębienia”.

Pewna mała dziewczynka pierwszy raz w życiu zobaczyła ogród: „Jest niebywale zadziwiona i z trudem daje się ją namówić, żeby odpowiadała na jakiegokolwiek pytania. Staje oniemiała przed jakimś drzewem, które nazywa dopiero, kiedy je obejmuje, chociaż i wtedy

określa je jako «drzewo pełne światełek»,. Niektórzy rozkoszują się zmysłem wzroku i oddają się widzialnemu światu całym swoim sercem. Oto, co napisał lekarz o pacjentce, której dosłownie chwilę wcześniej zdjęto bandażę po zabiegu: „Najpierw zwróciła uwagę na swoje dłonie; przyglądała im się bacznie, przysuwała je do oczu i odsuwała, na przemian zginała i rozprostowywała palce, i wydawała się niebywale zdumiona ich widokiem”. Jakaś dziewczyna chciała koniecznie poinformować swoją niewidomą przyjaciółkę, że

„mężczyźni w rzeczywistości wcale nie przypominają drzew”, i nie mogła się nadziwić, że wszyscy odwiedzający ją goście różnią się między sobą i wyglądają inaczej. Z kolei pewną dwudziestodwulatkę raziła jasność świata, więc przez dwa tygodnie nie otwierała oczu. Kiedy wreszcie podniosła powieki, nie potrafiła rozpoznawać przedmiotów, ale „im dłużej przyglądała się otoczeniu, tym bardziej widoczny stawał się wyraz wdzięczności i zdumienia na jej twarzy. Pacjentka wykrzykiwała wielokrotnie: «O Boże! Jakie to piękne!»,,.

Przez kilka tygodni po lekturze tej wspaniałej książki przed oczami migotały mi kolorowe plamy. Było lato i w sadach w naszej dolinie dojrzewały brzoskwinie. Kiedy budziłam się rano, barwne plamy szczelnie wypełniały pole mojego widzenia - czyli cały świat.

W ciągu dnia chodziłam pośród wciąż zmieniających kształt kolorowych plam, które rozstępowały się przede mną niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem i zamykały znów w ciszy, już odmienione, o czym mogłam się przekonać, odwracając się za siebie. Niektóre rozdymały się i majaczyły mi nad głową, inne zupełnie znikaly, a wszędzie dookoła przemykały ciemne cienie. Nie potrafiłam jednak karmić się złudzeniem płaskości świata, bo już za długo je znałam. Forma skazana jest na nieskończony dance macabre ze znaczeniem: nie byłam więc w stanie „odbrzoskwinić” brzoskwiń. Nie przypominam też sobie, bym kiedykolwiek widziała, nie rozumiejąc, co widzę - kolorowe plamy z mojego wczesnego dzieciństwa nie powrócą już nigdy. Mój mózg był jeszcze wtedy zapewne gładki jak balonik. Opowiadano mi, że wyciągałam rękę, by ściągnąć księżyc z nieba - wiele dzieci tak robi. Jednak kolorowe plamy z dzieciństwa rozrastały się, w miarę jak wypełniało je znaczenie; ustawiały się uroczyście w szeregach i biegły w przestrzeń, ciągnąc się przede mną jak równina. Z kolei księżyc oddalał się niczym rakietą. Dziś żyję w świecie cieni, które kształtują i różnicują kolory, w świecie, w którym przestrzeń ma jakiś straszny sens.

Cóż to za gnostycyzm, co to za fizyka? Nie ma już tej roztrzepotanej, ciągle zmieniającej kształt srebrnozielononiebieskiej plamy, którą widziałam w oknie mojego dziecinnego pokoju. Jej miejsce zajęła niema kolumna topoli włoskich, rosnących wciąż na trawniku. Zniknął też ten szemrzący, obły, blade jak samo światło stwór, który nocami pełzał

po ścianach mojego pokoju, przeciągając się radośnie po kątach - zniknął tej samej nocy, gdy skosztowałam słodkogorzkiego owocu, dodałam dwa do dwóch i mózg pofałdował mi się już na zawsze. Martin Buber opowiada taką anegdotę: „Rabbi Mendel chwalił się kiedyś przed swoim nauczycielem, rabbim Elimelechem, że wieczorem widzi anioła, który zwija światło przed mrokiem, rankiem zaś anioła, który zwija mrok przed światłem. «Tak - odparł rabbi Elimelech - i ja widziałem to w młodości. Później już się takich rzeczy nie widuje»,*.

* Martin Buber, Opowieści chasydów, przełożył, uwagami i posłowiem opatrzył Paweł Hertz, Poznań 1986 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Dlaczego ludziom, którzy odzyskali wzrok po operacji, nikt nie wręczył od razu farb i pędzli, kiedy jeszcze w ogóle nie zdążyli poznać świata? Może dzięki nim wszyscy bylibyśmy w stanie dostrzec kolorowe plamy - świat obrany z rozumu, rajski ogród z czasów, kiedy Adam nie nadał jeszcze nazw roślinom i zwierzętom.

Wtedy spadłyby mi łuski z oczu; widziałabym drzewa przemieszczające się na podobieństwo ludzi i puściłabym się biegiem drogą wbrew wszelkim zakazom, krzycząc i podskakując jak opętana.

Oczywiście widzenie jest ściśle związane z kwestią werbalizacji. Jeżeli nie zwracam uwagi na to, co przesuwają się przed moimi oczami, to po prostu tego nie zobaczę. Taki przedmiot, jak powiada Ruskin,

„pozostaje nie tylko niezauważony, ale dosłownie niewidoczny”. Samymi oczami nikt nie rozwiąże testów spostrzegawczości z użyciem figur geometrycznych.

A stopień ich komplikacji rośnie - najpierw widać duży kwadrat, potem mały kwadrat wpisany w duży kwadrat, a potem duży trójkąt, w którym powinnam dostrzec trójkąt mniejszy. W dodatku muszę jeszcze to wszystko przedstawić werbalnie, czyli opisać, co widzę. Zauważyłabym zapewne wybuch Tinker Mountain, ale jeżeli chcę dostrzec jakieś mniejsze kataklizmy z życia mojej doliny, muszę przez cały czas umieć opisać to, co dzieje się w niej w danej chwili. Mniejsza o to, czy jestem spostrzegawcza - ja po prostu lubię dużo gadać. Gdyby nie to, nie miałabym pojęcia, co się dzieje na świecie, zwłaszcza w jakimś obcym dla mnie miejscu. Niczym ślepiec na meczu bejsbolowym potrzebuję radia.

Gdy patrzę na świat w ten sposób, analizuję i wszędzie wtykam nos. Przesuwam zwalone pnie i odrzucam kamienie; metodycznie przepatruję brzeg strumienia, przyglądam się uważnie jego każdemu centymetrowi kwadratowemu i przechylam głowę na bok. Czasami, gdy góry spowija mgła, piżmaki nie chcą się pokazać albo pęka szkielek mikroskopu, mam ochotę wdrapać się na czystą kopułę nieba jak ktoś, kto wpada do cyrku, rozkołysany, wspina się szybko na samą górę namiotu, wycina stalowym nożem dziurę w

powłóce, wygląda przez nią na świat i - jeśli to nieuniknione - spada.

Istnieje jednak jeszcze jeden rodzaj widzenia, który prowokuje mnie do popuszczenia sobie cugli. Kiedy patrzę na świat w ten drugi sposób, kołyszę się bezmyślnie i czuję wewnętrzną pustkę. Różnica pomiędzy tymi dwoma sposobami widzenia jest taka jak różnica między spacerem z aparatem fotograficznym i bez aparatu. Gdy spaceruję z aparatem, wędruję od jednego do drugiego zdjęcia, odczytując wartości pomiarowe na kalibrowanym światłomierzu. Kiedy spaceruję bez aparatu, zwalniam swoją własną wewnętrzną migawkę, a wtedy światło chwili rejestruje obraz na kliszy mojej duszy. Kiedy spoglądam na świat w ten drugi sposób, jestem nade wszystko pozbawionym skrupułów obserwatorem.

* * *

Był jasny wieczór minionego lata nad Tinker Creek.

Zachodzące słońce wisiało nisko na niebie, w górze strumienia za moimi plecami. Siedziałam na platanowym pniu i przyglądałam się wzdręgom, żerującym przy mulistym dnie trzepoczącymi się w wodzie ławicami. Co chwila kolejne rybki na ułamek sekundy zwracały się pod prąd, i nagle błysk! - strzałki promieni słonecznych odbijały się od ich srebrzystych boków. Nie byłam w stanie tak po prostu „obserwować” tego zjawiska, które za każdym razem objawiało się gdzie indziej i przyciągało mój wzrok w chwili, kiedy już się kończyło. Był to króciutki błysk, przypominający nagłe lśnienie cieniuteńkiej klingi albo iskry sypiące się w nieregularnych odstępach ze wszystkich stron nad ciemnobrązowooliwkową ziemią. Potem zauważyłam białe cętki, coś w rodzaju małych, bladych płatków, powoli i spokojnie wypływających na powierzchnię pod moimi stopami. Zmrużyłam więc oczy, zerknęłam na rondo mojego kapelusika i ujrzałam nowy świat. Zobaczyłam blade, niemal białe kręgi, które wiły się i wirowały niczym świat, milczące i doskonałe, a także połyskujące srebrem liniowe błyski, przywodzące na myśl gwiazdy, rodzące się losowo na wciąż rozwijającym się zwoju życia. Coś pękło i zarazem coś się otworzyło. Poczułam się znów pełna niczym balon. Oddychałam powietrzem przypominającym światło i widziałam światło przypominające wodę. Byłam brzegiem fontanny, którą strumień wypełniał w nieskończoność; byłam eterem, listkiem unoszonym powiewem zefiru; byłam płatkami cielesności, piórkiem, kością.

Kiedy patrzę na świat w ten sposób, patrzę naprawdę. Jak powiada Thoreau, odzyskuję zmysły. Jestem niczym samotny widz, który w milczeniu ogląda mecz bejsbolowy z pustych trybun. Oglądam spotkanie w stanie czystym i w oszołomieniu zapominam owszystkim poza nim. Kiedy gra się kończy i zawodnicy w białych strojach długimi susami zbiegają z zielonego boiska na zadaszony ławki dla rezerwowanych, podrywam się na nogi, a potem długo klaszczę i wiwatuję.

Nie mogę jednak ot, tak sobie wyjść z domu i starać się w ten właśnie sposób patrzeć na świat. Nie uda mi się to; i chyba zwariuję. Mogę jedynie spróbować zakneblować mojego komentatora, uciszyć szum bezużytecznej wewnętrznej gadaniny, która nie pozwala mi zobaczyć świata, bo jest jak zawieszona przed moimi oczami zasłona z płachty gazety. Widzenie to dyscyplina, wymagająca wysiłku i wyrzeczeń przez całe życie, o czym pouczają teksty pisane przez świętych imnichów wszystkich religii Wschodu i Zachodu, żyjących zarówno pod rządami różnych suwerenów, jak i w czasach bezprawia, zakonników bosych i obutych.

Duchowi geniusze ludzkości jak jeden mąż najwyraźniej odkryli, że na zamulonej rzece ludzkiego umysłu, niosącej nieustannie banały i śmieci, nie da się zbudować żadnej tamy, a próba jej postawienia to próżny wysiłek, który może doprowadzić do szaleństwa.

A zatem przeciwnie, należy pozwolić owej mulistej rzece wpływać swobodnie w mroczne kanały naszej świadomości, wyznaczyć sobie jakiś wyższy cel, śledzić spokojnie jej bieg, bezinteresownie zaakceptować jej obecność i sięgać wzrokiem dalej, aż do królestwa rzeczywistości, gdzie podmioty i przedmioty poruszają się bądź spoczywają w stanie czystym, bez żadnego komentarza. „Zanurz się w głębinę, a przejrzysz na oczy” - powiada Jacques Ellul.

Więc tajemnica widzenia to drogocenna perła. Gdybym sądziła, że jakiś wariat może mi pokazać, jak ją znaleźć i zatrzymać na zawsze, poszłabym za nim boso przez sto pustyń. Lecz chociaż taką perłę można znaleźć, to nie można jej szukać. Literatura iluminacji w pierwszym rzędzie mówi właśnie o tym: przypomina, że chociaż ów skarb trafia w ręce tych, którzy na niego czekają, jest on zawsze darem losu i kompletnym zaskoczeniem, nawet dla najsprawniejszych i najbardziej utalentowanych poszukiwaczy. Czasem gdy wracam ze spaceru, wiem już, gdzie na polu nad strumieniem gniazduje sieweczka krzykliwa i kiedy zakwita wawrzyn, a następnego dnia po przechadzce dokładnie tą samą trasą nie wiem, jak się nazywam.

W moich uszach rozbrzmiewa szmer litanii, a język trzepocze w ustach, żeby zawołać ailinon, alleluja! Nie mogę sprawić, żeby stało się światło - mogę najwyżej spróbować stanąć mu na drodze. Podobno w przestworzach kosmosu można żeglować, wykorzystując w tym celu wiatr słoneczny. Światło, bez względu na to, czy w postaci cząsteczki, czy też fali, posiada wielką moc: wystarczy postawić olbrzymi żagiel i jazda. Tajemnica widzenia to żeglowanie z wiatrem słonecznym. Wyćwicz swojego ducha i rozłóż skrzydła, aż sam staniesz się żaglem - kształtnym, półprzezroczystym, reagującym na najłżejszy powiew.

Kiedy lekarz zdjął jej bandaż z oczu i zaprowadził ją do ogrodu, młoda dziewczyna,

która odzyskała wzrok po operacji, zobaczyła „drzewo pełne światełek”. Właśnie tego drzewa od dawna poszukiwałam latem w sadach brzoskwiniowych, a zimą, wiosną i jesienią w lasach, aż pewnego dnia szłam sobie wzdłuż Tinker Creek, nie myśląc o niczym, i wreszcie je zobaczyłam. Spojrzałam na rosnący za domem cedr, który obsiadły gołębie kalifornijskie. Ptaki roziskrzyły się nagle i uległy jakby transmutacji, a wszystkie komórki ich ciał zapłonęły żywym ogniem. Stałam na trawie

„pełnej światełek”, bo ona również się rozplómiła. Byłam niezwykle skoncentrowana i poczułam się niezwykle - jakby ktoś mnie śnił. Nie tyle sama widziałam, ile byłam widziana po raz pierwszy w życiu.

Miałam wrażenie, że straciłam oddech po potężnym uderzeniu czyjegoś spojrzenia. Ten potop ognia szybko się cofnął, ale jego siła wciąż jest we mnie. Światelka na cedrze stopniowo przygasały, kolory blakły, a płomienie wypalały się i znikły, ale ja wciąż drżałam niczym dzwon, którym byłam przez całe życie, choć nie wiedziałam o tym, dopóki nie zostałam podciągnięta w górę i rozkołysana. Od tamtej pory bardzo rzadko widuję takie „drzewa pełne światełek”. Ich wizja przychodzi i odchodzi - najczęściej odchodzi - ale ja żyję dla niej, żyję dla tej chwili, w której otwierają się góry, przez szczelinę przelewa się lawina obcego światła, a góry zatrząskują się z powrotem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zima

I

Mamy pierwszy dzień lutego i wszyscy mówią o szpakach. Szpaki przybyły do Stanów Zjednoczonych z Europy, na pokładzie liniowca pasażerskiego. Sto z nich wypuszczono planowo w Central Parku w Nowym Jorku, a niezliczone miliony tych ptaków zasiedlające dzisiaj całą Amerykę to ich potomkowie. „Obecność szpaków w Stanach Zjednoczonych to kaprys jednego człowieka, niejakiego Eugene’a Schieffelina, pochodzącego z Nowego Jorku zamożnego producenta farmaceutyków. Był on owładnięty pewną osobliwą obsesją: otóż postanowił sprowadzić do Ameryki wszystkie gatunki ptaków, o których wspomina w swych dziełach William Shakespeare” - pisze Edwin Way Teale. I szpaki doskonale zaadaptowały się w nowym środowisku.

Kiedy John Cowper Powys mieszkał w Stanach Zjednoczonych, pisał między innymi o sikorkach, które podkrażały okruszki jego ulubionemu stadku szpaków. W moich okolicach ptaki te nie są zbyt lubiane.

Nie chowają cichutko łebków pod skrzydła i nie zapadają pojedynczo w sen w gęstwinie krzaków, jak przedstawiciele wielu innych gatunków, lecz żyją w ogromnych zbiorowiskach i stadach. Mają swoje ulubione miejsca noclegowe, do których powracają każdej zimy - i zdaje się, że szpaczki Miami Beach to właśnie południowozachodnia Wirginia. W Waynesboro, gdzie gniazdują w lasach w okolicy Coyner Springs, ze względu na ptasie odchody, wszy i smród, „od którego można stracić przytomność”, mieszkańcy właściwie w ogóle nie wychodzą z domów - nawet po to, żeby rozwiesić pranie.

Szpaki cieszą się złą sławą ptaków, nad którymi trudno zapanować. Znana jest historia pewnego mężczyzny, któremu dokuczały szpaki gnieźdzące się na wielkim platanie w pobliżu jego domu. Opowiadał, że próbował wszystkiego, żeby się ich pozbyć, aż wreszcie wziął strzelbę i zastrzelił trzech intruzów. Kiedy go spytano, czy udało mu się w ten sposób zniechęcić ptaki do okupowania platanu, mężczyzna zastanowił się przez chwilę, pochylił się ku rozmówcy i odpowiedział konfidencko: „Te trzy tak”.

W Radford w stanie Wirginia przed paru laty też panował podobny smród. Szpaki obsiadały to miasteczko jak muchy konie, wciskając się w różne niedostępne miejsca. Przyrodniczy szacowali ich liczebność na sto pięćdziesiąt tysięcy osobników. Ludzie skarżyli

się na hałas, fetor, wszechobecne odchody i niebezpieczeństwo wybuchu epidemii jakiejś egzotycznej choroby wywołanej przez przywleczonego skądś drogą powietrzną wirusa. Wreszcie w roku 1972 zebrał się zespół złożony z różnych urzędników i biologów, którzy uznali, że trzeba z tym w końcu coś zrobić. Rozważywszy różne możliwości działania, postanowili dokonać eksterminacji ptaków za pomocą detergentu w pianie. Zamierzali użyć węży strażackich i polać śpiące szpaki specjalną pianką chemiczną - w nocy, kiedy według prognoz meteorologów miał nastąpić gwałtowny spadek temperatury. Sądziło się, że pianka przeniknie przez osłonę z wodoodpornych piór i sięgnie ptasiej skóry, a kiedy spadnie temperatura, z gałęzi pospadają również ptaki, które zginą wskutek wyiębienia.

Tymczasem prasa miała prawdziwe używanie. Każdy głupi miał coś ważnego do powiedzenia w tej sprawie, czy mieszkał na szczycie, czy u podnóża góry.

Lokalne towarzystwa miłośników ptaków były żądne krwi - krwi szpaków, które ostatecznie konkurują przecież z miejscowymi ptakami o pokarm i miejsca gniazdowania. Z kolei obrońcy szpaków domagali się od burmistrza Radfordu, Virginia Tech Wildlife Bureau, redaktorów gazet oraz wszystkich ich czytelników w Radford i gdzie indziej, żeby zechcieli odpowiedzieć na pytanie, jak by się czuli, gdyby to im przyszło zamarznąć na śmierć w uścisku banieczek piany.

Wildlife Bureau przystąpiło jednak do realizacji swego planu. Sprzęt potrzebny do tego celu był kosztowny, a poza tym nikt nie miał pewności, czy przedsięwzięcie się powiedzie. I oczywiście okazało się, że tej nocy, kiedy spryskano ptaki, temperatura wcale nie spadła tak nisko, jak przewidywali meteorolodzy.

Urzędnicy mieli nadzieję uśmiercić sto pięćdziesiąt tysięcy szpaków, ale udało im się zgładzić zaledwie trzy tysiące. Ktoś wyliczył, że cały ten cyrk kosztował podatników po dwa dolary na głowę za każdego zabitego szpaka.

I to w zasadzie koniec opowieści o szpakach z Radford, chociaż mieszkańcy nie poddali się od razu. Zaczęli na nowo kombinować i kalkulować, odraczając jedynie wyrok na intruzów, i wkrótce przygotowali nowy plan. Pewnego dnia, kiedy szpaki o zachodzie słońca wróciły na nocleg, przedstawiciele służb leśnych już na nie czekali i otworzyli do nich ogień ze strzelb naładowanych specjalnymi, wielostopniowymi pociskami hukowymi o dużej mocy. BUM! - zagrzmiały strzelby, ale ptaki posnęły. Eksperci wrócili za biurka, gdzie znów przez jakiś czas ciskali się i złościли.

W końcu wyciągnęli broń ostateczną: nagrania ostrzegawczych krzyków zaniepokojonych szpaków. I znów ponieśli porażkę. AU, OJEJ, POMOCY - zabrzmiało nagranie, a szpaki chrapały w najlepsze. Tak więc in toto wygląda opowieść o szpakach z

Radford, które wciąż mają się dobrze.

Podobnie zresztą jak szpaki w naszej dolinie, które łypiąc ponuro na boki, przeszukują właśnie trawnik pod karmnikiem. Inni tutejsi mieszkańcy stają na głowie, żeby nie dostarczać im pożywienia. Szpaki wcześniej udają się na spoczynek i późno wstają, więc ludzie przed świtem wymykają się chyłkiem z domów z nasionami i słoninką, wykładają je dla wcześniej budzących się ptaków, a potem na pierwszy trzepot szpaczych skrzydeł usuwają pokarm. Po zachodzie słońca, kiedy szpaki odlatują na bezpieczny nocleg i uprzykrzają życie komuś innemu, moi sąsiedzi znów wykładają ziarno i słoninkę dla nieszpaków. Mnie osobiście wcale nie obchodzi, kto zjada karmę.

Nadeszła pełnia zimy, pogoda się ustaliła, a mrozy pozostaną z nami na dłużej. Zimą rozkwitam pod dachem niczym forsycja w niewoli - i rozkładam się na kanapie, jak kwiat rozkłada płatki. Wieczorami czytam i piszę, a różne rzeczy, których nie potrafiłam zrozumieć wcześniej, stają się nagle jasne. Zbieram żniwo z tego, co posiałam w innych porach roku.

Na zewnątrz wszystko się otwiera, bo zima to czas klarownych podziałów i łatwych dróg. Wszędzie pojawiają się nowe ścieżki: na przykład jedynie późną jesienią i zimą mogę wdrapać się na zbocze, nad którym góruje sad Lucasa, i obejść staw leżący pośród drzew w starych kamieniołomach albo wędrować bez przeszkód lewym brzegiem Tinker Creek w dół jego biegu. Las to teraz całe hektary suchych gałęzi; mogłabym nim zawędrować po linii prostej aż nad Zatokę Meksykańską. Leśny striptiz kończy się, gdy spadnie ostatni liść - a obnażona przyroda milczy jak zaklęta. Wszędzie widać niebo, rozszerza się perspektywa, ściany stają się oknami i otwierają się drzwi. Dopiero teraz widzę na wzgórzu pod dębami dom, w którym mieszkali kiedyś White'owie i Garrettowie. Gęsto zarośnięte brzegi Carvin's Creek już dawno zrzedły w pajęczynkę cienkich gałązek w miejscu, gdzie strumień opływa drogę, widzę więc Maren i Sandy na spacerze z rozbrykanymi psami. W oddali odciskają się szkielety gór, zbudowanych jakby z ramion, goleni i guzów. Zima odsłania wszystko, co zakrywa lato. Oto ptasie gniazda w żywopłocie, a tu gniazda wiewiórek, rozrzucone gęsto na gałęziach orzechów i wiązów.

Dziś Księżyc, znajdujący się między kwadrą a pełnią, zamazał niebo na wschodzie niczym smuga kredy.

Cienie jego oblicza odznaczały się tym samym niebieskim tonem i jasnością co niebo, wydawał się więc przezroczystry w swoim nasyceniu i trochę wytarty jak skarpeta na pięcie. Edwin Way Teale twierdzi, że jeszcze nie tak dawno Europejczycy wierzyli, że gęsi i łabędzie zimują właśnie tam - na białych morzach Księżycy. Właśnie zachodzi słońce. Góry nabierają cieplejszych odcieni, choć spada temperatura, a nad ziemią pogłębia się głęboki rumieniec.

„Patrzcie, patrzcie tylko, jak na ulicach o zmroku w pochmurny dzień na twarzach mężczyzn i kobiet maluje się piękno i czułość” - powiedział Leonardo da Vinci. Widywałam takie twarze w pochmurne dni, a o zachodzie słońca w pogodny zimowy czas widywałam też domy, zwyczajne domy, których cegły przypominały rozżarzone węgle, a okna - płomienie.

Każdego wieczoru, o zmroku, na północnym niebie pojawia się ogromne stado szpaków, lecących niby wiatr w kierunku zachodzącego słońca. To główne wydarzenie zimowego dnia. Wczoraj późnym popołudniem przeprowałam się na drugą stronę strumienia, przeszłam przez pastwisko dla wołów, minęłam trawiastą wysepkę, na której widziałam, jak olbrzymi pluskwiak wodny wysysa żabę, po czym wdrapałam się na wysokie wzgórze. Dziwnym trafem najlepszy punkt obserwacyjny na szczycie zajmowała sterta nadpalonych książek. Ostrożnie otworzyłam kilka z nich; były tam niezłe, oprawne w skórę i płótno powieści, kompletna, częściowo zwęglona encyklopedia sprzed kilkudziesięciu lat i stare, ilustrowane akwarelami książki dla dzieci, a wszystkie rozsypywały mi się w dłoniach jak płatki francuskiego ciasta. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się, że właściciele domu, widocznego za stertą tychże książek, przeżyli pożar. Wtedy jednak nie miałam o tym pojęcia - sądziłam raczej, że przeżyli ciężki atak jakiegoś straszliwego rozgoryczenia. Kucnęłam przy tych porzuconych książkach i spojrzałam w dół, w dolinę.

Po mojej prawej ręce gęsto opleciony pnączami las schodził po zboczu aż nad Tinker Creek. Z lewej strony, na grzbiecie wzgórza, rosła kępa dużych, cienistych drzew. Z przodu trawiasty szczyt gwałtownie opadał, ustępując szerokiej, płaskiej łące, też porośniętej drzewami nad brzegiem strumienia. Dalej pod lasem z niejakim trudem udało mi się dostrzec pionową krzesanicę skalną, gdzie dawno temu wydobywano kamień. Jeszcze dalej ujrzałam Hollins Pond i wszystkie jego lasy i pastwiska. A potem w błękitnej mgielce zobaczyłam cały świat, blady i rozlany między górami, płaski jak naleśnik.

Na ciemniejącym niebie pojawiła się cętką, potem jeszcze jedna i następna. To szpaki leciały na nocleg.

Zbierały się daleko na horyzoncie, poszczególne stada łączyły się ze sobą, a potem ruszyły ku mnie ławą, jakby przezroczyste i zwiewne jak dym. Wydawało mi się, że stado rozwija się w locie i rozciąga na łuku niczym przedza z rozwiniętego motka. Ani drgnęłam, a szpaki przelatywały nad moją głową niemal przez pół godziny. Ich lot ciągnął się na podobieństwo łopoczącej flagi, niby rozwinięty sztandar, przez całe niebo, jak okiem sięgnąć. Każdy ptak podskakiwał i przesuwiał się w locie w górę i w dół, jak można sądzić, losowo i bez żadnej widocznej przyczyny poza tą, że szpaki tak właśnie latają - a mimo to wszystkie osobniki utrzymywały między sobą idealnie równe odległości.

Stada na obu końcach przybierały kształt stożka, najgrubszego u podstawy i przypominającego oko. Słyszałam nad głową łopot młócących powietrze skrzydeł, podobny do odgłosu miliona trzepanych dywaników albo stłumionych westchnień. Szpaki rozsypały się po lesie, nie poruszając ani jednej gałązki, chociaż kluczyły w koronach drzew jak wiatr.

Pół godziny później z drzew zniknęli ostatni maruderzy. Wstałam z wysiłkiem, trochę zamroczonej tą piękną niespodzianką, i krzyknęłam na cały głos.

Piekły mnie oczy, bo ze wszystkich sił próbowałam prześledzić drogę pojedynczej pierzastej kropki w płataninie gałęzi. Czy to możliwe, że małe ptaszki przefruwają przeze mnie w tej chwili, że przelatują pomiędzy komórkami mojego ciała, niczego nie dotykając, lecz przyspieszając jeszcze w moich tkankach i pędząc jak wichry?

Będzie niezła pogoda; już czuję na języku unoszący się w powietrzu jakby pigwowy posmak. Tej jesieni wszyscy przyglądali się paskom na grzbiecie gąsienicy ćmy niedźwiedziówki i tradycyjnie orzekli, że przyjdzie straszliwa zima, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie. Ten zwyczaj zawsze przywodzi mi na myśl opowieść Angiersów o traperach na Dalekiej Północy.

Pewnego razu zapytali oni Indianina, którego przodkowie mieszkali w tych jodłowych lasach od zamierzchłych czasów, czy zima będzie ciężka. Indianin zrobił mądrą minę, rozejrzał się po okolicy i zawyrokował:

„Zima zła”. Wtedy traperzy zapytali go, skąd o tym wie, na co Indianin odparł bez wahania: „Bo blada twarz zbierać duży stos drewna na opał”. W naszej dolinie też hołdujemy zawzięcie męczącemu zwyczajowi zbierania drewna na opał, chociaż kusi nas wielce, żeby go zarzucić. Niedawno widziałam na wystawie sklepowej starannie przewiązany sznurem stosik

„drewna” opałowego, wyprodukowanego ze zwiniętego, sprasowanego papieru. Na etykietce na każdej

„szczapie” widniało wypisane wielkimi literami urzekające, kłamliwe hasło reklamowe: „Dużo ROMANTYZMU, zero CIERPIENIA drzew”.

Rozpalam ogień w kominku, dorzucam dREW wiśniowych i rozsiadam się wygodnie. Zaczynam się przyzwyczajać do tej planety i kuriozalnej ludzkiej kultury, radośnie entuzjastycznej i okrutnej. Źródłem nieustającego zadziwienia są dla mnie gazety. Widziałam już w życiu tysiące zdjęć różnych kaczek, które zaadoptowały kociaki, albo kotek, które zaopiekowały się kaczątami, albo macior karmiących pieski czy klaczy bawiącej się z piźmoszczurem, a mimo to ten widok niezmiennie mnie fascynuje. Chciałabym mieszkać z takimi zwierzętami gdzieś w Corpus Christi albo w Damariscotta. Chciałabym widzieć taką cudowną parę, jak biega po podwórku. Wszystko zaczyna nagle pachnieć domem. Zimowe

obrazki, które spływają telegraficznie ze wszystkich zakątków kontynentu, stają się tak znajome jak mój własny kominek. Czekam więc na doroczną fotografię lotniczą pewnego przedsiębiorczego faceta, który wydeptał w śniegu gigantyczną walentynkę dla swojej dziewczyny. A oto pojawiające się co roku zdjęcie sikorki usiłującej się napić z zamrożonego poidelka, opatrzone komentarzem: „Przepraszamy, prosimy zaczekać do wiosny”, i fotka zakutanego od stóp do głów dzieciaka, płaczącego żałośnie na sankach na szczycie ośnieżonego wzgórza, podpisana:

„Niech ktoś go wreszcie popchnie...”. Czy to możliwe, że nasz stary świat jest tak naiwny i niewinny?

Na koniec dzisiejszego wieczoru oglądam zdjęcie pewnego litościwego leśnika z Wisconsin, który uwalnia przymarznątą do lodu kaczkę, wyrabując siekierką lód spod jej nóg. Przypomina mi to krótką, okrutną opowieść Thomasa McGonigle’a o mewach srebrzystych u wybrzeży Long Island. Otóż jego ojciec za młodu wędrował po zamrożonej Great South Bay wśród przymarzniętych do lodu mew. Niektóre z nich już nie żyły. Ojciec Thomasa najpierw rozbijał kijem głowy żywym ptakom, a potem obcinał im nogi i wrzucał łup do jutowego worka. Jego rodzina żywiła się tymi mewami przez całą zimę, siedząc przy oświetlonym stole w zaparowanym pokoju - a lód na zatoce usiany był parami czerwonych kikutów mewich nóg.

Zimowe noże. Eskimosi szerokimi lodowymi nożami wycinali śniegowe bloki, z których wznosili kopulaste igloo służące im za tymczasowe schronienie. Noże używane do rozbierania wielorybów ostrzą, liżąc klingę. Niektórzy polują na wilki posługując się nożem.

Smarują jego ostrze wielorybim tranem i wbijają rękojeść w śnieg albo lód. Głodny wilk wyczuwa zapach tranu, znajduje nóż i liże go bez opamiętania skostniałym z zimna jęzorem, który ostrze rozcina w końcu na strzępy, i zwierzę wykrwawia się na śmierć.

Oddaję się lekturze takich opowieści przez całą zimę. Książki, które czytam, przypominają mi kamienne kopce budowane przez Eskimosów żyjących w wielkiej, niegościnniej tundrze na zachód od Zatoki Hudsona. Farley Mowat twierdzi, że wznoszą je jeszcze dziś. Eskimos, podróżując samotnie po jałowych równinach, usypuje kamienny kopiec wysokości dorosłego człowieka, rusza dalej, a kiedy traci z oczu swój punkt orientacyjny, wznosi następny kopiec.

Ja także podróżuję w milczeniu wśród książek, wśród wszystkich tych nic nie widzących mężczyzn i kobiet zaludniających pustą równinę. Budzę się i myślę:

„Co teraz czytam? Co będę czytać w następnej kolejności?”. Boję się, że skończą mi się książki, że przeczytam wszystko, co chcę, i będę zmuszona w końcu nauczyć się nazw

wszystkich polnych kwiatów, żeby nie zasnąć. Tymczasem pogrążam się w litanii nazwisk i nazw. Oto nazwiska mężczyzn: Knud Rasmussen, Sir John Franklin, Peter Freuchen, Scott, Peary i Byrd;

Jedediah Smith, Peter Skene Ogden, Milton Sublette i Daniel Boone, którzy śpiewają, siedząc na swojej derce nad brzegami Green River. Nazwy akwenów to Baffin Bay, Repulse Bay, Coronation Gulf i Morze Rossa; rzeki: Coppermine, Judith, Snake i Musselshell, a także Pelly, Dease, Tanana i Telegraph Creek. Skóry bobrze, szerokość geograficzna zero i złoto. Podoba mi się zawadiacki charakter tych historii, dzięki którym można się dowiedzieć, jak to jest, kiedy człowiek znajdzie się w dzikiej głuszy, dysponując jedynie scyzorykiem i kawałkiem sznurka. Jeżeli uda mi się zorganizować morderczego bezika w trzyosobowym składzie, po pół centa za punkt i z butelką wina, to dobrze; jeśli nie - będę spędzać te południowe noce uwięziona na pływających polach lodowych u wybrzeży Ziemi Franciszka Józefa albo spróbuję łowić arktyczne pstrągi.

II

Spadł śnieg. Padał przez cały wczorajszy dzień, ale niebo nie opróżniło się, chociaż chmury wisiały tak nisko i były tak ciężkie, że mogło się wydawać, że nagle z głuchym odgłosem wszystkie jednocześnie zwałą się na ziemię. Światło jest rozproszone i bezbarwne, jak światło padające na papier, którym ktoś wyłożył cynową misę. Śnieg jest jasny, a niebo ciemne, ale w rzeczywistości to niebo jest jaśniejsze, bo oczywiście przedmiot oświetlany nie może być jaśniejszy niż źródło światła. Klasyczny eksperyment potwierdzający tę tezę można przeprowadzić, kładąc po prostu na śniegu na płask lusterko w ten sposób, żeby odbijało się w nim niebo, a potem porównać jasność odbicia z jasnością śniegu. Doskonale, to przekonujący dowód, który jednak nie rozwiewa iluzji. Nad moją głową wisi ciemność, a pod moimi nogami rozpościera się jasność - i spaceruję po niebie do góry nogami.

Wczoraj obserwowałam dziwny zmierzch. Sufit z chmur przybrał ciepłą barwę, pociemniał i rozstąpił się, jak gdyby rozciągnięto go na linach. Nie widziałam już grubych płatków śniegu lecących z góry - mogłam je dostrzec, tylko jeśli opadały na tle ciemniejszych obiektów. Każdy z nich, jak na przykład uschnięty, porośnięty bluszczem orzech, widoczny z mojego wykuszowego okna, przypominał czarnobiałą frontyspis, oglądany przez półprzezroczystą kartkę. To było jak śmierć, patrzenie na świat, który przybiera barwy coraz głębszych błękitów, a wokół przybywa śniegu; cisza pęczniała i rozszerzała się, a odległości zacierały, i wkrótce mogłam dostrzec ruch płatków śniegu, po prostu skupiając wzrok na największych cieniach - chociaż i tutaj oczy mnie zawodziły. Śnieg na podwórku był niebieski jak atrament i lekko świetlisty, a niebo przybrało barwę fioletową. Okno mnie

zdradziło, zaczęło bowiem odbijać blask palących się w pokoju lamp. To też było jak śmierć - wokół robiło się coraz ciemniej, mroczniej, aż wreszcie światło zgasło.

Dzisiaj wyszłam trochę się rozejrzeć. Śnieg przestał padać; na ziemi leżało go około pięciu centymetrów.

Ruszyłam przez podwórko nad strumyk. Wszystko było szaroniebieskie, metaliczne i białe, prócz świerków i cedrów połyskujących kruchą, sekretną zielenią, gdy zaczynałam jej wypatrywać pod śniegiem.

I spójrzcie tylko - oto w strumieniu pływa niemądrze wyglądająca łyska. Przypominała czarnoszarą kaczkę, ale miała trochę mniejszy łebek. Jej niezgrabny biały dziób wyrastał łukiem bezpośrednio spod sklepienia czaszki, jak szyszka spod szypułki. Czytałam gdzieś, że łyski są płochliwe. Że denerwują się na odgłos kroków, przerażone biorą rozbieg na wodzie i wzbijają się w powietrze. Ale ja chciałam dobrze się jej przyjrzeć, więc kiedy wypięła kuper w górę i zanurkowała, podbiegłam bliżej po śniegu i skryłam się za pnem cedru. Gdy ptak się wynurzył, miał zeszywniałą szyję i niewidzące oczy, jak gumowa kaczka w wannie. Powiosłował w dół strumienia, oddalając się ode mnie. Oczekałam, aż znów zanurkuje, po czym rzuciłam się ku drzewku żółtnicy, łyska jednak wynurzyła się niemal natychmiast, tak jakby kąpiące się w wannie dziecko, które oburącz przytrzymało pod wodą gumową zabawkę, nagle ją wypuściło. Zastygłam w całkowitym bezruchu, myśląc, że dla łyski w zasadzie jestem drzewem, choćby i uschłym, czy nawet nieco rozchwianym, a w każdym razie, że można mnie wziąć za stworzenie co najmniej drzewopodobne. Łyska nie zorientuje się przecież, że w tym miejscu nie rosło przed chwilą drzewo; zresztą co takie ptaszysko w ogóle wie o świecie? Jest nowe w tej okolicy, wpadło tu tylko przelotem. Jako drzewo pozwoliłam sobie wyłącznie na luksus ostrożnego obserwowania obserwującej otoczenie łyski. I nic. Niczego nie podejrzewała - o ile, rzecz jasna, nie próbowała mnie w ten sposób sprowokować, na przykład zachęcić do tego, bym podrapała się w nos, bo wtedy od razu byłoby po ptakach, a ja zostałabym sama, zdemaskowana i oddrzewiona - i chociaż nos już by mnie nie swędział, strumień pozostałby pusty. No właśnie.

Gdy łyska zanurkowała ponownie, dobiegłam do drzewka żółtnicy i wyjrzałam zza pnia, patrząc, jak ptak pożywia się w stojącej wodzie przybrzeżnej. Potem pobiegłam dalej w dół strumienia, do zwałonego platana, a na otwartej przestrzeni musiałam znów stać się drzewem - i tak w kółko przez czterdzieści minut, aż wreszcie w mojej ulistnionej mózgownicy zakiełkowała myśl, że może ta łyska wcale nie jest płochliwa. Może wszystkie moje fortele są niepotrzebne, bo ten ptak jest najzwyczajniej w świecie głupi jak but, a w każdym razie nie usposobiony analitycznie, i że prawdę mówiąc, robiłam z siebie na śniegu

kompletną idiotkę. Dlatego śmiało wyszłam na otwartą przestrzeń zza pnia czarnego orzecha będącego moją ostatnią kryjówką. I znów nic. Łyska unosiła się na wodzie dokładnie na wprost mnie, zachowując niezmacony spokój.

Czy to możliwe, że przez całe popołudnie flirtowałam jedynie ze sztuczną przynętą myśliwską? Nie, bo przynęty przecież nie nurkują. Zawróciłam w stronę platana, nie kryjąc się wcale i przechodząc w odległości nie większej niż dziesięć metrów od ptaka, który nadal nie zdradzał żadnych oznak niepokoju ani chęci ucieczki.

Zatrzymałam się, podniosłam rękę i zaczęłam machać.

Nic. Łyska trzymała w dziobie długą, mokrą łodygę jakiejś przybrzeżnej rośliny - wciągnęła ją wzdłuż do gardzieli i znów zanurkowała. Zabiję ją. Rzucę w nią śnieżką, naprawdę; przerobię tę błotną kurę na siekane kotlety.

Ale nawet nie ulepiłam kulki. Powędrowałam za to w górę strumienia, wzdłuż zaśnieżonego brzegu pod drzewami. Mimo wszystko dobrze przyjrzałam się łysce. Oto ślady jej trójpalczastych nóg na śniegu, bardzo blisko siebie. Szerokie, niemal stojące rozlewisko pod mostem było zamarznęte. Z tego miejsca oglądam zawsze w lecie tłuste kijanki, które obgryzają na płyciźnie brązowe algi porastające coś w rodzaju podwodnego parapetu czy występu skalnego, którego teraz jednak nie mogłam dostrzec pod lodem. Większość tych kijanek stała się już żabami, te zaś spały zagrzebane w mule na dnie strumienia. Zadawały sobie one mnóstwo trudu, żeby wyjść na brzeg i pooddychać powietrzem, lecz tylko po to, by wrócić do wody przed nadejściem pierwszych zabójczych mrozów. Żaby z Tinker Creek są teraz oblepione mułem, który zakleja im oczy i zatyka nosy; wchłaniają tlen z mulistej wody przez wilgotną skórę i w ten sposób przeżywają senną, rozmarzoną zimę.

Ponadto z tego brzegu często udaje mi się obserwować żółwie. Przykucam nisko i dostrzegam ich wystające z wody łebki, które przypominają trójgraniaste kapelusze. Teraz lód jest cały pokryty śniegiem; pomyślałam, że jeśli mróz się utrzyma, a okoliczne dzieciaki wezmą się do roboty i złapią za miotły, będą mogły jeździć tu na łyżwach. Tymczasem żółw uwięziony w strumieniu pod lodem pobiera tlen w sposób niemal zupełnie niewiarygodny. Otóż wsysa on wodę w swój szeroki odbył, którego czułe tkanki, działające jak skrzela, odfiltrują tlen i wprowadzają go bezpośrednio do krwiobiegu. Następnie żółw wydalą wodę i zasysa jej kolejną porcję. Dzieci mogłyby więc jeździć na łyżwach bezpośrednio nad chwilami dziwnie bulgoczącą wodą.

Karpie i okonie błękitnoskrzele pod lodem wciąż pozostają przy życiu; daleko na południu lód nigdy nie ścina wody na tak długo, by ryby zużyły cały zapas tlenu i pozdychały, ale dalej na północy czasami się to zdarza. Martwe ryby z otwartymi oczami

wyływają wtedy do góry, pod powierzchnię lodu, który pokrywa je stopniowo i trzyma w uścisku aż do nadejścia odwilży. W mule ciągle drążą tunele robaki, larwy węzek prowadzą aktywne życie na dnie, a niektóre algi pomimo ciemności podtrzymują wciąż proces fotosyntezy, ale to z grubsza wszystko. Pozostałe organizmy nie żyją (zginęły wskutek mrozów) albo wegetują cichutko w takiej czy innej nieruchomej postaci - jako jajeczka, nasionka, poczwarki bądź spory. Wodne węże hibernują zwinięte w ciasne kłębki, dorosłe nartniki zastygają na brzegu, a rusałki żałobniki - motyle - kryją się w korze drzew. Wszystkie te istoty, nieco zamroczone, opuszczają kryjówki podczas zimowych odwilży, by skradać się, biegać po wodzie albo fruwać w słońcu przez jedno popołudnie, a o zmierzchu znaleźć kolejne schronienie, ochłonać, skulić się i znów zapomnieć o wszystkim.

Spotyka się tu także piźmoszczury, które potrafią żerować pod lodem. Srebrzyste strużki pęcherzyków powietrza odrywające się od ich futerek zastygają i zamarzają w szeregu lśniących banieczek. Co poza tym?

Oczywiście ptaki mają się dobrze. Mróz nie stanowi problemu dla ciepłokrwistych zwierząt, jeśli tylko mają co jeść. Ptaki migrują w poszukiwaniu pożywienia, a nie ciepła. To właśnie dlatego, kiedy wielu ludzi w naszym kraju pobudowało karmniki, ptaki z południa, takie jak przedrzeźniacze, z łatwością dokonały ekspansji na północ. Niektóre z miejscowych gatunków odlatują na południe, jak drozd wędrowny - dla innych, na przykład dla łysek, południe jest właśnie tutaj. Gatunki górskie schodzą w doliny w akcie migracji pionowej - niektóre, wśród nich sikorki, żywią się nie tylko nasionami, lecz nawet tak maciupęnką zdobyczą jak jaja mszyc, ukryte w zimowych pąkach drzew i na koniuszkach gałązek. Dzisiejszego popołudnia obserwowałam sikorkę buszującą i kołyszącą się wysoko w koronie tulipanowca. Wydawała mi się zdumiewająco ożywiona, krzepka i masywna, jak gdyby czyjeś olbrzymie dłonie zgarnęły całe niebo molekuł, zgmiotły je i ulepiły, tak jak się lepi śnieżkę - choć w tym przypadku powstała raczej kulka ognia - ciepła, ciężka, latająca i żerująca bryłka życia.

Inne ciekawe rzeczy dzieją się wszędzie tam, gdzie można znaleźć schronienie. Ślimaki, jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, zastygają w wodoodpornych pęcherzach. Trzmiele i osy padły, wyjąwszy spaseł królowe, śpiące smacznym, kamiennym snem, dopóki którejś z nich nie znajdzie mysz i nie pożre żywcem.

Pszczoły miodne żywią się swoim własnym miodem.

Jak pisze Edwin Way Teale, dorosłe osobniki zimują, tworząc coś w rodzaju ciasno zbitych, żywych płaszczy i bzyząc nieustannie, aby w ten sposób, przez pocieranie skrzydłami, ogrzewać ul. Od czasu do czasu zamieniają się miejscami, dzięki czemu każda

pszczoła ma okazję znaleźć się zarówno w zacisznym centrum płaszcza, jak i na jego chłodnym skraju. Mrówki zimują en masse, a gąsienice ciem niedźwiedziówek, które zwijają się we włochate kłębki, śpią samotnie.

Biedronki znajdują jakąś osłonę przed deszczem i śpią w ogromnych pomarańczowych rojach, czasami dorównujących wielkością piłce do koszykówki. Na zachodzie kraju ludzie wyszukują te masy owadów zimujące w górach, po czym zwożą je w doliny do punktów skupu, które dobrze za nie płacą. Następnie, jak twierdzi Will Barker, firmy handlowe sprzedają je na zamówienia pocztowe klientom, którzy wykorzystują biedronki do tępienia mszyc. Transport wysyła się nocą, kiedy jest chłodno, w pudłach pełnych starych szyszek sosnowych. To sprytna metoda: no bo jak inaczej zapakować sto żywych biedronek? Owady instynktownie wpelzają w czeluście szyszek, których twarde, rozchylone „płatki” chronią je przed niebezpieczeństwami podróży.

Pobudzona i podniesiona na duchu, przeszłam przez most i dotarłam na moje ulubione miejsce, czyli mały skrawek ziemi zamknięty w łuku Tinker Creek.

Kilka lat temu nazwałam tych parę hektarów „łąką zielska” - rosły tu bowiem głównie sasafrasy, bluszcze i szkarłatki. Teraz nazywam to miejsce „laskiem nad strumieniem”, ponieważ wyrosły tu także młode tulipanowce, robinie akacjowe i dęby. Na biegnącej wśród nich zaśnieżonej szerokiej ścieżce nie było żadnych śladów. Przystanęłam na polance przy wyschniętym rowie, który przecina czasem wezbrany strumień, dzieląc łąkę na dwoje. Tu zjadłam spóźniony lunch złożony z kanapek z szynką. Żałowałam, że nie zabrałam wody i że nie zostawiłam więcej tłuszczu na szynce.

Znalazłam dzisiaj w lesie coś nowego - kilka przemoczonych kartoników, przywiązanych do drzew rosnących wzdłuż krętej ścieżki. Wykonane odręcznie napisy głosiły: „Zwolnij”, „Nawierzchnia śliska w czasie deszczu”, „Stój”, „Pitstop”, „Esso” i „Wybój!”, jak gdyby ktoś miał powody, żeby strasznie się przejmować cienką warstwą śniegu zalegającą na dróźnie. Kiedy zobaczyłam pierwszy napis, „Zwolnij”, pomyślałam sobie, że oczywiście, dobrze, będę szła wolno, zamiast pędzić z piskiem opon po zasypanej śniegiem dziewiczej ścieżce w lesie nad strumieniem. Co tu się wyprawia, u licha? Wszystko wyjaśnił mi następny kartonik, z napisem: „Wybój!”, bo rzeczywiście znalazłam pod nim wybój, kiedy odgarnęłam miękki śnieg. Uformowany ręcznie z czerwonej gliny, zmrożony teraz garb mierzył około piętnastu centymetrów wysokości i pół metra szerokości. Był nachylony pod dość łagodnym kątem, a w glinie widać było ślady opon, przypominające szwy. Dopiero wychodząc z lasu, zauważyłam, że wcześniej mojej uwadze umknęła najważniejsza tabliczka, która spadła na ziemię: „Witamy na torze wyścigowym Martinsville”. A zatem mój „las nad

strumieniem” był trasą wyścigów motocyklowych dla miejscowych chłopaków, czyli „torem wyścigowym Martinsville”. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego młodzi ludzie przez całe lato jeździli po tym lesie kosiarką ciągnikową, udroźniając okoliczne ścieżki - ale mnie, tak czy owak, było to na rękę.

W tej chwili jednak tor wyścigowy był torem bezruchu. Na gałęzi młodego drzewka obok mnie, wśród świeżo spadłego puchu, tkwiło ptasie gniazdo. Z dzikiej jabłoni zwieszało się pojedyncze zmrożone jabłuszko o pomarszczonej i błyszczącej skórce. Było ciężkie i twarde jak kamień. Wszędzie między drzewami widziałam błękitny strumień, płynący pod taflami lodu, zachodzącymi od strony brzegów na środek.

Woda wydawała wysoki, metaliczny dźwięk, przypominający chrzęst folii aluminiowej.

Kiedy wyszłam z lasu, wkroczyłam od razu w krąg żółtego światła. Słońce, skryte za warstwą jednostajnej szarości, świeciło rozproszonym światłem jak starannie wyczyszczona i wypolerowana piasta koła. W górach mizerne światelko kładło się skośnie na śniegu, wydobywając z ciemności na zboczach płytkie zagłębienia i szczeliny, o których istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia. Ruszyłam z powrotem do domu.

Był to dzień wolny od zajęć szkolnych, ale nigdzie nie zauważyłam młodych motocyklistów. Pewnie zjeżdżali na sankach z bardzo stromego wzgórza na drogę.

W oddali małe dzieci mojego sąsiada lepiły bałwana.

Pod wpływem stojącego w zenicie słońca śnieg zwilgotniał. Rozpuszczał się płatami, pozostawiając zielone, asymetryczne ślady na podwórku.

Niedawno odkryłam zupełnie niezwykły esej - traktat o lepieniu bałwana. „...Oczywiście wykorzystujcie wszystko, co macie pod ręką. Na przykład tam, zwykle w mieście, gdzie ogrzewa się domy olejem opałowym, jest nie do pomyślenia, żeby ojcowie marnowali czas na poszukiwanie kawałków węgla, by zrobić z nich oczy bałwanom ulepionym przez dzieciaki.

Brykiety węglowe do grilla to nieporęczny substytut, a o wykorzystaniu oleju opałowego, rzecz jasna, nie może być mowy. Użycie więc kamyków, kawałków cegieł, ciemnych patyczków, strzępów bieżnika starej opony, a nawet ciemnych opadłych liści, które należy zwinąć ciasno jak cygaro i wcisnąć w uformowane palcem oczodoły”. Po co, no po co pisać takie rzeczy, u błękitnozielonego licha? Kultura słowa pisanego to zabawny sposób przekazu informacji.

Na świecie występuje siedem albo osiem kategorii zjawisk, o których warto rozmawiać, a jednym z nich jest pogoda. Jeśli kiedykolwiek zechcecie wsiąść do samochodu,

przejechać przez cały kraj i pokonać góry, przemierzyć naszą dolinę, przekroczyć Tinker Creek, podjechać pod dom, przejść przez podwórko, zapukać do moich drzwi i porozmawiać o pogodzie, to proszę was bardzo. Gdybyście przybyli dzisiaj z północy, pędzilibyście ze strasliwym wiatrem, a między Tinker i Dead Man Mountain sunęlibyście po ścieżce pośród sadów jak bojer. Kiedy wpuściłabym was do domu, być może nie byłibyśmy w stanie zamknąć drzwi. Wiatr jęczy i syczy w dolinie, dźwięcznie i bezdźwięcznie, osuszając kałuże i strącając ptasie gniazda z drzew.

W domu moja jedyna złota rybka, Ellery Channing, samczyk, krąży nieustannie wzdłuż ścianek akwarium.

Czy czuje szklane wibracje, fale z północy, każące mu poszukiwać głębszych, cieplejszych wód? SaintExupéry powiada, że kiedy nad podwórkiem wiejskiego gospodarstwa przelatuje stado dzikich gęsi, to koguty, a nawet durne, otłuszczone kury podskakują i zaczynają trzepotać skrzydłami, chcąc lecieć razem ze swymi pobratymcami na południe. Eskimosi przez całe lato karmią psy pociągowe wygłodzonymi łososiami, które wyciągają ze strumieni. Zastanawiałam się często, czy te psy też nie odczuwają jesienią smutnej chętki, by puścić się pędem w dół wzgórza, albo czy wiosną nic ich nie ciągnie w górę strumienia i czy nie pragną wskakiwać na drabiny. Czyjego zewu ty słuchasz, Ellery? Jakie to słoneczne dno cię wzywa, jaki udekorowany płatkami kwiatów staw chińskiego cesarza?

Przy takim wietrze nawet pająki nie mogą usiedzieć na miejscu i kręcą się niespokojnie po swoich puszystych sieciach w każdym kącie domu.

Pozwalam pająkom gnieździć się u mnie, gdzie chcą. Jestem zdania, że każdy drapieznik, chcący żywić się mniejszymi od niego stworzeniami, które mogą zabłąkać się w mierzący dziesięć centymetrów kwadratowych kącik łazienki - tam gdzie wanna styka się z podłogą - potrzebuje mojej pomocy, i to w każdej postaci. W pajęcze sieci wpadają muchy, a nawet koniki polne. Zdarza się, że duże pająki, polujące w stodołach, potrafią schwytać, omotać i wyssać kolibra, ale w domu takie niebezpieczeństwo nie istnieje. Toleruję pajęczyny i tylko od czasu do czasu usuwam te najbrudniejsze, choć jedynie wtedy, kiedy pająk umknie najpierw w jakieś bezpieczne miejsce. Zawsze zostawiam ręcznik kąpielowy przewieszony na brzegu wanny, żeby wielkie, włochate pająki, które często do niej wpadają i nie są w stanie wyjść po jej gładkich ściankach, mogły wykorzystać szorstką tkaninę jako pomost, po którym wydostaną się z pułapki. Pająki żyjące w domu tylko raz wprawiły mnie w łagodne zdumienie. Zmywałam naczynia i postawiłam je na plastikowej suszarce, żeby wyschły. Potem chciałam się napić kawy, więc sięgnęłam po stojący na suszarce kubek, jeszcze ciepły

od gorącej wody, w której go przepłukałam - i wokół brzegu naczynia zauważyłam nitki pajęczyny.

Latem na łonie natury przyglądam się krzyżakom, snującym koliste sieci o promienistym układzie wewnętrznych nici. Zeszłego lata obserwowałam jednego osobnika przy pracy, co okazało się szczególnie interesującym doświadczeniem, bo światło tak padało, że w ogóle nie mogłam dostrzec sieci. Czytałam gdzieś, że snując centralne, proste nici pajęczyn, pająki stosują niezbyt lepką wydzielinę, po czym przędą równie nielepką spiralę. Potem wędrują po tej bezpiecznej ścieżce i tym razem rozsnuwają już spiralę kleistą, biegnącą w przeciwną stronę. Sądzę, że wymaga to wielkiej koncentracji. Pająk, którego obserwowałam, zachowywał się bardzo zagadkowo: wydawał się sunąć w powietrzu jednocześnie w górę, w dół i w poprzek. W środku koła widziałam jakby małą piastę w postaci białej, jedwabistej kulki, do której krzyżak wracał po każdej gorączkowej wycieczce w pustą przestrzeń. Dla niego było to coś w rodzaju Tinker Creek - miejsce, z którego rozsnuwał niewidzialną wiadomość we wszystkich kierunkach. Posiadał piękną zdolność zawracania w powietrzu na przestrzeni wielkości łebka od szpilki, pod wyjątkowo ostrymi kątami i na najwyższej szybkości. Słyszałam, że jeśli się chce, można przywabić krzyżaka, uderzając rytmicznie albo pocierając źdźbłem trawy o pajęczynę, co wywołuje wibracje, jakie wzbudza latający owad usiłujący wyrwać się z pułapki - ale mnie ta sztuczka nigdy się nie udała.

Widocznie potrzebuję kamertonu, bo na razie po moim odejściu rozwieszona na krzakach pajęczyna zawsze jeża się suchymi łądkami.

Wszystko powinno być na swoim miejscu. W zeszłym tygodniu znalazłam coś brązowego, lekkiego i suchego, przypominającego kształtem kokon, i schowałam do zewnętrznej, nieocieplonej kieszeni, gdzie to coś nie mogłoby się szybko rozgrzać i ożyć. Potem zobaczyłam na ziemi drugi taki sam kokon, nieco rozerwany, rozprułam go więc dalej palcami i zobaczyłam w środku białawą pianę. Przyjrzałam się jej bliżej, a jej struktura wydała mi się ogromnie skomplikowana.

Przytknąwszy kokon do oka, zobaczyłam żółtawego pajęczka, tak mikroskopijnego, że był półprzezroczysty. Przebierał wszystkimi swoimi ośmioma odnóżami, co było najwyraźniej reakcją obronną na zagrożenie. Był jednym z setek nowo narodzonych pajaków, wijących się w splecionej orgii nóg. Nie obleżą mnie - szybko pozbyłam się kokonu z kieszeni. To, co nie znajduje się na swoim miejscu, jest złe.

Tego wieczoru słyszę na zewnątrz jakieś zamieszanie w koronach drzew morwy, ale zostaję w domu, aby się zмагаć... Z czym? Pewnego razu zajrzałam do wiszącej na drzewie

małej, drewnianej budki dla ptaków; miała spadzisty dach niczym alpejski domek, grzędę z kołków i idealnie okrągłutkie wejście. Z wnętrza przyglądał mi się zwinięty w kłębek wąż. Kiedyś uśmiercałam owady czterochlorkiem węgla - inaczej mówiąc, oparami środka czyszczącego - po czym przyszpilałam je w pudełkach po cygarach, opisywałam i ustawiałam w równiutkich rzędach. Było to wiele lat temu. Porzuciłam ten zwyczaj, gdy pewnego dnia podniosłam wieczko jednego z pudełek i zobaczyłam żuka gnojarka, nadzianego na pal wysoko między chitynowym pancerzykiem skrzydeł. Usiłował się uwolnić i wiercił na szpilce. Tańczył ze swoim cieniem, nie dotykając go, i to zapewne już od kilku dni.

Czy jeżeli teraz zejść na dół, zobaczę znikającego za domem oposa, który ciągnie za sobą łuskowaty różowy ogon? Wiem, że któregoś wieczoru, właśnie podczas takiej zawodzącej wichury, pójdę do kuchni po mleko i nieoczekiwanie znajdę na piecu bulgocący gulasz, którego wcale nie ugotowałam, a z garnka będzie wystawać jelenia gicz.

Kiedy wieje taki suchy wiatr, śnieg i lód przedostają się bezpośrednio do atmosfery w postaci gazu. Nie muszą się najpierw rozpuszczać i zamieniać w wodę.

Proces ten znany jest pod nazwą sublimacji - więc dzisiaj wieczorem śnieg na podwórzu przed moim domem i lód ścinający strumień sublimują. Wyciągam rękę na odległość około pół metra od ściany i czuję powiew wiatru. Taki wiatr zdaje się oddychać za mnie, bo wywołuje jakby gwałtowne i szybkie skurcze płuc. Pliniusz wierzył, że portugalskie klacze podnosiły ogony pod wiatr, „zwracając się zadem ku niemu i poczynając za sprawą tegoż genitalnego wiatru miast naturalnego nasienia; z tej przyczyny szybko pęcznieją, szybko przychodzi rozwiązanie i klacze tamtejsze rodzą źrebięta raczej niczym wiatr, lecz kończą swój żywot przed upływem lat trzech”. Czy Itch, biała klacz o przymkniętych powiekach z białymi rzęsami, mieszkająca w dolince, w lesie Adamsów przy drodze, też zwraca się ogonem do tego wiatru? Pojedyncza komórka drży najpierw w objęciach wiatru, po czym nabrzmiwa, dzieli się i rozdyma w coś w rodzaju maliny, a później ta ciemna grudka zaczyna pulsować i wkrótce rodzi się doskonałe stworzenie. Na wietrze unosi się coś zupełnie nowego, szybkiego i szybko przemijającego, czego najprawdopodobniej nie zauważę.

Idźcie już spać, pająki i ryby; wiatr nie ustanie, ale dom wytrzyma jego napór. Schowajcie się, szpaki i łyski; pokłońcie się wiatrowi.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Niezmiennosc

I

Właśnie nauczyłam się rozpoznawać ooteki modliszek. Nagle widzę je wszędzie: tu wpada mi w oko jasnobrązowy owal światła, a tam dostrzegam gęsty glut pośród smukłych traw. Pisząc te słowa, widzę ootekę, którą przywiązałam do żywopłotu z jaśminowca za oknem mojego gabinetu. Ma prawie trzy centymetry długości i kształt dzwonka - albo inaczej mówiąc, przypomina północną półkulę jaja, przekrojonego na wysokości równika. Z jednej strony na całej długości przywiązałam ootekę do gałązki; z drugiej, na której igra światło, jest idealnie płaska. Ma kolor suchej trawy albo słomy i jest dziwnie krucha, twarda jak glazura, lecz pełna maleńkich otworków, niczym zamrożona piana. Dziś po południu, trzymając ostrożnie gałązkę, przyniosłam ją do domu wraz z kilkoma innymi ootekami. Były lekkie jak powietrze. Upuściłam jedną i w ogóle tego nie zauważyłam, dopóki nie dotarłam do domu i nie przeliczyłam ich wszystkich.

W ciągu tygodnia znalazłam około trzydziestu takich ootek na porośniętej dzikimi różami łące na Tinker Mountain i trzydzieści dalszych wśród traw nad Carvin's Creek. Jedna wisiała na maleńkim dereniu, rosnącym na błotnistym trawniku przed niedawno wybudowanym domem. Z tego, co wiem, firmy wysyłkowe sprzedają ooteki modliszek ogrodnikom po dolarze za sztukę. To lepsze od oprysków, ponieważ każda ooteka zawiera od stu dwudziestu pięciu do trzystu pięćdziesięciu jaj. Jeśli nie dopadną ich mrówki, dzięcioły ani myszy - a większości jaj udaje się przetrwać - nabywcę czeka przyjemny widok wykluwających się modliszek oraz miła, utrzymująca się całe lato świadomość, że zwierzęta te mieszkają w jego ogrodzie i pożerają gigantyczne ilości innych owadów, oczyszczając teren bezproblemowo i w sposób całkowicie naturalny. Kiedy modliszka spożyje już ofiarę do ostatniego włókienka, czyści swój gładki zielony pyszczek jak kot.

Pod koniec lata nierzadko spotykam dorosłe modliszki, polujące na roje owadów zwabionych światłem lampy na moim ganku. Tułów przedstawicieli tego gatunku jest koloru jasnej, ciepłej zieleni, a ich bezwłose trójkątne głowy potrafią obracać się pod nieprawdopodobnymi kątami, dlatego często odnoszę wrażenie, że kiedy modliszka gwałtownie wykręca łebek, żeby mi się przyjrzeć, spogląda na mnie, by tak powiedzieć, przez ramię. Gdy atakuje, rzuca się na ofiarę tak raptownie i z tak przerażającym furkotem

uniesionych skrzydeł, że nawet zaprawiony w bojach entomolog J. Henri Fabre przyznawał, że ten widok zapierał mu zawsze dech w piersi.

Dorośle modliszki żywią się w zasadzie wszystkim, co żyje i jest na tyle małe, by dało się złapać.

Zjadają pszczoły i motyle, w tym motyle monarchy.

Ponoć widywano modliszki chwytające i pożerające węże pończoszники, myszy, a nawet kolibry. Z kolei młode osobniki, świeżo wyklute z jaj, żywią się mikroskopijnymi organizmami, jak mszyce, ale zjadają także siebie nawzajem. Kiedy chodziłam jeszcze do podstawówki, jeden z nauczycieli pewnego dnia przyniósł do szkoły zamknięty słoć laboratoryjny z ooteką modliszki. Patrzyłam, jak młode wykluwają się i zrzucają wylinki. Przypominały półprzezroczyste pająki, było widać niemal wszystkie ich organy wewnętrzne. Następnie utworzyły żywy most, łączący ootekę z brzegiem słoja, przypominający arabskie pismo kaligraficzne, niczym wypisany w powietrzu zręczną dłonią zagadkowy fragment Koranu. Nauczyciel nie miał dość odwagi ani zdrowego rozsądku, żeby je wypuścić, więc w ciągu kilku godzin modliszki pozjadały się nawzajem, aż wreszcie pozostały tylko dwie.

Z ich pyszczków wciąż wystawały maleńkie, drgające konwulsyjnie odnóża ofiar. Potem oba ocalałe osobniki zwarły się ze sobą w morderczej walce w słoju i w końcu oba padły wskutek odniesionych ran. Przyszło mi do głowy, że powinnam połknąć te owadzie trupki, zamykając oczy i popijając je jak pigułki o dziwnym, postrzępionym kształcie, by życie tylu modliszek nie poszło na marne.

Jednak jeśli modliszki wykluwają się na wolności, rozchodzą się spokojnie każda w swoją stronę, starannie unikając przy tym mrówek, aż wreszcie wszystkie znikają w trawie. Mając więc nadzieję, że zobaczę dzisiejszego popołudnia, jak się wykluwają, przed wyjściem na spacer włożyłam do kieszeni scyzoryk. Odkąd nauczyłam się rozpoznawać ooteki, ze wstydem zdaję sobie sprawę, jak wiele z nich musiałam dotąd przeoczyć. Ruszyłam na wschód przez las Adamsów, na pole kukurydzy, odcinając po drodze trzy nienaruszone ooteki, które znalazłam na jego skraju. Był pogodny, malowniczy, bezchmurny letni dzień, pozbawiony ducha i emocji - jak piękna kobieta bez twarzy.

Niosłam kolczaste łodygi, z których ooteki zwisały niczym pąki róż, i przekładałam ten bukiet z ręki do ręki, żeby ogrzewać wolną dłoń w kieszeni. Chociaż w drodze powrotnej przechodziłam koło mojego domu, postanowiłam nie wchodzić po rękawiczki i poszłam dalej na północ, na wzgórze, w pobliże miejsca, gdzie woły z pastwiska przychodzą napić się wody z Tinker Creek. W trawie na górze znalazłam jeszcze osiem ootek. Zdumiałam się, bo bywam tutaj kilka razy w tygodniu i zawsze ich szukam, jako że właśnie w tej okolicy widziałam

kiedyś modliszkę tworzącą kokon.

Byłam świadkiem tego niezwykłego wydarzenia już przed kilku laty, ale wciąż je pamiętam i przyznaję, że ogarnęło mnie wtedy nieodparte wrażenie, że oglądam coś nierealnego, co nie rozgrywa się naprawdę tu i teraz, lecz jest przerażającym krótkometrażowym filmem przyrodniczym z cyklu „sekrety natury”, przepięknie sfotografowanym w żywych kolorach - filmem, na którym musiałam wysiedzieć, choć nie byłam w stanie go oglądać, patrzyłam więc tylko na słabo podświetlone na ścianach tabliczki z napisem: „Wyjście”. Pomyślałam też, że anonimowy filmowiec amator, autor tego dzieła, na pewno gratulował sobie za kulisami, że udało mu się trafić na takie cudenka i że znalazł naturalny plener, dzięki któremu wszystko wyglądało tak, jakby nakręcił swój materiał w terrarium stojącym w cudzej cieplarni.

Tamtego dnia szłam wolnym krokiem przez wzgórze, kiedy zauważyłam nagle cętkę nieskazitelnej bieli.

Wzgórze eroduje; jego zbocze to jedna wielka ruina - same bruzdy w czerwonej glinie, a tę monotonię przerywają tu i ówdzie trawiaste bule i niskopienne dzikie róże, wczepiające się korzeniami w cieniutką warstwę ziemi. Pochyliłam się, żeby obejrzeć ową białą plamkę, i zobaczyłam kroplę pęcherzyków przypominających plwocinę. Potem ujrzałam coś ciemnego, jakby opitą krwią pijawkę, gramolącą się po tej niby plwocinie - i w końcu zobaczyłam modliszkę.

Leżała na grzbiecie, trzymając się łodyżki dzikiej róży wymierzonymi w niebo odnóżami. Głowę miała opuszczoną nisko w zeschniętą trawę. Odwłok owada był spuchnięty niczym stłuczony palec i zwężał się ku mięsistemu końcowi, z którego, bulgocąc, wydobywała się mokra, ubita piana. Nie wierzyłam własnym oczom. Położyłam się na ziemi i przekręcałam to w jedną, to w drugą stronę, kalecząc kolana kolcami i brudząc policzki gliną, bo chciałam obejrzeć ten spektakl jak najdokładniej. Potrząsnęłam źdźbłem trawy w pobliżu głowy samicy, która nie zwróciła na to żadnej uwagi, więc przysunęłam nos na zaledwie centymetr od jej pulsującego odwłoka, wibrującego jak struna i drżącego jak miech. Wstrząsany skurczami owad przesunął się po lśniącej, stężałej powierzchni ooteki, jakby obmacując ją, poklepując, bodąc i gładząc zarazem. Odwłok wydawał się funkcjonować niezależnie od reszty ciała modliszki do tego stopnia, że zapomniałam o dyszącej główce na brązowej łodyżce widocznej z drugiej strony. Ten plujący pęcherzykami stwór zdawał się mieć dwoje oczu, rozgorączkowany mózdzek i parę ruchliwych, delikatnych dłoni.

Wyglądał jak brzydka, zniszczona życiem matka, która wyprawia swoją otyłą córkę na konkurs piękności - dokonuje więc ostatnich korekt, rozczula się nad nią, podciąga jej rąbek

sukni, poklepuje dziewczynę, czesze ją i głaszcze po głowie.

Samca nigdzie nie było widać - zapewne został już pożarty przez samicę. Fabre twierdzi, że, przynajmniej w niewoli, samica może kopulować nawet z siedmioma samcami i połknąć ich wszystkich, bez względu na to, czy już złożyła jaja. Zwyczajne kopulacyjne modliszek są powszechnie znane. W głowie samca wydziela się specyficzna substancja chemiczna, której pojawienie się to coś w rodzaju sygnału, oznaczającego: „Nie, nie zbliżaj się do niej, głupcze, bo pożre cię żywcem”. Jednocześnie jednak inna wydzielina, w odwłoku, zdaje się mówić: „Tak, za wszelką cenę, teraz i zawsze tak”.

Kiedy samiec uruchamia organ, który może u niego uchodzić za mózg, i próbuje podjąć decyzję, samica przechyla szalę na swoją korzyść, połykając jego głowę. Wtedy samiec pokrywa samicę. Oto jak Fabre opisuje kopulację modliszek, trwającą niekiedy sześć godzin: „Samiec, całkowicie zaabsorbowany stosunkiem płciowym, trzyma samicę w mocnym uścisku.

Ale nieszczęśnik nie ma już ani głowy, ani szyi; właściwie nie ma już ciała. Z kolei samica, odwróciwszy głowę w tył, powoli i bardzo spokojnie pożera to, co jeszcze pozostało z jej łagodnego kochanka. Okaleczony samiec natomiast, czy raczej jego kikut, przez cały ten czas trzyma swą partnerkę mocno i ciągle robi swoje! Widziałem to na własne oczy i do dziś nie potrafię otrząsnąć się ze zdumienia”.

Przyglądałam się tej składającej kokon modliszce przez ponad godzinę. Kiedy wróciłam na wzgórze następnego dnia, już jej nie było. Biała piana stwardniała i zbrązowiała, przypominając teraz brudne mydliny.

Zarówno wtedy, jak i w następnych dniach miałam problemy z odszukaniem ooteki, wiszącej zaledwie kilka centymetrów nad ziemią. Doglądałam jej przez całą zimę. Z nadejściem wiosny namierzyły ją mrówki. Każdego tygodnia widziałam ich dziesiątki - biegały po ściankach ooteki, ale nie mogły ich przegryźć.

W pełni wiosny codziennie wspinałam się na wzgórze w nadziei, że uda mi się zobaczyć, jak wykluwają się młode. Listki na drzewach już dawno się rozwinęły, wokół fruwały motyle i pierzyły się pierwsze pisklęta drozdów, a mimo to pełna jaj ooteka wisiała sobie spokojnie na łądze róży. Dowiedziałam się z książek, że będę musiała czekać aż do czerwca, ale odwiedzałam ootekę codziennie. Aż pewnego ranka na początku czerwca wszystko zniknęło. Nie mogłam znaleźć najniższej z kępki trzech łądyg, do których przytwierdzony był kokon. Ba, nie mogłam znaleźć żadnej z nich.

Zauważyłam natomiast ślady opon w glinie i pościnane łądźki - z niewiadomych przyczyn jeden z moich sąsiadów postanowił przejechać się kosiarką po tym stromym,

gliniastym wzgórzu, na którym nie rosło nic, co można by skosić, jeśli nie liczyć kilku kolczastych, karłowatych krzaczków dzikich róż.

I tak to się skończyło. Dziś na tym samym wzgórzu odcięłam trzy kolejne nieuszkodzone ooteki i zabrałam je do domu wraz z tymi, które znalazłam wcześniej, niosąc zdobycz wiszącą wciąż na gałązkach. Znalazłam też podejrzanie lekki kokon ćmy z gatunku *Sarnia cynthia*. Palce miałam zeszywniałe i czerwone z zimna, ciekło mi z nosa. Zapomniałam o podstawowym

„prawie dziczy”, brzmiącym: „Zawsze zabieraj ze sobą chusteczki higieniczne”. Po powrocie do domu przywiązałam tkwiące na swoich łodyżkach ooteki do różnych nasłonecznionych krzewów i drzew rosnących w moim ogrodzie. Odnajdę je z łatwością, bo użyłam białego sznurka - a w każdym razie na pewno nie będę ścinać własnych drzew. Mam nadzieję, że jaj nie znajdą dziecięcy odwiedzające mój karmnik, chociaż nawet gdyby tak się stało, wcale nie jestem pewna, czy zdołałyby się do nich dostać.

W dolinie zapada noc. Strumień zgasł już przed godziną i teraz tylko nagie czubki drzew strzelają w niebo stożkami przypominającymi snopy iskier. Mgliste wspomnienie, które przez całe popołudnie tłukło mi się po głowie, zaczyna się krystalizować nad laguną nocy. Nie ma ono nic wspólnego z modliszkami, choć dziś po południu, kiedy ostrożnie zawiązywałam maleńkie supelki i pętelki skostniałymi palcami, bałam się nawet musnąć ootekę, bo przypominałam sobie pawicę *Antheraea polyphemus*.

Nie mam zamiaru wciskać nikomu na siłę wszystkich moich wspomnień z dzieciństwa, a tym bardziej nie chcę znęcać się nad moimi dawnymi nauczycielami, którzy w swój niezdamny, niezapomniany sposób pokazywali mi świat przyrody - świat pokryty chitynowym pancerzem, w którym królują nieubłagane prawa. *Antheraea polyphemus*, a raczej jej gąsienica, nigdy nie odeszła dla mnie w przeszłość - i pełźnie wciąż w rojącej się od owadów przejrzystej kałuży na skraju ogromnego wodospadu. Jest w niej tak samo obecna jak moje niebieskie biurko, mosiężna lampa i pociemniałe okno, za którym nie dostrzegam już nawet białego sznurka, przytrzymującego ootekę na krzaku, bo w szybie odbija się jedynie moja blada, zadziwiona twarz.

Kiedy miałam jedenaście albo dwanaście lat, moja przyjaciółka Judy przyniosła do klasy kokon tej ćmy.

Był styczeń i do okiennych szyb w szkole lepiły się płatki śniegu przypominające koronkowe serwetki.

Nauczycielka przez cały ranek trzymała kokon w szufladzie biurka i wyjęła go dopiero wtedy, gdy zaczęliśmy się niecierpliwić przed dużą przerwą. Znaleźliśmy w

podręczniku ilustrację przedstawiającą dorosłą ćmę - była piękna. Pawica, o rozpiętości skrzydeł dochodzącej do piętnastu centymetrów, jest jednym z kilku olbrzymich amerykańskich jedwabników, o wiele większym niż na przykład olbrzymi paź *Papilio cresphontes*. Ogromne aksamitne skrzydła tej ćmy mają ciepły, soczysty brązowy kolor, a na obrzeżach pokrywają je paski błękitu i różu, subtelne niczym rozcieńczone akwarele. Na środku obu tylnych skrzydeł pawicy pyszni się zaskakująco wielkie ciemnoniebieskie

„oczko”, przechodzące stopniowo w niemal przezroczystą żółcień. Wszystko to sprawia, że odznacza się ona jak gdyby męską tężyzną, obcą motylom dziennym - ta ćma to rozrośnięta w siłę delikatność. Owad na ilustracji przypominał mi potężne widmo - był trzepoczącą się kwintesencją liściastego lasu, brązowym kosmitą o szeroko rozstawionych, niewidzących oczach. Tak wyglądała też gigantyczna ćma, skryta w swej wyblakłej osłonce. Zamknęliśmy podręcznik i zainteresowaliśmy się kokonem. Jego trzon tworzył liść dębu, skleiony w coś w rodzaju pękatego, wrzecionowatego tobołka. Judy znalazła go na stosie innych zwarzonych mrozem liści.

Obeszliśmy kokon dokoła - był ciężki, a kiedy braliśmy go do ręki, tkwiące w środku stworzenie zaczynało się wiercić pod wpływem ciepła. Byliśmy zachwyceni i zamykaliśmy je w dłoniach coraz szczelniej. Poczwarła szamotała się gwałtownie, pukając w ścianki osłonki w regularnych odstępach, a jej ruchy zapierały nam dech w piersiach. Kto tam? Na półprzymkniętej dłoni jeszcze dziś wyczuwam to niecierpliwe pukanie, dochodzące do mnie poprzez tłumiącą je otulinę z jedwabnych nici i liścia, przez becik długich lat.

Przekazywaliśmy sobie kokon z rąk do rąk. Gdy dotarł do mnie, był ciepły jak wyjęta z pieca bułeczka i omal nie wyskoczył mi z dłoni. Wtedy do akcji wkroczyła nauczycielka i włożyła rozdygotany, pulsujący kokon do jednego z wszechobecnych w szkole słoików laboratoryjnych.

Koniec był już bliski. Rozwiązania nie dałoby się powstrzymać w żaden sposób, chociaż mieliśmy dopiero styczeń. Kokon z jednego końca zwilgotniał i rozpruwał się stopniowo w trakcie trwającej w jego wnętrzu wściekłej batalii, miotając się i podskakując na dnie słoja. Obraz naszej nauczycielki zaciera się teraz w mojej pamięci, podobnie jak kolegów i koleżanek z klasy, a nawet mnie samej: nie pamiętam już nic, tylko walkę tej istoty, by stać się ćmą albo umrzeć.

Wreszcie wyłoniła się z kokonu: wyglądała jak wymięta, przemoczona szmatka. Okazało się, że to samiec - jego długie czułki pokrywały gęste włoski, sięgające aż do tłustego odwłoka. Był bardzo gruby i kosmaty, a przy tym mierzył ponad dwa centymetry długości.

Jego główkę porastał szary, przypominający futerko meszek; z szerokiego tułowia nad pierścieniowym odwłokiem zwieszały się długie, jasnobrązowe włoski.

Giętkie, blade i mocne odnóża owada też były włochate, niczym łapy niedźwiedzia. Nie ruszał się, ale oddychał.

Nie mógł rozpostrzeć skrzydeł - nie tylko dlatego że miał za mało miejsca, ale i dlatego że wydzielina, która oblepiała i usztywniała je jak lakier, wyschła, nie pozwalając stworzeniu ich rozwinąć. Z tej przyczyny owa pawica wydała mi się zamkniętym w słoju potworem. Olbrzymie skrzydła przylegały do jej grzbietu w męce przypadkowych fałd i zakładek, pomarszczone jak brudna chusteczka do nosa i sztywne niczym wygarbowana skóra. Były sklezione w makabryczną bryłkę, wstrząsaną ciągle bezskutecznymi, gorączkowymi konwulsjami.

Potem w mojej pamięci pojawia się długa przerwa.

Nasza szkoła mieściła się w Shadyside, ruchliwej dzielnicy mieszkaniowej Pittsburgha. Uczniowie grali na przerwach w dwa ognie na ogrodzonym boisku albo ścigali się na dziedzińcu szkolnym wokół huštawek. Z boku, w dół wzgórza, na chodnik i dalej na ulicę, ciągnął się długi podjazd zaopatrzeniowy. Ktoś - zapewne moja nauczycielka - wypuścił naszą ómę ze słoja. Stałam sama na podjeździe, nieruchomo jak słup soli, ale dygotałam. Ktoś zwrócił ómie wolność, więc teraz odchodziła.

Wlokła się wytrwale po asfaltowej dróżce, bez przerwy drobiąc nóżkami. Przyklejona do jej grzbietu fałda ohydnych pomarszczonych skrzydeł spoczywała kompletnie nieruchomo, jak przewrócony namiot.

Dzwonek zabrzmiał dwa razy - musiałam już wracać na lekcje. Tymczasem óma pełzła dalej, znikając mi z oczu. Wróciłam do szkoły biegiem - a nasza pawica wciąż wlecze się po tym podjeździe, przygarbiona, na sześciu kosmatych nóżkach, w drodze bez końca.

Oslaniając szybę dłonią, widzę, że w dolinie zaległ cień, który podmywa urwiska piaskowca na zboczach Tinker Mountain i wymazuje je falami potopu. Na niebie też rozplývają się potoki cienia. Jestem u kresu sił.

Czytałam u Pliniusza, jak człowiek nauczył się rzeźbić w glinie. Otóż w odległej przeszłości pewien garncarz z Sikionu przybył do Koryntu i tam jego córka zakochała się w młodzieńcu, który często musiał na długo wyjeżdżać z miasta w interesach. Gdy jednak bawił u niej w domu, dziewczyna obrysowywała rylcem jego cień, rzucany na ścianę przez płomień świecy. Potem, podczas nieobecności ukochanego, dziewczyna pracowała nad jego profilem, dopieszczając szczegóły, by móc się cieszyć widokiem twarzy młodzieńca i dobrze ją zapamiętać. Pewnego dnia jej ojciec zachłapał rysunek gliną garncarską, a kiedy wyschła,

oderwał ją od ściany, wypiekl i „pokazywał na mieście”. Tutaj kończy się opowieść Pliniusza. Czy chłopak kiedyś powrócił? I co myślała dziewczyna o tym, że ojciec włóczył jej ukochanego za włosy po całym mieście? Ale przede wszystkim interesuje mnie co innego - a mianowicie, czy tamten cień jest ciągle na swoim miejscu? Bo gdybym się odwróciła i zobaczyła cień twarzy młodzieńca na ścianie przy kominku, to rozebrałabym cały dom gołymi rękami, byle tylko dostać w moje ręce tak smakowity kąsek.

Cień to jest to - jak coca-cola. Czytałam gdzieś, że cienie w plenerze są niebieskie, ponieważ oświetla je niebieskie niebo, a nie żółte słońce. Ich kolor jest wynikiem oddziaływania nieskończenie mikroskopijnych cząsteczek, porzucanych na niezmiernych przestrzeniach. Muzułmanie, którym religia zakazuje tworzenia sztuki przedstawiającej jako bałwochwalczej, nie przestrzegają może tej zasady zbyt surowo, ale stanowczo unikają rzeźbiarstwa, ponieważ każda rzeźba rzuca cień. W ten oto sposób cienie wpływają na rzeczywistość. Jeżeli nie widzę już cieni w postaci „ciemnych plam”, jak ludzie, którzy dopiero co odzyskali wzrok, to widzę je jako coś, co pozwala nam zrozumieć światło. Cienie stwarzają dystans do światła i wskazują nam jego właściwe miejsce. Powiadają moje oczy, gdzie się znajdują: tutaj czy w Izraelu (słuchaj, Izraelu!), w pękniętej rzeźbie świata czy w migotliwym cieniu nicości, który stoi pomiędzy mną a światłem.

Teraz, kiedy cień rozproszył się pod kopułą niebios, znów widzę Andromedę. Stoję z nosem przyciśniętym do szyby, urzeczona i skulona w obliczu chłodnego, gniewnego spojrzenia Galaktyki. Tęsknota za nieskończonością de Chirico: wstęgi cieni leją się na rozświetlonym dziedzińcu, złościąc w nim kaniony.

W pewnym sensie cienie naprawdę są rzucane, miotane z ogromną siłą albo wyrzucane, niczym Ismael, jednym potężnym ruchem. Cień to niebieska wstęga przecinająca świat, lodowaty strumień przy drodze, na którego brzegach kopulują modliszki i w którego pospiesznych wodach pewien olbrzymi owad wysysa żaby. Strumień Cienia to błękitny podziemny potok, chłodzący Carvińs Creek i Tinker Creek, wcinający się jak lód pod zębra gór, choćby pod Tinker i Dead Man. Strumień Cienia pędzi przez wapienne jaskinie pod lasami i wytryska na powierzchnię, gdzie przyjdzie mu na to ochota, na przykład pod spód opadłego liścia. Wyrwam ten strumień ze skały i oto Strumień Cienia sączy się już do mojego kubka. W mgnieniu oka otwierają się rozpadliny; ziemia rozstępuje się niby rozerwana wiatrem chmura zasłaniająca gwiazdy.

Strumień Cienia: nawet podczas najkrótszej wycieczki do skrzynki pocztowej mogę wpaść po kolana w jego grząskie, lodowate rozlewiska. Powinam włożyć kalosze albo tańczyć, żeby nie zmarznąć.

II

Ryba musi pływać, a ptak latać, ale wygląda na to, że owady skazane są na popełnianie jednej potworności za drugą. Rekina ani sępa nigdy nie pytam „dlaczego?”, zadaję jednak to pytanie niemal każdemu spotkanemu owadowi. Więcej niż jeden owad - czy inaczej mówiąc, możliwość jego wielkiego rozmnożenia - to w gruncie rzeczy atak na wszystkie ludzkie wartości, na całą naszą nadzieję na istnienie jakiegoś rozumnego bóstwa. Nawet pobożny Francuz } . Henri Fabre, który badaniu owadów poświęcił całe życie, nie potrafił się oprzeć piekielnemu wstrętowi, jaki wywoływały w nim te stworzenia. Widać to na przykładzie jego opisu, jak żywiąca się pszczołami osa, zwana taszczynek, zabija swoje ofiary. Jeżeli pszczoła jest objedzona nektarem, taszczynek uciska jej wole, „żeby zmusić ją do zwrócenia smakowitego syropu. Napastnik wypija go, wylizując języczek, który nieszczęsna ofiara wysuwa w agonii na całą długość... Widziałem kiedyś, jak podczas takiej makabrycznej uczty osę wraz z jej zdobyczą schwytała modliszka: jeden bandyta napadł na drugiego. Ale oto kolejny koszmarny szczegół: chociaż modliszka przytrzymywała już taszczynek w swoich uzbrojonych w kutykularne zęby odnóżach i wgryzała się w jego odwłok, osa nadal wylizywała nektar z języka swojej ofiary, nie potrafiąc zrezygnować ze smakołyku nawet w obliczu przerażającej śmierci. Dlatego czym prędzej spuśćmy zasłonę milczenia na te okropieństwa”.

Najbardziej zdumiewające w świecie owadów jest jednak to, że owych okropieństw wcale nie zakrywa żadna zasłona. Owadzie misteria rozgrywają się na naszych oczach przy podniesionej kurtynie. Widzimy ich wszystkie szczegóły, a mimo to pozostają dla nas tajemnicą. Jeśli Heraklit ma słuszość, mówiąc, że żaden bóg, na podobieństwo wyroczni, „niczego nie twierdzi ani nie ukrywa, lecz wypowiada się za pomocą znaków”, to oczywiście powinnam postarać się je odczytać. Ziemia zużywa przytłaczającą większość swojej energii na podtrzymanie życia tych bzykających, skaczących, pożerających się nawzajem i pełzających w trawie zwierząt. To owadom przypadł największy kawałek naszego ziemskiego tortu: dlaczego? Powinnam hodować olbrzymiego pluskwiaka wodnego w akwarium na komódce, żeby móc ciągle o tym myśleć. Trzymamy dzisiaj w domach mosiężne świeczniki - a w kościołach powinniśmy wystawiać na pokaz modliszki. Dlaczego odwracamy się od owadów z takim obrzydzeniem? Nasi konkurenci są nie tylko zimno, lecz również zielono - oraz żółtokrwiści, a ponadto odziani w chrzęszczące pancerzyki. Nie mogą się poruszać równie swobodnie jak my ani wystawiać miękkich części swych ciał na wiatr albo ciernie. Mają nieruchome oczy i ciągnące się przez całą długość ich grzbietów „mózdżki”, lecz stanowią większość naszych „braci” w przyrodzie ożywionej, próbują więc nawiązać z nimi

choćby najbardziej powierzchowne, aczkolwiek przyjazne stosunki.

Zeszłego lata długo przyglądałam się konikowi polnemu, który wylądował na parapecie okna w moim pokoju. Miał krótkie, twarde okrywy skrzydeł, a jego tułów był koloru trupiej, woskowej żółceni, nakrapianej jakimiś czarnozielonymi znaczkami, których nie byłam w stanie odcyfrować. Jak wszystkie duże owady, napawał mnie zdumieniem, i to ogromnym - zwłaszcza jego ohydny, giętki, szeroki, wielosegmentowy pyszczek i skomplikowanej budowy odnóża, jakby mechaniczne, najeżone guzowatymi wyrostkami i kolcami, przypominające nogi robota. Przyglądałam się wrzecionowatemu, pokrytemu chitynowym pancerzem odwłokowi konika, pasiastemu jak gąsienica czołgowa, i miałam się już odwrócić, kiedy zauważyłam, jak oddycha - puf, puf - i wtedy nabrałam do niego sympatii. „No właśnie - powiedziałam - puf, puf?” Na te słowa owad zeskoczył na dół z chrapliwym chrobotem (słyszałam go zza szyby), przywodzącym na myśl dźwięk piłki do metalu, i sapał dalej w trawie.

A zatem „puf”, i to wszystko, co nas łączy - chociaż i on, i ja lubimy także miód.

Przyroda jest nade wszystko rozrzutna. Nie wiercie tym, którzy powiadają, że to oszczędna, wręcz skąpa gospodyni, bo przecież jej liście użyźniają glebę.

A czy nie byłoby lepiej zostawić liście na drzewie?

Już samo ich opadanie to radykalny pomysł, koncept jakiegoś chorego na depresję maniacką szaleńca dysponującego nieograniczonym kapitałem. Czysta ekstrawagancja! Przyroda gotowa jest spróbować wszystkiego przynajmniej raz. Informuje nas o tym właśnie ów znak, którym są owady. Dla przyrody nie istnieje żadna nazbyt paskudna powierzchowność ani groteskowe zachowanie. Jeżeli masz do czynienia ze składnikami organicznymi, pozwól im się połączyć. Jeśli powstała z tego połączenia istota jako tako funkcjonuje i porusza się, umieść ją w trawie, gdzie zawsze jest dość miejsca na jedno stworzenie więcej - zresztą ty też nie jesteś przecież zbyt piękny. Oto przykład rozrzutnej gospodarki: chociaż nic w niej nie ginie, wydatkowany zostaje cały kapitał.

To oczywiste, że owady doskonale przystosowały się do życia na tym świecie - ale przykłady ich adaptacyjnych porażek są spektakularne. Aż trudno uwierzyć, że natura sprzyja takiej głupocie. Howard Ensign Evans opowiada o ważkach usiłujących składać jaja na lśniących maskach samochodów. Inne ważki sprawdzają, czy ciecz, którą napotyka, to woda, zanurzając w niej czubki swoich odwłoków, więc w bagnach asfaltowych La Brea pod Los Angeles wsuwają je po prostu do śmierdzącej mazi i przylepiają się do niej - ale, jak donosi Evans, jeśli któreś z nich uda się straszliwym wysiłkiem wyrwać z pułapki, zazwyczaj powtarza swój błąd. Dlatego tamtejsze bagna czasem aż lśnią od zasuszonych martwych

ważek.

Innym przykładem są choćby korowódki śródziemnomorskie, które opisuje J. Henri Fabre. Chociaż najnowsze badania wykazują, że niektóre owady potrafią niekiedy opanowywać nowe terytoria na przekór instynktowi, to na ogół są jego ślepyimi, wprowadzanymi w błąd niewolnikami, o czym świadczą zwyczajnie korowódek. Są to gąsienice ćmy z gatunku *Thaumetopoea pityocampa*, o błyszczących czarnych łebkach, wędrujące nocami po drzewach sosnowych jedwabistymi ścieżkami swojej własnej produkcji. Posuwają się po nich niejako okraciem, w ciasnych szeregach, gęsiego, stykając się główkami i ogonkami, a każdy osobnik dodaje swoją nić do pierwszej, wyznaczającej szlak i rozsnutej przez gąsienicę, która zrządzeniem przypadku prowadzi cały pochód. Fabre zabiera głos w chwili, kiedy zaczyna obserwować korowódki wkraczające na kolistą trasę wiodącą wokół brzegu szerokiej donicy z palmą stojącej w jego cieplarni. Gdy lokomotywa tego owadziego pociągu zatacza pełne koło, Fabre usuwa wszystkie gąsienice, które zaczynają dopiero wspinać się na ściankę donicy, wraz z wystającymi poza jej obręb jedwabnymi nićmi. W ten sposób uzyskuje coś w rodzaju gąsienicowego obwodu zamkniętego, bo nie wiadomo już, która z korowódek idzie na czele, i wszystkie krążą bez ustanku wokół krawędzi donicy.

Fabre chce się przekonać, kiedy owady zorientują się, że chodzą w kółko, ale ku jego przerażeniu nie maszerują one tak godzinę czy dwie, lecz przez cały dzień.

Gdy późnym wieczorem uczony wychodzi z cieplarni, korowódki wciąż pełzają na morderczym szlaku, choć w nocy zazwyczaj żerują.

Zastygają w całkowitym bezruchu w chłodzie poranka, ale kiedy się budzą, na nowo podejmują to, co francuski badacz nazywa „idiotyczną wędrówką”, i wloką się nadal przed siebie gęsiego, noga za nogą.

Następnej nocy panuje przejmujący chłód; rano Fabre znajduje owady bez sił, siedzące na brzegu donicy w dwóch osobnych grupach. Potem korowódki formują dwa szeregi, więc mają dwie przywódczynie. Na wolności, w naturze, gąsienice idące na czele często skręcają w bok od utartego szlaku, ale w cieplarni obie kolumny spotykają się - i zaklęty krąg wiruje dalej.

Fabre nie wierzy własnym oczom. Korowódki nie piły, nie jadły i właściwie nie odpoczywały, a poza tym przez całą dobę były pozbawione schronienia. Następnej nocy silny mróz znowu unieruchamia gąsienice, które zbijają się w stadka, tworząc niewielkie kopczyki. Przypadek sprawia, że pierwsza korowódka, która budzi się rano, nie odpoczywa na jedwabnym szlaku, wyznacza więc wreszcie nowy kierunek marszu i wkracza na ziemię w donicy. Sześć innych gąsienic podąża jej śladem. Pozostałe na brzegu naczynia korowódki

mają nową liderkę, ponieważ ich krąg został rozerwany - lecz nadal uparcie przemieszczają się po swym zaklętym kole. Wkrótce potem siedem rebeliantek, nie znajdując pożywienia na palmie, wraca po własnych śladach na brzeg donicy i przyłącza się do skazanego na porażkę marszu swoich sióstr. Ich krąg często pęka, bo wygłodniałe i wyczerpane korowódki chwilami zwalniają i zatrzymują się, szybko jednak likwidują lukę, chociaż nie wyłaniają przodowniczkę stada.

Następnego dnia robi się znacznie cieplej. Gąsienice wychylają się daleko za skraj donicy i badają teren. W końcu jedna zbacza z kolistego szlaku i zaczyna schodzić po ścianie naczynia. Cztery inne korowódki podążają jej śladem. Na podłodze obok donicy z palmą Fabre rozesał trochę igieł sosnowych, żeby owady mogły się pożywić. Gąsienice przechodzą w odległości zaledwie dwudziestu centymetrów od nich, lecz - choć to nie do wiary - zawracają na górę, na brzeg donicy, i dołączają do upiornego pochodu. Męczą się tak jeszcze przez dwa dni - dopiero wtedy wkraczają wreszcie na wiodącą w dół ścieżkę, wyznaczoną przez tę ostatnią grupę. Wchodzą na nowy teren i w końcu trafiają do sosnowego gniazda. Zajmuje im to całe siedem dni. Mimo to Fabre, który już odkrył, że „owady w swej masie wykazują się zawsze bezdenną głupotą, ilekroć natrafiają na najdrobniejszą przeszkodę”, jest najwyraźniej przygnębiony kolejnym dowodem na to, że korowódkom brak „choćby najmniejszej iskielki inteligencji w ich pustych łebkach”. „Gąsienice pomimo zagrożenia życia, głodne, pozbawione schronienia, cierpiące w nocy chłód, uparcie trzymają się jedwabnego szlaku, który pokonały już wcześniej setki razy, ponieważ nie mają choćby krztyny inteligencji, mogącej im podpowiedzieć, by porzuciły ścieżkę wiodącą donikąd” - konkluduje francuski uczonec.

Chcę wyjść na świeże powietrze z tej duchoty. Jaki to handlarz uliczny nakręcił swoje blaszane żołnierzyki i pozostawił je na chodniku, żeby pospadały w końcu z krawężnika? Eliaszy szczydził z proroków Baala, którzy złożyli wołu w ofierze na stosie i zaczęli błagać swego boga, żeby go spalił ogniem: „Wołajcie głośnie, bo to bóg! Więć może zamyślony albo jest zajęty, albo udaje się w drogę. Może on śpi, więc niech się obudzi!”*. Wołajcie głośnie. Niezmiennosc nas przeraża, niezmiennosc atakuje nas przerażającą siłą bezmyślności. Niezmiennosc to szklany sło, którego nie można otworzyć. Prorocy Baala zadawali sobie rany nożami i sztyletami, ale drewno nie zajmowało się od tego ogniem. Niezmiennosc to świat bez ognia: martwe krzesiwo, martwa hubka i ani śladu iskry. To nieukierunkowany ruch, siła bez mocy, bezcelowy pochód gąsienic wokół brzegu donicy. Nienawidzę niezmiennosci, bo w każdej chwili sama mogę wejść na

* Pierwsza Księga Królewska, 18,27; wszystkie cytaty biblijne wg Biblii Tysiąclecia.

jej zaczarowaną, połyskliwą ścieżkę. Ostatniej wiosny, kiedy strumień przybrał, widziałam brązową pałkę wąskolistną podskakującą na wysokich, zamulonych falach Carvin's Creek w górę i w dół, z boku na bok, w każdej sekundzie. Wróciłam w to samo miejsce następnego dnia i nic się nie zmieniło - pałka wciąż wybijała swój bezcelowy, jednostajny rytm, bez końca rysując na wodzie obrzydliwy tatuaż. Czy istnieje taki geomanta, który zdoła odczytać, co na pustynnych skałach wypisuje niesiony wiatrem piasek? Moim zdaniem te znaki mówią, że świat żyje dzięki nieznannej, wielkodusznej mocy i tańczy w takt głośnej melodii; albo że jakaś siła rozrzuca i miota wszystko po świecie, a każda nasza arabeska i grand jeté to tylko gorączkowa wariacja na temat swobodnego upadku człowieka.

Dwa tygodnie temu okutałam się ciepło i ciemną nocą wyszłam z domu, by pójść nad Tinker Creek. Zanim go zobaczyłam, usłyszałam, jak chłodny nurt obmywa z pluskiem zmarszczki piaskowca przy brzegu.

Zawsze cieszyła mnie myśl, że strumień płynie sobie przez całą noc i w każdej chwili jest inny, bez względu na to, czy sobie tego życzę, czy o tym wiem i czy mnie to obchodzi, tak jak zamknięta książka na półce wciąż snuje szeptem swoją własną, nie kończącą się opowieść, niezależnie od czytelnika. Tyle ciekawych rzeczy ukazało się moim oczom na tych brzegach i tyle razy tu, gdzie strumień obniża swój bieg, oświeciło mnie jego odbite światło, że trudno mi uwierzyć, że te dobrodziejstwa są niewyczerpane, że łaska wypływająca z wiecznie odnawiającego się źródła nie ma końca - jest obiektywna i wolna. Ale tego dnia Tinker Creek zniknął niczym obalony król, a jego brzegi zablokował Strumień Cienia. Nocny chłód przenikał mnie do szpiku kości. Stałam na zmrożonej trawie pod drzewem żółtnicy pomarańczowej. Noc była bezksiężycowa, a góry w oddali majaczyły wyżej od gwiazd. Odwracając głowę, z niejakim trudem dostrzegłam szarą smugę piany na brzegu. Poczulałam, że ślina w kącikach moich ust krzepnie i zamrugałam powiekami. Tej nocy myśl, że strumień płynie w ciemności - bierze początek wysoko, na niewidocznym zboczu Tinker Mountain, wiele kilometrów stąd - wydała mi się złowroga. Gdzie podział się dzisiaj jego dawny entuzjazm?

Ta niema, martwa kropla spływająca po skałach była wstrętną parodią prawdziwego, naturalnego, ciepłego i świadomego życia - a strumień nic nie czuje i jest przerażający. Odwróciłam się. Przekłęta woda płynie, ponieważ pcha ją jakaś nieznaną siłą.

Było to dwa tygodnie temu i dzisiaj nie jestem już pewna swojego emocjonalnego stosunku do tej sprawy.

Nadeszła pełnia księżyca, a ja znów rozmyślałam o tym samym. Cieszę się z mojego dzisiejszego dnia „pracy”, z ootek wiszących na krzakach. Van Gogh miał odwagę nazwać

nasz świat „nieudany studium malarskim”, ale wcale nie wiem, czy miał rację. Na jakiej podstawie sędzę, że niezmienny świat owadów jest niedoskonały? Czytanie już mnie męczy; biorę do ręki książkę i dowiaduję się, że „nawet jeśli pokroić pijawkę na kawałki, to każdy z nich zachowa zdolność pływania”. Odetchnij głęboko, Eliaszu: rozpal swój stos.

Van Gogh umarł i nie zmartwychwstanie; świat może i jest niezmienny, ale nie został nigdy uszkodzony czy okaleczony. A nawet cień może być piękny.

Pewnego razu, kiedy Tinker Creek zamarzał na głębokość kilku centymetrów w rozlewisku pod mostem, zauważyłam na niebie dziecięcia smugoszyjnego, dostrzegłszy najpierw jego olbrzymi niebieski cień, trzepoczący się na białym lodzie na ziemi. Przeleciał pod łyżwami okolicznych dzieciaków i pofrunął dalej, cały i zdrowy, dziki i swobodny, choć łyżwy rozcięły mu skrzydła. Chciałabym zatrzymać chociaż kawałek tego cienia dla siebie, chciałabym mieć wielką tafłę lodu ze słodkiej wody, którą mogłabym wszędzie ze sobą taszczyć pod pachą jak skrzydło, żeby używać jej jak Eskimosi - jako okna na świat. Cień to błękitna plama, na którą nie pada światło. Jest tajemnicą samą w sobie, a tajemnica to ultima Thule ludów starożytnych albo

„względnie nieosiągalny punkt na biegunie”, jak mawiają współcześni podróżnicy, czyli miejsce wysunięte najdalej na północ w stosunku do wszystkich znanych nam ziem. W tym punkcie zbiegają się bliźniacze oceany piękna i przerażenia, a wielkie góry lodowe odrywają się od lodowców. Lód, który spadł na ziemię w postaci śniegu za czasów Chrystusa, odpada z chrzęstem od ściany i krusząc się, leci do wody. Możliwe, że nasze instrumenty pomiarowe nie zbadały go dotąd dość dokładnie. Wstęga RNA, skryta głęboko w szczęce modliszki, wygląda pięknie. Czy tamta włokąca się po podjeździe ćma miała w swoim wodnistym sercu choćby jedną komórkę, w tej komórce chociaż jedną cząsteczkę, a w tej cząsteczce choć jeden atom wodoru? I czy wokół jądra tego atomu krążył choćby jeden nieokiełznany, daleki elektron, który rozszczepił się nagle, żeby odsłonić rozkołysany las?

Zamiast grać w bezika, przejdę się troszkę przed snem. Teraz nie waham się, czy włożyć rękawiczki: opatulałam się od stóp do głów w wełnę i puch, po czym wychodzę w noc.

Mróz szczypie mnie w nosie jak pieprz. Ruszam drogą, przeskakuję przez rów i wspinam się na wzgórze, na którym ściełam dzisiaj ooteki, a przed kilku laty obserwowałam plującą pianą modliszkę. Poryta koleinami i bruzdami glina zamarzała na twardą skorupę.

W padających ukośnie promieniach księżycy w pełni ledwo widoczne skarpy zdają się przypominać grzbiety zwałów lodowych podczas jutrzeńki. Światło jest niesamowite, lecz wątłe. Nie jest to blask południa, ale elfa - słabiutki i czarodziejski. Rozgniatam nogami kępki traw, kruchych jak z dmuchanego szkła - i zatrzymuję się. Ścięte lodem gałązki wielkiego

tulipanowca amerykańskiego u stóp wzgórza podzwaniają na mrozie niczym ścinki metalowej blachy.

Patrzę w niebo. Co wiem o dalekim kosmosie, pełnym czerwonych olbrzymów i białych karłów? Myślę o naszym Układzie Słonecznym i pięciu milczących księżycach Urana - Arielu, Umbrielu, Tytanii, Oberonie i Mirandzie - które wirują niezmiennie w niewolniczym letargu. Jak chyba już wspominałam, wszyscy aktorzy naszego świata byli kiedyś duchami. W końcu spoglądam na pyzaty, wyglądający jak wyszorowany księżyc, wiszący niezmiennie na wschodzie, ogromny i jednorodny. To nasz miejscowy, domowy „ultima Księżyc”. Na pewno wyglądał stąd pięknie, kiedy oliwkowe kontynenty zaczęły pękać i rozdzielać się, a biały lód sunął to w górę, to w dół, niczym żaluzja okienna.

Zimno mi w oczy, gdy zamykam powieki. Wystarczy już na dzisiaj tych spacerów. Brak mi odpowiedniego instrumentarium, aby odczuć księżycowe ciepło, którego zaznało bardzo niewielu ludzi - wiem jednak, że ono istnieje. Jak twierdzi Arthur Koestler, Kepler odczuł niegdyś taką wiązkę skoncentrowanego ciepła, kiedy wykorzystując wklęsłe lustro, prowadził badania nad jakimś zupełnie innym problemem, nie nad wpływem Księżyca. Oto, co zanotował: „Prowadziłem inne, nieastronomiczne badania przy użyciu luster, w ogóle nie myśląc o ciepłe, i nagle odwróciłem się odruchowo, bo wydawało mi się, że czuję na dłoni czyjś oddech”. Było to ciepło księżyca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rozplątując węzeł

Wczoraj wybrałam się na przechadzkę w poszukiwaniu nowej pory roku, ale znalazłam tylko starą skórę węża - w słoneczny lutowy dzień, w lesie koło kamieniołomów. Leżała na kupie liści obok szklanego akwarium, które ktoś tu porzucił. Nie wiem, dlaczego właściciel zataszczył je tak daleko w głąb lasu. Pęknięta była tylko jedna ścianka. Przypuszczam, że wężowi naczynie wydało się przydatne, bo gady te chętnie ocierają się o różne twarde przedmioty, aby tym łatwiej zrzucić starą skórę, a to pęknięte akwarium było zapewne najbliższe. Skóra węża i akwarium przedstawiały niezwykle intrygujący widok pośród leśnego poszycia. Przypominały eksponaty, dowody rzeczowe w procesie poszlakowym, gdzie dochodzi do rekonstrukcji jakiegoś gwałtownego wydarzenia z udziałem węża, który wymknął się na wolność przez pękniętą ściankę akwarium, wyrwał się ze swojej paskudnej starej skóry i zniknął, być może nawet wzbijając się w powietrze, piękny i swobodny.

Łuski nie zachodziły na siebie, więc skóra należała najprawdopodobniej do niejadowego gada. Mierzyła około półtora metra długości, ale nie mogłam tego ustalić dokładnie, bo była bardzo pomarszczona i wyschnięta, i pękała, kiedy próbowałam ją rozciągnąć i przyłożyć do niej miarkę. W końcu zostałam z siedmioma czy ośmioma kawałkami węzowej skóry na stole, nad którym unosił się drobnutki leśny pył.

W tym miejscu muszę zwrócić waszą uwagę na to, że kiedy znalazłam ową skórę, była cała i zawiązana na supeł. Znam przytaczane nawet przez poważnych uczonych opowieści o wężach, które celowo zwijają się w taki węzeł, żeby większe od nich osobniki nie mogły ich połknąć - nie mogłam sobie jednak wyobrazić, jak zawiązanie się w supeł mogłoby pomóc wężowi w zrzuceniu skóry. Zachowując pewien sceptycyzm, jak zawsze, pomyślałam, że może pod wpływem jakiegoś dziecięcego kaprysu któryś z okolicznych chłopców zawiązał tę skórę jesienią na supełek i porzucił ją po prostu w lesie, gdzie wyschła i powoli zarastała brudem. Niosłam zdobycz do domu, nie myśląc o niczym, i oczywiście wtedy rozerwałam ją po raz pierwszy, zaczepiając o jakąś nisko wiszącą gałąź.

Zauważyłam, że na stawie w kamieniołomach wciąż zalega gruba warstwa lodu, a na polankach rośnie już tak zwana kapusta skunksa. Potem wróciłam do domu i zaczęłam przyglądać się węzowej skórze oraz zawiązanemu na niej węzłowi.

Nie wiedziałam, jak go rozplątać. Leniwie przesuwalam skórę w rękach, szukając

miejsca, w którym mogłabym rozwiązać supeł, i przeszył mnie dreszcz przerażenia, kiedy zdałam sobie sprawę, że obróciłam ją dookoła już co najmniej dziesięć razy. Uważnie przebiegłam palcem po guzie węzła: zdawał się stanowić niepodzielną całość. Nie mogłam go rozwiązać, tak jak nie można rozwiązać obwarzanka - stanowił pętlę bez początku i końca. Przez głowę przemknęła mi myśl, że węże są naprawdę niezwykle, ale potem w końcu zrozumiałam, co się musiało stać. Otóż najpierw ktoś wywrócił skórę na drugą stronę, jak skarpetę, na długości dziesięciu centymetrów, ale potem, na odcinku mniej więcej dwóch centymetrów, przypadkowo równym średnicy ciała węża, jakimś cudem ktoś inny wywrócił skórę z powrotem na właściwą stronę, tworząc w ten sposób gruby skórzany guz otoczony fałdkami i wyglądający kropka w kropkę jak zwyczajny węzeł.

A więc tak... Myślałam o zmianie pór roku. Nie chcę tym razem przegapić nadejścia wiosny. Chcę odróżnić ostatni mróz zimowy od pierwszego spóźnionego, posezonowego, wiosennego mrozu. Chcę zobaczyć na własne oczy, jak zazieleni się trawa. Jak dotąd ta radykalna przemiana zawsze mnie omijała - zauważałam ją dopiero następnego dnia, z okna, gdy podwórko przed domem było już pokryte zielenią tak soczystą, że mogłabym pozazdrościć Nabuchodonozorowi, skubiącemu trawę na czworakach. W tym roku chcę rozwiesić w czasie sieć i powiedzieć: „teraz”, tak jak podróżnicy wbijają flagi w lód i śnieg, mówiąc: „tutaj”.

Przyszło mi jednak do głowy, że nie uda mi się złapać wiosny za ogon, podobnie jak nie udało mi się rozsupłać rzekomego węzła na węzowej skórze - bo nie ma ich za co chwycić. I czas, i domniemany węzeł to nieprzerwane kręgi.

Ciekawa jestem, ile potrzebowalibyśmy czasu, by zauważyć regularną powtarzalność pór roku, gdybyśmy byli pierwszymi ludźmi na ziemi. Jak by to było żyć w otwartym, nie zapętlonym czasie, zróżnicowanym jedynie na dni i noc? Moglibyśmy powiedzieć:

„Znowu jest zimno; zimno już kiedyś było”, ale nie moglibyśmy skojarzyć podstawowych faktów i powiedzieć: „Było zimno o tej samej porze w zeszłym roku”, ponieważ brakowałoby nam właśnie pojęcia

„roku”. Zakładając, że jeszcze nie zauważyliśmy żadnej regularności w ruchach ciał niebieskich, jak długo musielibyśmy żyć na ziemi, aby zyskać pewność, że długotrwałe chłody kiedyś się skończą? „Będą zatem istniały, jak długo trwać będzie ziemia: siew i żniwo, mróz i upał, lato i zima, dzień i noc”*. Bóg niemal na samym początku Księgi Rodzaju składa taką obietnicę ludziom, których obawy w tym względzie nie zostały chyba jednak nigdy całkowicie rozwiane.

U zarania naszej kultury przechowywanie i przekazywanie wiedzy o powtarzalności

pór roku musiało być kwestią niesłychanie istotną, by ludzie mogli przewidywać nadejście suszy lub chłódów, zamiast w listopadzie zbijać się na jakiejś skale w stadka i żywić żalosaną nadzieję, że wiosna jest tuż za progiem. Jeszcze dziś kładziemy dziatwie szkolnej do głowy, że istnieją cztery pory roku - nawet najnowocześniejsi z nowoczesnych nauczycieli, którzy najwyraźniej nie dbają o to, czy ich podopieczni umieją czytać i pisać albo wymienić dwa narodowe produkty peruwiańskie, zdo-

* Księga Rodzaju 8,22. bywają się na sezonowe pogawędki z uczniami i każą im ozdabiać ściany klasy papierowymi dyniami albo tulipanami. „Ludzie są bardzo wrażliwi na zmiany pór roku” - napisał w jednym ze swoich listów van Gogh.

Nawiasem mówiąc, to, że jesteśmy „bardzo wrażliwi na zmiany pór roku”, należy do kilku dobrze uzasadnionych powodów, by zrezygnować z podróży. Jeżeli zostanę w domu, będę żyła złudzeniem, że to, co dzieje się nad Tinker Creek, to jakaś najnowsza moda, że jestem w awangardzie i ściślej czołówce każdego kolejnego sezonu. Nie chcę tej samej pory roku dwa razy pod rząd; nie chcę wiedzieć, że mam pogodę z zeszłego tygodnia, pogodę używaną, pogodę przepowiedzianą wszystkim na całym wybrzeżu, pogodę starej daty.

Ale zawsze może się trafić pogoda nietypowa. To, co myślimy o pogodzie i życiu na naszej planecie w dowolnej porze roku, jest w zasadzie kwestią statystycznego prawdopodobieństwa, bo w każdej chwili wszystko się może zdarzyć. W każdej porze roku znajdziemy ślady wszystkich pozostałych. Rośliny zielone, które zrzucają liście, rosną przez całą zimę, a blade, świeże pędy pojawiają się na nich przez okrągły rok.

Z drugiej strony znam drzewo, którego liście usychają już w maju - żółkną i opadają do potoku. Między kalendarzem, pogodą i zachowaniem dzikich zwierząt istnieje jedynie bardzo słaby związek. Wszystko współgra ze sobą gładko zaledwie przez kilka tygodni, a potem znów się gmatwa. Oczywiście temperatura pozostaje daleko z tyłu za kalendarzowymi porami roku, ponieważ ziemia pochłania i emituje ciepło powoli - tak jak oddycha Lewiatan. Ptaki wędrowne odlatują na południe na pozór w skrajnej panice, kiedy jest jeszcze całkiem ciepło, a na polach można znaleźć mnóstwo owadów i nasion, po czym wracają skwapliwie w styczniu i popatrując posępnie na boki, poszukują pożywienia pod śniegiem. Kilka lat temu kolorowa fotografia naszego lasu zrobiona w październiku stanowiłaby makabryczną ozdobę kalendarza dla sadystów, bo morderczy mróz przyszedł, jeszcze zanim liście choćby zaczęły żółknąć, więc poczerńnię zwieszały się bezwładnie ze wszystkich drzew jak bibułkowe ozdoby choinkowe. Pogoda to kwestia przypadku, a w każdym razie nic pewnego - bo nic pewnego na tym świecie nie ma.

Czas to nieprzerwany krąg, wężowa skóra, na której łuski zachodzą na siebie bez

początku i końca, choć jeśli wolicie, można powiedzieć, że czas jest wstępującą spiralą, jak sprężynowa zabawka zwana Slinky.

Oczywiście nie mamy pojęcia, który z jej łuków na okręgu to nasz czas, nie wspominając już o tym, gdzie ów okrąg, by tak powiedzieć, przebiega, ani po czyich to wysokich schodach Slinky tak zręcznie się wspina.

Siła czy moc, której poszukujemy, również wydaje się być zamkniętym kręgiem. Zawsze podobała mi się ta stara koncepcja bóstwa, tkwiącego nieruchomo w jednym miejscu albo wędrującego nad ziemią, jak człowiek wędruje po ziemi - co oznaczałoby, że jeśli bóstwo jest „tam”, to niewątpliwie nie ma go „tutaj”. Można uściskać dłoń człowiekowi, którego spotka się w lesie, ale duch wydaje się toczyć przed siebie niczym mityczny wąż, który połknął własny ogon.

W tym przypadku nie ma żadnych rąk, które można by uściskać, ani węzłów, które dałoby się rozsypać. Duch toczy się po skalnych występach niczym kula ognista, od czasu do czasu strzelając snopem iskier, i nie da się go spętać, spowolnić, pochwycić, zatrzymać, obdrzeć ze skóry ani nim pokierować. „Słyszałem, że kołom została nadana nazwa galgal”*. Oto ogniste koło, które pomyka nad progami strumienia albo wiruje na oszołomionych łąkach; oto podpalacz słonecznego lasu - złap go, jeśli potrafisz.

* Księga Ezechiela 10,13; galgal oznacza „wir” albo „zestaw kół”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Terazniejszość

I

Złap go, jeśli potrafisz.

Nadszedł początek marca. Jestem półprzytomna ze zmęczenia po długim dniu podróży do domu przez pół Ameryki. Zatrzymuję się na stacji benzynowej w jakiejś pipidówce w stanie Wirginia, na północ od Lexington. Młody chłopak, który jest tu szefem („A sprawdzić poziom oleju?”), proponuje mi darmową filiżankę kawy przy zakupie dowolnej ilości paliwa. Rozmawiamy w jego oszklonym biurze, a tymczasem moja kawa stygnie na tyle, że mogę się jej napić. Młodzieniec informuje mnie między innymi, że na konkurencyjnej stacji, znajdującej się dalej przy tej samej szosie, wisi widoczna z drogi międzystanowej wywieszka z napisem „Kawa za darmo”, a mimo to tamtejsi pracownicy żądają piętnastu centów, jeśli klient życzy sobie kawę w kubeczku z pianki styropianowej. A co - myślę sobie - miałby ją nabierać gołymi rękami?

Podczas rozmowy nowy nabytek chłopaka - szczeniak rasy beagle - buszuje po biurze, obojętnie obwąchując moje buty i druciany stojak z mapami drogowymi. Pogodna rozmowa z przypadkowo spotkanym człowiekiem otrzeźwia mnie i sprawia, że wprawdzie może nie odzyskuję w pełni sił, ale dostaję jakby zastrzyk energii. Wychodzę na zewnątrz, a beagle drepcze za mną.

Jestem tu całkiem sama - innych klientów nie ma.

Szosa jest pusta, a drogi międzystanowej stąd nie widać i nie słychać jadących nią samochodów. Zapędziłam się w nowy zakątek świata, w nieznane miejsce, do jakiegoś drugiego Brigadoon*. Przede mną rozciąga się niskie wzgórze, drżące żółtą trawą, a dalej, wypełniając całe niebo, wznosi się olbrzymi grzbiet górski, porośnięty lasami, żywy i niesamowicie rozświetlony jasnymi, rozedrganymi światłami. Nigdy wcześniej nie widziałam nic równie niespokojnego i rozwichrzonego. Ogromne smugi i kłaki chmur pędzą nad moją głową na północny zachód jak w gorączce złota.

Za moimi plecami zachodzi słońce - dlaczego tego wcześniej nie zauważyłam? Mój umysł od kilku godzin przypominał pustą czarną tabliczkę, ale to nie zatrzyma rozpędzonego słonecznego koła. Stawiam kubek z kawą na krawężniku, czuję niesiony wiatrem zapach glinianej zaprawy, głaszczę pieska i wpatruję się w górskie zbocze.

Odruchowo pieszczę kosmaty grzbiet beagle'a, drapię go za uszami, po karku, po wewnętrznej części łap i po gorącym, bezwłosym brzuszku.

Na pofałdowanych górskich zboczach tańczą cienie - stają się coraz dłuższe i cieńsze, przypominają

* Tytułowe miasteczko z filmu z 1954 roku w reżyserii V. Minelliego, które raz na sto lat budzi się do życia na dwadzieścia cztery godziny. końcówki korzeni albo strużki rozlanej wody i pędzą przed siebie coraz szybciej. Wszystkie skalne zakamarki wypełnia ciepła purpura, która ciemnieje i rozlewa się, żłobiąc kolejne szczeliny i kaniony. Płasząc i ślizgając się po zboczu, purpura wydobywa z półmroku bezlistny las i pomarszczone skały w pozłocie, w nieustannie zmieniających kształty płatach blasku. Te złote światełka kręcą się na wszystkie strony, wracają po własnych śladach, pękają i szybują w seriach oślepiających rozbrzygów, kurcząc się, rozlewając i eksplodując. Na zboczu wydymają się guzy i wybrzuszenia; cała góra wydaje się przybliżyć o kilka kilometrów; światło staje się cieplejsze i czerwienieje; nagi las fałduje się i faluje na moich oczach niczym protoplazma, wydruk maszynowy albo oscylograf, niespokojnie rejestrujący tę właśnie chwilę. Robi się chłodniej, ale mały beagle jest bardzo ciepły, a we mnie jest teraz więcej życia niż na całym świecie.

Myślę, że to jest to, to właśnie to, teraz, to ta chwila, ta bezludna stacja benzynowa tutaj, to ten zachodni wiatr, ten posmak kawy na języku - i znowu głaszczę pieska i przyglądam się górze. Ale w tym samym momencie, w którym werbalizuję w głowie ową myśl, przestaję widzieć górę i czuć beagle'a pod ręką. Mój umysł zmienia się w nieprzezroczystą czarną tabliczkę. Jednak w tej samej chwili, a więc w momencie, kiedy zdaję sobie sprawę, że czar prysnął, uświadamiam sobie również, że leżący na brzuchu piesek wciąż wierci się pod wpływem moich pieszczot. Dla niego nic się nie zmieniło. Rozrzuca łapy na boki, zadziera łeb daleko do tyłu i wypręża się, żeby lepiej czuć dotyk moich palców na wygiętym w łuk futrzastym boku, w pachwinie i na odsłoniętej szyi.

Popijam kawę i spoglądam na górę, wciąż wyczyniającą swoje sztuczki, jak spogląda się na ciągle piękną twarz kochanka, z którym los zetknął cię wiele lat temu w innym kraju: patrzysz na niego z pełną czułości nostalgią, ponieważ poznajesz tego mężczyznę, ale nie żywisz już dla niego prawdziwych uczuć; co najwyżej ogarnia cię ciche zdumienie, że jesteście sobie obcy. Dzięki. Za wspomnienia. Jest jakaś ironia w tym, że to, co według wszystkich religii świata dzieli nas od Stwórcy - nasza samoświadomość - stanowi również barierę między człowiekiem i innymi żywymi stworzeniami. To gorzki prezent urodzinowy od ewolucji, który odcina nas zarówno od tego, jak i tamtego świata. Wsiadam do samochodu i wracam do domu.

Złap go, jeśli potrafisz. Teraźniejszość to niewidoczny elektron; jego błyskawiczny szlak, rysujący się słabo na czarnym ekranie, miga, przemija i znika.

Nie chodzi mi tylko o to, że przedwcześnie wyrwałam się z owego transu - że zasłoniłam sobie oczy łuskami, aby nie widzieć już góry, i że włożyłam rękawiczkę, aby wzniesić zaporę pomiędzy mną i tym pieskiem. Prędzej czy później moja wizja i tak by się skończyła. Nie widziałam nigdy zachodu słońca i nie zaznałam wiatru, który by się nie skończył. Lewitujący święci zawsze ostatecznie dotykają ziemi, a ich nogi muszą udźwignąć ciężar ich ciał. Nie, chodzi mi nie tylko o to, że czas leci, a my w końcu umieramy, ale i o to, że człowiek w ogóle potrafi żyć w takich wariackich warunkach, a w pewnych niewytłumaczalnych chwilach ktoś lub coś łaskawie pozwala mu zdać sobie z tego sprawę.

Zadziwił mnie Stephen Graham, który opisuje identyczne zjawisko w swojej starej, kunsztownej książce *The Gentle Art of Tramping* (Szlachetna sztuka trampingu): „Kiedy człowiek siedzi na zboczu wzgórza, leży pod drzewem w lesie albo wyleguje się z jeszcze mokrymi nogami na kamienistym brzegu gdzieś nad górskim strumieniem, nieoczekiwanie otwierają się przed nim wielkie drzwi, które wcale drzwi nie przypominają”. Ogromne wrota iluminacji otwierają się w takich chwilach na teraźniejszość, rozjaśnioną migotliwym światłem niezliczonych pochodni.

Dawniej, ponieważ widziałam kiedyś „drzewo pełne światełek”, myślałam, że wielkie drzwi z definicji otwierają się „na” wieczność. Teraz, kiedy „pogłaskałam pieska” - gdy doświadczyłam teraźniejszości wyłącznie zmysłami - odkryłam, że chociaż drzwi, za którymi ujrzałam „drzewo pełne światełek”, były drzwiami otwierającymi się „z” wieczności, która te światełka zapaliła, to jednocześnie otwierały się one również na prawdziwy i obecny w teraźniejszości cedr. Otwierały się na czas - bo na co innego mogłyby się otworzyć? O tym, że Chrystus w nieprawdopodobny sposób, urągający zdrowemu rozsądkowi, stał się człowiekiem w konkretnym czasie i miejscu, mówi się - nawet wśród ludzi wierzących głęboko i szczerze - jako o „skandalicznym wyjątku” od reguły. No cóż -

„skandaliczny wyjątek” obejmuje w całości nasz świat, jedyny świat, jaki znam - i oczywiście można uznać ten stan rzeczy za wyjątkowy skandal. Na co wieczności światło? Wszyscy tkwimy w tym skandalu po szyję. Równie dobrze moglibyśmy zapytać, dlaczego to platan, a nie drzewo bo? Nigdy nie widziałam drzewa, które nie byłoby drzewem określonego gatunku, konkretnym i wyjątkowym. I nigdy nie spotkałam człowieka, nawet wśród największych teologów, który umiałby wypełnić wieczność albo którego, powiedzmy, ręka byłaby pozbawiona palców i przypominałaby naleśnik, nie rozplątany i nie podzielony na segmenty

„palcowe” wskutek inwazji czasu.

Nie chcę kłaść na to porównanie zbyt wielkiego nacisku. Wizja „drzewa pełnego światełek” była oczywiście czymś skrajnie różnym od głaskania pieska, zarówno w sensie jakościowym, jak i pod względem znaczenia. Na tamtym cedrze zapłonęły, choć na krótko, jednostajne, mocne, wewnętrzne płomienie wieczności, a teraz przez zbocze góry w okolicach stacji benzynowej przebiegły znane mi płomienie zachodzącego słońca. Ale zarówno wtedy, jak i teraz myślałam z narastającą egzaltacją: to jest to, to jest to; chwała Bogu; chwała ziemi. Doświadczenie czystej terażniejszości oznacza wewnętrzną pustkę - dostępujemy łaski, ale jak człowiek, który napełnia wodą kubek, stojąc pod wodospadem.

Świadomość sama w sobie nie przeszkadza nam żyć terażniejszością. Bo prawdę mówiąc, wielkie wrota otwierają się na terażniejszość tylko wtedy, kiedy osiągamy stan wyższej świadomości. Wystarczy dokonać choćby częściowej wewnętrznej werbalizacji, by zapamiętać to, co dzieje się w danej chwili. W końcu mały beagle ze stacji benzynowej mógł przeżyć ten moment jeszcze „czystiej” niż ja, ale chociaż pracowaliśmy na tym samym materiale, jego instrumentarium było uboższe. Nie miał dość danych, by przeprowadzić analizę porównawczą, a korzyści, jakie dla siebie wyciągnął, były wyjątkowo niewyszukane - po prostu został podrapany tu i ówdzie, tam gdzie go swędziało.

Jednak samoświadomość, i owszem, w doświadczaniu terażniejszości przeszkadza. Jest to narzędzie, które jakby wyłącza całą resztę z kontaktu ze światem.

Tak długo, jak zatracam się, powiedzmy, w drzewie, czuję zapach jego liściastego oddechu, potrafię obliczyć, ile metrów sześciennych drewna można by z niego uzyskać, próbuję narysować jego owoce albo ugotować herbatę w jego gałęziach, drzewo przez cały czas pozostaje drzewem. Ale w chwili kiedy uświadamiam sobie, że to ja dokonuję każdej z tych czynności - kiedy, by tak rzec, oglądam się na samą siebie przez ramię - drzewo znika, zostaje poniekąd wyrwane z korzeniami i odrzucone poza zasięg mojego wzroku, jak gdyby w ogóle nigdy tu nie rosło. A czas, który spływał na to drzewo, niosąc z każdą chwilą nowe objawienia jak płynące z prądem liście, zatrzymuje się. Zostaje zatamowany, nieruchomieje i zastyga.

Samoświadomość to przekleństwo miast i tego wszystkiego, co implikuje wyrafinowanie i złożoność.

To widziana przez króciutką chwilę własna twarz w szybie wystawowej i świadomość spontanicznej reakcji na twarzach obcych ludzi - to świat powieściopisarza, nie poety. Mieszkałam kiedyś w mieście i pamiętam, co ma do zaoferowania: ludzkie towarzystwo, bejsbol w pierwszoligowym wydaniu oraz szum napływających coraz szybciej bodźców,

przypominających gwałtownego kopa po zażyciu silnego narkotyku, pod którego wpływem człowiek natychmiast popada w otępienie. Pamiętam, że w mieście ludzie zawsze czekają na odpowiednią okazję i myślą (o ile przystaną na moment, żeby pomyśleć): „W przyszłym roku... zacznę żyć naprawdę... W przyszłym roku... rozpocznę nowe życie”. Naiwność to lepszy świat.

Naiwność widzi, że „to jest to”, i uznaje, że ma dość świata i czasu. Nie jest przywilejem małych dzieci i piesków, a tym bardziej gór i niezmiennych gwiazd, które nie mają żadnych przywilejów. Nie utraciliśmy jej; świat nie jest aż taki zły. Jak po każdy dobry dar ducha, możesz po nią sięgnąć, jeśli chcesz, możesz o nią poprosić, co podkreślali już znacznie bardziej wpływowi ode mnie autorzy. Można ścigać naiwność niczym psy gończe zająca, ją jedynie mając przed oczami, a więc poniekąd z miłości, pędząc przez strumienie, z największym zapalem, tracąc orientację pośród pól i lasów, kołując, pokonując żywopłoty i wzgórza z szeroko otwartymi oczami, mimo woli dając głośno wyraz swojej najgłębszej i najbardziej niepojętej tęsknocie, z pierwotnym ogniem w sercu, gdy po górach przetacza się dźwięczne, chóralne echo, które przeskakuje ponad dolinami z jednego występu skalnego na drugi, to cichsze, to znów głośniejsze, a tymczasem psy z otwartymi pyskami rozrywają na strzępy echa swojego skomlenia, pulsującego im cichutko w piersiach.

To, co ja nazywam naiwnością, to stan nie nakierowanej na siebie samoświadomości ducha w każdym momencie czystego zatracenia w danym przedmiocie.

To z jednej strony akt percepcji, a z drugiej całkowite skupienie się na przedmiocie postrzegania. Człowiek nie musi i nie powinien zniżać się do poziomu pieska.

Jeśli chcecie mi powiedzieć, że w mieście są galerie sztuki, naleję wam drinka i będę się cieszyć waszym towarzystwem, dopóki to będzie możliwe - ale aż po grób będę pamiętać te niewinne chwile w Täte Gallery

(czy to na pewno było w tym muzeum?), gdzie stanęłam przed pewnym obrazem jak wryta, z otwartymi ustami, jak nowo narodzona, zanurzając się aż po szyję w wyobrażonej na płótnie rzece, dysząc ciężko, zagubiona, pogrążając się w odmętach i głębinie akwareli, pogodna i zdjęta grozą, i w końcu trzeba było mnie stamtąd dosłownie odciągnąć siłą. Oto przykłady nielicznych żywych, ludzkich „pór roku”. Pozwólmy im trwać w możliwie jak najczystszej formie - iw terażniejszości.

Kolorowe plamy wizji rozstępują się, przesuwają i przekształcają, kiedy posuwam się naprzód w czasie i przestrzeni. Przedmiotem tej wizji jest terażniejszość, a w każdej jej chwili widzę przed sobą pole pełne bezładnie porzrzucanych kolorowych punktów.

Żadna ich konfiguracja nigdy się nie powtórzy. Życie to ruch; czas jest żywym

strumieniem, niosącym zmieniające się wciąż światła. Kiedy się poruszam albo kiedy świat krąży wokół mnie, pełnia tego, co widzę, zostaje strzaskana. Ta chwila to Augenblick, konfiguracja szczególna, ukośny promień światła, sięgający otwartego oka. Faust Goethego ryzykuje wszystko, prosząc chwilę, Augenblick: „Verveile doch!” - trwaj. Kto z nas nie modlił się o to? Ale Augenblick nigdy nie będzie verveile. Masz szczęście, jeśli w ogóle ta chwila została ci dana. Teraźniejszość to jakby płótno malarskie, które dostaje się w prezencie. Nie trzeba dodawać, że jest potem ciągle rozdierane i spływa w końcu do morza z wodami strumienia; niemniej płótno pozostaje płótnem.

Lubię ukośne światło; jestem jego kolekcjonerką. „To ładne - mówię sobie - ten fragment brzegu, ta węzowa skóra, to akwarium i ta płachta światła bijącego ze strumienia, kładąca się na korze”. Czasami rozkładam palce, tworząc coś w rodzaju judasza, ale częściej patrzę na świat przez maleńki kwadracik albo prostokącik - kadr cienia - utworzony przez połączenie czubków palców wskazujących i kciuków obu rąk, które unoszę na wysokość oczu. Mówiąc o rozwoju techniki papier colle w późnym okresie kubizmu, Picasso powiedział: „Próbowaliśmy zrezygnować z trompel’oeil na rzecz trompel’esprit”. Trompel’esprit! Nie rozumiem, dlaczego to wyrażenie nigdy się nie przyjęło.

Całe nasze życie jest przechadzką - albo raczej przymusowym przemarszem - przez galerię, obwieszoną właśnie trompesl’esprit.

Bawiąc kiedyś na pewnym wielkim, a nie znanym mi wcześniej uniwersytecie, zabłąkałam się w podziemia, gdzie mieści się tamtejszy słynny wydział nauk biologicznych. Zauważyłam tabliczkę na drzwiach:

„Zakład Ichtiologii”. Drzwi były lekko uchylone, więc przechodząc obok, zajrzałam do środka. Niewiele zobaczyłam. W środku, na wysokich stołkach przy stole laboratoryjnym, siedziało naprzeciwko siebie dwóch mężczyzn w białych kitlach. Pochylali się nad identycznymi, białymi, emaliowanymi, tacami. Pierwszy facet rozcinał lancetem jakąś wielką spreparowaną rybę, którą wyciągnął ze słoja. Drugi trzymał w ręce srebrną łyżeczkę i zajadał grejpfruta. Śmiałam się z tego widoku przez całą drogę powrotną do Wirginii.

Michael Goldman napisał w jednym ze swoich wierszy: „Kiedy przychodzi Muza, nie każe ci pisać;

/ Mówi: wstań na chwilę, chcę ci coś pokazać; stań tutaj”. Co kazało mi spojrzeć na przydrożne drzewo?

Droga prowadząca do Grundy w stanie Wirginia, jak można się spodziewać, jest wąskim bazgrołem, biegnącym przez najbardziej nieprawdopodobnie spiczaste, a zarazem garbate góry na świecie. Nieliczni mieszkańcy tej okolicy również są wysocy i przygarbieni.

Ale co to, u licha...? Było gorące, słoneczne lato, droga zakręcała ostro w prawo, a ja już od dłuższego czasu nie widziałam żadnych zabudowań. Na wierzchołku łuku rósł olbrzymi dąb, potężne, dwustuletnie drzewo o wysokości pięćdziesięciu metrów - drzewo, którego najniższej gałęzi nie można byłoby dosięgnąć, nawet wspinając się na najwyższą drabinę.

Podniosłam wzrok: na dębie wisiało pranie. Czerwone koszule, niebieskie i czarne spodnie, fartuszki dziecięce... Nie wisały w głębi, na grubych konarach, przy pniu, lecz na zewnętrznych, najcieńszych gałązkach.

Pranie było starannie rozłożone wokół korony olbrzymiego drzewa, równiutko, żeby dobrze wyschło. Czy były tam poszwy albo koce? Nie pamiętam, pamiętam natomiast kolorowy, szeroki asortyment bawełnianej bielizny, żółte sukienki, zielone sweterki dziecięce, kraciaste spódnice... Wiecie, jak to jest na drodze: człowiek napotyka zakręt, odruchowo pokonuje go i jedzie dalej. Obejrzałam się nawet na ułamek sekundy, zdziwiona; drzewo od góry do dołu obwieszane było dookoła ubraniami. Trompe!

Jednak terażniejszość to coś więcej niż seria takich migawek. Nie jesteśmy po prostu czułym filmem; mamy emocje, zapamiętujemy różne informacje i dysponujemy ejdetyczną pamięcią obrazów z przeszłości.

Wielowarstwową świadomość ludzką można porównać do wielościeżkowego projektora, odtwarzającego niezliczoną liczbę koncentrycznie zwiniętych taśm. Z każdej z nich przez całe ludzkie życie płyną oślepiające, niewyraźne obrazycienie; i z każdej z nich w każdej chwili płynie osobna tajemna melodia, grana w szczególnej, wyjątkowej tonacji. Nastrajamy się odpowiednio na odbiór i zmieniamy stację. Ale przeszłe chwile nie są stracone. Zamierzchła, niepamiętna przeszłość to przecież także czas, tylko skumulowany, który niejako zasila terażniejszość. Budzisz się z drzeniem nawet z najgłębszego snu - jesteś starszy, bliższy śmierci, ale zarazem mądrzejszy, wdzięczny losowi za to, że jeszcze oddychasz. Wstajesz z fotela w zaciemnionej sali kinowej, przechodzisz przez pusty hol, pchasz podwójne oszklone drzwi i wychodzisz na ulicę niczym Orfeusz. Od skumulowanej mocy terażniejszości, o której zapomniałeś, kręci ci się w głowie i chwiejesz się na nogach, jakby ktoś zdzielił cię na odlew deską. Wszystkie wspomnienia wracają wielką falą. Tak, mówisz sobie, „tak”, jakbyś spał od stu lat, „to jest to”, taka jest dzisiaj pogoda; lawendowe światło przygasa, wciągasz w płuca wilgoć, a na twoich ustach i rękach osiada bijące od chodnika ciepło - nie czujesz suchego pomarańczowego pyłu, tryskającego spod kopyt końskich, słonego morza i kwaskowej cocacoli, lecz tylko gęste powietrze, krew pulsującą znowu w twoich udach i niespokojne palce. Wracasz do domu samochodem w uniesieniu, pełen energii, jadąc pod osłoną pachnących drzew, których sylwetki rysują się na tle nieba.

II

Siedzę pod platanem nad Tinker Creek. Jest wczesna wiosna, dzień po spotkaniu z pieskiem. Przyszłam nad strumień - płynący w tym miejscu za moim domem - w środku dnia, by poczuć w powietrzu powoli wzrastające ciepło, ciepło prawdziwie wiosennego słońca, i popatrzeć, jak płynie świeża woda. Nie powinnam spodziewać się tu niczego więcej, tylko tego, że będę błędzić myślami. Jestem na targowisku i poszukuję czasu terazniejszego; co roku rozglądam się za nim coraz częściej, robiąc zakupy. Sprzedający mają przewagę na rynku - czy sądzicie, że nie sprzedam wszystkiego, co mam, by kupić to, co chcę? W jednym ze swoich dzienników z Getsemani Thomas Merton napisał: „Propozycja zmiany w modlitwie «Ojcze nasz»: zastąpić «Przyjdź królestwo Twoje» słowami

«Daj nam czas!»”. Ale czas to właśnie jedyna rzecz, jaką nam dano, my zaś zostaliśmy oddani czasowi. Czas nas kołuje. Budzimy się ze snu, którego nie możemy sobie przypomnieć, rozglądamy się wokoło ze zdumieniem i ponownie zapadamy w sen, i tak bez końca przez długie lata. Wszystko, czego chcę, to nie zasnąć, żyć z podniesioną głową i mieć oczy otwarte, choćbym miała podtrzymywać powieki wstawionymi na sztorc zapalkami - albo drzewami.

Strumień w tym miejscu mierzy prawie sześć metrów szerokości. Obmywa skałki piaskowca oraz porozrzucane tu i ówdzie kamienie. Mam szczęście; Tinker Creek jest tutaj dziki i głośny, właśnie z powodu tych skałek i kamieni. Kiedy latem i jesienią woda opada, mogę przejść na drugą stronę, skacząc z kamienia na kamień. Wyżej wznosi się ściana światła, rozwarstwiona przez gładkie półki piaskowca, która wcina się w strumień równiuteńko, jak schody. Niżej żywa woda zastyga w bezruchu, zamiera nagle niczym zdmuchnięty płomień, a potem znika za zakrętem pod osłoną pochylających się nad nią w lecie i w zimie tulipanowców, robinii akacjowych i żółtnic. Jak okiem sięgnąć, widzę nadbrzeżne drzewa, których pochyle pnie na tle wody i trawy uwydatniają wypiętrzone w tym miejscu niemal pionowo skały. Strumień pozwala odpocząć oczom - jest jak przystań albo pierś - a dwa wysokie, strome brzegi otulają go niczym skrzydła. Nawet platan nie jest w stanie wyrzeć stąd na świat.

Moja przyjaciółka Rosanne Coggeshall, poetka, powiada, że angielskie słowo sycamore, oznaczające platan, to najpiękniejsze słowo w języku Shakespeare'a.

Ten tutaj jest starym drzewem; jego pień nisko nad ziemią pokrywa zaschnięty muł, który co roku nanoszą wezbrane wody strumienia. Podobnie jak inne platany, i ten jest figlarzem, lubi wycieczki i chętnie dałby stąd nogę. Pochyla się nad strumieniem pod zawrotnie ostrym kątem, a z jego pnia wyrasta długa, cienka pojedyncza gałąź, która wysoko

nad wodą sięga drugiego brzegu. W strumieniu odbija się jej nakrapiana kora, blada nawet na tle wysokich chmur; jej odbicie blednie jeszcze bardziej i rzednie nad powierzchnią wody, po czym pęka na skałach i znów się zrasta, drżące i cętkowane jak jakiś olbrzymi przedpotopowy gad wodny.

Chcę myśleć o drzewach, albowiem pozostają one w interesującej relacji z problemem chwili obecnej.

Istnieje we wszechświecie wiele rzeczy, które nas przeżyją - ba, które przeżyją słońce, ale nie jestem w stanie o nich myśleć. Ja żyję wśród drzew. Istnieją stworzenia pełzające pod naszymi stopami, stworzenia, które fruwać nad naszymi głowami, ale drzewa, oczym nietrudno się przekonać, żyją w tym samym włókienku powietrza co my, a w dodatku rozrastają się imponująco w obu kierunkach, w górę i w dół, krusząc skały i falując na wietrze - a więc prowadzą swoje osobiste interesy niejako poza naszym zasięgiem. Ślepiec, który pragnie nadać znaczenie pojęciu ogromu, myśli właśnie o drzewie. Drzewa mają potężne pnie i szczególne umiejętności; potrafią magazynować wodę i są wytrzymałe. Dobrym przykładem jest ten platan, rosnący nad brzegiem Tinker Creek, zarówno nade mną, jak i pode mną - na jego widok w mojej głowie kłębią się sprzeczne myśli, niemal równie namacalne jak ukłucia źdźbeł trawy, które czuję na łokciu. Chcę poruszyć temat terażniejszości, pokazując, jak nasza świadomość pomyka i kłusuje w labiryncie umysłu, powracając co chwila, chociaż na krótko, do zmysłów.

„Gdyby z lasu zostało chociażby jedno żywe drzewo, wszystkie zwierzęta przychodziłyby się o nie ocierać, traktując je również jako punkt oparcia” - pisze dalej Merton. Ale dopóki tkwię we własnych myślach, nogi zaplątują mi się w korzenie drzew - przewracam się więc, bądź tańczę.

Platany należą do drzew, które najpóźniej pokrywają się listowiem, a jesienią tracą je jako pierwsze. Przez pewien czas wytwarzają w swoich rozłożystych, zielonych, szerokich jak talerze liściach słodki sok - a potem zaczynają szaleć, wymachując długimi białymi ramionami. W starożytnym Rzymie czczono platan*

(a raczej jego kuzyna, platan wschodni), podlewając go winem. Czytałam gdzieś, że Kserkses kazał się kiedyś zatrzymać swojej niezwrotnej, ciężkozbrojnej armii, bo „pragnął się nacieszyć” pięknym widokiem samotnego platanu.

Persja. Jesteś Kserksesem, a twoi żołnierze wkraczają na wielki, jałowy, spieczony penepen... Wzywasz wszystkich swoich posępnych dowódców i wydajesz im rozkaz wstrzymania marszu. Widzieliście „drzewo pełne światełek”, prawda? Jak to nie? Wybuchasz gnie-

* Platan zachodni należący do rodziny platanowatych różni się nieco od swojego europejskiego krewniaka, a nazwą sycamore, jakiej używa autorka, określa się także rosnący na Bliskim Wschodzie rodzaj figowca. Wem, który jest w stanie zatrzymać każdą armię, a twoje ambicje militarne ulatniają się w jednej chwili. Żołnierze są zdezorientowani; wspierają się na włóczniach i wysysają wodę z tykw. W tym pustynnym, płaskim krajobrazie nie ma na czym zawiesić oka poza bezchmurnym, pulsującym niebem, splachetkiem turzycy rosnącej pod osłoną smaganych wiatrem skał i cienką wstążeczką karłowatych wierzb, ciągnącą się wzdłuż leniwie płynącego kanału. No i poza tym platanem...

Widziałeś go; i nadal stoisz w niemym zachwycie, w uniesieniu. Przez kilka następnych dni pamiętasz albo nie pamiętasz o tym, żeby zakrywać sobie głowę tuniką, osłaniając ją w ten sposób przed słońcem.

„Kazał wyryć podobiznę tego drzewa na złotym medalionie, by zapamiętać je na całe życie”. Dzwonisz zębami - zaraz nastanie świt, a ty ocknąłeś się na chwilę z odurzenia. „Złotnik!” Złotnik jest w złym humorze, zaspany i półprzytomny, ale rozpała ogień, rozkłada swój warsztat, rozwija zakurzone bawełniane gałganki, w których spoczywają już niemal zapomniane ryłce i szczypce, i czeka, aż wszędzie słońce. Wszyscy powinniśmy mieć takiego złotnika, który wszędzie by za nami jeździł. Ale chyba rozumie się samo przez się, Kserksesie, że żaden złoty medalion na szyi nie przywróci tej radosnej godziny, nie podtrzyma jej płomieni przez całe twoje życie i nie zapewni jej wiecznej obecności? Pascal też widział ten ogień. Chwycił pióro i papier - ale udało mu się zapisać tylko jedno słowo: FEU, a potem zaszył karteczkę w swojej koszuli, aby towarzyszyła mu przez resztę życia. Nie wiem, jakie drzewo widział Pascal. Ja widziałam cedr, a Kserkses platan.

Te drzewa mnie poruszają. Przeszłość wsuwa palec w rozciętą skórę teraźniejszości i rozciąga ją. Pamiętam platany, które rosły - i zapewne nadal rosną - w mieście, w Pittsburghu, nawet przy najbardziej ruchliwych ulicach. Potrafiłam siedzieć za domem całymi godzinami, rozmyślając o niebieskich migdałach, leniwie obrywając nakrapianą korę z platanowego pnia i zaśmiecając trawę jej zeschniętymi pasemkami, które wyglądały jak obierki. Pod zdartą korą, na wysokości moich oczu, pień był wilgotny, pokryty jakby cieniutką skórką i żółty. Wreszcie ktoś wyglądający przez okno zauważył, co robię, i wtedy wracałam do rzeczywistości, przyglądałam się zdumiona swemu dziełu i myślałam, że niestety, tym razem ten platan na pewno przeze mnie uschnie.

Tutaj, w Wirginii, drzewa osiągnęły ogromne rozmiary, zwłaszcza na nizinach, nad brzegami rzek. Trudno pojąć, jak drzewo tego samego gatunku może rosnąć bujnie zarówno przy pełnej spalin Penn Avenue w Pittsburghu, jak i moknąc, w Tinker Creek. Zastanawiam

się nad tym i oczywiście dochodzę w końcu do wniosku, że ze mną jest podobnie. Kora platana nie jest elastyczna, lecz łamliwa, więc narastając, nieustannie się łuszczy. Oglądane z daleka platany wydają się tym bledsze i kruchsze, im są wyższe - a na tle nieba ich najwyższe, nagie gałęzie wyglądają na białe.

Niebo jest ciemne i dalekie, pokryte siecią platanowych gałęzi, przypominających skrzyżowane szable. Ledwo je widzę, bo wcale na nie nie patrzę. Nie przychodzę nad strumień, żeby dotknąć nieba, ale w poszukiwaniu schronienia. Opieram się plecami o stromy brzeg pod platanem. Przede mną połyskuje strumień, którego światło właściwie w zupełności mi wystarczy, a dalej wznosi się drugi brzeg, również stromy i porośnięty drzewami.

Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego tylu mistyków różnych wyznań doświadcza obecności Boga na szczytach gór. Czy nie boją się, że zostaną z nich zdmuchnięci? Bóg powiedział Mojżeszowi na Synaju, że nawet kapłani, którzy mają do Niego dostęp, muszą się najpierw oczyścić, w przeciwnym razie bowiem Pan ich „pobije”. Oto pierwotny lęk. Czasami najlepiej jest siedzieć cicho i nie rzucać się w oczy, zamiast wystawiać swojego ducha na pokaz na wysokości, niczym piorunochron. Albowiem jeśli Bóg okazuje się w pewnym sensie zarzewiem, kulą ognistą, przebiegającą ziemię na wszystkich kontynentach, jest również niszczycielem, błyskawicą, ślepą siłą, równie obojętną jak ziemskie powietrze. Bóg inaczej to niejaki „Pan B.”, a w każdym zacisznym niczym dziupla schronieniu ogarnia nas krzepiące poczucie, że tu zagraża nam najwyżej stosunkowo cienki słup powietrza, pod którego postacią może ukrywać się On.

Natomiast na otwartej przestrzeni wszystko jest możliwe. Dorothy Dunnett, wielka mediewistka, stwierdza kategorycznie: „Na otwartym terenie nie można się odgryźć strzelającemu z ukrycia łucznikowi”. Każdy wąż mokasyn to właśnie łucznik w ukryciu, a cóż dopiero Bóg! Od początku świata niewidzialność była najlepszą kryjówką, a że jedyna nieskończona siła tak ekstrawagancko i niezrozumiale kupczy wszystkimi rodzajami śmierci - rano, w południe i wieczorem - przybiera w istocie postać ukrytego łucznika - nie da się temu zaprzeczyć. Z kolei my, ludzie, jesteśmy strasznie słabi. Śmiertelność przenika nasze ciała na wskroś. Ludzkie nogi to strach, a ramiona - czas.

Zimne uczucia płyną wszystkimi naszymi, nawet najmniejszymi, włoskowatymi naczyniami krwionośnymi, obciążając każdą komórkę lodowatą drobiną niebytu, która rośnie, nabrzmiewa i wysysa ją. Dlatego odwaga fizyczna jest taka istotna (jakkolwiek by było, dowartościowuje nas) i dlatego tak bardzo dodaje nam animuszu. Najdrobniejszy akt odwagi, każde podjęte ryzyko czy wygrana utarczka słowna sprawiają, że człowiek puszy się jak paw.

Ale z czasem jest nam coraz trudniej. Odwaga dzieci i zwierząt jest funkcją niewinności, my zaś, dorośli, pozwalamy naszym ciałom podążać ścieżką lęku.

Nastoletni chłopiec, król całego świata, chętnie spędza całe tygodnie przed lustrem, prężąc mięśnie albo doskonaląc jakąś trudną sztuczkę z zapalniczką, piłką tenisową lub monetą. Dlaczego potem tracimy zainteresowanie sprawnością fizyczną? Jeżeli mam ochotę robić młynki gimnastyczne - a mam - to czemu się ich nie nauczę dzisiaj, zamiast żałować, że nie nauczyłam się tej sztuki w dzieciństwie? Wszyscy moglibyśmy skakać po drzewach jak wiewiórki albo nurkować jak foki; moglibyśmy być nieludzko cierpliwi i szybcy jak wiatr, a nawet chodzić na rękach, jeśli zmusiłoby nas do tego życie albo budowa fizyczna. Tymczasem nie potrafimy nawet siedzieć prosto i ciągle opuszczamy zmęczone głowy.

Kiedy tracimy niewinność - gdy ziemski atmosfera zaczyna nam ciążyć i gdy jak uczniowie Elizeusza dowiadujemy się, że „w kotle jest śmierć” - odchodzimy od zmysłów. Pieśń myszy domowej słyszą wyłącznie dzieci, bo tylko dzieci mają uszy otwarte.

Jedyne, czym dysponują dzieci, to zmysły; dzieci wyposażone są w dobrze rozwinięte „układy wejściowe”, przepuszczające wszystkie dane jak leci. Matt Spireng, który zgromadził kolekcję kilku tysięcy grotów strzał i włóczni, powiada, że ten, kto naprawdę chce znaleźć stare grotty, musi wybrać się na spacer z dzieckiem - bo dzieci podnoszą z ziemi absolutnie wszystko.

Przez całe dorosłe życie chciałam zobaczyć domek larwy chruścika, ale dopiero Sally Moore, córeczka moich przyjaciół, znalazła go kiedyś na kamienistym dnie płytkiego strumienia, na którego brzegu siedziałyśmy razem. „Co to jest?” - zapytała. Rozpoznając trofeum, które trzymała w ręku, chciałam odpowiedzieć, że to memento mori dla tych, którzy za dużo czytają.

Sally i ja znalazłyśmy tamtego dnia więcej domków larw chruścika, niż kiedy sama nauczyłam się je znajdować, a jeden z nich mam do dzisiaj. Jest to pusta w środku walcowata konstrukcja długości dwóch centymetrów, maleńkie arcydzieło sztuki murarskiej, zbudowane z pojedynczej warstwy grubych ziarenek piasku, zlepionych wydzieliną owadzych gruczołów.

Niektóre z tych „domków” są czerwone, i właśnie wypatrując tej barwy, w końcu nauczyłam się je zauważać, choć larwy chruścików budują swoje schronienia z każdego materiału, jaki im się nawinie. Entomolodzy zabawiają się nawet czasem, umieszczając nagą larwę w akwariu, wysypanym, powiedzmy, wyłącznie czerwonym piaskiem. Kiedy larwa otoczy się już kilkoma jego warstwami, badacz przenosi ją do innego akwariu, gdzie jest do dyspozycji jedynie biały piasek. Larwa pracowicie dodaje szeregi białych ziarenek do starszej, czerwonej ścianki domku, a wtedy znów zjawia się nasz entomolog i przenosi ją do

trzeciego, ostatniego akwarium, wysypanego piaskiem niebieskim. Zresztą nieważne - idzie mi przede wszystkim o to, że owo małe, niedojrzałe stworzenie podąża za głosem instynktu, każącym mu chronić swoje ciało przed niebezpiecznym światem. Jeżeli tworzącej

„murarskie mozaiki” larwie podsuniecie na przykład tylko duże, rozkładające się liście, to pogryzie je ona na małe kawałeczki i z nich zacznie budować swój domek, chociaż będzie to dla niej nie znany wcześniej budulec.

Zgodnie z powszechnie obowiązującą w przyrodzie regułą, żywe organizmy są miękkie w środku, po wierzchu natomiast twarde. Jednakże my, kręgowce, choć prowadzimy niebezpieczne życie, „po wierzchu” jesteśmy na ogół żałośnie bezbronni, jak obrane z kory drzewa. Często się o tym mówi, ale nikt nie ujął tego problemu równie sugestywnie jak Pliniusz: „Mając dość odpowiedniego tworzywa, Natura przydziela wszystkim istoty krom człowieka wedle wymogów gatunku: jednym dała skorupy, innym pancerze, twardą skórę, kolce, futro, sierść, włosy, miękki puch, pióra, łuski albo wełniste runo. Nawet pnie drzew oraz łodygi innych roślin przyroda chroni korą, a czasem podwójną jej warstwą, tako przed gorącem, jako i przed zimnem. Nagiego na gołej ziemi Natura złożyła jedynie człowieka, na wskroś żałosnego nieszczęśnika, który już w dniu narodzin płacze i lamentuje donośnie, począwszy od pierwszej chwili swojego przyjścia na świat”.

Siedzę pod platanem: moje miękkie, nieosłonięte ciało wystawione jest na najłżejsze nawet powiewy wiatru albo uderzenia niesionego przeni piasku. Teraźniejszość z perspektywy kogoś, kto siedzi pod drzewem, wygląda zupełnie inaczej - bo drzewa dominują nad nami. Platan rosnący na tyłach mojego domu nigdy nie usechł - chroniła go nawet ta najdelikatniejsza, ukryta pod korą skórka. Drzewa nie obrastają życiem, lecz martwym, coraz grubszym naskórką, przypominającym kolczugę. Co więcej, szanse ich przetrwania z wiekiem wręcz wzrastają. Niektóre drzewa, jak sekwoje olbrzymie, właściwie są nieśmiertelne - mogłoby je zniszczyć chyba tylko kolejne zlodowacenie, bo nie ma się ich nawet ogień. Drewno sekwoi pali się bardzo opornie, a jej kora jest prawie tak ognioodporna jak azbest. „Korona sekwoi, w którą kilka lat temu podczas jakiejś lipcowej burzy uderzył piorun, tliła się bardzo powoli, co najwyraźniej nie zaszkodziło drzewu, aż w końcu w październiku ugasiła je zamieć”. Niektóre drzewa zapuszczają korzenie palowe w skałach, a gęste sieci korzeni innych gatunków obejmują niekiedy całe hektary. Takich drzew nie obali żaden wichur, my zaś biegamy wokół tych obeliskowych tworów natury, kołysząc się na naszych delikatnych, drobnych stopach. Zachowujemy się jak na wycieczce albo na pikniku i obrastamy w tłuszcz w oczekiwaniu na śmierć. Czy powinnam wyryć swoje imię na tym pniu? A co by było, gdybym to ja przewróciła się w lesie: czy drzewo usłyszałoby mój

upadek?»><

Siedzę pod platanem nad brzegiem rzeki i błędzę swobodnie myślami. „Omawiając fachową literaturę poświęconą psychologicznej percepcji terażniejszości, Woodrow stwierdził, że przez terażniejszość rozumiemy chwilę nie krótszą niż dwie i trzy dziesiąte sekundy i nie dłuższą niż dwanaście sekund” - pisze Arthur Koestler. Jak ktoś może zmierzyć terażniejszość?

Kiedy tylko uświadamiamy sobie chwilę obecną, już jej nie ma. Powtarzam na przykład następującą frazę:

„smukłe szczyty gór” - i już po chwili te szczyty wybuchają w mojej głowie niczym wulkany. Widzę je: są zaskakująco poszarpane, ząbkowane na podobieństwo kuchennego noża i brązowe jak zeschnięte liście. Ich krawędzie są tak cieniutkie, że niemal przezroczyste.

Przez jedną z takich brunatnych turniczek na zboczu widzę sylwetkę krążącego w powietrzu szponiastego sokoła; przez drugą sięgam wzrokiem głębokich, cienkich żył rudy żelaza. Zaraz, zaraz... To nie jest Tinker Creek. A tak w ogóle to gdzie ja mieszkam? Tracę orientację, szybuję w powietrzu... Jestem w Persji, ale próbuję zamówić arbuza po niemiecku. Czysty obłąd.

Montażysta wyszedł ze studia i teraz taśmę filmową skleja jakiś idiota. Jaki mógłby być mój wkład do „literatury fachowej poświęconej psychologicznej percepcji terażniejszości”? Gdybym nie zapomniała zatrzymać stopera, nie byłabym teraz w Persji. Zanim wprowadzono sekundę jako jednostkę czasu, ludzie mierzyli trwanie krótkich zdarzeń, rachując uderzenia własnego serca. Ach, tylko jak to możliwe, że kiedy zobaczyłam „drzewo pełne światełek”, mój puls dotknęła arytmia, serce zamarło mi w piersi, a ja wciąż jestem tam, a nie tu?

W mojej głowie przesuwiają się kolejne sceny, napływające nie wiadomo skąd. Nigdy nie udaje mi się odkryć związku między daną sceną i tym, o czym świadomie myślę; nigdy też nie potrafię później wyraźnie takiej sceny odtworzyć. Jest niby duch, wyposażony we wszystkie królewskie insygnia, który unosi się nad deskami teatru, nie zauważony przez głównych bohaterów. Pojawia się w całości, w kolorze, bez słów, ale od razu, w tym samym momencie, zaczyna się rozwiewać: korty tenisowe przy Piątej Alei w Pittsburghu, posąg jeźdźca na koniu w waszyngtońskim parku, mieszczący się w suterenie sklep z sukienkami w Nowym Jorku - myślałam, że te obrazy już nic dla mnie nie znaczą. Nie są to stopklatki, kamera zawsze jest w ruchu. I każda scena zawsze w końcu usuwa mi się sprzed oczu, jak gdybym machinalnie schodziła ze wzgórza, skręcała za róg albo szła ulicą z kimś, kto mnie popędza, po czym odwracała się za siebie, żeby zobaczyć coś, co oddala się ode mnie i znika.

Teraźniejszość mojej świadomości jest sama w sobie zagadką i zawsze wydaje się kryć za zakrętem, niczym gałąź unoszona na fali powodziowej. Gdzie ja jestem? Nie jestem. „Ruinę, ruinę z ciebie uczynię taką, jakiej nigdy nie było...”*

No dobrze. Weź się w garść. Czy właśnie tutaj spędzam moje życie, w tym „gadzim mózdzku”, w tej lampie wieńczącej kręgosłup, wysyłającej na oślep w ciemność szaleńcze rozbliski niczym latarnia morska, która oświetla włochate odwłoki ciem, grzbiety wyskakujących z wody ryb i wraki szkunerów? Podpłyn trochę wyżej; wynurz się.

Siedzę pod platanem nad Tinker Creek. Naprawdę jestem tutaj, leżę pod drzewem na ziemi, wielowarstwowej z punktu widzenia geologii, i żyję. Ale pode mną, dokładnie pod moim spoczywającym na trawie ciałem, żyją też inne stworzenia, równie realne jak ja, dla których ta chwila i to drzewo „to jest to”, jak dla mnie. Weźmy na przykład górną warstwę gleby, grubości około trzech centymetrów, i cały wijący się w niej pod moimi rękami świat. W górnej, trzycentymetrowej warstwie ziemi leśnej biolodzy znaleźli

„przeciętnie 1356 żywych organizmów na każdy tysiąc centymetrów kwadratowych, w tym 865 roztoczy,

265 skoczogonków, 22 wije, 19 dorosłych chrząszczy i kilkudziesięciu przedstawicieli 12 innych gatunków...

Gdyby obliczono również populację mikroorganizmów, uzyskano by mniej więcej dwa miliardy bakterii oraz wiele milionów grzybów, pierwotniaków i alg - i to zaledwie w maleńkiej garstce ziemi, która zmieści-

* Księga Ezechiela 21,32. łaby się na łyżeczce do herbaty”. W ziemi śpią również poczwarki motyli, zwinięte w kłębek i odrętwiałe, bez snów. Powinnam zatem chyba uczynić te istoty częścią obecnej chwili, najlepiej jak potrafię. To, że nie będę zwracać na nie uwagi, nie odbierze im realności, jeśli natomiast dopuszczę je, jedną po drugiej, do mojej świadomości, może uda mi się ją poszerzyć, poszerzyć ludzką świadomość, jakakolwiek by była, o mgliste rozumienie świata tych stworzeń, wywołać w niej szmer, niepokój przypominający fale, jakie wzbudza na wodzie zanurzony w niej piżmoszczur, a w tym przypadku właśnie ta chwila, to drzewo. Chasydzka tradycja powiada, że jednym z obowiązków człowieka jest pomagać Bogu w dziele odkupienia poprzez

„oczyszczanie” świata. Olbrzymim wysiłkiem ducha człowiek pobożny uwalnia boskie iskry, skryte w milczących tworach czasu, uwzniośla różne formy oraz momenty stworzenia, unosząc je wysoko w rozrzedzonym powietrzu i poddając działaniu oczyszczającego ognia, w którym musi pęknąć każde gliniane naczynie. Jeśli sama nie mogę uczynić nic więcej, to powinnam pamiętać choćby tylko o świecie podglebia wokół drzew i

spróbować ogarnąć go umysłem.

W ziemi pod moimi stopami pełzną rozkołysane procesje dżdżownic, które pożerają opadłe liście i zostawiają za sobą tony wydaliny. Krety drążą całe sieci skomplikowanych tuneli; tu, w okolicach strumienia, jest ich tak wiele, że właściwie z każdym krokiem zapadam się w ziemię. Kret jest zwierzęciem zwinnym i niezwykle walecznym. Jeżeli uda ci się go złapać, najpierw ukąsi cię tak, że popamiętasz ruski miesiąc, a potem w jednym konwulsyjnym skurczu łap zeskoczy ci z dłoni i zniknie w okamgnieniu. Nigdy nie zdołasz mu się dobrze przyjrzeć - poczujesz tylko, że przeży się i szarpie w twoich palcach, jak bijące serce w papierowej torbie. Ach, czegoż to nie mogłabym dokonać, gdybym miała siłę i wolę kreta! Ale kret jedynie spulchnia ziemię.

Ostatniego lata piżmoszczury zbudowały sobie gniazdo w korzeniach mojego platana nad brzegiem strumienia i myślę, że nadal tu mieszkają. Wykładają kopulaste, gliniane ścianki swoich nor strzępami mokrego futra, nadając im taką gładkość, jaką mają ściany igloo. Rozścielają na ziemi łupiny i nasiona, parzą się w krótkotrwałych, gwałtownych zbliżeniach i spiąją mokre, w grupkach, zwinięte w kłębek. One również są częścią tego, co Buber nazywa „nieskończonym etosem chwili”.

Jeszcze tu nie dotarłam; nie mogę się nadal otrząsnąć po tamtym dniu na stacji benzynowej. Moje myśli rozgałęziają się i rosną w górę jak drzewo.

Korzenie platana, o którego pień właśnie opieram się plecami, wysysają z ziemi rozwodnione sole. Wciskają się i wkręcają między cząsteczki gleby, sondując ją dokładnie; z ich rozbuchanych, pączkujących tkanek wyrastają mikroskopijne korzenie włosowate, przezroczyste i puste w środku, które owijają się wokół drobinek ziemi i wypijają z nich wodę. Te milczące włókienka sięgają tak głęboko, że cała ziemia aż drży, rozdarta, rozpruta, rozpulchniona i wydrenowana. Zastanawiam się, co się dzieje z systemem korzeniowym, kiedy drzewo usycha. Czy szerokie, ślepe sieci zakrzywionych korzeni umierają z głodu, odwodnione pośród obfitości, czepiając się ziaren piasku?

Pod wszystkimi drzewami iglastymi świata - jak choćby pod tym cedrem na drugim brzegu strumienia - peleryna grzybni kryje ziemię jak mgiełka, rozpościerając swe ślepe, cieniutkie niteczki bledziuteńkiej, rozrzedzonej bieli. Od czubka korzenia do czubka, od włoska do włoska włókienka wiją się i zapętłają. Kiedy o nich myślę, zawsze przypomina mi się Rimbaud:

„Rozwiesiłem sznury między iglicami wież, girlandy między oknami, złote łańcuchy między gwiazdami i tańczę”. Król Dawid podskakiwał i tańczył nago przed arką Boga na jałowej pustyni. Tu nawet przeorana korzeniami ziemia zmienia się w splątany kłębek

chwały. Nawiażujecie połączenia; pozwólcie im się rwać i tańczcie, gdzie możecie.

Owady, dżdżownice, krety, piżmaki, korzenie i nici grzybni to jeszcze nie wszystko - albowiem głęboko pode mną można zaobserwować nieco słabszy, mniej wyraźny ruch, przypominający taniec zwany pawaną.

To ozywają poczwarki cykad. Na pniach drzew widać ich wygięte, długie na kilka centymetrów, porozdzierane wylinki, brązowe, półprzezroczyste, łukowate i posegmentowane jak krewetki. Od czasu do czasu spotyka się dorosłe osobniki, duże i silne, o połyskliwych czarnozielonych odwłokach, żyłkowanych, złożonych na grzbiecie przezroczystych skrzydłach i jasnoczerwonych, wyglądających jak sztuczne, oczach. Poczwarek tych owadów jednak nigdy nie widać. Mieszkają pod ziemią, gdzie przywierają do korzeni i wysysają słodkie soki z drzew.

Na południu cykl rozwojowy tak zwanej cykady wieloletniej wynosi trzynaście, nie siedemnaście lat, jak na północy. To, że żywa istota spędza trzynaście lat w ciemności i wilgoci wśród korzeni drzew, wydaje mi się niesłychanie zdumiewające. Trzynaście lat! W takiej sytuacji cztery lata więcej albo mniej nie zrobiłoby mi żadnej różnicy. Potem, pod osłoną kwietniowej nocy, wszystkie larwy naraz wychodzą na powierzchnię, a na każdy tysiąc centymetrów kwadratowych ziemi przypada ich nawet do osiemdziesięciu czterech sztuk. Wspinają się na drzewa i krzewy, linieją i zaczynają swoje głuche, świdrujące koncerty, które trwają przez całe lato. Sądzę, że jako larwy nigdy nie widzą słońca. Dorosłe osobniki składają jaja w szczelinach kory na gałęziach drzew. Wyklute z jaj larwy spadają na ziemię, zagrzebują się w niej, znikają z jej powierzchni i przez trzynaście lat czekają, aż wybije wreszcie ich godzina. Ile ich teraz jest pode mną i czego chcą? O czym ja myślałabym przez trzynaście lat? Bo ślepe larwy cykad wiją się tylko, pełzają, przywierają do korzeni i wysysają soki z drzew - rok za rokiem, zarówno podczas upałów, jak i mrozów.

Niżej niż cykady, głębiej niż sięgają najdłuższe korzenie palowe, pomiędzy zaokrąglonymi czarnymi skałami i skośnymi płytami piaskowca, w ziemi sączą się wody gruntowe. Woda leje się i cieknie, wszerz i w dół, wszerz i w dół, tu i tam, powolutku, z szybkością dwóch kilometrów na rok. Ach, ileż wody przelewa się pod ziemią! W każdej chwili coś się w niej szarpie i rozpycha na wszystkie strony. Skryty pod trawą świat to arena zażartych zmagania: „ziemia się wstrząśnie w posadach”*

Co jeszcze dzieje się w chwili, kiedy pod moimi stopami sączy się woda gruntowa? Nasza Galaktyka przechyla się na bok w powolnym, stłumionym rozkurczu. Jeśli w każdej godzinie rodzi się w kosmicznej eksplozji milion nowych układów słonecznych, to setki z nich zaczynają życie w momencie, kiedy przewracam się na drugi bok i wspieram na łokciu.

Dochodzi do wybuchów na powierzchni Słońca, a inne gwiazdy ulegają implozji i znikają, ciężkie i czarne, z pola naszego widzenia. Niewidoczne dla nas meteoryty przez cały dzień zbliżają się łukiem do Ziemi. Na naszej planecie wieją wiatry polarne, wschodnie, zachodnie, a także północnowschodnie i południowozachodnie pasaty. Gdzieś ktoś pod pełnymi żaglami zostaje unieruchomiony przez ciszę morską, sztil, na podzwrotnikowych szerokościach geograficznych, a tymczasem na północy jakiś traper dostaje szału i wariuje przez niesamowity zapach chinooka, wiatru, który działa niczym sweter i może roztopić pokrywę śnieżną półmetrowej grubości w ciągu jednego dnia. Gdzie indziej wieje pampero, tramontana, bora, sirocco, lewanter albo mistral. Pośliń palec: poczuj tę chwilę.

Wiosna pełnie na północ, zarówno przede mną, jak i za moimi plecami, z szybkością szesnastu mil dziennie. Karibu wloką się noga za nogą, wędrując ze świerkowejojodłowych lasów południa - na czele idą

* Księga Izajasza 13,13. popędzane przez stado ciężarne łanie, potem stare, nie zapłodnione samice, potem nieoczekiwanie wielka grupa byków, a na końcu, gęsiego, osobniki chore albo ranne. Gdzieś wysoko w powietrzu pasażerowie samolotów oglądają przez okna zachód słońca i z lekkim przestachem przyglądają się oświetlonym skupiskom domków na dole. W górskim lesie deszczowym w Peru, na zboczach Andów, jakaś kobieta klęczy na ziemi na polance przed ciemnym szałasem, zbudowanym z plecionki z szerokich liści; na jej piersiach wisi krzyż z gładkich patyczków, które wcześniej obrała zębami z kory i powiązała łądkami pnączy. Wzdłuż brzegów dopływów rzek kiście czarnych jak porzeczki ślimaków pełzną w górę i w dół po trzcinach i turzycy, przemieszczając się z każdą chwilą wraz ze wznoszącymi się i opadającymi falami. Piętrząca się za moimi plecami Tinker Mountain, a po mojej lewej ręce Dead Man Mountain erodują z prędkością ćwierć milimetra na dziesięć lat.

Kocur, który kiedyś budził mnie rano, nie żyje; dżdżownice dawno już przerobiły go na wylinkę, zmienił się w przezroczysty sok mojego platana z Pittsburgha albo w spadź mszyc, unoszone przez wiatr z wysokich gałęzi drzewa i zraszające lepkimi kropelkami parkujące pod nim samochody. Po drugiej stronie drogi wół wchodzi niepewnym krokiem do strumienia, żeby się napić; mruga powiekami; chłepcze; liść płynący z prądem zatrzymuje się na kolanie zwierzęcia, ale po chwili nurt unosi go dalej. Olbrzymi pluskwiak wodny, którego tu widziałam, nie żyje, od dawna nie żyje, a jego oślizgłe wnętrze i twardy pancerzyk, podobnie jak skóra żabki, którą wcześniej wyssał, rozłożyły się i wyruszyły w świat, po którym podróżują nawet w tej chwili, w żyłach tego wołu, w pędzonej wiatrem cienkiej warstwie chmur nad moją głową, w Morzu Sargassowym. Tamten przedrzeźniacz, który nie

rozwijając skrzydeł, runął z dachu...

Ale to nie pora, żeby liczyć ofiary. Takie rzeczy robi się raczej w nocy. Zmarli wyciągnęli już kopyta i martwym wzrokiem patrzą przed siebie pod ziemią.

Rekiny, które miałam okazję obserwować, pływają wzdłuż wybrzeża. Jeśli przestaną, jeśli przestaną się poruszać i zatrzymają się choćby na chwilę, żeby odpocząć, zdechną. Ciągłe muszą właczać świeżą wodę w skrzel; muszą tańczyć. Gdzieś na wschodzie, na innym kontynencie, zachodzi słońce i wielkie, zapierające dech w piersiach stada szpaków kołują już wysoko na niebie w drodze na nocleg. Pod wodą tuż za zakrętem łyska bada nogą dno strumienia, przewracając swoimi okrągłymi czerwonymi oczami. W moim domu pajęczycy drzemie w pajęczynie, niczym stara panna przesiadująca całymi dniami w kącie. Ooteki z jajami modliszki wiszą przywiązane do krzaków jaśminowca; w każdej ootece i w każdym jajku komórki wydłużają się, zwężają, dzielą, pęcznią, zapadają się, tworzą szeregi, twardnieją, opróżniają się albo rozciągają.

Ćma pawicy z przyklejonymi do grzbietu skrzydłami pełźnie po podjeździe, pełźnie po podjeździe, pełźnie po... Wąż, którego wylinkę już wyrzuciłam, którego osobista skóra własnej produkcji leży splątana na naszym wysypisku śmieci - ten właśnie wąż przemieszcza się teraz niespokojnie w lesie, w pobliżu dawnych kamieniołomów, pełźnie coraz szybciej, zapędzony pod stos gnijących liści przez promień słońca, penetrujący kłacz stopkowca tarczowatego albo pęk krwicy kanadyjskiej. A wy gdzie teraz jesteście?

Wstaję. Cała krew najpierw spływa mi do stóp, a potem uderza do głowy, więc tracę na chwilę wzrok i rumienię się - podobnie drzewo wypuszcza listki, kiedy woda podnosi się falą z korzeni i zasila gałęzie. Co się ze mną dzieje? Stoję oszołomiona przed platanem i wpatruję się w jego olbrzymi pień.

Wielkie drzewa przywołują wspomnienia. Stoisz w ich cieniu, gdzie światło jest niebieskie, i wpatrujesz się z rozkojarzeniem w najgrubszą część pnia jak w długi, mroczny tunel: tunel pod Squirrel Hill*. Znikasz w nim. Jajowata plama światła na końcu czarnego tunelu rośnie i rozkwita, a szum bieżników opon, trących o szorstką nawierzchnię, przechodzi w rozdzierające bębny crescendo, światło załamuje się na masce auta - plask! - i rozbryzguje ci się na twarzy.

Dosięgnąłeś przeszłości.

W dawnych czasach szamani eskimoscy, skrępowani foczymi rzemieniami i pozostawiani samotnie w igloo, „wychodzili ze skóry” i nadzy jak obdarte ze skóry foki przepływali przez skały dwóch kontynentów, żeby przebłagać staruchę, która mieszkała ponoć na dnie oceanu i zsyłała ludziom zwierzynę lub więziła ją u siebie - wedle własnej

woli. Po wypełnieniu

* Duża dzielnica mieszkalna we wschodniej części Pittsburgha. tego skrajnie wyczerpującego zadania szaman budził się; okrutnie zmęczony mrocznym wysiłkiem przebijania się i przedzierania przez skały, wstępował z powrotem w swe ciało i nagle znajdował się w oświetlonym igloo na czymś w rodzaju przyjęcia, otoczony ukochanymi twarzami.

Podobnie i ja, przebiwszy się przez pień jaworu i wydrążywszy tunel pod pensylwańską górą, pomrużuję oczami, przestraszona żółtym światłem, przenoszę się wiele lat wstecz i nagle znajduję się w podejrzonej dzielnicy miasta, w sali restauracyjnej o nagich ścianach, gdzie tańczę. Słyszę dźwięki trąbek, wesole i niewyraźne, przypominające fragment filmowej ścieżki dźwiękowej do jakiejś balkonowej sceny miłosnej; z na wpół zapomnianych twarzy bije nieskończenie odległy blask... Przeszywa mnie dreszcz. Drżenie ramion przywraca mnie teraźniejszości, drzewu, platanowi, ale wyrwam się, odpycham i ruszam na poszukiwanie żywej wody.

III

Żywa woda koi wspomnienia. Patrzę w górę strumienia i oto nadchodzi przyszłość, niesiona w górze jak kręty szereg tac, uginających się pod ciężarem potraw.

Możesz się obudzić, wyrzucić przez okno, odetchnąć prawdziwym powietrzem i powiedzieć z satysfakcją albo tęsknotą: „To jest to”. Ale jeśli patrzysz w górę strumienia, to bez względu na pogodę twą duszę przepełnia szczęście, z uniesieniem wypuszczasz powietrze z płuc i mówisz: „Już blisko!”.

Już blisko. W oddali widzę betonowy most, gdzie droga przekracza strumień. Pod mostem i dalej woda jest spokojna i cicha - błękitnieje wskutek oddalenia, a uspokaja ją głębia. Przypomina niebo - jest jak jego upadły strzęp, który uwiązł gdzieś w szczelinie brzegów, ale przelewa się. Koryto w tym miejscu jest proste niczym strzała, a łucznikiem jest łaska. Pomiędzy dyndającymi na nadbrzeżnych wierzbach cienkimi witkami, pod wyciągającymi się nad wodą kończynami tulipanowca, orzecha i żółtnicy pomarańczowej, widzę przelewający się strumień. Spływa ku mnie, bulgocąc, po schodkowych warstwach piaskowca, coraz niżej, niżej i niżej. Czuję się tak, jak gdybym stała u podnóża nieskończenie wysokich schodów, z których jakiś figlarny duszek zrzuca piłki tenisowe, jedną za drugą, bez końca - a jedyną rzeczą na świecie, której pragnę, jest piłka tenisowa.

Musi być coś nie w porządku z człowiekiem żyjącym na brzegu, jeśli, ceteris paribus, decyduje się on zwrócić w dół strumienia. To jak kalać własne gniazdo.

I za coś takiego i możliwość skorzystania ze skórzanej leżanki ludzie płacą

pięćdziesiąt dolarów za godzinę?

Tinker Creek nie cofa się, przepychany tu przez wole koryta z rzeki Roanoke; spływa swobodnie w dół z północnej, niewidocznej strony Tinker Mountain.

„Kopernik uważa, że siła ciężenia to przejaw pragnienia wszystkich rzeczy, by stać się sferami”. Oto dziwaczna, naciągana wersja „wielkiego łańcucha bytu”.

Swoboda jest drogą ku doskonałości, zgodą na upadek.

Ale jak w klasycznej wersji „wielkiego łańcucha bytu”, czysta strużka wyciekająca z niezgłębionego serca Tinker Mountain, czyli mój Tinker Creek, rozszerza się, nabiera kształtu i rozszczepia brzegi, obciążone żywymi i złożonymi nieczystościami czasu, spływając ku mnie w dół, tam gdzie akurat stoję, w tym pośrednim miejscu, w pół drogi pomiędzy „tu” i „tam”. Popatrz w górę strumienia. Po prostu odwróć się; czyżbyś był bezwolny? Przyszłość jest duchem albo destylatem ducha, zbliżającym się ku mnie. Leży na północy.

Przyszłość jest światłem na wodzie; zapośredniczona, przychodzi do mnie tylko na grzbiecie prawdziwego i uobecnionego strumienia. Nie mogę patrzeć na jaśniejsze światło niż to, a moje oczy bez niego nic nie widzą - na przykład liści od spodu.

Drzewa to twardziele. Wzrastają razem z korzeniami i korą, a my tymczasem miękniemy u ich stóp. „Jesteśmy bowiem pielgrzymami przed tobą i przechodniami, jak byli wszyscy przodkowie nasi, dni nasze jak cień na ziemi mijają bez żadnej nadziei”*. Nie wytrzymujemy uderzenia piorunów, bicia wysokości i rozrzedzonego powietrza. Ale wytrzymujemy światło odbite od strumieni, rozświetlające doliny. Drzewa przywołują wspomnienia - żywa woda je koi. Strumień jest mediatorem, pośrednikiem, łaskawym, bezstronnym, pochłaniającym moje najobrzydliwsze grzechy i rozpuszczającym je, przemieniającym w żywe krety, srebrzynki i platanowe liście. To miejsce, którego nie urazi nawet mój brak wiary; wciąż do mnie mruga, zarówno dziś, jak i jutro. Widzę jego niewinne, wielowymiarowe oblicze. Nawadnia nie zasługujący na to świat, na-

* Pierwsza Księga Kronik 29,15. sycając jego komórki żyłkami światła. Stoję na brzegu strumienia, nad głazem pod drzewami.

To czysty przypadek, że mój kawałek strumienia usiany jest kamieniami. Nigdy nie doceniałam tej łaski - tego, że kiedy zwracam się w górę potoku, czuję zapach dziewiczego oddechu gór oraz kropelki wodnego pyłu osiadające mi na policzkach i wargach, i słyszę nieustanny chłupot oraz szmer, dźwięk wody nie tylko płynącej swobodnie w dół i napelniającej nieruchomy staw, ale przelewającej się żywo przez, wokół, ponad, pod, pomiędzy i pośród gęsto rozsianych plamek głazów. To czysty przypadek, że w górze strumienia jego koryto pocięte jest przypominającymi schodki płytami piaskowca. Tak, nigdy

nie doceniałam tej łaski, tego, że kiedy zwracam się w górę strumienia, widzę sunące ku mnie po skosie światło, nieuchronnie, swobodnie wspinające się po kolejnych stopniach tarasów, przypominających symetryczne, uskrzydłone galerie nad nieskończonym, niewyczerpalnym źródłem. „O, wszyscy spragnieni, przyjdźcie do wody, przyjdźcie, choć nie macie pieniędzy! Kupujcie i spożywajcie”*. To jest terażniejszość, nareszcie. Mogę głaskać pieska, kiedy tylko zechcę. To jest „teraz”, to migotliwe, rozproszone światło, to powietrze, które wiatr przyszłości wciska mi w gardło, nadymając mnie radością i chwałą, aż kręci mi się w głowie.

Mój Boże, patrzę na strumień, będący odpowiedzią na Mertonowską modlitwę: „Daj nam czas!”. Strumień nigdy się nie zatrzymuje. Jeśli poszukuję wrażliwo-

* Księga Izajasza 55,1. ści i zdolności dziecka, informacji tysięcy ksiąg, niewinności piešków, a nawet olśnień mojej przeszłości w mieście, robię to w jednym tylko celu - żeby nauczyć się dobrze patrzeć na strumień. Nie biegiesz w dół terażniejszości, nie ścigasz jej z siatką w rękę i przynętą nawleczoną na haczyk. Czekasz na nią z pustymi rękami, a ona cię napelnia. Pozostaną ci ryby, bo strumień to wielki darczyńca. Niejako z definicji jest Bożym Narodzeniem, czystym wcieleniem. Nasza stara skalista planeta codziennie dostaje terażniejszość w prezencie urodzinowym.

A oto słówko od fizyka zajmującego się cząstkami elementarnymi: „Wszystko, co już zaszło, to są cząstki, natomiast przyszłość to fale”. Pozwólcie mi nieco nagiąć znaczenie tych słów. Proszę bardzo, jedziemy.

Cząsteczki zostały rozbite, a półprzezroczyste fale płyną, tłumnie i pięknie jak rekiny. Terażniejszość to fala, która eksploduje nad moją głową, miotając cząsteczki w powietrzu, kiedy osiąga najwyższy punkt swojego zapierającego dech w piersi pływku; to żywa woda i światło, niosące najnowsze wieści z anonimowych źródeł, odnowione i odnawiające - to świat bez końca.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wiosna

I

Gdy byłam małą dziewczynką, wyobrażałam sobie naiwnie, że wszystkie obce języki są jakby zakodowanymi odpowiednikami angielszczyzny. Myślałam na przykład, że słowo hat, „kapelusz”, to owszem, prawdziwa i faktyczna nazwa przedmiotu, ale że ludzie w innych krajach, którzy uparcie posługują się kodem swoich przodków, mogą użyć, powiedzmy, słowa ibu na określenie nie tylko kapelusza, ale samego angielskiego słowa hat. Znałam wtedy tylko jedno obcojęzyczne słowo, oui, a ponieważ składało się ono z trzech liter, jak angielski wyraz yes, którego było odpowiednikiem, sądziłam z rozbrajającą naiwnością, że znalazłam potwierdzenie swojej teorii. Mniemałam, że każdy język obcy to osobny kod i że w szkole w końcu dostanę do dyspozycji klucze, którymi będę mogła otworzyć najważniejsze z tych kodów. Oczywiście wiedziałam, że mogą minąć całe lata, nim opanuję nowy język tak biegle, by w myślach kodować i dekodować w nim różne wypowiedzi, nadając pierwotnemu bełkotowi potoczysty sens. Jednak kiedy odbyła się moja pierwsza lekcja francuskiego, sprawy szybko przybrały zupełnie inny obrót. Zrozumiałam, że będę musiała nauczyć się mówić na nowo, słowo po słowie, po jednym słowie naraz - a moje zdumienie z tego powodu nie miało granic.

W dolinie zaczynają śpiewać ptaki. Ich lutowe skrzeki i nieopierzone świergoty są już w pełni dojrzałe, więc w powietrzu płyną długie pieśni. Ptasia piosenka osiada na obrzeżach gór i stawów w dolinie, wije się przez las i sunie wzdłuż potoków. U mnie też zdarzyło się coś cudownego. Przedrzeźniacz, który gnieździ się co roku w gałęziach świerka na podwórzu przed domem, chętnie śpiewa wysoko, a jednym z jego ulubionych miejsc jest komin. Pusty komin działa niczym pudło rezonansowe, jak starannie zaprojektowana pustka w pudle wiolonczeli albo skrzypiec, dzięki której nuty ptasiego śpiewu stają się pełne i przetaczają się echem po całym domu. Przedrzeźniacz wyśpiewuje jakąś frazę, powtarza ją dokładnie w ten sam sposób, wyśpiewuje następną i tę też powtarza, później kolejną, i tak w kółko. Inwencja tego ptaka jest bezgraniczna - rozsiewa wokół siebie nowość wręcz od niechcienia, jak jakiś bóg. Poza tym jest niezmordowany; przed nastaniem czerwca zaczyna codzienny koncertowy maraton o drugiej w nocy i śpiewa niemal bez przerwy dla zaczerpnięcia tchu do jedenastej wieczorem. Nie wiem, kiedy sypia.

Kiedy tracę zainteresowanie danym ptakiem, próbuję je rozbudzić w sobie na nowo, patrząc na niego w jeden z dwóch sposobów. Albo wyobrażam sobie neutrina przenikające jego pióra i sięgające aż do serca i płuc, albo cofam się po jego drodze ewolucyjnej i wyobrażam go sobie jako dinozaura. Widzę pokryte łuskami łapy i krąg nagiej skóry wokół lśniącego oka; w myślach zmniejszam i wyrywam pióra, które zamieniają się w łuski, pozbawiam bezwargi pysk dzioba i wysyłam jaszczura na polowanie na ważki, które śledzi chłodnym wzrokiem pod karłowatą palmą. Później z kolei szybko odwracam ten proces - przednie łapy gada prostują się, a jego łuski rodzą pióra i miękną. Po chwili wzbija się w powietrze i zaczyna szukać chłodnych lasów. I śpiewa. Taki właśnie stwór siedzi na moim kominie; niech nie pozwala mi zasnąć bez zadziwienia, jak wściekłość.

Niektórzy wybitni uczeni współcześni wcale nie są przekonani co do słuszności hipotezy, wedle której śpiew ptaków to tylko i wyłącznie sposób oznaczania terytorium. To bardzo ważny problem. Żyjemy na ziemi już od tylu lat i nadal nie wiemy na pewno, dlaczego ptaki śpiewają. Potrzeba nam kogoś, kto złamie kod tego obcego języka i wręczy nam do niego klucz. Potrzebujemy nowego kamienia z Rosetty.

A może powinniśmy się uczyć, jak kiedyś ja w szkole, pojedynczych nowych słówek? Możliwe, że ptak śpiewa „jestem wróblem, wróblem, wróblem”, jak zdaje się sugerować Gerard Manley Hopkins: „to ja mówię i czaruję, wołając «jestem tym, co czynię»; po to tu przybyłem”. Niekiedy śpiew ptaków przypomina zniekształcony język małych dzieci. Przychodzi taka chwila, kiedy dziecko mierzy cię szczerym spojrzeniem i z zadowoleniem wygłasza długą przemowę, prawidłowo odmieniając słowa, chociaż nie jesteś w stanie rozpoznać ani jednej sylaby. Lecz w żadnym wypadku nie powiesz dzieciakowi, że jeśli język jest melodią, to opanował go i dobrze się spisał, ale ponieważ język to znaczenie, kompletnie zawalił sprawę.

Dzisiaj obserwowałam i słuchałam strzyżyka, wróbla oraz przedrzeźniacza, a mój umysł zaczął świergolić: „dlaczego, dlaczego, dlaczego” i „co to znaczy, znaczy, znaczy”. Nie chodzi o to, że ptaki wiedzą coś, czego my nie wiemy, bo wiemy przecież znacznie więcej niż ptaki, które niewątpliwie nie wiedzą nawet, dlaczego śpiewają. Nie; zadajemy niewłaściwe pytanie, jak zwykle zresztą. Jest bowiem zupełnie nieważne, o czym śpiewa przedrzeźniacz na kominie, nawet gdyby świergolił, chcąc podać nam poszukiwany od dawna wzór na jednolitą teorię pola. Zasadnicze, trafne pytanie brzmi: „Dlaczego śpiew ptaków jest piękny?”.

Waham się przed tak śmiałym użyciem tego słowa, ale to nie unieważnia pytania. Zachowuje ono swoje znaczenie, albowiem jak już wspomniałam, uważam za oczywiste, że

piękno ma charakter obiektywny - jest drzewem walącym się w lesie - a także posiada byt uzewnętrzniony, równie realny i obecny jak obie strony Księżyca, bez względu na to, czy kiedykolwiek się na nie natkniemy, czy też nigdy go nie zauważymy.

Dobiegający z kominka śpiew przekształconej ewolucyjnie jaszczurki to pierwotna, całkowicie obca człowiekowi muzyka, która pięknieje, w miarę jak staje się nam coraz bardziej znajoma. Jeżeli jej słowa to po prostu „moje, moje, moje”, to skąd taka ekstrawagancka partytura? Melodia odznacza się płynnym, złożonym dźwiękiem każdego strumienia przewalającego się nad każdym skalnym strumykowym dnem w tym kraju. Czy ktoś, nadając depezę, zadałby sobie trud, żeby przesyłać tą drogą dramat w pięciu aktach albo poemat Kubła Khan Coleridge'a? I kto by zrozumiał taki telegram? Piękno też jest językiem, do którego nie posiadamy klucza; to milczący szyfr, kryptogram, nie złamany dotąd kod. Możliwe jednak, że do piękna, jak i do francuszczyzny w ogóle nie ma klucza, że oii nigdy nie będzie nic znaczyć w naszym języku, lecz jedynie w tym, do którego należy, i że musimy zacząć wszystko od początku, na nowym kontynencie, i uczyć się obcych sylab jedna po drugiej.

Jest wiosna. Zamierzam w tym roku wziąć się w garść, aby spokojnie i systematycznie obserwować przebieg tej pory roku. Wiosną zawsze zdradzam skłonności do przesady. Oddaję się wędrówkom i różnym czynnościom kompulsywnym. Popadam w różne stany fizycznego rozprężenia. Kiedyś przez całą wiosnę grałam w bezika, a innym razem w softbol, na drugiej bazie. Jedną wiosną przeszła mi koło nosa, bo zachorowałam na obustronne zapalenie płuc, a jeden sezon softbolowy, ponieważ dopadło mnie zapalenie kaletki - ale każdej wiosny, mniej więcej gdy wierzby wypuszczają pierwsze listki, przestaję jeść i błędnie nazywam srebrzysty węgorek, który lada moment wyruszy na tarło. Moje myśli błądzą po bezdrożach. Druga baza jest jak Broadway albo jak skrzyżowanie Hollywood Boulevard i Vine Street - kiedy jednak znajdę się na prawym skrzydle, wszyscy mogą pocałować mnie na pożegnanie.

Gdy zachodzi słońce, nad pastwiskiem nad brzegiem Carvin's Creek pojawiają się parheliony, czyli tak zwane pozorne słońca - fragmenty tęczy występujących po obu stronach Słońca, ale często bardzo od niego odległych. Wes Hillman wzbija się w powietrze w swoim dwupłatowcu. Samolotek typu Waco i jego piękna sylwetka panują wtedy nad ciszą. Jeśli kryształki lodu znajdą sobie zajęcie, jutro może spaść deszcz.

Nie mam pojęcia, ile było autów; pokonuję leworęcznych miotaczy dzięki szczęściu, wpatrując się w te tęcze. Boisko, pole i łąka wyglądają w moich oczach tak, jak zapewne widzi je ze swego dwupłatowca Wes Hillman: wszyscy biegają tu i tam, ale ja nie słyszę ani

słowa. Gracze na zielonej murawie wydają mi się malutcy, cienie są długie, a piłka sprawia wrażenie mistycznego przedmiotu, którego jasność graniczy z niewidzialnością... Na boisku od razu czuję się lepiej.

W kwietniu poszłam do lasu Adamsów. Trawa zazieleśniła się pewnego ranka, kiedy na chwilę zamknęłam oczy - więc znowu nie zauważyłam, jak to się stało. Wychodząc z domu, przyjrzałam się ootece modliszki. Wszystkie, z wyjątkiem jednej, rozdałam znajomym do wykorzystania w ogrodach, a teraz zauważyłam, że tę jedyną ootekę, którą zostawiłam dla siebie, przywiązaną do żywopłotu z jaśminowca, wytropiły małe czarne mrówki. Z jednej strony była nieco nadgryziona, przez mrówki albo może jakieś inne stworzenia, a między wąskimi komórkami ziała szczelina, wypełniona zastygłą, sztywną pianą. Mrówki biegały gorączkowo po jej ochronnej warstwie, nie mogły jednak dostać się do jaj, spoczywających głębiej, bezpiecznie, poza zasięgiem czyjegokolwiek wzroku, czekając, aż przyjdzie ich czas.

Rano las wyglądał jak nowy. Pomędzy drzewami lało się silne, żółte światło, a mój cień pojawiał się na ścieżce i znikał, bo jedna trzecia drzew, pod którymi szłam, wciąż była bezlistna, jedną trzecią otaczała połyskliwa mgiełka, a jedna trzecia zatrzymywała słońce świeżymi, w pełni już rozwiniętymi liśćmi. Węże wyległy z gniazd - jednego, o jasnej skórze, zobaczyłam rozjechanego na ścieżce - natomiast motyle wzbijały się w powietrze, trzepocząc skrzydełkami. Rozkwitły floksy i nawet rośliny zimozielone wydawały mi się zieleńsze niż zwykle, jakby dopiero co zostały stworzone i świeżo splukane wodą.

Z robinii akacjowych zwieszały się kiście białych kwiatów. Zeszłego lata poznałam czirokeską legendę o robinii i księżycu. Otóż bogini księżycy pewnego razu rzuca na niebo wielką kulę - księżyc w pełni. Przez cały dzień próbuje ją stamtąd ściągnąć, po czym odcina z niej kawałek i znowu rzuca kulę na niebo. Następnie znów ją ściąga, odcina kolejny kawałek, ponownie rzuca kulę na niebo, i tak dalej. W ten sposób przez cały rok bogini plasterkuje jeden księżyc na miesiąc. Jak opowiada geolog Bill Wellman, pracownik parku narodowego, „trwa to tak długo, że w końcu z nadejściem wiosny bogini stoi już po kolana w księżycowych wiórach”, więc odszukuje swoje ulubione drzewo - robinie akacjową - i rozwiesza smukłe strużyny na jego gałęziach. Widzę je teraz przed sobą - kredowobiałe kwiaty wiszące w kiściach w kształcie rogalików.

Wróciły także traszki. Drżące i kolorowe pływają w małym leśnym stawie albo polegają czujnie w pobliżu wody. Zauważyłam, że kiedy wsuwam palec do stawu i kiwam nim z wolna, traszka podpływa sprawdzić, co się dzieje, a gdy mój palec nieruchomieje, skubie go delikatnie, niczym złota rybka - i podobnie jak mój Ellery, już po chwili odpływa, obrażona, jakbym sprawiła jej zawód. Jest to istna salamandrowa metropolia. Jeśli chcesz

odkryć gatunek nie znany dotąd nauce i ujrzeć swoje nazwisko w łacińskim brzmieniu na takiej czy innej odwiecznej świeckiej liście obecności, to najlepiej przyjeźdź w południowe Appalachy, wejdź na jakąś mroczną, wężową górę, „nie tkniętą ludzką ręką”, i zabierz się do odwalania kamieni. Góry odgrywają rolę wysp, a ewolucja dopełnia reszty i wokoło wprost roi się od różnych gatunków salamander. Na przykład w Peaks of Otter nad Blue Ridge Parkway żyje nie spotykany nigdzie indziej gatunek czarnej salamandry, nakrapianej ciemnozłotymi cętkami. Tamtejsi leśnicy trzymają jeden jej żywy egzemplarz w plastikowej torebce, którą przechowują w lodówce jak kawałek sera.

Traszka to najbardziej rozpowszechniona salamandrowata. Ma jasnozieloną skórę, przypominającą kolor wody w rozświetlonym słońcem stawie, a na grzbiecie szereg jaskrawoczerwonych plamek. Larwy traszek wykształcają skrzela; kiedy podrastają, przybierają połyskliwą czerwoną barwę, tracą skrzela i wychodzą z wody, by kilka następnych lat spędzić, biegając po podmokłych lasach. Ich łapki przypominają rączki niemowlaka, choć traszki poruszają się w taki sam sposób jak wszystkie czworonogi - psy, muły, a nawet pandy mniejsze. Gdy osiągną wiek dorosły, znów stają się zielone i całymi stadami wędrują do wody. Traszka potrafi wyczuć zapach swojego siedliska z odległości nawet piętnastu kilometrów. Są to pod każdym względem cudowne stworzenia, chociaż oślizgłe w dotyku, ale nikt się nimi nie interesuje, z wyjątkiem dzieci.

Kiedyś obozowałam samopas w Douthat State Park w pobliskich górach, Alleghenach, i przez większą część pewnego popołudnia obserwowałam właśnie dzieci i traszki. Czerwono nakrapianych traszek było nad brzegiem rzeki znacznie więcej niż dzieci; podaż przewyższyła nawet ogromny popyt. Jakiś malec zbierał traszki do termosu, by zawieźć je do domu, do Lancaster w Pensylwanii, i nakarmić nimi swojego chorego kajmana. Inne dzieci podbiegały do matek z pełnymi garściami wijących się w uścisku traszek. Jeden chłopiec dręczył je wyjątkowo widowiskowo: ścisnął traszki za ogony, a potem rzucał nimi o nadbrzeżny kamień.

Próbowałam przemówić mu do rozsądku, ale żadne argumenty nie skutkowały. W końcu chłopak zapytał:

„Czy to dorosły samiec?”, a kiedy w przeblysku geniuszu odpowiedziałam: „Nie, młodziutki”, zawołał: „Ale śliczny!”, i ostrożnie zaniósł traszkę do wody.

W lesie Adamsów prócz mnie nikt nie zakłócał jednak traszkom spokoju. Odpoczywając w wodzie, wyglądały jak podwieszane na sznurkach. Umiały tak rozłożyć ciężar ciała, żeby unosić się tuż pod powierzchnią wody, i najwyraźniej potrafiły odpoczywać z opuszczonymi łebkami i ogonkami, a ich maleńkie łapki zwiślały bezwładnie w stawie.

Jedna z traszek wygrzewała się w słońcu na patyku w tak ekstrawaganckiej pozie, że wydawało mi się, że nie żyje. Była do połowy wynurzona z wody, przednimi łapkami obejmowała patyk i nieprawdopodobnie wysoko zadzierała główkę w stronę słońca. Wygięła grzbiet w szalenie ostry łuk, a jej cienka, mocno naprężona skóra na brzuszku przybrała niemal jasnożółty kolor.

Nie powinnam była jej dotykać, bo zaraz zmieniła ułożenie ciała, zmniejszając kąt wygięcia kręgosłupa, ale po prostu musiałam sprawdzić, czy żyje. W średniowiecznej Europie ludzie wierzyli, że salamandry są tak zimne, że mogą własnymi ciałami gasić płomienie, które nie uczynią im żadnej krzywdy, a starożytni Rzymianie mniemali, że jad salamander ma tak niską temperaturę, że każdy, kto zje owoc z drzewa, o które salamandra choćby się tylko otarła, umrze rychło ze straszliwego wyziębienia. Ja jednak po chwili wstałam - udało mi się wyjść cało ze spokojnego spotkania z tymi zwierzętami. Nic mi się nie stało, choć traszka skubnęła mnie w palec, a ja z kolei delikatnie szturchnęłam ją w kark.

Las był cały obsypany kwiatami. Kwitły już judaszowce i matowe sasafrasy, podobnie jak tulipanowce, dzikie wino catawbas i dziwaczne papaje. W leśnym poszyciu zakwitły i nawet już przekwitły przylaszczki oraz psie fiołki, ale wciąż jeszcze tu i ówdzie dało się dostrzec różowe kwiaty lewisii, Claytonia caroliniana, kokoryczkę z jej wiszącym kwieciem, krwice, fiołki, trillium i wspaniałe, rozłożyste stopkowce tarczowate. Góry mieniły się wawrzynem górskim, rododendronami i płomienistymi azaliami, a szlak turystyczny w Appalalach zapewne roił się od wycieczkowiczów.

Na pastwisku dla wołów widziałam stokrotki, jasnoty i żółto kwitnące szczawiki; przy ogrodzeniu z drutu kolczastego wystrzelały w górę osty i krwawniki kichowce. Czy istnieją zwierzęta żywiące się kwiatami?

Nie mogłam sobie przypomnieć, abym kiedykolwiek widziała jakieś zwierzę pożerające kwiat - czyżby kwiaty były uprzywilejowanymi pupilkami natury?

O wiele bardziej interesowałam się ulistnieniem drzew. W pobliżu ścieżki znalazłam cudowne, młodziutkie drzewko tulipanowca o wysokości metra.

Z jego czubka wyrastały dwa cienkie zielone płatki w kształcie łez, otulające, niczym złożone dłonie płomyk, maleńki, zwinięty listek, zgięty dokładnie na środku. Był tak cieniutki i blady, że niemal przezroczysty, a jednocześnie roztaczał wokoło nikły, jasny i dobrze widoczny blask. Nie pokrywała go rosa ani wilgoć, ale wewnątrz był niewątpliwie wilgotny. Zmarszczka w miejscu, w którym się zginał w pól, przypominała nie tyle fałdę, ile dołeczek, jaki na powierzchni stojącej wody złością odnóża nartników. W komórkach tego listka zbierał już z całą siłą niemal widoczny gołym okiem sok, który rozwijał się i podnosił

między dwoma otulającymi go zielonymi płatkami. Rozejrzałam się wokoło w poszukiwaniu innych takich liści - w tej części lasu Adamsów rosły niemal wyłącznie tulipanowce - ale wszystkie pozostałe niedawno się rozwinęły i kołysały się już na bladych łodyżkach jak świeżo wykształcone, drobne rączki.

Listek tulipanowca przypomniał mi o nowo narodzonego ssaku, którego widziałam przedwczoraj - omalym myszokoczku, należącym do dzieci moich sąsiadów. Mierzył mniej niż trzy centymetry długości, miał trochę świński ryjek, zaciśnięte oczka i dwa spuchnięte białe guzki, z których miały się później rozwinąć uszy. Był bezwłosy, jeśli nie liczyć mikroskopijnych wąsików, a jego skóra wydawała się cieniutka niczym błonka cebuli i mocno rozepchnięta, jak kiszka kielbasiana nadziana świeżym, jeszcze krwawym mięsem. Można było odnieść wrażenie, że kryje się w niej tyle możliwości, że za chwilę pęknie, jak opuchnięte działo, pod którym wyrzyna się ząb. Młodziutkie drzewko też miało się rozwinąć, i to nie na żarty.

W drzewach kryje się prawdziwa moc. To zdumiewające, że potrafią zamieniać żwir, piach i gorzkie sole mineralne w te miękkie jak usta listki - wyobraźcie sobie, że pożeram granitową płytę, po czym rosnę, pączkuję i wypuszczam kwiaty. Drzewa dokonują tych zadziwiających wyczynów na pozór bez najmniejszego wysiłku. Co roku każde dorosłe drzewo wytwarza dziewięćdziesiąt dziewięć procent swojej żywej masy niemal dosłownie z niczego. Woda, dźwigająca w górę gałęzie drzew, może wznosić się w nich z prędkością czterdziestu pięciu metrów na godzinę. W pełni lata drzewo potrafi unieść - i unosi - aż tonę wody na dzień. Wielki wiąz w ciągu roku wypuszcza niezłomnie do sześciu milionów w pełni rozwiniętych liści - a ja nie jestem w stanie wypuścić choćby jednego.

Drzewo po prostu stoi, obrastając martwą tkanką, milczące i nieruchome jak obelisk, ale w środku, skrycie, całe aż się gotuje; ssie, wrzyna się głębiej w ziemię i potężnieje, dźwigając w górę tony pożywienia, które przerabia jednym rozrzutnym ruchem na swoje zielone frędzle. Żaden człowiek nie korzysta z takiego darmowego źródła energii - tymczasem tulipanowca napędza ukryte dynamo, zasilane deszczem i powietrzem.

John Cowper Powys powiedział: „Nie ma żadnego powodu, żebyśmy odmawiali światu roślinnemu pewnej powolnej, mętnej, nieokreślonej, wielkiej i spokojnej półświadomości”. Nie wiem, czy miał rację, ale podobają mi się przymiotniki, których użył. Rosnące w trawie chabry nie mają zapewne za wiele rozumu, lecz w pewnym sensie mogą posiadać, powiedzmy, cień świadomości. Szczególnie drzewa zdają się zdradzać przejawy życia duchowego. Podejrzewam, że bez względu na to, od czego zaczynają, prawdziwi myśliciele moralisci kończą na botanice. Niczego nie jesteśmy pewni, ale dostrzegamy chyba,

że świat wciąż się kręci tylko dzięki roślinom i dzięki nim nadal rośnie, zielony i czysty.

Odwrociłam wzrok od listeczka zdobiącego czubek tulipanowca, ale zaraz znowu na niego spojrzałam. Byłam ciekawa, czy uda mi się zobaczyć, jak zgięty listek podnosi się i ociera o otaczające go zielone błonki. Nie byłam w stanie stwierdzić, czy naprawdę widzę, czy tylko wydaje mi się, że widzę, jak się podnosi, ale wiedziałam, że wyprostuje się całkowicie w ciągu najbliższej godziny. Nie mogłam się doczekać, kiedy go znów zobaczę.

Wyszłam z lasu, rozsnuwając przed sobą falę ciszy, jak gdybym szła nie przez las, ale ponad nim. Spomiędzy drzew wyszłam w milczeniu, w głębi duszy jednak czułam się poruszona i ożywiona. Pomyślałam, żeby wyjechać na kanadyjskie Terytoria PółnocnoZachodnie albo do Finlandii.

„Czemu, góry urwiste, patrzycie z zazdrością”*. Odświeżona wiosną ziemia przypominała mi pękające jajo; zaczął bić puls nowej istoty, odzywając się echem także we mnie. Pliniusz, który, jak pamiętacie, wymyślił zrodzone z wiatru portugalskie żrebięta, zapewne zamykał swoje córki w domu w wietrzne dni, wierzył bowiem, że wiosną pod wpływem zachodniego wiatru, zwanego fawoniuszem, rodzą się również rośliny.

W lutym rośliny wchodzą w okres rui, wiatr je zapładnia, po czym powstają pączki, z których w swoim czasie rozwijają się kwiaty i owoce. Czułam niesiony wiatrem zapach wilgotnej ziemi. Wyjadę na Alaskę albo na Grenlandię. Gdzie tylko spojrzałam, widziałam setki dziur w ciemnej ziemi - wychodziły z nich najrozmaitsze stworzenia, niektóre po raz pierwszy w życiu, by oświetliło je i ogrzało słońce. Jest faktem, że zarówno kobiety, jak i mężczyźni na całej półkuli północnej, opracowujący nowe plany perpetuum mobile, na najlepsze pomysły wpadają właśnie wiosną. Czy jeśli połknę nasiona i garść ziemi, to wyrosną mi w ustach winne grona? Pewnego razu wykopałam w ziemi dołek, żeby zasadzić sosnę, i znalazłam na kamieniu złotą monetę. Mała Ameryka, Jukon... „Czemu, góry urwiste, patrzycie z zazdrością”.

Wszystkie ptaki, które udało mi się zaobserwować w drodze do domu, niosły coś w dziobach - na przykład samiec wróbla angielskiego, który wskakiwał do

* Księga Psalmów 68,17. swojego starego gniazda i z niego wyskakiwał, i trzepotał się w nim na bezlistnym drzewie. W najwyższym stopniu zaniepokojony drozd, któremu wystawała z dzioba przepołowiona dżdżownica, podskoczył trzy razy w trawie i wyciągnął w górę szyję, instynktownie demonstrując znany na całym świecie drozdowy trik. W pobliżu przeleciał przedrzeźniacz, trzymając w dziobie czerwoną jagodę, połyskującą w słońcu i żarzącą się niczym węgielek z jakiegoś pieca albo kotła bogów.

W końcu zobaczyłam dwoje małych dzieci, bawiących się z pasiastym, ceglastym

kociakiem, i usłyszałam ich tajemniczą rozmowę, która od tamtej pory rozbrzmiewa mi w głowie jak gong. Kotek czmychnął do ogrodu, a dziewczynka zaczęła za nim wołać: „Dobranocko! Dobranocko! Gdzie jesteś?”. Wtedy chłopczyk zwrócił się do niej gniewnie: „Nie mów do naszej Dobranocki «ty»!”.

II

Jest już maj i morsy zaczynają swoje coroczne wędrówki, a Eskimosi z Diomedes Island ruszają za nimi na łodziach przez Cieśninę Beringa. Eskimosi z plemienia Netsilik polują na foki. Jak twierdzi Āsen Balikci, foka przez cały dzień wygrzewa się na słońcu, po czym o północy wchodzi do wody, aby o świcie wyłonić się z tej samej dziury lodowej, przez którą weszła do morza. Wiosną słońce kryje się za horyzontem tylko na krótko, a niebo cały czas jarzy się jego światłem.

Wystarczy więc, że myśliwy z plemienia Netsilik wyjdzie o północy na łowy, wypatrzy, gdzie nurkuje foka, a o krótkim brzasku będzie czekać cicho przy tejże dziurze lodowej, siedząc wygodnie na niedźwiedzim futrze. Foka pojawi się wkrótce wraz ze słońcem.

Tymczasem pękają lodowce, a w zatokach zalega lodowy gruz i pełno jest zwałów zbrylonego śniegu. Ze stałego lądu można zobaczyć rozszerzające się coraz bardziej szczeliny w odległym lodzie dryfującym, jeśli obserwować „wodne niebo” - ciemne płyty i smugi na oślepiająco jasnej pokrywie chmur, czyli przecinające światło cienie odbite od tłuki lodowej.

Można by sądzić, że Eskimosi zawsze chętnie witali wiosnę i nadejście lata - i owszem, bardziej jednak wyglądali nadejścia zimy. Mówię oczywiście, jak zwykle, o kulturach eskimoskich z epoki preindustrialnej. Niektórzy Eskimosi witali wiszące na horyzoncie słońce w oszołomieniu, całkowitym milczeniu i z uniesionymi rękami, chociaż wiedzieli dobrze, że latem będą musieli żywić się wyłącznie wychudzonymi rybami i ptakami. Zimowy śnieg topniał i już w postaci wody wsiąkał w cienką warstwę odtajalącej ziemi, sięgając wiecznej zmarzliny, a ponieważ woda nie miała dokąd spłynąć, wszędzie tworzyły się błotniste kałuże. Wtedy pojawiały się komary, które potrafią doprowadzić wędrujące karibu do takiego szaleństwa, że trują swoje nowo narodzone cielęta; słynne arktyczne komary, o których powiada się, że „gdyby było ich więcej, musiałyby być mniejsze”.

Zimą Eskimosi mogli podróżować w psich zaprzęgach i składać sobie nawzajem wizyty, ale z nadejściem cieplejszej pogody ich szlaki, jak moja ścieżka w Wirginii, stawały się niedostępne. W Alasce wewnętrznej i północnej Kanadzie topnienie lodów to wielkie wydarzenie. Zarówno stare wygi, jak i nowicjusze, którzy dopiero co przybyli na Alaskę,

zakładają się, którego dokładnie dnia i o której godzinie to nastąpi. A lód na tamtejszych rzekach nie rozpuszcza się ot tak, po prostu, tylko pęka i rwie się w kataklizmie odwilży. W górze rzeki cienka tafla odrywa się od brzegów i spływa z prądem niżej - uderza w masywną pokrywę lodową, rozkrusza ją i spycha dalej w dół rzeki, tworząc coraz większe skupiska lodu. Lodowe bryły zderzają się i zbijają ze sobą, wprawiając białego kolosa w ruch.

Wokół rozlega się donośny chrzęst i huk, a raz uruchomiona maszyna zrywa mosty, ogrodzenia i drzewa, gdy nagromadzony przez cały rok lód odjeżdża punktualnie niczym pociąg. Topnienie lodów: dałabym wszystko, żeby to zobaczyć. Otwierają się wtedy drogi wodne dla żeglugi, ale ludziom lasu trudniej jest się teraz poruszać po lądzie, nie można bowiem korzystać ani ze skuterów, ani z rakiet śnieżnych.

Tutaj, w majowej dolinie, przyroda jest w pełnym rozkwicie. Wszystkie rośliny są w pełni ulistnione i nie rozpoczęła się jeszcze niszczycielska inwazja owadów.

Liście wyglądają na świeże, soczyste i kształtne. Światło jest jasne, nie przefiltrowane przez choćby najcieńszą mgiełkę, a słońce nie spaliło jeszcze trawy.

Rośliny zaczynają mnie osaczać. Dzieci sąsiadów podrosły i już nie przecierają wszystkich ścieżek. Mam ochotę kupić im wszystkim motory. Las przypomina litą bryłę zieleni, a ja, jak człowiek Dalekiej Północy - albo przeszłości - muszę korzystać z dróg wodnych. Myślę jednak, że może nie jest tak źle, jak mi się wydaje, bo kiedyś, gdy już przebrnęłam i przeczłapałam prawie pół kilometra w przemoczonych tenisówkach w górę Tinker Creek, jakiś chłopiec powiedział mi „dzień dobry” z zarośniętego brzegu. Szedł za mną, bo nie miał nic lepszego do roboty - a był na bosaka.

Kiedy wpadam po kolana w wiciokrzew, biorę nogi za pas i idę nad kaczy staw. Jest to mały, eutroficzny akwenik, położony na polanie w pobliżu Carvin's Creek. Porastają go algi i roi się w nim od żab, ale ilekroć go widzę, przypomina mi się koń Jean White.

Kilka lat temu zdechła jej stara klacz - Nancy. Padła na terenie prywatnej posiadłości, gdzie się pasła, i Jean nie mogła uzyskać pozwolenia na pochowanie jej w tym miejscu. Nie martwiłyśmy się tym zbytnio, ponieważ zapanowała właśnie lipcowa susza i spalona słońcem gliniasta ziemia i tak stwardniała na kamień. Nie rozwiązywało to jednak problemu: co zrobić z martwym koniem? Inny mój znajomy usiłował kiedyś spalić martwe zwierzę, ale za nic w świecie nie zrobiłby tego po raz drugi. Jean White zaczęła telefonować po całym kraju, zaprzęgając do pracy swoich przyjaciół, którzy z kolei dzwoniли do swoich przyjaciół. Wszyscy znawcy tematu mieli dla nas jedną radę: spróbujcie pozbyć się konia na lisiej fermie. Leży trochę dalej na południe i hoduje się tam zwierzęta futerkowe. Okazało się, że ich właściciele chętnie skupują padłe konie z całych Stanów na „świeżą” karmę dla lisów. Ale

okazało się też - co było już nieco dziwne - że ferma jest tymczasem zawałona zdechłymi końmi i więcej ich przyjąć nie może.

Jak wspomniałam, był lipiec, więc problem znalezienia miejsca ostatniego spoczynku dla padłej klaczy stawał się palący. W końcu ktoś poradził, żeby Jean spróbowała pozbyć się zwłok na placu budowy nowej autostrady. Doszło do kilku decydujących rozmów telefonicznych i ku ogólnemu zdumieniu urzędnicy zgodzili się pogrzebać zdechłego konia na budowie.

Mało tego, przyjęli go z wdzięcznością, ponieważ miał im się przydać do wyrównania zagłębienia terenu. Było to duże zwierzę, a jego zwłoki w dodatku z każdą godziną puchły coraz bardziej. Miejscowy hodowca bydła mlecznego zgodził się poświęcić nam trochę czasu; dźwig podniósł martwego konia na ciężarówkę, a jej właściciel zawiózł go na południe i bez ceremonii wrzucił do dołu na terenie budowy, w miejscu, gdzie miała przebiegać nowa autostrada. Taki był zatem koniec klaczy Jean White. Jeśli więc kiedykolwiek zdarzy ci się podróżować przez Wirginię nową drogą międzystanową na trasie między Christianburgiem i Salem i poczujesz nagle, że w pewnym miejscu samochód podskakuje na maleńkim wyboju, zaprawdę, powiadam ci, „zdejm obuwie z nóg twoich”*, albowiem przejeżdżasz nad martwym koniem Jean White.

Wszystko to wraca do mnie nad kaczym stawem, szybko zamieniającym się w dół pełen żab. Żyją tu setki tysięcy żab ryczących, które skaczą sobie po gło-

* Księga Jozuego 5,15. wach na matach splątanych z alg. W ten sposób staw się zapelnia. Małe zbiorniki wodne nigdy nie żyją długo, zwłaszcza na południu. Gnijące resztki flory i padlina gromadzą się na dnie, zabierając tlen z wody, a nadbrzeżna roślinność rozrasta się aż do środka stawu. Za dwa stulecia, jeżeli nikt nie będzie ingerował w przyrodę, mój kaczy staw zarośnie las orzeszników.

Pewnego wieczoru pod koniec maja od strony Carvin's Cove, pomiędzy górami Tinker i Brushy, zrywa się wilgotny wiatr, który pędzi w dół doliny Carvin's Creek i uderza mnie w twarz, gdy stoję właśnie nad tym kaczym stawem. Jego powierzchnia nawet się nie marszczy. Warstwa alg tworzy na nim elastyczny pancerz - wydaje mi się, że byłoby słychać, jak chrzęści, gdyby wiatr wiał jeszcze trochę mocniej. Te prymitywne rośliny zaczynają zarastać zbiornik już w pierwsze ciepłe dni lutego, kładąc się na nim ociekającymi wodą smugami zielonych i błękitnozielonych włókienek. Algi zielenią się i rozrastają z rozświetnionej płycizny, gęstniejąc w wodzie niczym połyskliwa żelatyna. Gdy zduszą cały staw, zablokują całkiem światło słoneczne, uniemożliwiając oddychanie żyjącym w wodzie stworzeniom i krępując je beznadziejnie poplątanymi węzłami. Larwy ważek z łatwością

potrafią pozbyć się jednego albo dwóch odnóży, gdy wpadną w taką pułapkę, ale nawet one zaplątują się w nitki alg bez ratunku i giną z głodu.

Kilka razy zdarzyło mi się widzieć schwyte w algowe sidła żaby. Wpatrywałam się w staw, kiedy nagle zielona maź tuż pod moimi nogami wyskakiwała w powietrze, by natychmiast opaść. Wyglądało to tak, jakby ktoś od spodu dźgnął roślinny placek kijem od szczotki. Po chwili zielona powłoka podskakiwała znowu w innym miejscu, niby skacząca zielona flara, w absolutnej ciszy... To chyba nieco żenujący sposób spędzenia wieczoru, żaba zawsze jednak znajdowała w końcu jakąś dziurę i udawało jej się wyskoczyć na powierzchnię, ciągnąc za sobą długi welon zielonego śluzu oraz wydając dziwny, głuchy dźwięk, jak fujarka wrzucona do jaskini. Dzisiejszego wieczoru obeszłam cały staw, płosząc po drodze żaby. Kilka uskoczyło na bok z przeraźliwym wrzaskiem, ale większość jedynie postękiwała, a woda pozostawała nieruchoma. Gdy jakaś wielka żaba, jasnozielona jak z plakatu dla daltonistów, nie ustąpiła mi miejsca, zaczęłam machać rękami i tupać, żeby ją wystraszyć. Wtedy skoczyła nieoczekiwanie, ja też podskoczyłam, wystraszona, i wszystko w całym stawie zaczęło nagle skakać - a ja długo nie mogłam przestać się śmiać.

W świetle słonecznym tkwi jakby energia mięśniowa, odpowiadająca duchowej energii wiatru. W pogodny dzień energia słoneczna na powierzchni pół hektara ziemi lub stawu może osiągnąć moc czterech i pół tysiąca koni mechanicznych. Te „konie” rozchodzą się na wszystkie strony, jak niewolnicy przy budowie piramid, i wznoszą od podstaw nowy, silny świat.

W stawie aż kipi życie. Na środku kłębią się komary, a przy brzegach gęsto zalegają galaretowate jaja ślimaków. Którejś wiosny widziałam tu samicę żółwia jaszczurowatego, która wylazła z wody, żeby złożyć jaja. Dzisiaj podwodne zarośla rdestnicy i pływacza przeszukuje czapla zielona, a na płyciźnie dwa piżmoszczury zbierają pałki szerokolistne. Diatomity, które pod mikroskopem wyglądają jak kryształy, rozmnażają się tak szybko, że można właściwie zobaczyć na własne oczy, jak zanurzony w wodzie zielony liść pokrywa się brązowym meshkiem. Miejscowy plankton obfituje w algi jednokomórkowe, bakterie, grzyby wodne i glony. Larwy i poczwarki owadów żerują jak staw długi i szeroki. Żyjące w wodach stojących chruściki, larwy żylenic, świtezianek i ważek polują na gnijących resztkach roślinnych i zwierzęcych na dnie; larwy jętek kryją się w trzcinach, larwy komarów wiercą się tuż pod powierzchnią, a larwy o czerwonych ogonkach wystawiają tchawki wśród gnijących liści, zalegających wzdłuż brzegu. Tam gdzie brzeg jest mulisty, można z łatwością dostrzec maleńkie czerwone rureczniki i ochotki; konwulsyjna szarpanina setek, a nawet tysiący tych owadów zwraca moją uwagę.

Kiedyś, gdy staw był jeszcze młodszy i nie pozostawał we władzy alg, widziałam tu pewne niezwykle stworzenie. Z początku zobaczyłam tylko zgrabny, ciasny zakrętas, a dopiero potem cienkiego niczym nitka robaka długości pół metra, który płynął, wyrzucając ciało do przodu jak bicz. Przypominał kreskę, co chwila na nowo rysowaną tuszem na powierzchni wody.

Później dowiedziałam się, że jest to nitnikowiec. Jego larwy pasożytują w owadach lądowych, a prowadzące wodny tryb życia dorosłe osobniki osiągają nawet metr długości. Nie wiem, jak nitnikowiec dostaje się do stawu, ani jak się z niego wydostaje, żeby pasożytować w owadach lądowych. Nie mam też pojęcia, dlaczego zwierzęta te zostały tak wyjątkowo ukształtowane.

I wątpię, czy kiedykolwiek wróciłabym nad staw, gdyby ten nitnikowiec, którego wtedy zaobserwowałam, był dłuższy chociaż o kilka centymetrów albo choć o włos cieńszy.

Interesuje mnie bujny rozkwit planktonu. Mikroskopijne zwierzątka wchodzące w jego skład wielokrotnie przewyższają liczbą nas, ludzi, a wiosną mówimy o nim, że „rozkwita”, jak gdyby chodziło o mak.

Bo wiosną roi się tu chyba nawet do pięciu razy więcej planktonu niż latem. W jego skład wchodzi pierwotniaki - ameby i inne korzenionózki, miliony różnych wiciowców oraz orzęsków, galaretowate mszywioly, wrotki, które wirują pojedynczo albo w wielkich koloniach, i cały różnorodny drobiazg skorupiakowy, jak widłonogi, małżoraczki i wioślarki, reprezentowane przez dorodne rozwielitki. Wszystkie te dryfujące w wodzie zwierzątka rozmnażają się na najdziwniejsze sposoby, odżywiają się małą roślinami albo zjadają się nawzajem, po czym umierają i opadają na dno. Niektóre z nich poruszają się w wielce wyrafinowany sposób - wirują, wiosłują, płyną, czołgają się, rzucają lub wiją - ale ponieważ są takie małe, nie mogłyby się przeciwstawić żadnemu prądowi wodnemu, choćby nie wiadomo jak słabemu. Nawet taki trzeźwo myślący limnolog jak Robert E. Coker powiedział kiedyś o planktonie, że „się kłębi”.

Faktycznie, kubek wody z kaczego stawu wygląda jak wrzący rosół. Jeżeli zabiorę go do domu i pozwolę osiąść farfocłom na dnie, drobnoustroje zbiją się w stadka, które następnie przeleję do dwóch miseczek z przezroczystego szkła. Pierwszą z nich maluję całą na czarno, pozostawiając z boku tylko jeden krąg, przez który wpada do środka światło, natomiast na drugim naczyniu umieszczam z boku pojedynczą czarną plamę, która światło zatrzymuje. Po kilku godzinach wszystkie stworzenia światłolubne powolutku zgromadzą się wokół nie zamalowanego kręgu szkła, a cieniulubne podpłyną do czarnej plamy. Potem, jeśli tylko przyjdzie mi ochota, będę mogła je zbierać pipetką i badać pod mikroskopem.

Wyglądają jak rozmazane albo w ogóle znikają mi z oczu, kiedy ustawiam ostrość. Manipuluję okularem, aż wreszcie widzę powiększoną trzysta razy kroplę i mrużę oczy, przyglądając się małemu wrotkowi z rodzaju Monostyla. Wiruje gorączkowo, zaplątując się w nitki alg Spirogyra, albo śmiga wokół postrzępionej krawędzi jakiegoś śmiecia. Wrotek jest owalny i spłaszczony; wokół jego „główki” rośnie grzywka wijących się rzęsków, a jego „ogonek” to pojedynczy, długi nibykolec, więc trochę przypomina skrzypłoc.

Jak na wielokomórkowca jest jednak tak maleńki, że aż półprzezroczysty, a nawet wręcz transparentny, i trudno mi powiedzieć, czy w danej chwili przepływa nad, czy może pod równie jak on przezroczystą algą. W polu mojego widzenia pojawiają się dwa wrotki, zbliżając się do siebie z dwóch przeciwnych kierunków; spotykają się, zderzają, wycofują, i ich drogi się rozchodzą.

Ciągle mam wrażenie, że jeśli wyteżę słuch, usłyszę wycie maleńkich silniczków, pracujących na wysokich obrotach. Kiedy kropelka wody nagrzewa się od światelka na lusterku mikroskopu, wrotki wirują coraz szybciej i szybciej, a kiedy wyparowuje, bledną, zaczynają zwalniać i w końcu zostaje im już tylko tyle sił, by szarpać się kurczowo. Wtedy albo wylewam całe to towarzystwo do zlewu, albo robi mi się ich żal, wychodzę więc na drogę w świetle księżycy i opróżniam kubek do kałuży. Tinker Creek, nad którym mieszkam, jest za szybki i za gwałtowny dla tak maleńkich stworzeń.

Właściwie nie lubię tych mikroskopowych okrucieństw; już kilka razy omal nie spadłam z kuchennego krzesła, kiedy śledziłam zmęczonym wzrokiem króciutki żywot wrotka z rodzaju Monostyla, aż tu nagle na scenę wpadała olbrzymia czerwona glista, zasłaniając cały widok i wijąc się w ogromnych, roztrzepotanych konwulsjach, która wydawała się sięgać mojej twarzy i wypełniać całą kuchnię. Traktuję to jako coś w rodzaju moralnego ćwiczenia; mikroskop na wysokości moich oczu jest niczym filakteria i nieustannie przypomina mi o prawdach Stworzenia, o których wciąż zapominam. Możesz kupić synkowi mikroskop i powiedzieć wyniośle: „Popatrz no, młody człowieku, na dżunglę w kropli wody”. Chłopiec ogląda świat pod mikroskopem, przez miesiąc czy dwa bawi się wodą ze stawu, pleśnią na chlebie i kiełkami cebuli, a potem zaczyna grać w koszykówkę albo bawić się samochodzikami wyścigowymi, pozostawiając mikroskop na stole w piwnicy, już na zawsze wpatrzony nieruchomo w swoje własne lusterko - ty zaś mówisz wtedy, że twój syn dorasta. Ale w kałuży, w stawie, w różnych zbiornikach, rowach i w Oceanie Atlantyckim wrotki nadal wirują i żerują, rozświetlki filtrują i są filtrowane, a obwieszane gronami jajeczek widłonogi mnożą się jak szalone. To realne zwierzęta, wyposażone w realne narządy życiowe i prowadzące zupełnie realne życie - każde z nich z osobna. Nie mogę udawać, że nie

istnieją. Jeżeli ja żyję, posiadam zmysły, energię i wolę, można dokładnie to samo powiedzieć o wrotku. Zwierzątka kierują się ku ciemnemu okręgowi wymalowanemu na miseczce - a dokąd ja zmierzam? Poruszam się sprawnie przy bezwietrznej pogodzie, ale czy naprawdę przemieszczam się w wirze wodnym albo podczas wichury, kiedy gwałtownie zmieniają się warunki atmosferyczne, czy raczej „kłębię się” w miejscu?

Zostałam stworzona z bryłki wilgotnej ziemi i wprawiona w dumny, swobodny ruch - podobnie jak one.

W ten sam sposób powstał wrotek o ciałku przypominającym żarówkę, w którym zwieszają się splety białych narządów wewnętrznych; w ten sam sposób powstał pantofelek, wyposażony w tysiące rzęsek napędowych, które wiosłują wszystkie jednocześnie, przenosząc zwierzątko stąd tam, na drugi koniec kropki i z powrotem. Ad maiorem Dei gloriam Gdzieś, chociaż nie pamiętam gdzie, przeczytałam kiedyś o pewnym eskimoskim myśliwym, który zapytał miejscowego misjonarza: „Czy gdybym nie słyszał nic o Bogu i grzechu, poszedłbym do piekła?”.

„Nie - odpowiedział ksiądz. - Jeśli nie wiedziałbyś nic o Bogu i o grzechu, to nie”. „W takim razie po co mi o nich opowiadałeś?” - zapytał szczerze Eskimos.

Gdybym nie wiedziała nic o istnieniu wrotków i pantofelków oraz o rozkwicie planktonu dławiącego umierający staw, wszystko byłoby w porządku, ale ponieważ wiem, muszę z tym jakoś żyć i brać mikroorganizmy pod uwagę. „Nigdy nie należy rezygnować ze świętej ciekawości” - powiedział Einstein. Dlatego sięgam na półkę po mikroskop, rozsmarowuję kroplę wody z kaczego stawu na szklanej płytce i próbuję spojrzeć wiośnie w oczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Złożoność

I koniec coraz dłuższych czerwcowych dni moją kuchnię wypełnia różane, złożone światło. Wyemitowane wskutek eksplozji na pobliskiej gwiazdzie osiem minut temu, pędzi w przestrzeni kosmicznej w postaci cząsteczek i fal, uderza w naszą planetę, kładzie się na kontynencie i jak przez filtr przechodzi przez siateczkę ziemskiego pyłu - na który składają się drobinki gliny, darni, małe owady niesione na skrzydłach wiatru, bakterie, strzępki owadnich skrzydełek oraz nóżek, cząsteczki żwiru, pył węglowy i wyschłe komórki traw, kory albo liści. Czerwieniące światło pochyla się nad naszą doliną i zielonymi górami na zachodzie.

Na północnych zboczach przesiewają je sosnowe igły, a na całej górze dęby marylandzkie i głogi, których liście rozwijają się kolejno, tworząc złożoną, poszarpaną, strzępiastą mgiełkę świetlną. Światło przebiega dolinę, przebija się przez siatkę przeciw owadom osłaniającą otwarte okno w mojej kuchni i złoci świeżo pomalowaną ścianę. Jedna klepka jasności odgina się od niej i sięga stojącego na stole, przy którym siedzę, akwarium z rybką. Światło odbija się od rybiego boku i natychmiast leci ku mnie jak piłka bejsbolowa, więc przed oczami migocą mi rybie łuski i gwiazdy.

Ta rybka, samiec imieniem Ellery, kosztowała mnie dwadzieścia pięć centów. Ma ciemnoczerwony kolor i jest ciemniejsza niż większość rybek akwariowych swojego gatunku. Pokonuje krótkie odległości, posługując się głównie wiotkimi płetwami bocznymi, dzięki którym przemieszcza się w tył, w górę albo w dół. Dopiero po kilku dniach zauważyłam jego płetwy brzuszne, całkiem przezroczyste i prawie niewidoczne, niczym płetwy ze snu. Ellery ma również krótką płetwę analną i głęboko rozszczepiony ogon, którego oba zwężające się ku końcowi płatki też są przezroczyste. Potrafi wysunąć pyszczek do przodu i złożyć go w ciup; potrafi też tak zmieniać kąt położenia oczu, że widzi to, co dzieje się zarówno przed nim, jak i z tyłu, a nie jedynie z boku jak większość ryb. Jego mały brzusek jest biały od spodu, a smuga owej bieli sięga boków samczyka - Ellery jest więc w zasadzie kolorowy.

Kiedy rozchyła skrzela, w miejscu, gdzie stykają się one z tułowiem, widać cienki srebrzysty półksiężyc, można by więc pomyśleć, że czerwień jego ciała to skutek oparzenia słonecznego.

Jak już wspomniałam, zapłaciłam za niego dwadzieścia pięć centów. Pierwszy raz w

życiu kupowałam zwierzę, ale okazało się to bardzo proste: pojechałam do Roanoke, udałam się do sklepu zoologicznego o nazwie „Nasi wodni pupile”, dałam sprzedawcy ćwierć dolara, a on wręczył mi zawiązaną torebkę plastikową, w której pływała woda, jakaś zielona roślinka i moja złota rybka. To warte parę centów zwierzątko posiada zwinięte jelito, kręgosłup, z którego promieniście wyrastają cienkie ości, a także mózg. Zanim wsypię mu karmę do akwarium, stukam trzy razy w ściankę; wyrobiłam w nim już odruch warunkowy, więc Ellery zawsze wypływa teraz na powierzchnię, kiedy słyszy stukanie. Ach, no i ma serce.

Wiele lat temu widziałam, jak czerwone ciała krwi wypełniały kolejno naczynka włosowate w przezroczystym ogonie złotej rybki uspionej eterem. Jej łebek spowijał nasączony eterem wacik, a ogonek spoczywał na tacy pod mikroskopem sekcyjnym, jednym z tych cudownych, skupiających światło mikroskopów odwóch okularach, przypominających stereoskop, pod którym cały świat - nawet skóra na moich palcach - wygląda fenomenalnie, migocząc miriadami kolorowych świateł i osiągając głębię alpejskiego pejzażu. Czerwone krwinki w rybim ogonie płynęły i krążyły wąskimi kanalikami, właściwie niewidocznymi, bo wyglądającymi jak połyskliwe nici w otaczającej je przezroczystości. Nigdy się nie wahały, nie zwalniały inie przestawały płynąć, zupełnie jak mój strumień; sunęły czerwoną strużką naprzód i w górę, dalej, jedna po drugiej, a przybywało ich coraz więcej i więcej, bez końca. (Energia tego rybiego pulsu przywodzi mi na myśl także ludzkie ciało: otóż jeżeli usiądziecie dokładnie na kości ogonowej, po turecku albo podciągając nogi pod brodę, po czym oprzecie wyciągnięte ręce na kolanach, to zaczniecie się kołysać w rytm waszego serca, poruszani jedynie jego energią, bez żadnego wysiłku, tak długo, jak długo zdołacie zachować równowagę).

Czerwone krwinki krążą teraz w ogonie Ellery'ego wskutek działania tego samego mechanizmu, także w jego pyszczku i oczkach, tak samo zresztą jak w moich. Nigdy nie zapomniałam widoku tych krwinek; myślę o nich, widząc moją rybkę w akwarium, a także leżąc już wieczorem w łóżku, gdy wyobrażam sobie, że jeśli się odpowiednio skoncentruję, to może też poczuję w palcach delikatny napór i pływ okrągłych punkcików, jakby ktoś przeciągał sznur koralików przez moją otwartą dłoń.

Ale w akwarium dzieje się coś innego. Oto na kuchennym stole „rozkwita” plankton, karmiony prostym promieniem złożonego światła. Woda zółknie i mętnieje, liście wodnej rośliny zwanej moczarką oblepia przezroczysty śluz, a do szklanych ścianek przylega niebieskozielony osad jednokomórkowych alg. Muszę wyczyścić to cholerne akwarium. Oszczędzę wam szczegółów: interesuje mnie przede wszystkim roślina.

Ellery pływa w zatkanym zatyczką zlewie, a ja spłukuję algi, wylewam je do drugiej

komory, przemywam kamyczki z dna, po czym myję liczne, przypominające paproć listki moczarki pod bieżącą wodą, aż wreszcie czuję pod palcami, że są czyste.

Moczarka nie cieszy się opinią rośliny szczególnie pięknej. Hodowcy ryb akwariowych używają jej z uwagi na łatwą dostępność, a także dlatego że produkuje tlen w całkowitym zanurzeniu - natomiast w laboratoriach wykorzystuje się ją, ponieważ w przekroju poprzecznym jej liście mierzą zaledwie dwie komórki grubości. Jest powszechnie osiągalna, tania i łatwo ją hodować - tak jak złote rybki. I podobnie jak komórki rybki, komórki moczarki wystąpiły dla mnie mimo woli na scenie pod mikroskopem.

Byłam w laboratorium, gdzie skorzystałam z bardzo drogiego urządzenia. Patrzyłam przez dwa bliźniacze okulary i po raz kolejny ujrzałam w nich kolorowy, połyskliwy świat. Cienki, podłużny liść moczarki, długi na ponad pół centymetra, spoczywał na szkiełku, ociekając wodą w zalewie bijącego od spodu jaskrawego światła. W kręgu utworzonym przez wycelowane w prześwitujący listek dwa okulary dostrzegłam czystą mozaikę dużych, niemal bezbarwnych komórek. Było ich osiem albo dziewięć, powiększonych czterysta pięćdziesiąt razy. Całkowicie wypełniały mikroskopowy krąg, z łatwością więc ujrzałam to, co przysłałam obejrzeć: strumień chloroplastów.

Chloroplasty zawierają chlorofil; to one nadają barwę zielonemu światu i to w nich odbywa się fotosynteza. Wzdłuż wewnętrznego obwodu każdej z olbrzymich komórek ciągnęła się nieprzerwana pętla jasnozielonych plamek, wirujących niczym pantofelki; pulsowały, parły przed siebie i zbijały się w grupki.

Po zmianie ogniskowej ujrzałam także wirujące prądy rzeki przezroczystej cytoplazmy, czyli czegoś w rodzaju „eteru” dla chloroplastów - albo „czasoprzestrzeni”, w której zostały zamknięte ich maleńkie żywoty.

Wróćmy jednak do zielonych plamek, które lśniły i roily się w ciągle zmieniających się szeregach wokół obwodu komórki - błąkały się, szarżowały, kłębiły się, pędziły i sunęły wzdłuż skraju nicości, czyli komórki wewnętrznej, wyglądającej na pustą; płynęły i paradowały w swoich zielonych mundurkach pod ścianką wegetatywną.

Cała zieleń świata roślinnego składa się z tych okrągłych, zdrowych chloroplastów, poruszających się w wodzie. Jeżeli przyjrzeć się bliżej cząsteczce chlorofilu, znajdziemy w niej sto trzydzieści sześć atomów wodoru, węgla, tlenu i azotu, ułożonych starannie i wchodzących ze sobą w złożone relacje wokół tak zwanego pierścienia centralnego, w którego środku znajduje się pojedynczy atom magnezu. A teraz uważajcie: jeżeli usuniemy ten atom magnezu i zastąpimy go atomem żelaza, otrzymamy cząsteczkę hemoglobiny. Atom żelaza łączy się z pozostałymi atomami, tworząc czerwoną krew - strumień czerwonych

plamek w ogonie rybki akwariowej.

A zatem akwarium kryje zarówno maleńki, jak i wielki świat: gdyby jądra wszystkich znajdujących się w nim atomów były wielkości pestki wiśni, najbliższe nich elektrony wirowałyby w odległości stu siedemdziesięciu metrów. Powietrze wypełniające pęcherz pławny rybki pozwala jej zachować równowagę w wodzie; łuski Ellery'ego zachodzą na siebie, jego jakby postrzępione skrzela pompują i filtrują wodę, jego oczy patrzą, serce bije, wątroba wchłania, a mięśnie kurczą się falą rozchodzących się zmarszczek. Rozwielitki, którymi się żywi, też mają oczy i nogi. Algi, którymi z kolei żywią się rozwielitki, zbudowane są z zielonych komórek, rozstawionych niczym pionki warcabów albo wijących się wąskimi wstęgami, jak spiralne schody wokół długich kolumn nicości. I tak dalej, coraz niżej i niżej. Jeszcze nie znaleźliśmy plamki tak małej, że aż nie stworzonej, jak nie wybita jeszcze albo dopiero co zaprojektowana moneta - i nigdy jej nie znajdziemy. Przechodzimy od pejzażu do ruchomej instalacji, od rzeźby do kolażu, aż po molekularne struktury, przypominające tańczące tłumy na obrazach Breughla, po lekkie atomy, zrównoważone harmonijnie niczym płótno Paula Klee, i po cząsteczki elementarne, ożywione i niesforne jak święci z dzieł El Greca.

I to wszystko jednak jakoś działa. „Natura jest zawsze mityczna i mistyczna i nawet w najmniejsze dzieła wkłada swój cały geniusz” - stwierdził w dzienniku Thoreau. Ja bym dodała, że Stwórca miesza i ubija złożoną powierzchnię swych najmniejszych dzieł, którą stanowi świat rozrzuconego geniuszu i ekstrawagancji staranności. Właśnie w tym rzecz.

Siedzę tu, wpatrując się w akwarium i łamiąc sobie głowę. Ich kann nicht anders. Ja siedzę tu, ty tam.

Powiedzmy nawet, że siedzisz naprzeciwko mnie, po drugiej stronie kuchennego stołu, w tej chwili. Nasze oczy spotykają się, a świadomość rozpala się i gaśnie.

To, co wiemy, przynajmniej na starcie, wygląda tak: oto - czemu nie można zaprzeczyć - jesteśmy. To jest nasze życie, to nasze cudowne lata, a potem umieramy.

(Umierasz, umierasz; wpierw mokniesz, potem usychasz). Tymczasem, pomiędzy narodzinami i śmiercią, patrzymy i widzimy. Łuski spadają nam z oczu, pozbywamy się katarakty i możemy pracować nad zrozumieniem tych kolorowych plam, które oglądamy, starając się dociec, gdzie się tak bezapelacyjnie znaleźliśmy.

To całkiem zdroworozsądkowa reakcja: kiedy wprowadzasz się do nowej dzielnicy, starasz się ją poznać.

Jestem równie gorączkowo zainteresowana tym, gdzie jestem, jak samotny żeglarz bez sekstansu na statku na pełnym morzu. Nad czym innym miałby się zastanawiać? Na

szczęście, też podobnie jak ten żeglarz, jestem aktualnie w sytuacji, która pozwala mi poświęcić sporo czasu na zobaczenie tego, co zobaczyć mogę, i próby poskładania tego w jakąś całość. Nauczyłam się nazw niektórych z tych kolorowych plam, ale nie ich znaczeń. Czytam książki i gorączkowo gromadzę dane statystyczne: podobno średnia temperatura naszej planety wynosi niecałe trzysta stopni Celsjusza. Z dwudziestu dziewięciu procent stałego lądu na Ziemi ponad jedna trzecia to pastwiska. Średnia wielkość wszystkich żywych istot, wliczając w to człowieka, nie dorównuje nawet wielkości muchy domowej. Ziemia zbudowana jest głównie z granitu, a ten z kolei w przeważającej mierze z tlenu. Najliczniejsze zwierzęta na tyle duże, by można je zobaczyć gołym okiem, to widłonogi, roztocza i skoczogony, a wśród roślin algi i turzycy. W Appalachach znaleźliśmy złoża węgla składające się ze stu dwudziestu pokładów, co oznacza, że kiedyś przypadkiem woda pochłonęła tu sto dwadzieścia lasów, które teraz spoczywają w ziemi, jak zwłoki w szufladach kostnicy. I tak dalej. Takie informacje statystyczne, a z drugiej strony cząsteczki elementarne, jak kwanty, neutrina i tak dalej, stanowią ostatecznie jakby podczerwone i ultrafioletowe światło na obu krańcach widma. Są albo za duże, albo za małe, by można je było zobaczyć i zrozumieć; są także mniej lub bardziej niewidoczne, chociaż niewątpliwie istnieją, i niepojęte, albowiem nie rozumiem ich nawet wtedy, kiedy je dobrze widzę. Chciałabym zobaczyć i zrozumieć wszystko; muszę od czegoś zacząć, próbuję więc poradzić sobie z olbrzymim pluskwiakiem wodnym z Tinker Creek, odlotem trzystu epoletników krasnoskrzydłych z żółtnicy pomarańczowej, skórą węża i akwariem ze złotą rybką, pozwalając martwić się o przyrost naturalny i wyż demograficzny układów słonecznych tym, którzy mają po temu odwagę.

Dlatego myślę o dolinie. I ogarnia mnie coraz silniejsze wrażenie, że wszystko, co widziałam i widzę, jest całkowicie zbędne. Ofiary olbrzymiego pluskwiaka wodnego, kumkanie żaby i „drzewo pełne światełek” nie są konieczne per se ani dla świata, ani dla jego Stwórcy. Ja też nie. Przede wszystkim Stworzenie, sam byt, jest jedyną koniecznością, za którą gotowa byłabym umrzeć - i umrzeć. Najważniejszy wydaje mi się fakt, że jeśli chodzi o byt, który znam i oglądam z lokalnej perspektywy, to myśląc o nim, widzę, że jest rozrzutnym szaleństwem szczegółików. Na plan pierwszy wysuwa się właśnie lamówka oraz sieć szczegółów.

To, że istnieje aż taka mnogość detali, zdaje się najważniejszym i najlepiej widocznym aspektem Stworzenia. Jeżeli nie widzisz lasu, tylko drzewa, przyjrzyj się im uważnie, a kiedy zobaczysz ich dość dużo, twym oczom ukaże się las - no właśnie. Jeżeli świat jest zbędny, frędzelki na płetwie rybki są milion razy bardziej niepotrzebne. Pierwsze pytanie - najbardziej podstawowe z podstawowych - dotyczące stworzenia świata i istnienia

znaku, który byłby afrontem wobec nicości, jest daremne. Nie mogę go pomyśleć. Dlatego skupiam się na marginesie tego pytania, na marginesie rybiej płetwy, na złożoności plamistych i cętkowanych szczegółów świata.

Stara kabalistyczna mądrość mówi o „tajemnicy rozbijania naczyń”. Słowa te odnoszą się do natury wszechrzeczy, pokawałkowanej i zamkniętej w różnego rodzaju skorupach albo łupinach, będących formą boskiej emanacji bądź czasu. Gdy owe naczynia pękły, utworzyły się układy słoneczne, wrotki zaczęły wirować w stojących wodach i wyrosły im rzęski, a wyposażone w skrzela traszki zaczęły żłobić bruzdy na mulistym dnie strumienia. Naczynia nie tylko pękły, lecz pękły nad wyraz pięknie. Moim tematem, a zarazem przedmiotem dociekań jest zatem dzisiaj złożoność, złożoność stworzonego świata.

Jesteś Bogiem. Chcesz stworzyć las: coś, co nie pozwoli erodować ziemi, skupi energię słoneczną i będzie produkować tlen. Czy nie byłoby łatwiej zaprojektować po prostu bajero chemikaliów? Hektar jakiegoś zielonego, oślizgłego paskudztwa?

Jesteś mężczyzną, emerytowanym kolejczym, którego hobby to modelarstwo. Postanawiasz zbudować model drzewa, sosny długoigłej, którą zasadził niegdyś twój pradziadek; chodzi tylko o model, który nie musi normalnie funkcjonować. Jak tego dokonasz? Jak sądzisz, czy starczy ci życia na to przedsięwzięcie? Czy dysponujesz wysokiej jakości klejem? Po pierwsze, będziesz musiał wykopać dół i wcisnąć pień swojej sosny w ziemię niemal na głębokość Rowu Mariańskiego, jeśli chcesz, żeby stał prosto. Bo twój model musi być dość duży; jeśli okaże się za mały, nie będziesz w stanie pracować ze smukłymi, trójbocznymi igłami, połączyć ich w ciężkich kępkach po trzy i przymocować do giętkich gałązek. Z kolei te gałązki muszą być pokryte „licznymi srebrnobiałymi, strzępiastymi, długimi łuskami”. A czy łuski twoich szyszek są „cienkie, płaskie i zaokrąglone na czubku”? Czy ich odsłonięte fragmenty (w zamkniętej szyszce) są „czerwonobrazowe, często pomarszczone i uzbrojone na grzbiecie w maleńki kolec, wygięty w stronę podstawy łuski”?

Kiedy rozluźniasz witkę miedzianego drutu, którym gałęzie modelu są przywiązane do pnia, całe drzewo składa się jak parasol.

Jesteś szpakiem. Widziałam, jak przeleciałeś wśród gałęzi sosny długoigłej, ani na chwilę nie gubiąc rytmu skrzydeł.

Jesteś rzeźbiarzem. Wspinasz się na wielką drabinę i polewasz roztopionym tłuszczem żywą sosnę długoigłą. Potem wznosisz wokół drzewa pusty cylinder, przypominający gródź na statku, i smarujesz tłuszczem jego ścianki od wewnątrz. Znów wchodzisz na drabinę i przez cały następny tydzień wlewasz do cylindra płynny gips, który pokrywa w końcu całe

drzewo. Czekasz, aż gips zastygnie. Potem otwierasz gródź, rozbijasz gipsową powłokę, ścinasz sosnę, wywozisz ją gdzieś, wyrzucasz, i oto twoja złożona, skomplikowana rzeźba jest gotowa: ukształtowałeś powietrze.

Jesteś chloroplastem, poruszającym się w wodzie unoszonej na wysokość trzydziestu metrów ponad ziemię. Wodór, węgiel, tlen i azot tworzą pierścień wokół atomu magnezu... Jesteś ewolucją; dopiero zaczęłaś stwarzać drzewa. Jesteś Bogiem... Zmęczony? Już skończyłaś?

Złożoność oznacza, że owo coś, co istnieje na przekór nicości, posiada jakby strzępiasty obrębek, który rozrasta się i rozprzestrzenia, pączkując szczegółami.

Spróbuj w myślach odwrócić przestrzeń pozytywną i negatywną, jak w gipsowym odlewie sosny, i wyobraź sobie pustkę jako coś w rodzaju osoby, nieskończonej osoby, zbudowanej z substancji przypominającej plastyczną, nie uformowaną, amorficzną glinę.

(Zapomnijcie na chwilę, że powietrze w naszej atmosferze jest „czymś”, i uznajcie je za „nic”, za negatywną przestrzeń rzeźbiarza). Taki niygliniany człowiek zawiera w sobie przenikające go dziury czy otwory, którymi są galaktyki i układy słoneczne. Otwory te dzielą się w nim, rozszerzają, kurczą, zmieniają kierunek, obracają się i wirują. Gliniany człowiek rozlewa się jak woda, rozprzestrzenia się i wypełnia wszystko, niczego nie widząc.

A oto jedna z takich poszarpanych dziur - nasza Ziemia, dziura rozszarpująca człowiekowipustkę bok na strzepy, którymi są góry i sosny. Oto zaś kształt pojedynczej, ruchliwej, splątanej krawędzi, pierzasta dziura w unoszącym się nad naszą planetą zgiętym skrzydle lecącej gęsi. Pięćset chorągiewek nicości wciska się w glinę pustki z obu stron centralnego, elastycznego trzonu pióra. Na każdej chorągiewce znajdują się dwie obwódki, złożone z pięciuset tak zwanych promyków, co daje milion promyków na każdym piórze, ząbkowanych i splecionych ze sobą w matrycy nicości. Gliniany człowiek porusza się w tkaninie tej formy nieomylnie, podobnie jak w innych pierzastych dziurach, w gęsi, w lesie sosnowym, w całej naszej planecie i tak dalej.

Innymi słowy, nawet na zupełnie zwyczajnym i dobrze widocznym poziomie Stworzenie operuje niezgłębianą i pozornie zupełnie niepotrzebną złożonością.

Samotny skok pierwszego atomu wodoru ku istnieniu ex nihilo musiał być tak niewyobrazalnie, gwałtownie rewolucyjny, że z pewnością powinien był okazać się wystarczający, a nawet więcej niż wystarczający. Ale spójrzcie, co się dzieje dalej. Otwieracie drzwi i od razu rozpętuje się piekło - i niebo.

Nośnikiem złożoności jest oczywiście ewolucja.

Trwałość prostych form stanowi mocną podstawę, na której mogą wyrosnąć bardziej

złożone, trwałe formy, z których ukształtują się z kolei formy jeszcze bardziej złożone, i tak dalej. Warstwowa natura tej trwałości, przywodząca na myśl dom wzniesiony na skale położonej na skale leżącej na innej skale, działa zdaniem Jacoba Bronowskiego jak „mechanizm zapadkowy”, który nie pozwala „się rozlecieć” całemu temu kramowi. Możecie wnieść do domu zarówno ptasie pióro, jak i fortepian, postawić rzeźbę na dachu, czemu nie, a nad wejściem zawiesić flagi - wasz dom to wszystko wytrzyma.

Na przykład w łebku zwykłej gąsienicy znajduje się dwieście dwadzieścia osiem różnych mięśni. Oto, co można przeczytać na temat małżoraczka, powszechnie spotykanego w wodach słodkich skorupiaka, którego pobratymców rozdeptuję całymi tysiącami, kiedy tylko wchodzę do Tinker Creek: „W przedniej części tułowia tego zwierzęcia znajduje się oko. Przewód pokarmowy leży tuż pod zaworą, a otwór gębowy porastają przypominające piórka wyrostki pokarmowe, służące do pobierania pożywienia... Za nimi znajdziemy zakrzywioną nóżkę, której małżoraczek używa między innymi do usuwania niepożądanych drobin pomiędzy wyrostków pokarmowych”. Albo wspomnijmy, że - tak jak już pisałam - duży wiąz może wypuścić sześć milionów liści. W porządku... Ale liście wiązu są ząbkowane, a każdy pojedynczy ząbek też jest ząbkowany. Ile podobnych ząbków i chorągiewek znajdziemy na świecie? Złożone brzegi liścia są karbowane, wcięte, Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Wszystkie teorie stworzone przez botaników, mające wyjaśniać funkcje różnych kształtów liści, miazdzą całą lawinę niespójności. Uczni po prostu nie wiedzą, dlaczego liście mają takie, a nie inne kształty; znalezienie odpowiedzi na to pytanie przekracza możliwości ich wyobraźni.

Nieraz miałam okazję się przekonać, że sprawy, które mnie pochłaniają bez reszty, nie interesują innych ludzi i nie robią na nich najmniejszego wrażenia.

Uwielbiam upatrzeć sobie jakiegoś Bogu ducha winnego gościa na przyjęciu, podejść do niego, zmierzyć go dzikim, roziskrzonym wzrokiem, jak sędziwy marynarz z poematu Coleridge'a, i zapytać: „Czy wiesz, że w głowie gąsienicy zwykłej ómy trociniarki znajduje się dwieście dwadzieścia osiem różnych mięśni?”.

Nieszczęśnik natychmiast ucieka. Nie chcę sobie po prostu z nim pogadać; chcę zmienić jego życie. Wydaje mi się czasem, że posiadam pewien organ, którego innym brakuje, a mianowicie coś w rodzaju maszynki do mielenia informacji nie posiadających praktycznego znaczenia.

Jako młoda dziewczyna myślałam, że wszyscy ludzie mają na dolnych powiekach specjalne narządy, które przechwytyują wpadające nam do oczu paprochy.

Nie mam pojęcia, skąd zaczerpnęłam tę - jak mi się zdawało - anatomiczną wiedzę.

Wpadały mi do oczu różne paproszki, które potem znikwały, sądziłam więc, że dostawały się do, jak ją nazywałam, „torebki ocznej”.

Była to jakby smukła kieszonka o cienkich ściankach, posiadająca pewne zdolności trawienne, pozwalające jej po jakimś czasie wchłonąć rzęsy, strzępki tkanin, ziarnka piasku i wszystkie inne drobinki, które mogą się znaleźć w ludzkim oku. Cóż, jak się okazało, taka

„torebka oczna” istniała jedynie w mojej wyobraźni i co więcej, istnieje w niej do dzisiaj, już jako „torebka mózgowa”, przechwytyjąca i pochłaniająca wszelkie drobiazgi, które wpadają mi w oko - ale w innym sensie.

Wszystko, co zapamiętałam sprzed lat z obowiązkowych zajęć z zoologii, to informacja, że istnieje we wszechświecie coś, co nosi nazwę pętli Henlego. Jej schronieniem na Ziemi jest ludzka nerka. Niedawno odświeżyłam sobie pamięć w tej kwestii. Pętla Henlego to bardzo wąski łuk, jaki w nefronie nerki zatacza niewiarygodnie maleńki kanalik. Z kolei nefron jest filtrującą jednostką czynnościową nerki, wytwarzającą mocz i absorbującą substancje odżywcze. Jest to tak ważna czynność, że jedna piąta krwi tłoczonej przez serce trafia właśnie do nerek.

Nie da się opisać nefronu; być może uzyskałbyś podobną do niego strukturę, gdybyś rzucił na podłogę mniej więcej piętnaście metrów sznurka. Jeśli połowa jego długości zwinie się w bardzo ciasną pętlę, będzie ona przypominać pętlę Henlego. Dwa pozostałe końce zwiniętego i splątanego sznurka wyglądałyby jak tak zwany bliższy i dalszy „kanalik kręty”. Ale najważniejszy stałby się straszliwie splątany węzełek, „niemal idealnie okrągła kępka równoległych naczyń włosowatych”, czyli kłębuszek włosniczkowy albo ciało Małpighiego. To jakby filtr filtrów, wyposażony w naczynia doprowadzające i odprowadzające oraz chroniony przez torebkę kłębka nerkowego o podwójnych ściankach. W porównaniu z kłębuszkiem włosniczkowym pętla Henlego jest stosunkowo nieważna. Wędrując swoją okrężną drogą, upycha ona niejako bardzo długi kanalik filtrujący na bardzo niewielkiej przestrzeni - ale ten delikatny łuk tkanki, najpierw opadający, a potem biegnący w górę, stanowi w istocie marginalną ekstrawagancję natury, którą zapamiętałam właśnie dlatego, że jest marginalna, choć przy okazji piękna, niczym zakole strumienia.

Rzecz jednak w tym, że w każdej ludzkiej nerce znajduje się mniej więcej milion nefronów. Posiadam więc dwa miliony kłębuszków, dwa miliony pętli Henlego i stworzyłam je sama, bez najmniejszego wysiłku. To niewątpliwie moje najwspanialsze dzieło. Ogromnie złożone i niebywale ekstrawaganckie!

Na przykład bliższy kanalik kręty „składa się z nieregularnych, prostopadłościennych komórek o charakterystycznym, przypominającym szczoteczkę prądkowaniu (zwanym

rąbkiem szczoteczkowym) na rąbku wewnętrznym albo luminalnym”. Oto moje osobiste strzępiaste niezbędniki, istny las sosnowy.

Jak pamiętacie, van Gogh nazwał kiedyś świat nieudany studyum malarskim. Czy jest ono faktycznie udane, czy nie, to trudne pytanie. Wprawdzie chloroplasty płyną w liściu jakby gnane jakimś potężnym, niewidzialnym tchnieniem, ale z drugiej strony wzbiera żal w Strumieniu Cienia, z którego samotnych brzegów wydaje się, że wszystkie nasze złożone obrębki, frędzelki czy strzępiaste obwódki, choć piękne, są w istocie prążkowaniem, powstałym w wyniku powszechnego i niezasłużonego darcia pasów z człowieka i ze świata. Ale, ale, panie van Gogh: świat nie jest żadnym studyum. Prawda o uniwersalnej złożoności świata nawet w jego najdrobniejszych przejawach jest taka: świat nie jest żadnym studyum ani pobieżnym szkicem; świat został stworzony doskonale i pieczołowicie, w obfitości, z ekstrawagancką rozrzutnością oraz ostatecznie.

Obok złożoności jest jeszcze jeden aspekt Stworzenia, który zrobił na mnie wrażenie podczas moich wędrówek. Spójrzcie ponownie na cienkiego jak nitka, długiego na metr nitnikowca, który wije się niczym bicz, płynąc przez kaczki staw, albo splątuje się z innymi osobnikami swojego gatunku w oślizgły węzeł gordyjski. Spójrzcie na zbite zimą w kulę bzyzące pszczoły, bądź też na żółwia oddychającego pod lodem przez kurczący się i rozkurczający stek odchodowy. Spójrzcie na owoce żółtnicy pomarańczowej, wielkie jak grejpfruty, zielone i pofałdowane na podobieństwo ludzkiego mózgu. Albo przyjrzyjcie się przezroczystemu brzuszki wrotka: w środku widać coś pomarańczowego, co podnosi się i opada z siłą tłoka, oraz coś małego i okrągłego, co wiruje w miejscu jak koło zamachowe. Krótko mówiąc, spójrzcie na cokolwiek - na nogi łyski, na mordkę modliszki, na banana czy na ludzkie ucho - a przekonacie się, że Stwórca nie tylko stworzył świat, ale że może stworzyć wszystko. Nie cofnie się przed niczym.

Nikt nie pochyła się nad ewolucją z ołówkiem w ręku i nie powiada: „Nie, no to jest zupełnie idiotyczne, nie zgadzam się na coś takiego”. Jeżeli dane stworzenie daje sobie radę, opatruje się je znakiem korektorskim, oznaczającym „zostaje”. Czy nasz gust jest lepszy niż gust Stwórcy? Jedynym estetycznym względem, jaki bierze pod uwagę ewolucja, jest użyteczność. O ile wiem, w przyrodzie forma jest wynikiem funkcji, a każda istota, która sprawnie funkcjonuje, choćby nie wiedzieć jak dziwaczna, utrzymuje się przy życiu, żeby przekazać potomstwu swoją formę.

Jeśli chodzi o złożoność form, to na pewne pytania znam odpowiedzi, a na inne nie: wiem, dlaczego promyki u chorągiewki ptasiego pióra splatają się ze sobą i dlaczego pętla Henlego jest zapętłona, nie wiem jednak, dlaczego liście wiązu są ząbkowane na brzegach ani

dla czego łuski na motyli skrzydłach i cząsteczki pyłku kwiatowego mają podobny kształt. Ale o różnorodności form, o ich wielości nie wiem zupełnie nic, poza tym że najwyraźniej wszystkie chwytaki są tu dozwolone. Mam na myśli także różne formy zachowań zwierząt, nie tylko ich kształty - modliszkę pożerającą swojego partnera, żabę zimującą w błocie, pająka oplatającego siecią kolibra czy gąsienicę ćmy *Thamatopoea pityocampa* snującą swoją nić. Witajcie na pokładzie. Obraz całej tej hałastry sygnuje widać jakiś hojny, wspaniałomyślny duch.

Weźmy afrykańskiego żuka *Goliathus regius*, jak pisze Edwin Way Teale, tak wielkiego, że „kiedy zaczyna wieczorami buczeć, zdaje się, że nadlatuje odrzutowiec”. Albo jeszcze lepiej, zobaczmy, co pisze Teale na temat południowoamerykańskiej mrówki miodowej, odznaczającej się wyjątkowo rozciągliwym odwłokiem. „Niektóre osobniki tego gatunku pełnią w kolonii rolę magazynów nektaru zebranego przez robotnice i nigdy nie opuszczają gniazda. Ich odwłoki są tak nabrzmięte, że owady nie mogą się poruszać, przywierają więc po prostu do sklepienia swojej podziemnej komory, zwracając pożywienie, kiedy potrzebują go robotnice”. Czytam i widzę te mrówki, jak gdyby siedziały na suficie w kuchni albo w mojej głowie - to pulsujące, żywe słoje, pełne po brzegi zbiorniki, wymiona, na których widok pierwsze w kolejce obdarzone zmysłem wzroku zwierzę myśli: „Nie do wiary”.

Blake powiedział, że ten, kto nie przedkłada formy nad kolor, jest tchórzem. Często żałuję, że Stwórca nie był nieco bardziej tchórzliwy i że dał nam za dużo różnych form, a za mało barw. Oto kolejna interesująca forma, bliższa mojemu miejscu zamieszkania.

To larwa albo poczwarka zwykłej ważki. Bezskrzydłe larwy mierzą dwa centymetry długości i są grube jak dżdżownice. Żerują wszędzie na dnie strumieni i stawów w dolinach, zasysając wodę przez skrzelą rektalną. Ale mnie fascynują przede wszystkim ich mordki. Jak pisze Howard Ensign Evans, larwa ważki „ma niesłychanie wydłużoną dolną wargę z podwójnym stawem zawiasowym, dzięki czemu może kryć ją pod odwłokiem, gdy nie jest akurat potrzebna; jej część zewnętrzna jest rozrośnięta, zaopatrzona w mocne, haczykowate wyrostki i w pozycji spoczynkowej tworzy tak zwaną maskę, obejmującą większą część łebka larwy. Zwierzę potrafi gwałtownie wyrzucić wargę do przodu na znaczną odległość, chwycić zdobycz śmiertelnościami haczykami i wciągać ją następnie między swoje ostre, ząbkowane szczęki. Larwy ważek polują na wiele gatunków różnych małych owadów żyjących w środowisku wodnym, a większe osobniki potrafią sobie poradzić nawet z małymi rybkami”.

Świat roi się od stworzeń, które z pewnych względów wydają się nam dziwniejsze od innych, a biblioteki pełne są książek, które je opisują - wspomnijmy tu o śluzicy, dziobaku,

przypominających jaszczury i długich na ponad metr łuskowcach o jasnozielonych łuskach, zachodzących na siebie niczym kryjące dach szafasu liście magnolii parasolowatej, o motylach wyfruujących z kopców mrówek, o mikroskopijnych pajęczkach, szybujących w powietrzu na maleńkich, jedwabistych balonikach, albo o skrzyploczach... Stwórca stwarza. A czy pochyla się nad swoim stworzeniem, przemawia do niego, zbawia je, wspiera, panuje nad nim? Może. Ale przede wszystkim stwarza; cały świat i wszystko, co tylko chcecie.

Ze wszystkich form życia, które pojawiły się na Ziemi, do dnia dzisiejszego zachowało się ich zaledwie dziesięć procent. Pozostałych dziewięćdziesiąt - fantazyjne i zwyczajne rośliny, zwierzęta obdarzone najróżniejszymi skrzydłami, ogonami, zębami i mózgami - zniknęło z powierzchni naszej planety na zawsze.

Stworzonych zostało więc bardzo wiele form. Liczba żyjących współcześnie organizmów pomnożona przez dziesięć jest tak ogromna, że mnie wydaje się niewyobrażalna. Po co nam aż tyle form? Czy nie wystarczyłby jeden atom wodoru? Stwórca poświęca się jednemu szaleńczemu celowi albo ich wielu milionom równocześnie z pozornie niczym nie usprawiedliwioną ofiarnością i wielkim nakładem energii wypływającej z niezgłębionego źródła. Co tu się dzieje? Straszliwa maska larwy ważki, olbrzymi pluskwiak wodny, śpiew ptaka albo piękna świetlna gra promieni słońca na grzbietach ryb nie dadzą się sprowadzić do tego, że wszystko do siebie pasuje i chodzi jak w zegarku - bo w wielu konkretnych przypadkach wcale tak nie jest, nawet w akwarium z Ellerym. Cudowne natomiast jest to, że wszystko płynie swobodnie i dziko niby strumień, że piętrzy się wolną jak ptak, grzywiastą, splątana falą.

Wolność jest wodą i pogodą świata, jego darmowym pokarmem, glebą i żywicą: a nasz Stwórca uwielbia dawać czadu.

II

Staram się nie tyle nauczyć nazw okrucich tego życia, które tak bujnie rozwija się w mojej dolinie, ile otworzyć się na ich znaczenia, czyli przez cały czas pozostawać pod możliwie największym wrażeniem ich realności. Chcę zapamiętać jak najwięcej jak najbardziej złożonych zjawisk i stworzeń, by uobecniać je i możliwie najwyraźniej widzieć w moich myślach. Wtedy może będę mogła usiąść koło stosu nadpalonych książek na wzgórzu, nad którym przelatują szpaki, i zobaczyć nie tylko ptaki, łąkę, kamieniołomy, porośnięty pnączami las, staw Hollinsa i rozciągające się dalej góry, ale i (jednocześnie) chorągiewki ptasich piór, skoczogony zagrzebane w ziemi, kryształ w skale, strumienie chloroplastów, pulsowanie wrotków i kształt powietrza wśród sosen. A jeśli zerknę przy tym w stronę fizyki kwantowej, jeżeli będę starała się być na bieżąco w astronomii i kosmologii i naprawdę w to

wszystko uwierzę, być może w końcu uda mi się dostrzec pejzaż wszechświata. Dlaczego nie?

Pejzaż składa się z licznych, nakładających się na siebie konfiguracji i form, które współistnieją w danym miejscu i czasie. Pejzaż jest jakby fakturą złożoności, a moim tematem teraz staje się właśnie faktura. Powstaje ona w wyniku narastania kolejnych warstw skomplikowanych szczegółów i różnorodnych form. Ptasie pióro jest złożone; ptak jest formą; a ptak w przestrzeni, wobec powietrza, lasu, kontynentu i tak dalej, staje się pojedynczą nitką faktury. Księżyc też ma fakturę, a jego pejzaże zawsze są pełne gór i dolin, nawet na płaskich obszarach księżycowych mórz. Planety to coś więcej niż gładkie kule; nawet nasza Galaktyka jest pyłkiem faktury, spajającym i spajającym.

Ale tu, na Ziemi, faktura interesuje nas nade wszystko.

Gdziekolwiek występuje życie, pojawia się gmatwanina i nieporządek - kędziory arktycznych porostów, płatanina krzaków nad brzegiem strumienia, kął wygięcia tylnej łapy psa, przebieg krętej, rozszczepionej albo zasupłanej linii. Nasza planeta wyróżnia się jakby szczerbatym, ząbkowanym pejzażem, rozrzuconymi tu i ówdzie niby przypadkiem kopcami gór i postrzępioną obwódką linii brzegowych.

Wyobraźcie sobie wirujący na stojaku globus. Wyobraźcie sobie globus konturowy, na którym łańcuchy górskie rzucają cień, a kontynenty wznoszą się nad oceanami niczym relief. Ale potem zastanówcie się, jak jest naprawdę. Ich wysokość nie jest jedynie sugerowana: istnieje naprawdę. Pliniusz, który wiedział, że Ziemia jest okrągła, podejrzewał, że kiedy pomierzemy już ją całą, okaże się, że przypomina kształtem nie kulę, lecz ananas o chropowatej skórce. Kiedy myślę o wędrowce przez kontynent, myślę o wszystkich okolicznych wzgórzach, o małych pagórkach, na które dzieciaki wciągają sanki. Wszystko jest jak wyrzeźbione, trójwymiarowe, i rzuca cień. Cudownie byłoby mieć olbrzymi reliefowy globus, tak wielki, że byłoby na nim widać drogi i domy całego świata, a nawet dno oceanu - globus służący uczonym geologom, na którym centymetr równałby się, powiedzmy, pięciuset metrom! Patrząc na niego, wiedzielibyście od razu, czego nie można było tam uwzględnić: rzeźbiarskiego układu mebli w pokojach, zwałów pokruszonych skał na dnie strumienia, narzędzi w skrzynce, statków pasażerskich przypominających labirynty, lwiej paszczy i morsów. A gdzie podziało się to, co jest dla ciebie najważniejsze na świecie: ta jedna jedyna twarz? Nawet na takim reliefowym globusie nie byłoby widać drzew, między których splecionymi gałęziami ptaki wychowują pisklęta, ani bruzd w korze, gdzie żyją zwierzęta bez trudu widoczne gołym okiem, gdzie spędzają całe swoje życie i gdzie kończy się dla nich świat.

Co oznacza faktura świata dla mnie? Co mówi mi o planecie, na której przyszło mi żyć? Otóż faktura Ziemi, jej filigranowe kształty i ślimacznice mówią, że jest tu możliwe piękno, niewyczerpane w swojej złożoności, które otwiera się, kiedy tylko zapukam, odpowiada na mój wewnętrzny zew, choć nie pamiętam, abym coś przyzywała, i uczy mnie dzikiej, ekstrawaganckiej natury ducha, którego poszukuję.

W osiemnastym wieku, kiedy wykształceni turyści europejscy zaczęli odwiedzać Alpy, zasłaniali sobie oczy przepaskami, żeby nie oglądać straszliwej garbatości naszej Ziemi. Trudno powiedzieć, czy była to zwyczajna egzaltacja, bo współcześnie badania wykazują, że małym dzieciom, którym nie wpoiliśmy jeszcze naszych koncepcji piękna, bardziej podobają się wzory skomplikowane, złożone, a nie proste. W każdym razie po rewolucji francuskiej i Darwinie, co powinnam dodać, nasze pojęcie piękna uległo zmianie.

Gdyby Ziemia była gładka jak łożysko kulkowe, wyglądałaby pięknie z innej planety, jak pierścienie Saturna.

Ale my żyjemy i przemieszczamy się tutaj; wędrujemy nad brzegami strumieni, podróżujemy koleją przez Alpy, a pejzaż ciągle się zmienia. Gdyby Ziemia była gładka, gładkie byłyby też zapewne nasze mózgi; budziłibyśmy się, mrużylibyśmy oczy, robilibyśmy dwa kroki, żeby zobaczyć świat w całej okazałości, po czym zapadalibyśmy z powrotem w głęboki sen i nic by się nam nie śniło. Ponieważ jesteśmy żywymi istotami i odbiorcami piękna, w grę z konieczności wchodzi kolejny element. Faktura przestrzeni jest warunkiem czasu. Z kolei czas jest osnową, materia zaś wątkiem fakturowej tkaniny piękna w przestrzeni - śmierć natomiast to ruchome czółenka. Czy osiemnastowieczni Europejczycy sądzili, że są nieśmiertelni? Czy ich powozy najpierw zwolniły, a potem znieruchomiały, oni zaś zrozumieli, że już nigdy nigdzie nie pojedą, i dopiero wtedy sięgnęli w panice po przepaski na oczy?

Chciałabym zatem dodać do faktury czas, namalować pejzaż na rozwijającym się stopniowo zwoju i wprawić w ruch wirowy globus na stojaku.

W zeszłym roku przytrafiło mi się coś bardzo dziwnego. Nie spałam, zamknęłam tylko oczy, ale miałam sen. Króciutki sen o czasie.

Wydawało mi się, że umarłam i unoszę się wysoko w dalekim, czarnym kosmosie, wśród mnóstwa białych gwiazd. Moja świadomość odsłoniła się przede mną i czułam się szczęśliwa. Potem ujrzałam nisko w dole długą, krętą, kolorową wstęgę. Kiedy sfrunęłam bliżej, zauważyłam, że ciągnie się ona bez końca w obu kierunkach, i wtedy zrozumiałam, że widzę cały czas planety, na której mieszkalam. Wyglądał jak damski tweedowy szal; im dłużej wpatrywałam się w jedno miejsce, tym więcej dostrzegałam w nim barwnych

punkcików, a ich głębi i różnorodności nie było końca. W końcu zaczęłam szukać mojego czasu, ale chociaż w tkaninie pojawiało się coraz więcej kolorowych punkcików, ujawniających coraz głębszą i coraz bardziej złożoną jej fakturę, nie mogłam znaleźć mojego ani żadnego innego czasu, który byłby mi bliski. Nie udało mi się na przykład dostrzec ani jednej piramidy. Jednak przyglądając się tej wstędze, zrozumiałam z porażającą jasnością, że wszyscy ludzie żyją w konkretnej chwili, w konkretnym miejscu i czasie, z ogromnym zaangażowaniem emocjonalnym chłonąc wszystkie złożone drobiazgi i szczegóły, a później umierają, po nich zaś przybywa wciąż coraz więcej nowych ludzi, jeden człowiek po drugim, jak szwy nieskończonej tkaniny, w którą owinięte są całe światy uczuć i energii. Nagle przypomniałam sobie kolor i fakturę naszego życia, takiego, jakim je znaliśmy, przypomniałam sobie sprawy całkowicie zapomniane, i pomyślałam, szukając mojego czasu na tej bezkresnej wstędze: „To był dobry czas, żeby żyć”. I wtedy zaczęłam sobie przypominać nasz czas.

Przypomniałam sobie zielone pola marchewkowe, na których jedna po drugiej wyrastały marchewki w wąziutkich rządkach. Potem przyszli mężczyźni i kobiety w kolorowych kamizelkach i chustach na głowach, wyrwali je z ziemi i ponieśli w koszach do ocienionych kuchni, gdzie wyszorowali je żółtymi szczotkami pod bieżącą wodą. Widziałam ryczące krowy o białych pyskach, brodzące w strumieniu - kręconą białą sierść na łbach między ich uszami pokrywał kurz. Widziałam stopkowce tarczowate, eksplodujące na ścieżkach usłanych liśćmi. Komórki na włoskach korzeniowych platana rozwidlały się, a jabłka jesienią pokrywały się plamkami i paskami. Góry zachowały chłodne jaskinie, a wiewiórki pędziły do swoich domów - gniazd - w słońcu i w cieniu.

Przypomniałam sobie ocean i wydawało mi się, że pływam w nim ponad pomarańczowymi, przypominającymi koralami krabami, albo na atlantyckich, przybrzeżnych głębinach, gdzie gromadzą się ławice ryb dorszowatych. Później z kolei zobaczyłam czubki topoli, a całe niebo wyglądało jak pomalowane w chmury, pokryte bladymi smugami, pod którymi leciały dzikie kaczki z wyciągniętymi szyjami; krzyczały, każda z osobna, po kolei, i leciały, leciały, leciały.

Wszystko to widziałam. Poszczególne sceny nabierały głębi i wzbogacały się na moich oczach o rozświetlone szczegóły, po czym zastępowały je kolejne sceny, gdy z coraz większym sentymentem wspominałam życie mojego czasu.

Na końcu ujrzałam Ziemię jako kulę w przestrzeni, przypomniałam sobie kształt oceanu i formę kontynentów, mówiąc do siebie ze zdziwieniem, kiedy przyglądałam się planecie: „Tak, tak właśnie wtedy było; ten płat Ziemi, tam, nazywaliśmy... Francją”.

Ogarnęła mnie głęboka nostalgia - i otworzyłam oczy.

Wszyscy powinniśmy umieć przywoływać takie widoki według woli, żebyśmy mogli zachować w pamięci ruch faktury świata w czasie. Szkoda, że nie możemy jej oglądać na ekranie. John Dee, elżbietański geograf i matematyk, wpadł swego czasu na wspaniały pomysł - właśnie czegoś takiego nam potrzeba. Otóż najpierw wystrzelujemy w przestrzeń kosmiczną lustro, które leci z prędkością ponadświatłą (z tym może być pewien problem), a potem patrzymy w nie i oglądamy całą historię Ziemi, przesuającą się przed naszymi oczami jak na ekranie. Ci, którzy kręcą nie kończące się poklatkowe filmy, przedstawiające rozwijające się tulipany czy róże, popełniają błąd. Powinni skierować kamerę raczej na topniejącą tłukę lodową, zieloną zawartość stawów albo pływową falę na rzece Severn. Powinni sfilmować lodowce Grenlandii - niektóre z nich, poskrzypując, prą naprzód z tak dużą prędkością, że obszczekują je psy. Powinni sfilmować inwazję lasów jodłowoświerkowych na kanadyjską tundrę, dokonującą się z szybkością półtora kilometra na dziesięć lat na styku południowych krańców tundry i północnych krańców lasu. Kiedy z kontynentu północnoamerykańskiego ustąpił ostatni lodowiec, poziom lądów podniósł się o trzy metry. Czy nie byłoby fajnie zobaczyć coś takiego?

Ludzie mówią, że wygodne krzesło na tyłach domu to równie dobry i inspirujący punkt obserwacyjny na naszą planetę jak wieża na Alfa Centauri - ale są w błędzie. Patrzymy przez ciemne zwierciadło. Jesteśmy w filmie albo też, Boże nam dopomóż, uczestniczymy w zdjęciach do niego, nie wiedząc, co poza tym znajduje się na taśmie.

Powiedzmy, że mógłbyś patrzeć w lustro Johna Dee, pędzące w przestrzeni kosmicznej; powiedzmy, że mógłbyś wprawić w ruch nasz reliefowy glob niczym olbrzymiego bąka i tchnąć w niego życie; powiedzmy, że mógłbyś zobaczyć poklatkowy film przedstawiający naszą planetę: co byś na nim zobaczył? Przezroczyste obrazy poruszające się w promieniach światła, „nieskończoną burzę piękna”.

Nasz początek spowijają mgły, od czasu do czasu rozdierane oślepiającymi błyskawicami. Lawa wybucha i stygnie, morza gotują się i wylewają. Zmiennokształtne chmury zasłaniają niebo, widzisz więc oblicze Ziemi tylko w chwilowych przeblyskach przejaśnień. Skorupa ziemska drży i pęka jak dryfujący lód rozdierany rozszerzającym się coraz bardziej pęknięciem. Wypiętrzają się góry, które matowieją i łagodnieją na twoich oczach w szacie lasów przypominających filc. Lodowce bezpowrotnie miażdżą tereny zielone pod zamarzną wodą, a potem się cofają. Lasy wyrastają gwałtownie i znikają niczym magiczne pierścienie. Znowu pełnie lodowiec - kosi góry, wśród których powstają jeziora, z morza, jak wieloryby, wynurzają się wilgotne łądy - i lód się cofa.

Najwyższe grzbiety górskie pokrywają niebieskozielone pasemka, a od południa, niczym fala na plaży, rozlewa się żółtozielona plama. Zdaje się, że od północy z gór w doliny ścieka czerwień, sącząc się na południe; za czerwienią podąża biel, potem północ obmywa żółcień i zieleń, później znów rozprzestrzenia się czerwień, następnie biel, i tak w kółko, tworząc kolorowe desenie, które są zbyt złożone i zbyt szybko się zmieniają, żeby śledzić je wzrokiem. Puść teraz film wolniej. W kilku oszałamiających ujęciach zobaczysz burze piaskowe, szarańczę i powódzie.

Zrób powiększenie zalanego wodą brzegu i popatrz na snujące się dymy ognisk. Powstają kamienne miasta, które rozrastają się i rozpadają w gruzy, jak spłachcie alpejskich roślin kwitnących przez jeden dzień okilka centymetrów nad wieczną zmarzliną, zlodowaciałą ziemią, z której żaden korzeń nie wysie substancji odżywczych, i więdnących w ciągu jednej godziny.

Wyrastają nowe miasta, a rzeki nanoszą muł na dachy ich domów; pojawiają się kolejne miasta i rozrastają płatami, jak porosty na skale. Wielkie postaci historyczne - ta złożona, ożywiona duchem kupa tkanek przemierzających kiedyś powierzchnię Ziemi - stają się migotliwą plamą, której trwająca ułamek sekundy obecność w promieniach światła to zbyt krótka ekspozycja, by pod jej wpływem powstały obrazy inne niż przygarbione, nie rzucające cienia duchy. Wielkie stada karibu sypią się w doliny niczym żużel, a potem cofają się - najpierw cienkim, później zaś szerokim strumieniem jakby brązowej cieczy.

Spowolnij film i powiększ obraz jeszcze bardziej.

Pojawia się punkcik, pyłek ludzkiego ciała, który nadyma się jak balon; przemieszcza się, krąży, zwalnia iznika. Oto twoje życie.

Ludzkie życie to ledwo widoczny rysunek na powierzchni tajemnicy. Bo powierzchnia tajemnicy nie jest gładka, podobnie jak nasza planeta; nawet pojedynczy atom wodoru nie jest gładki, a co dopiero sosna. Poza tym nie wszystko tu do siebie pasuje; nawet cząsteczki chlorofilu i hemoglobiny nie są w pełni analogicznymi strukturami, bo nawet jeśli atom żelaza zastąpi atom magnezu, w obu przypadkach na krańcach pętli molekuł ciągną się długie serpentyny różnych i nie powiązanych ze sobą atomów. Wolność to broń obosieczna, a tajemnica jest równie strzępiasta i złożona jak kształt powietrza w czasie. Po inwazjach na teren tajemnicy powstają zatoki i piękne fiordy, ale lesisty łąd pozostaje nieubłaganie nietknięty, zarówno jako potężna całość, jak i w swoich najbardziej filigranowych, marginalnych szczegółach. „Żadna religia, która nie uznaje, że Bóg jest ukryty, nie może być prawdziwa” - oświadczył stanowczo Pascal.

„Czym jest człowiek, że o nim pamiętasz?”*. Wielkie religie współczesne wykazują

się niebywałym radykalizmem, każąc nam kochać Boga. Wiemy, że jesteśmy tak liczni jak liście na drzewach. Ale możliwe, że niewierność to ogromne tchórzostwo, zrodzone z naszej małości, sromotna porażka ludzkiej wyobraźni.

Jest oczywiste, że przyroda wydaje się cieszyć mnogimi objawami swojego radykalizmu, skrajności i anarchii. Gdybyśmy mieli osądzać naturę z punktu widzenia zdrowego rozsądku czy prawdopodobieństwa, nie moglibyśmy uwierzyć, że świat istnieje. W przyrodzie nieprawdopodobieństwa to właściwie jedyny towar na składzie. Cały świat jest jednym wielkim, obłąkańczym frędzlem, marginesem. Gdybym to ja miała dokonać aktu kreacji, na pewno zabrakłoby mi wyobraźni albo odwagi, by stworzyć więcej niż jeden rozsądnej wielkości atom, gładki jak kula śniegowa, i na nim bym poprzestała. Żadne moje pojedyncze olśnie-

* Księga Psalmów 8,4. nie ani wszystkie razem wzięte epifanie nie sięgnęłyby choćby tylko żyrafy.

Agnostycyzm pyta, kto zapalił światło. Wiara pyta po co. Thoreau wspina się na górę Katahdin i daje upust nieomal oburzeniu, wywołanemu poczuciem realności zjawisk tego świata: „Boję się obcych ciał, drzę na myśl o spotkaniu z nimi. Kim jest ten Tytan, który mną zawładnął? Oto tajemnica tajemnic! Pomyślcie o naszym życiu w przyrodzie... Pomyślcie, że codziennie objawia się nam materia, że wchodzimy z nią w kontakt... Ze skałami, drzewami i wiatrem na naszych policzkach! Z twardą ziemią! Z prawdziwym światem!

Ze zdrowym rozsądkiem! Kontakt! Kontakt! Kim jesteśmy? Gdzie jesteśmy?”. Pan Bóg wszystkich bogów, Pan Bóg wszystkich bogów, On jeden zna odpowiedź...

Sir James Jeans, brytyjski astronom i fizyk, powiedział kiedyś, że wszechświat przypomina raczej wielką myśl niż maszynę. Humaniści rzucili się łąpczywie na tę koncepcję, chociaż nie była ona właściwie nowa.

Rozglądając się po świecie, stwierdziliśmy już wcześniej, że myśl rozgałęzia się i ulistnia, i podobnie jak drzewo, osiąga w końcu dojrzałość. Ale pytanie o to, kto myśli ową myśl, jest bardziej owocne niż pytanie o to, kto skonstruował maszynę, albowiem konstruktor może oczywiście umyć ręce i odejść, choć jego maszyna nie przestanie pracować, ale jeśli coś rozproszy uwagę podmiotu myślącego choćby na chwilę, nawet najprostsza myśl zostanie natychmiast ucięta niby nożem. A jak już podkreślałam, świat, w którym tak bezapelacyjnie przyszło nam żyć, bez względu na to, czy jest myślą, czy machiną, na pewno nie jest prosty.

Nie, bo pejzaż świata jest „pstry, cętkowany i łaciaty”*, jak bydło, które Jakub wybiera z trzód Labana. Laban wykazał się niejakim okrucieństwem, kiedy kazał Jakubowi pracować w polu na Rachelę przez siedem lat, a potem dał mu za żonę siostrę Racheli, Leę,

przetrzymując Rachelę u siebie jeszcze przez następne siedem lat. Gdy wreszcie Laban zwolnił Jakuba, zgodził się, by ten wziął z jego stad tylko te krowy, owce i kozy, które były pstre, cętkowane i łaciate. Jakub uciekł się do znanego podstępu i wkrótce najsilniejsze i najbardziej odporne zwierzęta z płodnych trzód Labanowych rodziły się właśnie pstre, cętkowane i łaciate. Następnie wyruszył do Kanaanu ze swoimi żonami i dwunastoma synami, ojcami dwunastu plemion Izraela, a potem, pędząc stada będące jego, Izraela, dziedzictwem, wkroczył do Egiptu i w końcu wyszedł z niego. Nasz złożony świat też jest cętkowany i łaciaty.

Złożoność jest nam dana od początku, jak gdyby była prawem pierworództwa, a jej niezłomna siła zabezpiecza przed porażką życie samo w sobie. To nasze dziedzictwo, srokaty pejzaż czasu. Kręcimy się tu i tam, dostrzegając za ledwie małeńki wycinek nieskończonej liczby możliwych kombinacji nieskończonej różnorodności form.

Wszystko może się zdarzyć; w świecie nieustannie buzującym nowością może pojawić się dowolny układ cętek. Widzę drżącą pojedynczymi plamkami czerwoną strużkę krwi w ogonku złotej rybki; widzę silną, grubą, wysuwalną wargę larwy wążki, która po-

* Księga Rodzaju 31,12. trafi chwycić i pożreć taką rybkę; i widzę ciasne sploty jasnozielonych alg, w których uwięziona larwa ginie z głodu. Widzę obżarte, nieruchome mrówki, wymiotujące miodową papką, żeby wyżywić kolonię przebierających odnóżami robotnic, oraz rekiny, rysujące się w spirali światła we wznoszącej się szmaragdowej fali.

Cudowne jest to - biorąc pod uwagę ułomność wolności i rozwój faktury w czasie - że nie wszystkie formy są potworne, że w ogóle istnieją takie rzeczy jak piękno, niczym nie uzasadniony wdzięk i łaska, że znajdujemy ukryte pieniądze i możemy oglądać takie zjawiska jak swobodny upadek przedrzeźniacza. Piękno jest owocem hojności Stwórcy, który wyhodował całą tę płataninę, ale wszystkie groteski i okropności również są efektem tej samej beztroskiej hodowli - tej samej pełzającej, krętej wędrówki w górę i w dół czasu.

Tak zatem przedstawia się dany nam przebogaty,

„czadowy” pejzaż świata, dany nam jako premia, zmieszany, wstrząśnięty i przelewający się jak przepełnione naczynie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Powódź

Nadeszło lato. Mniej więcej przed miesiącem, w czasie suszy, mieliśmy dużo wiosennego słońca. Nocami panował chłód. Czasami się chmurzyło, ale generalnie pogoda nie była uciążliwa, chociaż przez tydzień padało, a ja myślałam wtedy: „Kiedy wreszcie zrobi się naprawdę gorąco? Kiedy przyjdzie w końcu ten palący upał, od którego aż rozpuszcza się mózg?”. Dziś rano znów padał deszcz, jeszcze ten wiosenny, ale po południu mieliśmy już inny opad: rzęsiłą, trzyminutową ulewę. Kiedy dobiegła końca, chmura rozwiła się w mgiełkę. Nie widzę Tinker Mountain. Jest już lato i panuje skwar. Lato przyszło na całe lato.

Pora roku zmieniła się dwie godziny temu. Czy zmieni się również moje życie? To czas na postanowienia i radykalne zmiany. Zwierzęta szaleją. W ciągu dziesięciu minut widziałam dziesięć królików. Przyleciały kacyki północne, a po drugiej stronie drogi nad Tinker Creek zagnieździły się chyba przedrzeźniacze rude. Koło mojego domu ciągle kręci się łyska, wielka jak indyk na Święto Dziękczynienia i równie nieostrożna; nawet nie patrzy na obszczekującego ją psa.

Strumień przybiera. Dziś, kiedy deszcz ustał, przeszłam na drugą stronę drogi, do zwałonego pnia na płyciźnie, którą nawiedzają woły. Były na drugim brzegu - czarna grudka na odległym wzgórzu. Wysoka woda zalała mój pień, na którym zwykle siedzę, i naniósła na niego od zawietrznej gładką warstewkę mułu. Miała jasnozielony kolor i była nieprzezroczysta jak sproszkowany jadeit, ciągle wysoka i wartka, pozbawiona światła niczym woda nieziemska. Jakiś chudy jak szkielet pies, którego nigdy wcześniej tu nie widziałam, polował na króliki.

Koło pnia wyrósł supeł żółtych, mięsistych roślin.

Na pierwszy rzut oka nie miały normalnych łodyg ani kwiatów - były po prostu ślepymi, pozbawionymi wyrazistych cech naroślami, przypominającymi białe korzonki kartofli leżących w piwnicy. Próbowałam wydłubać jedną taką roślinę z kruszącej się ziemi, ale wszystkie wydawały się wyrastać z jednej, dobrze ukorzonej bulwy, więc dałam im spokój.

Przez cały czas tego dnia panowała jednak atmosfera grozy. W pobliżu pnia leżała potłuczona butelka whisky, pomiędzy dwiema skałami na wzgórzu za moimi plecami zniknął koniuszek wężowego ogona, pies niemal dopadł królika, w naszym hrabstwie stwierdzono

kilka przypadków wścieklizny, a pszczoły nie wiedzieć czemu ciągle próbowały przysiąść mi na czole, przebierając kosmatymi łapkami...

Poszłam do młodnika nad strumieniem, tam gdzie jeżdżą motocykliści. Było dziwnie pusto i tak parno, że prawie nic nie widziałam. Jar dzielący las i pole zalała woda z wezbranego strumienia i teraz wypełniał go martwy, brązowy szlam. Przypominające rogi pomarańczowe korzenie jednego z drzew rosnących na poszarpanym skraju parowu zostały odsłonięte i teraz zwisały swobodnie w powietrzu niczym siatka, przytrzymując przepaloną żarówkę, przyniesioną tu przez opadające wody strumienia - był to zupełnie absurdalny widok. Przez cały czas wolniutko kołowały wokół mnie cztery sójki. Zachowywały się dziwnie i wrzeszczały na dwie jednostajne nuty. Było zupełnie bezwietrznie.

Wychodziłam już z lasu, kiedy usłyszałam głośne strzały, przetaczające się złowieszczym echem w wilgotnym powietrzu. Jednak kiedy znalazłam się już na drodze, zdałam sobie sprawę z tego, co się stało, i groza całego popołudnia wyparowała w mgnieniu oka. Były to dwie śmieciarki, ogromne ciężarówki, garbate jak południowoamerykańskie pancerniki, a ich kierowcy celowo strzelali do gaźników, żeby zaimponować ładnym córkom moich sąsiadów, dziewczętom w wieku licealnym, które wysiadły właśnie z gimbusa. Długowłose uczennice uciekły, chichocząc, w kępę drzew na skraju drogi, a śmieciarki odjechały pędem, jak bracia Tarletonowie* na koniach pełnej krwi, oddalający się cwałem od bram Tary. W oddali znad wód Carvin's Cove unosiła się biała para, osiadająca kłębiastymi kępkami na zboczach gór. Stałam na ganku mojego domu i nie miałam ochoty wejść do środka.

Dokładnie w tych dniach w zeszłym roku mieliśmy tu powódź. Właściwie spowodował ją huragan Agnes,

* Drugoplanowe postaci z Przemienię z wiatrem Margaret Mitchell. choć zanim do nas dotarł, meteorolodzy zredukowali go już tylko do tropikalnego sztormu. Mam przed sobą wycinek z zeszłorocznej gazety, z którego wynika, że było to dwudziestego pierwszego czerwca, w pierwszym dniu astronomicznego lata, w pierwszą letnią noc i w najdłuższym dniu w roku - ale wtedy o tym nie pamiętałam. Byłam bardzo podekscytowana, gdy dookoła zapadły egipskie ciemności.

Lało i lało. A ponieważ lało, woda w strumieniu zaczęła się podnosić. Oczywiście strumień wzbiera zawsze, gdy pada deszcz, więc niby nie było w tym nic dziwnego. Tyle tylko że wtedy, dwudziestego pierwszego czerwca, padało bez chwili przerwy, więc strumień bez przerwy wzbierał.

Jest rano. Stoję przy oknie w kuchni. Tinker Creek wystąpił z brzegów o wysokości

metra, a wody ciągle przybywa. Wezbrany strumień w niczym nie przypomina strumienia, jaki znamy. Nasz strumień jest przezroczysty i przelewa się ponad zwałami kamieni - a strumień wezbrany zasłania wszystko, bo jest nieprzezroczysty. Wygląda jak obcy potok, który zajął miejsce naszego albo pożarł go i teraz gorączkowo usiłuje uciec, wielki i brzydki niczym czarny połoz - wąż zamknięty w kuchennej szufladzie. Woda ma ohydny kolor i przypomina rdzawy krem. Strumień niosący gliniastą glebę wygląda straszniej niż inne mętne rzeczki czy potoki, ponieważ ziarenka gliny są niezwykle drobne, rozprzestrzeniają się szybko i zmętniają wodę, przez którą nic nie widać, nawet jeśli nalać ją do szklanki na wysokość kilku centymetrów.

Wszystko wygląda inaczej. Tam, gdzie mój wzrok przyzwyczył się widzieć głębię, dostrzegam teraz tylko gładką powierzchnię wody, blisko, nazbyt blisko.

Widzę drzewa, których wcześniej nie widziałam - czarne, pionowe krechy zmoczonych deszczem pni, wystających z bladej wody jak zbutwiałe pale w doku portowym. Na trawiastych brzegach i kamiennych półkach już nie panuje spokój; widzę pośpiech, dziki pęd, nurt rwący w jedną stronę, wartki i przykuwający uwagę jak wodospad. Dzieci Atkinsów w swoich miniaturowych płaszczykach przeciwdeszczowych wyszły na dwór i wpatrują się w monstualny strumień.

Woda podniosła się niemal do bram ich posiadłości; zbierają się sąsiedzi, wychodzę więc i ja.

Słyszę szum, wysoki, wietrzny dźwięk, raczej świst powietrza niż plusk wody. Przychodzi mi na myśl trzepot śmigła helikoptera z już wyłączonym silnikiem, jego niemal jednoczesne uderzenia i milion wysokich gwizdów. Powietrze pachnie wilgocią i kwasem, jak olej napędowy albo środek owadobójczy. A deszcz wciąż pada.

Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, bo mój dom stoi wysoko. Biegnę drogą w kierunku mostu. Są tam wszyscy sąsiedzi, którzy przez całą zimę prawie się nie spotykali, i kręcą głowami. Tylko kilkoro z nich widziało już coś takiego: woda zalewa most. Patrzę na niego, i choć widzę go przecież codziennie, nie wierzę własnym oczom: woda podniosła się o jakieś pół metra powyżej jego poziomu, chociaż normalnie most wisi trzy metry nad powierzchnią strumienia.

Teraz woda trochę już opada; ktoś przytargał skądś puste blaszane bębny, które wtaczamy na most i ustawiamy na planie kwadratu, żeby kierowcy nie próbowali przejechać tędy na drugi brzeg. Nawet stanie na moście wymaga pewnej odwagi, bo woda wyrwała betonowy klin, na którym most wspierał się na naszym brzegu, teraz więc zdaje się, że konstrukcja z jednej strony wisi po prostu w powietrzu, a woda przelewa się zaledwie

kilkanaście centymetrów niżej.

Trudno to wszystko zrozumieć, bo dla nas to całkiem nowa sytuacja. Spoglądam na strumień pod moimi nogami. Woda wali pod mostem niczym pięść, ale jej uderzeniom nie ma końca; bulgoce jak okiem sięgnąć, po czym opada za zakrętem w dolinę, zmiatając i miażdżąc wszystko na swojej drodze, rozpychając się coraz szerzej i szybciej, aż w końcu wypełnia mi myśli.

Przypomina smoka. Most, na którym stoimy, jest niebezpiecznym miejscem, i może dlatego wydaje mi się, że wszyscy mimo woli wyobrażają sobie, że woda zmywa ich za burtę, więc obliczają swe szanse na ocalenie. Nie przeżyłbyś takiej kąpeli. Nie przeżyłby nawet Mark Spitz. Woda spiętrza się łukiem w miejscu, gdzie podpory mostu na brzegach blokują jej drogę - dlatego się podnosi. Potem opada niczym nurkujący wieloryb i niewiele brakuje, żeby łupnęła kogoś z nas tam, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

„Nie zorientowałbyś się nawet, co się stało”, mówi jeden z mężczyzn. Ale gdyby mimo wszystko udało ci się przeżyć upadek i wypłynąłbyś na powierzchnię...?

Jak szybko umiesz żyć? Potrzebna byłaby ci szyba z przodu, za którą mógłbyś się schować. Nie zdołałbyś inaczej utrzymać głowy nad wodą, która płynie najszybciej tuż pod powierzchnią. Wirowałbyś niczym skarpeta w suszarce i nie byłbyś w stanie chwycić się żadnego pnia, bo nurt urwałby ci rękę. Nie, nie przeżyłbyś. A gdyby kiedyś wyłowiono twoje ciało, w twoich bebeczach znaleziono by pełno stwardniałej już czerwonej gliny.

Mogę tylko stać, nic więcej. Mam zawroty głowy, jestem przemęczona i czuję się jak zbity pies. Podo mną wzburzona woda mąci się we wściekłą pianę, przypominającą brudną koronkę, która nieustannie eksploduje na moich oczach. Kiedy odwracam wzrok, ziemia się cofa, wznosi i rozdyma, wbijam spojrzenie w jedno miejsce, a wokół nieustannie sunie powódź. Cała znajoma mi ziemia wygląda, jakby nie była bryłą, jak nieprawdziwa, namalowana na zwoju dekoracja teatralna - a ponieważ ktoś tym rozwiniętym zwojem potrząsa, ziemia się kołysze, a powietrze rozdziera głośny ryk.

Pod nami przepływa w pędzie wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, niemal zbyt szybko, by można było rozpoznać poszczególne przedmioty. Kiedy stoję na moście i patrzę w dół strumienia, kręci mi się w głowie. Ale gdy spoglądam w górę Tinker Creek, odnoszę wrażenie, że patrzę na czoło lawiny. Widzę lalki, połamane gałęzie i szczapy drewna, martwe ledwo opierzone pisklęta ptaków śpiewających, butelki, całe krzewy i drzewka, grabie oraz rękawice ogrodnicze.

Drewniane nieheblowane podkłady kolejowe gnają szybciej niż pociąg ekspresowy. Na wodzie podskakują druciane ogrodzenia i zbita z drewnianych palików furtka. Strumień

niesie tyle białych plastikowych butelek od mleka (o pojemności dwóch litrów), że kiedy wreszcie woda opada, pojemniki pozostają na zielonych brzegach i wyglądają z daleka jak stado białych gęsi.

Spodziewam się tu zobaczyć dosłownie wszystko.

Pod tym jednym względem strumień jest najbardziej sobą właśnie w takich chwilach, kiedy wylewa: przypomina pas transmisyjny, a z drugiej strony druzgocze wszystko na swej drodze. Nie zdziwiłabym się, gdyby zza zakrętu wyłonili się nagle John Paul Jones, stojący na pokładzie swojego okrętu „Bon Homme Richard”, albo Amelia Erhart, machająca wesoło z kokpitu jej szybującego w powietrzu lockheeda. Więc czemu nie miałabym zobaczyć wiolonczeli, kosza owoców drzewa chlebowego albo szkatuły pełnej zabytkowych monet? Oto ekspedycja Franklina na raketach śnieżnych i trzej królowie oraz ich wielbłądy płyną ku mnie na barce pod baldachimem!

Powódź ogarnia cały świat, nie tylko wodę, lecz i ziemię. Woda ścieka z pni drzew, skapuje z rond kapeluszy i przelewa się przez drogi. Ziemia zdaje się wszędzie osuwać jak piasek na pochylni; woda spływająca nawet z najmniejszego wzniesienia pozostawia na swej drodze zgniecioną trawę, której źdźbła zwracają się srebrzystą stroną ku górze, a koniuszki wskazują dół strumienia. Wokoło widać przyniesione przez wiatr i powódź gałązki albo całe ulistnione konary, drewno opałowe, butelki i mokrą słomę, porozrzucaną na ziemi albo zalegającą na niej w esowatych zwałach.

Pomidory w ogródkach dosłownie pływają w błocie - wyglądają jak wrzucone w całości do wrzącego gulaszu i duszące się w brunatnym sosie. Poziom wody sięga nosków moich butów. Biaława, mętna woda zalega na równinie i już niemal całkiem pokrywa trawę; wygląda jak wstrętne parodia lekkiego śniegu na polu, spod którego wystają tylko ciemne czubki źdźbeł.

Patrzę na drugą stronę drogi i nie wierzę własnym oczom. Tuż za zakrętem rytmicznie napływają grzywiaste fale, spiętrzają się i pędzą w dół strumienia. Na wzgórzu, gdzie przyglądałam się modliszce składającej jaja, utworzył się wodospad, spływający do brunatnego oceanu. Nie pamiętam już nawet, którędy strumień płynie na co dzień - bo w tej chwili wszędzie jest go pełno. Myślę, że woda zabrała mój zwałony pień na dobre - ale okazuje się później, że ocalał, wciśnięty między drzewa. Widać jedynie linę podtrzymującą przegrodę dla wołów, lecz samej przegrody już nie; nawet pastwisko znalazło się całkowicie pod wodą i wygląda teraz jak brązowa rzeka - rzeka, która wrywa się z brzegów, wali do lasku, gdzie jeżdżą motocykliści, i niszczy wszystkie drzewa z wyjątkiem najpotężniejszych. Rozlewa się tak głęboko i szeroko, że można by tu chyba pływać na „Queen Mary” i

dopłynąć aż do Tinker Mountain.

Co robią zwierzęta w czasie powodzi? Widzę martwego piźmoszczura, który przepływa w pobliżu, jakby frunął w powietrzu, ale nie mogły przecież zginąć wszystkie piźmaki; woda podnosi się po każdym ulewnym deszczu, a nad brzegami strumienia wciąż żyje mnóstwo tych gryzoni. Tym razem jednak powódź sięgnęła wyżej niż ich stanowiska noclegowe położone wysoko na brzegach, muszą więc po prostu uciekać jeszcze wyżej - i trzymać się. A gdzie chowają się ryby? Jak sobie radzą? Zapewne ich skrzela potrafią odfiltrowywać tlen z tego płynnego blocka, chociaż nie wiem jak. Ryby muszą się kryć przed prądem za każdą osłoną, jaką tylko uda im się znaleźć, i pościć przez kilka dni. Na pewno tak; inaczej w ogóle nie mielibyśmy tu ryb, wszystkie wylądowałyby w Atlantyku. A co dzieje się, na przykład, z czaplami i zimorodkami? Nic nie widzą, nie mogą więc żerować. Na widok dzikiego zwierzęcia wydaje mi się zawsze, że trudno byłoby mu zawiesić swój hiperaktywny cykl życiowy na jakieś, powiedzmy, czterdzieści osiem godzin. A kraby, żaby, ślimaki i wrotki? Większość z tych stworzeń musi po prostu umrzeć. Nie mogą przeżyć powodzi, sądzę jednak, że kiedy woda opada, odsłaniając znów ziemię, te, które ocalały, mają prawdziwe święto i żadnej konkurencji. Z drugiej strony można by sądzić, że z łańcucha pokarmowego zostanie wyrwane pierwsze ogniwo - że całej tej piramidzie zabraknie podstawy w postaci planktonu i że jej konstrukcja powinna się rozsypać albo zawalić z hukiem. Ale zapewne z góry strumienia, gdzie nurt jest powolniejszy, napływa wciąż dość zarodników, larw i jaj, żeby odnowić populację w Tinker Creek... Nie wiem.

Kilkoro dzieci znalazło żółwia jaszczurowatego, wielkiego jak taca. Trudno uwierzyć, że w naszym strumieniu może żyć tak ogromny drapieжник: średnica jego skorupy mierzy pół metra, a łeb wystaje spod niej na długość co najmniej dwudziestu centymetrów.

Kiedy dzieciaki w towarzystwie wychudłego teriera zbliżają się do żółwia, siedzącego na brzegu, gad dźwiga się na grube przednie łapy i posykuje groźnie. Czytałam gdzieś, że ponieważ skorupy żółwi są twarde, zwierzęta te nie mają płuc jak miechy i mogą wciągać powietrze tylko krótkimi, płytkimi oddechami. Poza tym rozmiary schronienia pod sztywnym pancerzem są bardzo ograniczone, więc kiedy żółw jest przestraszony i chce się schować, musi wypuścić powietrze z płuc, żeby zmieścić pod skorupą głowę oraz nogi - i stąd właśnie ów złowieszczy syk.

Kiedy ponownie zerkam w tamtą stronę, widzę, że dzieciom udało się jakoś zapędzić żółwia do wanienki.

Wymachują mu przed nosem kijem od szczotki, w nadziei, że chwyci go i złamie jak zapalkę, ale zwierzak odmawia spełnienia ich życzenia. Dzieci są zdruzgotane; przez całe

życie słyszały, że z żółwiem jaszczurowatym tak właśnie się postępuje: macha mu się przed nosem kijem od szczotki, a on „łamie go niczym zapałkę”. To kwestia instynktu, jak dwa razy dwa cztery. Ale żółw nic sobie z tego nie robi. Unika kija od szczotki z miną świadcząca wyraźnie, że cierpliwie tłumi w sobie gniew. Dzieci wypuszczają go, żółw rusza wzdłuż brzegu, bez wahania nurkuje we wzburzonym, wezbranym strumieniu, i tyle go widzimy.

Z grupki zgromadzonych na moście mieszkańców dobiega radosny okrzyk. Przyjechała ciężarówka z pompą i zaraz wypompuje wodę z piwnicy Bowerych, hurra! Przetaczamy metalowe bębny, ciężarówka, ku mojemu zdumieniu, przejeżdża bezpiecznie na drugą stronę, i nasz tłumek znów wiwatuje. Pojawia się też radiowóz policji stanowej; u nas wszystko w porządku; więcej problemów mają ludzie mieszkający niżej. Most znajdujący się na wysokości domu Bingsów nad Tinker Creek wygląda, jakby miał się za chwilę zawalić. W jego barierce zaklinował się zwalony pień, a z podstawy woda wyrwała kawał betonu. Bingsowie wyjechali; w ich domu mieszka młode małżeństwo, sprawujące pieczę nad gospodarstwem. Co mogą zrobić? Mąż pojechał rano do pracy, jak zwykle, a kilka godzin później żonę ewakuowano spod drzwi wejściowych motorówką.

Idę do Bingsów. Większość osób zebranych na naszym moście tam właśnie się w końcu udaje; zresztą to niedaleko. Wlecemy się razem w deszczu, po drodze dołączają do nas kolejni sąsiedzi, więc nasza grupa rośnie. Są z nami także mężczyźni, którzy pracują zwykle poza domem; żony zadzwoniły do nich rano i powiedziały, że strumień szybko przybiera i żeby lepiej wracali do domu, póki to jeszcze możliwe.

Jest tu już sporo ludzi; wszyscy wiedzą, że Bingsowie mieszkają dosyć nisko. Strumień zalewa już okna ich bawialni i sięga połowy wysokości drzwi do garażu. Później tego dnia sąsiedzi wyciągną z domu Bingsów wszystko, co tylko można uratować, i będą usiłowali suszyć książki, dywany oraz meble; parter został w końcu zalany aż po sufit.

Na moście naprzeciwko służby drogowe próbują rozrąbać zaklinowany pień toporem na długim stylisku. Długim, ale nie na tyle, żeby robotnicy nie musieli stać na moście - czyli de facto w strumieniu. Idę po niskim ceglany murze, który miał stanowić zaporę przeciwpowodziową i osłonić dom przed wezbraną wodą. Mur trzyma się mocno, ale strumień zaczyna już opadać, więc teraz zaporę zatrzymuje wodę wokół domu. Wędrując dalej tą drogą, mogłabym znaleźć się w końcu w samym sercu powodzi. W drodze powrotnej spotykam jakiegoś młodzieńca, zmierzającego w przeciwną stronę. Mur ma szerokość cegły, więc trudno się na nim wyminąć - dlatego chwytam się za ręce i przechylamy do tyłu nad wzburzoną tonią; nasze nogi splatają się niczym ząbki zamka błyskawicznego, podtrzymujemy się nawzajem, prostujemy plecy i idziemy dalej. Dzieci wypatrzyły wijącego

się w wodzie grzechotnika, który poszukiwał schronienia w krzakach, i teraz wszystkie chcą wdrapać się na mur, podejść bliżej i pozwolić się ukąsić wężowi.

Są tu także małe pociechy Atkinsów, które przez cały czas skaczą w górę i w dół jak nakręcone. Zastanawiam się, czy most by runął, gdybym to ja zaczęła podskakiwać. Mogłabym stanąć przy barierce niczym przy relingu kołowego parowca i krzyżeć jak opętana: „Trzy sążnie wody pod kilem! Dwa i trzy czwarte! Jeden! Pół sążnia...!” a prąd najpierw uniósłby pogruchotany most za zakole strumienia i stracilibyśmy go z oczu, po czym cała konstrukcja poszłaby pod wodę...

Wszyscy stoją wokoło. Niektóre panie mają dziwne plastikowe parasolki, przypominające dzwony nurkowe - są to parasolki, których nie nosi się w ręku, lecz na sobie, więc ich właścicielki nie chronią się pod nimi, ale w nich. Ledwo widzą zza nich świat zewnętrzny, jak rybki w akwarium. Ich rozbrzmiewające z wnętrza tych parasolek głosy wydają się odległe, ale podszyte wesołością, zdającą się mówić jasno: „Czyż

231 to nie idiotyczne?”. Niektórzy mężczyźni włożyli kapelusze rybackie. Inni kryją się pod złożonymi gazetami, które trzymają jednak niezbyt wysoko, bo z jednej strony chcą mieć suche głowy, a z drugiej boją się, żeby deszcz nie padał im do rękawów. Stosują się jednak, jak widzę, do zasad grzeczności, więc odsłaniają głowy, gdy rozmawiają z kobietą, i uprzejmie mrużą oczy w deszczu.

Kobiety donoszą drogowcom kawę w kubkach.

Robotnikom udało się tylko wyszczerbić zaklinowany pień i poddają się. Usunięcie pnia to zadanie dla sprzętu elektrycznego, a zresztą woda już spływa i niebezpieczeństwo minęło. Jakiś chłopak zaczyna akrobacje na skateboardzie, a ja wracam do domu.

Tego samego dnia, kiedy stałam najpierw na jednym, a potem na drugim moście nad Tinker Creek, moja przyjaciółka Lee Zacharias stała na moście w Richmond nad rzeką James. Dzień u nich był spokojny i zupełnie bezchmurny. Poziom rzeki podniósł się tam zaledwie o dwa i pół metra, w czym nie było absolutnie nic dziwnego. Ale z wodą w jasnych promieniach słońca płynęło dosłownie wszystko. Lee widziała klatki dla kur, fragmenty domów, ganków, schodów, wyrwane z korzeniami drzewa, a wreszcie martwego, spuchniętego konia. Podobnie jak całe miasto, Lee również wiedziała, że nadchodzi powódź.

Rzeka podniosła się w końcu o dziesięć metrów.

Całe Richmond znalazło się pod wodą; wysiadła elektryczność. Ustawę o wypłacie odszkodowań kryzysowych, w której nasze hrabstwo uznano za jeden z 1” ku federalnych obszarów objętych klęską żywiołową, gubernator Holton podpisywał przy świecy.

Tego samego wieczoru w pozbawionej światła elektrycznego posiadłości gubernatora

zdarzyło się coś dziwnego. Holton szedł właśnie korytarzem na piętrze i ku swojemu zdumieniu zobaczył, że pod sufitem pali się w żyrandolu jedna żarówka. W sumie było ich trzy i żadna nie powinna działać - elektryczności zabrakło w całym mieście - ale jedna mimo wszystko świeciła słabym światłem. Gubernator przyjrzał się żarówce, podrapał się po głowie i wezwał elektryka. Elektryk zrobił to samo: przyjrzał się żarówce, podrapał się po głowie, po czym oświadczył: „To niemożliwe”. Holton wrócił do łóżka, a elektryk do domu, i nigdy nikomu nie udało się wyjaśnić, dlaczego żarówka nie zgasła.

Potem huragan Agnes zawędrował do Marylandu, Pensylwanii i Nowego Jorku, zbierając ofiary w ludziach i powodując straty materialne szacowane na setki milionów dolarów. W samej Wirginii zabił dwanaście osób i zniszczył dobytek ruchomy i nieruchomy wart sto sześćdziesiąt sześć milionów dolarów, ale na Pensylwanię uderzył dwukrotnie, wędrując najpierw na północ, a później z powrotem. Rozmawiałam z jednym z pilotów helikoptera, który transportował zwłoki ludzkie z podtopionego cmentarza w WilkesBarre w Pensylwanii. Powódź unosiła trupy, osadzając je na dachach domów i drzewach, a umęczonych nudnościami i wymiotami lotników trzeba było zmieniać co kilka godzin. Ten, z którym rozmawiałam w małym barze kanapkowym w Peaks of Otter przy Blue Ridge Parkway, powiedział mi, że wołał służbę w Wietnamie.

Więc my nad Tinker Creek i tak mieliśmy szczęście.

Tej zimy usłyszałam ostatnią opowieść powodziową, historię o prezencie, jaki powódź pozostawiła u Bingsów, o niespodziance równie nieoczekiwanej jak niemowlę pozostawione w koszyku przed drzwiami wejściowymi.

Otóż Bingsowie powrócili do domu, który okazał się mocno zniszczony, ale udało im się uratować niemal wszystko i prowadzić dalej normalne życie. Pewnego jesienno popołudnia odwiedził ich mój znajomy; w drzwiach spotkał się z mężczyzną, który właśnie wychodził; był to profesor uniwersytetu, dźwigający pod pachą potężną księgę. Bingsowie wprowadzili mojego znajomego dalej, do kuchni, gdzie z dumą otworzyli piekarnik i pokazali mu olbrzymi grzyb, który właśnie piekli, by poczęstować nim gości następnego dnia. Ów profesor z książką miał za zadanie sprawdzić, czy jest jadalny. Wyobraziłam sobie, jak ten grzyb, pomarszczony, czarny i wielki niczym talerz, wyrasta tajemniczo w ciągu jednej nocy w salonie Bingsów, na przykład za kanapą albo na ciągle wilgotnym dywanie pod fotelem.

Niestety, ta historia, która tak silnie przemówiła do mojej wyobraźni, okazała się prawdziwa jedynie częściowo. Bingsowie często jadali grzyby leśne i znali się na nich. Ten wyrósł w plenerze, pod platanem, na wysokim wzniesieniu, którego nie zalała woda, a zatem powódź nie miała z nim nic wspólnego. A jednak moja wersja wydała mi się bardzo

intrygująca i nadal lubię myśleć, że powódź pozostawiła moim znajomym jakby dar, nagrodę pocieszenia, i że jeszcze przez wiele kolejnych lat Bingsowie będą znajdować różne jadalne grzyby w całym domu - obiady będą im wyrastać na półkach z książkami, a przekąski w fortepianie. W każdym razie byłoby to fajne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Płodność

I

Wczoraj w nocy obudził mnie mój własny krzyk. To chyba przez tę straszną żółtą roślinę, którą widziałam przebijającą się przez powodziową ziemię w okolicach zwałonego pnia nad Tinker Creek, roślinę równie mięsistą i nijaką jak ślimak, która wyrosła znów we śnie na glebie mojego mózgu i zmieniła się w sen o płodności.

Ten sen mnie w końcu obudził.

Śniło mi się, że obserwuję parzące się olbrzymie ćmy księżycowe, *Actias luna*. To delikatne, przypominające duchy, czarodziejskie ćmy, których mierzące aż dwanaście centymetrów skrzydła mają kształt jedwabistych jaskółczych ogonków koloru lawendowego, obwiedzionych pastelową zielenią. Z kosmatej główki samca wyrastały dwa ogromne, włochate czułki, ciągnące się za jego eterycznymi skrzydłami. Wdrapał się na samicę i penetrował ją z przerażającym, zwierzęcym animuszem.

Był to idealny przykład totalnego uduchowienia i nieznośnej hańby. Zafascynował mnie tak, że nie mogłam odwrócić wzroku od tej sceny. Przyglądając się owadom, w pewnym sensie pozwalałam im na kopulację i brałam na siebie odpowiedzialność za jej konsekwencje. Wszystko dlatego że chciałam zobaczyć, co będzie potem. Chciałam zostać dopuszczona do tajemnicy.

A potem z jaj zaczęły wykluwać się młode i moje łóżko zaroilo się od ryb. Wpatrywałam się w nie, stojąc w drzwiach pokoju. Na moich oczach rybki wykluwały się na łóżku, gdzie w zawieszonym śluzie roily się ich tysiące. Były sprężyste, tłuste, czarnobiałe, miały klinowate kadłuby i wyłupiaste oczy. Patrzyłam wystraszona, jak pływają, rzucają się i wiją w głębokim gdzieniegdzie nawet na metr lśniącym, przezroczystym śluzie. Ryby w moim łóżku! Wtedy się obudziłam, ale w uszach wciąż jeszcze rozbrzmiewa mi obcy krzyk, który jak się okazało, wydałam jednak sama, własnym głosem.

Żeby zaradzić koszmarom nocnym, należy spożywać dziką marchew, czyli tak zwaną koronkę królowej Anny, albo żuć czarne pręciki męskiego kwiatu piwonii. Ale na zapobieżenie złemu snowi było już za późno, bo na zły sen, który już się nam przyśnił, nie ma lekarstwa. Jaki korzeń czy nasiono zdoła wymazać tę scenę z mojej pamięci? Jestem głupia, pomyślałam.

Jestem jak dziecko, jak małe dziecko, jestem niemądra, naiwna, głupia. A co spodziewałam się zobaczyć: anioły? We śnie stało się jasne, że łóżko pełne ryb to moja wina, że gdybym odwróciła wzrok od kopulujących ciem, rybki nie wyklułyby się z jaj, a jeśli tak, to stałoby się to gdzieś indziej, po kryjomu. Sama ściągnęłam sobie na głowę ten śluz, to rojowisko.

Nie wiem, co jest takiego przerażającego w płodności. Przypuszczam, że może chodzi o niezliczone dowody, że narodziny i dojrzewanie, którym przypisujemy wysoką wartość, są wszechobecne i ślepe, że życie jako takie jest zdumiewająco tanie, że przyroda jest równie rozrzutna, jak hojna i że wraz z ekstrawagancją przychodzi przytłaczające marnotrawstwo, które pewnego dnia obejmie również nasze tanie żywoty, pętle Henlego i w ogóle wszystko. Każde lśniące jajeczko to memento mri.

Po takiej klęsce żywiołowej jak powódź przyroda

„urządza przedstawienie i powraca na ring”. Ludzie uciekają się czasem do optymistycznych określeń tego rodzaju, nie zdając sobie sprawy ze skali ograniczeń i rozmiarów strat związanych z takim powrotem. Jest właśnie koniec czerwca i cała przyroda aż kipi. Różne stworzenia wykluwają się z jaj, miażdżąc lub krusząc skorupki; larwy przybierają na wadze, zrzucają pancerzyki i zjadają je; spory rozpuszczają się albo eksplodują; korzenie włoskowate pienia się, kukurydza dojrzewa w kolbach, trawa się wysiewa, a z ziemi wyrastają spęczniałe pędy, ciągle w ochronnych

„koszulkach”. Na słoneczny świat przychodzą, popiskując, jeszcze mokre i ślepe, maleńkie pizmoszczury, króliki oraz wiewiórki. Wodniste komórki dzielą się jak świat długi i szeroki, i puchną - puchną i dzielą się. Może mi się to podobać i mogę nazywać ten proces narodzinami i regeneracją, ale mogę też bawić się w adwokata diabła i opowiadać o obrzydliwej płodności - albo twierdzić, że to podnosi głowę szatan we własnej osobie.

Tak właśnie zamierzam zrobić. Poniekąd z uwagi na mój koszmarny sen przyszło mi do głowy, że obraz złożonego świata, który wcześniej wam odmalowałam, nie odpowiada prawdzie i jest pokrętny. A także nazbyt optymistyczny. Myśl o nieskończonej różnorodności szczegółów i wielości form sprawia nam przyjemność, gdyż piękno bierze początek w złożoności, a różnorodność przekłada się na hojność i obfitość.

Jednak w tym obrazie brakuje czegoś ważnego. Nie widzę jednej sosny, lecz tysiące sosen. Ja też nie jestem przecież jedna, lecz legion. I wszyscy w końcu pomrzemy.

Powtarzalność jednego osobnika w drugim przypomina mi bezmyślne jękanie; to jakiś idiotyczny upór, nad którym jednak warto się zastanowić. Siła napędzająca płodność, którą i ja powinnam uwzględnić, jest straszliwa; to przymus narodzin i rozrostu, siła rozszczepiająca

korę drzew, każąca kiełkować nasionom, wyciskająca zawartość jaja ze skorupki i wyrrywająca z otoczki poczwarkę - siła, która łaknie, pożąda i nieubłagane pędzi wszystkie stworzenia ku śmierci.

Myslałam więc o płodności; o płodności i przymusie wzrostu. Płodność to brzydkie słowo, oznaczające coś brzydkiego. A w każdym razie coś brzydkiego w świecie zwierząt składających jaja - bo jeśli chodzi o florę, jestem innego zdania.

Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, który byłby wstrząśnięty widokiem łąki porośniętej identycznymi źdźbłami trawy. Pół hektara maków i las świerkowy nikogo nie dziwią. Nawet pole o powierzchni dwóch tysięcy hektarów na ogół cieszy ludzkie serca, choć jest to coś równie nienaturalnego i monstrualnego, jak potwór Frankenstein; przeczytałam gdzieś, że gdyby człowiek jako gatunek miał wymrzeć, zboże nie przeżyłoby go dłużej niż o trzy lata. Ale nie, w świecie roślinnym, a zwłaszcza wśród roślin kwitnących, płodność nie jest atakiem na ludzkie wartości. Rośliny z nami nie rywalizują; są naszymi ofiarami, a także stanowią budulec człowieczych gniazd. Rozmnażanie roślin nie budzi naszego niepokoju, tak jak sowa nie martwi się eksplozją populacji polnych myszy.

Po zeszłorocznej powodzi znalazłam wielki konar tulipanowca, który wiatr przywłócił aż do Tinker Creek.

Prąd zniósł gałąź na skały przy brzegu, gdzie pozostała po opadnięciu wód. Miesiąc później zauważyłam, że wyrastają na niej świeże listki, choć oba jej końce były uschnięte i nie miały żadnego kontaktu z ziemią.

Zdumiałam się. Przyszła mi do głowy powszechnie znana bajka o mężczyźnie, któremu po śmierci wyrosła broda, i zaczęłam się zastanawiać, czy drewno na opał w moim garażu też przypadkiem się nagle nie zazieleni. To bardzo krzepiące, że rośliny potrafią przetrwać nawet w skrajnie niesprzyjających warunkach. Z trudem się powstrzymuję, by podświadomie nie uznać, że rośliny posiadają wolę i są straceńczo odważne, i ciągle muszę sobie przypominać, że zakodowane genetycznie komórki oraz cicho wznosząca się pod ciśnieniem woda w gałęziach nie mają przecież zielonego pojęcia, jak doskonale potrafią dać sobie radę w paszczy lwa.

Miłośnicy roślin na dolnym Bronksie znaleźli kiedyś mierzący pięć metrów bożodrzew, który wyrósł w kącie na dachu garażu. Zakorzenił się i czerpał substancje odżywcze z „piasku, pyłu i osiadających na dachu popiołów”. Jeszcze bardziej zadziwiająca jest pewna pustynna roślina, *Ibervillea sonorae*, należąca do rodziny dyniowatych, którą opisuje Joseph Wood Krutch. Jeśli spotkacie ją kiedyś na pustyni, zobaczycie tylko zeschnięty kawałek drewna. Nie ma korzeni ani łodyg i wygląda jak stary, poszarzały sęk, ale żyje.

Każdego roku przed nastaniem pory deszczowej wypuszcza kilka korzonków i pędów. Kiedy przychodzą opady, roślina ta nawet kwitnie i owocuje, ale zarówno kwiaty, jak i owoce szybko usychają, po czym *Ibervillea sonorae* powraca do stanu spoczynku, w którym przypomina po prostu kawałek drewna.

Pracownicy nowojorskiego ogrodu botanicznego umieścili kiedyś jej wyschnięty egzemplarz w szklanej gablocie wystawienniczej. „Po siedmiu latach leżenia w gablocie bez ziemi i wody zniecierpliwiona roślina wypuściła kilka pędów, ale ponieważ nie nadeszła pora deszczowa, znów wyschła, zapewne w nadziei, że w następnym roku będzie miała więcej szczęścia”

- pisze Joseph Wood Krutch. Oto co, moim zdaniem, znaczy dawać sobie radę w paszczy lwa.

(Nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego nikt w ogrodzie botanicznym nie ulitował się nad tą rośliną i nie poleił jej choćby szklanką wody. Pracownicy mogliby wtedy umieścić na gablocie tabliczkę z napisem „Żywa roślina”. Ale po ośmiu latach dysponowali już tylko rośliną martwą, na jaką zresztą przez cały czas wyglądała. Jej widok, wzmocniony tabliczką z napisem

„Martwa *Ibervillea sonorae*”, z pewnością budziłby ogromną melancholię wśród zwiedzających. Tymczasem podejrzewam, że *Ibervillea* została po prostu wyrzucona).

Tempo i siła wzrostu niektórych roślin są zdumiewające. Bambus rośnie aż do metra na dobę, co jest naprawdę niezwykłym osiągnięciem, będącym zresztą źródłem opowieści o pewnej wyrafinowanej azjatyckiej torturze. Polega ona na tym, że ofiarę przywiązuje się do hamaka, wiszącego zaledwie trzydzieści centymetrów nad zdrowymi, młodymi bambusami, których zdrewniałe czubki zostały zaostrome. Przez pierwszych osiem godzin poddany tej katuszy człowiek jest jeszcze cały i zdrowy, chociaż miota się jak opętany, ale potem stopniowo zaczyna przypominać rzeszoto.

Na dole, w świecie korzeni, ślepa siła wzrostu również bywa naprawdę porażająca. O ile wiem, przeprowadzono dotąd tylko jeden poważny eksperyment mający ustalić zasięg i szybkość wzrostu korzeniowego - a kiedy zapoznacie się z cyframi, zrozumiecie dlaczego. Czytałam kilka różnych relacji z przebiegu tego eksperymentu i nie mogłam się z nich dowiedzieć tylko jednej rzeczy: ilu laborantów straciło przy nim wzrok.

Przeprowadzający doświadczenie zbadali tylko jedną roślinę - żyto ozime. Najpierw pozwolili mu rosnąć w cieplarni przez cztery miesiące, po czym ostrożnie usunęli z niego ziemię (jak mniemam, pod mikroskopem), a wtedy policzyli i zmierzili wszystkie korzenie i włoski korzeniowe. Okazało się, że przez cztery miesiące pojedyncze źdźbło żyta wypuściło

czternaście milionów korzeni o łącznej długości sześciuset kilometrów - co oznacza, że rosły one w tempie pięciu kilometrów dziennie. Jest to zdumiewające, ale jeszcze bardziej niewiarygodne liczby dotyczą włosków korzeniowych. Otóż przez te cztery miesiące jedna roślina wypuściła czternaście miliardów korzeni włoskowatych, których łączna długość jest w gruncie rzeczy niewyobrażalna. Dość powiedzieć, że w objętości tylko jednego centymetra sześciennego długość włosków wynosiła sześćset kilometrów.

Inne rośliny wykorzystują swoją siłę, wbijając się w skalistą ziemię z taką łatwością jak ktoś, kto zsuwa z ramion jedwabną pelerynę. Rutherford Platt opowiada o modrzewiu, którego korzeń rozłupał półtonowy głaz, unosząc go nad ziemię na wysokość trzydziestu centymetrów. Wszyscy wiedzą, że korzeń platana potrafi skruszyć chodnik, a grzyb nawet betonową podłogę w piwnicy, ale kiedy po raz pierwszy przeprowadzono poważne pomiary ich przerażającej siły, nikt nie mógł uwierzyć w wyniki.

W jednej z najbardziej interesujących książek, jakie kiedykolwiek napisano, *The Great American Forest* (Wielki las amerykański), Rutherford Platt opowiada następującą historię: „W roku 1875 pewien farmer z Massachusetts, zafrapowany siłą wzrostu dojrzewających jabłek, melonów i dyń, przymocował jedną dynię do specjalnego podnośnika, wyposażonego niczym zwykła waga sklepowa w podziałkę, mierzącą siłę nacisku owocu. Mijały dni, a on dokładał ciągle kolejne ciężarki, żeby zrównoważyć siłę naporu dyni; jakież było jego zdumienie, kiedy zobaczył, że owoc rozrasta się milcząco z siłą nacisku trzystu pięćdziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy. Ponieważ nikt mu nie wierzył, wystawił kilka dyń na podnośnikach na pokaz publiczny. W roku 1875 pismo «Annual Report of the Massachusetts Board of Agriculture» donosiło:

«Wystawę zwiedziło kilka tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci ze wszystkich klas społecznych. Niejaki pan Penlow oglądał ją dniem i nocą, dokonując odczytów co godzinę; profesor Parker był tak poruszony widokiem potężnych dyń, że napisał o nich wiersz, a profesor Seelye oświadczył, że jest bezbrzeżnie zdumiony».

Wszystko to brzmi przyjemnie i wesoło. Jeżeli nikt mnie nie zwiąże i nie powiesi nad poletkiem zaostrzonych bambusów, raczej nie będę odczuwać najmniejszego niepokoju na myśl o sile wzrostu roślin i ich płodności. Nie przeszkadza mi nawet, że flora przeciwstawia się czasem ludzkiej „cywilizacji”. Kiedy czytam, ile tysięcy dolarów wydają takie miasta jak Nowy Jork na usuwanie z sieci wodociągowej korzeni bożodrzewów, miłorzębów czy platanów, nie mogę się powstrzymać od cichego okrzyku radości, bo przecież rury wodociągowe są niemal zawsze doskonałym źródłem wody - i oto okazuje się, że w mieście, w którym wysoko ceni się zaradność i kontestację „systemu”, prymitywne drzewa zdolne są

podjąć zwycięską walkę z ratuszem.

Ale w świecie zwierzęcym jest inaczej, a ludzie mają inny stosunek do zwierząt. Skoro już jesteśmy w Nowym Jorku, pomyślcie o karaluchach pod łóżkiem i o szczurach zbierających się rankiem na ganku. W blokach mieszkalnych i apartamentowcach po prostu roi się od karaluchów. I dalej: z jednej strony można uważać Manhattan za ekskluzywną dzielnicę drapaczy chmur, gdzie ceny ziemi i czynsz są bardzo wysokie, z drugiej zaś widzieć go jako olbrzymią wylęgarnię szczurów, idącą w setki hektarów. Przypuszczam, że szczury i karaluchy nie czynią takich szkód jak korzenie drzew, ale perspektywa wspólnego mieszkania z tymi zwierzętami nie jest chyba przyjemna.

Płodność staje się przekleństwem tylko w przypadku zwierzęcia. Sformułowanie „setki hektarów szczurów” brzmi znacznie groźniej niż, powiedzmy, „setki hektarów tulipanów”.

Ziemski pejzaż jest usiany i upstrzony niezliczoną ilością na pozór identycznych stworzeń, począwszy od wielkich plejstocenijskich stad zwierząt kopytnych, pasących się na trawiastych równinach, po śluzowate gluty bakterii, zalegających w naszych płucach. Lęgowiska pelagicznych ptaków nad oceanem są równie tłoczne i rojne jak każda ludzka Kalkuta. Ziemia czernieje od lemingów, a powietrze od szarańczy. W morzu pływają ławice księżycówek, *Leuresthes tenuis*, koralowce piętrzą się i narastają jeden na drugim, a pierwotniaki eksplodują w plamie fali pływowej, czerwonej od mikroorganizmów. Mrówki wzlatają ku niebu całymi rojami, wylęgają się miliony jętek, liniejące cykady pokrywają pnie drzew. Widzieliście kiedyś rzeki spływające czerwienią i ikrą łososi?

Weźmy zwykłą pąklę, skałoczepa. Wewnątrz każdej z milionów oblepiających skały twardych, białych muszli (które kaleczą nam pięty, kiedy miażdżymy ich stożki) tkwi oczywiście żywe stworzenie, jak nie przymierzając ty albo ja. Pąkla spędza życie w następujący sposób: kiedy obmywa ją fala, wysuwa dwanaście jakby pierzastych wypustek pokarmowych, którymi filtruje wodę w poszukiwaniu planktonu. Rosnąc, zmienia skórę jak homar, powiększa rozmiary muszli i rozmnaża się bez końca. Larwy pąkli „lęgną się w morzu mlecznymi chmurami”. Skałoczepy, inkrustujące kilometr linii brzegowej, mogą wypuścić do wody miliony milionów larw. Ile z nich zmieściłoby się naraz w ustach człowieka? Dorastają w wodzie morskiej, linieją, gwałtownie zmieniają kształt, a w końcu, po kilku miesiącach, osiadają na skałach, gdzie osiągną dorosłość i budują skorupę. W niej zmieniają skórę.

Rachel L. Carson często znajdowała ich wylinki: „Niemal w każdej próbce wody morskiej, którą przynoszę znad morza, pływają białe, na wpół przezroczyste płatki. Pod mikroskopem doskonale widać każdy szczegół ich budowy. Oglądając maleńkie, niby

celofanowe płaszczyki, mogę policzyć wszystkie stawy czułków, a nawet włoski rosnące u ich podstaw. Widzę też kształt całego zwierzątka, odciśnięty w starym pancerzyku”. Pąkle żyją średnio cztery lata.

Chodzi mi tutaj głównie o te „mleczne chmury” milionów milionów larw i o ich wylinki. Nagle morze zdaje się tylko zupą, w której pływają kawałeczki pąkli. Jak mogłabym sądzić, że miliony milionów ludzkich niemowląt są bardziej realne od nich?

A co jeśli Bóg traktuje nas z takim samym lekceważeniem, jak my traktujemy pąkle? Nie wiem, czy każda larwa pąkli jest szczególna i wyjątkowa, ani czy my, ludzie, jesteśmy do siebie podobni jak jedna cegła do drugiej. W głowie kłębią mi się liczby, które ciągle rosną, gotowe rozłupać mi czaszkę jak skorupkę. Przyglądam się trapezoidalnym punkcikom na grzbietach moich dłoni, przypominającym niesione wiatrem pyłki kurzu, które osadzają się na bryłce gliny. Ja także się wyklulałam, wraz z milionami podobnych do mnie istot, na jakiejś drodze mlecznej, biorącej swój początek na nieznanym brzegu.

Widziałam modliszkę, składającą jaja w wilgotnych bąbelkach, które przyklejały się do cierni krzewów niczym budyń z tapioki. Widziałam film, na którym ogromna, lśniąca od śluzu królowa termitów, przypominająca moją śmiertelnie bladą, ale pozbawioną rysów twarz, wydalala z siebie całe rzeki globulkowatych jaj, pulsując i dygocząc. Robotnice tych owadów, wyglądające niczym mikroskopijni dokerzy, którzy rozładowują liniowiec „Queen Mary”, lizały starannie każde wydane na świat jajo, żeby nie zapleśniało.

Świat jest jednym wielkim inkubatorem dla niezliczonej liczby jajeczek, z których każde zostało szczegółowo zaprogramowane i lada chwila pęknie.

Jajo pasożytniczej bleskotki, przypominającej małą osę, rozmnaża się samoistnie, przez podział. Samica składa zapłodnione jajeczko w miękkiej tkance żywej ofiary i to jedno jajo ciągle dzieli się dalej. Z tak rozmnożonych jajeczek wykluwa się do dwóch tysięcy larw, które żywią się ciałem gospodarza z charakterystyczną dla nich żarłocznością. Podobne, choć jeszcze bardziej płodne, jak pisze Edwin Way Teale, są mszyce: ponoć gdyby jednej, pozbawionej partnera mszyce pozwolić się rozmnażać w spokoju przez rok, jej potomstwo byłoby tak liczne, że chociaż dorosłe mszyce mierzą zaledwie dwa milimetry, ich połączone ciała ciągnęłyby się w przestrzeni na odległość dwóch i pół tysiąca lat świetlnych! Nawet przeciętna złota rybka składa pięć tysięcy jajeczek, które zresztą, jeśli jej na to pozwolić, niemal natychmiast pożera. Kierownik działu sprzedaży Ozark Fisheries w Missouri, gdzie hoduje się rybki akwariowe dla takich klientów jak ja, powiedział: „Produkujemy, obliczamy i sprzedajemy nasz towar na tony”. Złożoność, w której mieszczą się między innymi mój Ellery i mszyce, zwielokrotniona tonami i latami świetlnymi, to coś więcej niż rozrzutność

czy ekstrawagancja; to kataklizm, parodia, nienasycenie.

Ślepa siła, nakazująca zwierzętom rosnąć i rozmnażać się, przekłada się dalej na straszliwy głód. Te miliardy stworzeń muszą mieć paliwo, czyli muszą jeść, by mogły się rozwijać, osiągnąć dojrzałość seksualną i złożyć kolejne miliardy jaj. A czym miałyby się karmić ryby w moim łóżku albo modliszki w słoju laboratoryjnym, jeśli nie sobą nawzajem? Pozbawiony uczuć wyższych świat prymitywnych zwierząt charakteryzuje się przerażającą głupotą, sprowadzającą życie do jednego wielkiego pola bitwy. Edwin Way Teale w *The Strange Life of Familiar Insects* (Dziwne żywoty znanych owadów), książce, bez której nie mogłabym żyć, opisuje kilka przypadków takich posiłków, spożywanych pod presją bezgranicznego głodu.

Przypomnijcie sobie na przykład larwę ważki, penetrującą dna strumieni i stawów w poszukiwaniu ofiar, które chwyta za pomocą swojej haczykowatej, elastycznej wargi. Larwy ważek są nienasycone i silne.

Potrafią łapać i pożerać nawet małe rybki i tłuste kijanki. Jak twierdzi Teale, widywano „larwy, które wychodziły z wody i wspinały się na przybrzeżną roślinność, by atakować bezradne, delikatne i jeszcze pomarszczone dorosłe ważki, wyłaniające się ze swoich poczwarkowych osłonek”. Czy nie mam już dosyć?

Podobne uczty zyskują jednak prawdziwie makabryczny wydźwięk, kiedy dotyczą matek i ich potomstwa. Spójrzmy na owady siatkoskrzydłe, zwane sieciarkami. Są to delikatne zielone owady o dużych, zaokrąglonych, przezroczystych skrzydłach. Ich larwy zjadają olbrzymie ilości mszyc, osobniki dorosłe kopulują ze sobą w trzepocie skrzydeł pod naporem instynktownej fali pożądania, samice składają jaja, a potem umierają milionami wraz z nadejściem pierwszych jesiennych chłódów. Czasami, kiedy samica składa jaja na zielonym liściu, wieńczącym jakąś smukłą łodygę, głodnieje. Wtedy przerywa składanie jaj, odwraca się i pożera je, po czym składa kolejne, które również zjada.

Wszystko się może zdarzyć - i zdarza się. Jaki jest sens życia? Valerie Eliot, wdowa po T.S. Eliocie, napisała kiedyś w liście do londyńskiego „Timesa”: „Mój mąż, T.S. Eliot, uwielbiał wspominać, jak kiedyś późnym wieczorem zatrzymał taksówkę. Gdy wsiadł, kierowca powiedział: «Pan jesteś T.S. Eliot». Kiedy mąż zapytał go, skąd o tym wie, kierowca odparł: „Ach, ja mam po prostu oko do sławnych ludzi. Nie dalej jak wczoraj wiozłem Bertranda Russella i poprosiłem go:

249

«Lordzie Russell, niech mi pan powie, co to jest życie». I wiesz pan co? Nie umiał mi odpowiedzieć”. No właśnie. „Mój Boże - powiada delikatna, umierająca sieciarka, której

szczęki ociekają jeszcze płynem komórkowym z tworów jej własnego pokładelka. - Jaki jest sens życia?" („I wiesz pan co...?”)

Żyjące w kaczym stawie wypławki mają podobne zwyczaje. Są to znane w laboratoriach ciemne płazińce, które potrafią zregenerować cały swój organizm z niemal każdego odciętego fragmentu ciała. „W okresie godowym wypławki stają się kanibalami, pożerają wszystko, co stanie im na drodze, w tym także własne, porzucone wcześniej ogony, na których formuje się już nowa głowa” - pisze Arthur Koestler. Nawet stojące znacznie wyżej na drabinie ewolucyjnej ssaki, jak wielkie koty drapieżne, pożerają czasami własne potomstwo. Widywano matki liżące pępowinę swojego nowo narodzonego maleństwa - samica liże ją i liże, aż wreszcie traci panowanie nad sobą i zaczyna pożerać swoje małe, zaczynając właśnie od tego miejsca, od bezbronного podbrzusza.

Chociaż zjadanie przez matki własnego potomstwa wydaje się bezsensowne, to chyba jeszcze bardziej odrażające są dzieci, które pożerają swoich rodziców. W śmierci rodzica w paszczy dziecka dostrzegam ukazany przez pryzmat sporadycznego przypadku uniwersalny dramat, widzę więc wszystkich jego uczestników - na przykład muchówki przyszczarkowate, występujące pospolicie na świecie małe muszki. Teale twierdzi, że ich larwy, które w niczym nie przypominają dorosłych osobników i które oczywiście nie mogą kopulować, potrafią mimo to produkować jaja, już zapłodnione, z których następnie w ich własnych ciałach wylęgają się kolejne larwy. Niekiedy dochodzi do tego nawet w nieruchomym ciele poczwarki. Takie niewiarygodne zjawisko zachodzi czasem wśród muchówek z gatunku *Miastor*, zarówno w larwalnym stadium ich rozwoju, jak i u poczwarek. „Żarłoczne larwy, które wykluwają się w ciele rodziciela, natychmiast zaczynają go pożerać”. Wiem, jaki jest sens takiego zachowania, choć wolałabym nie wiedzieć. Rodzice umierają, ale przeżywa następne pokolenie, ad maiorem gloriam, i tak się ten młynek kręci. Cóż z tego, że potomstwo przyspiesza śmierć starszego pokolenia? Ono spełniło już swoje jedyne zadanie na tym świecie, a cały proces przemiany białkowej materii pozostaje przecież, jak Pan Bóg przykazał, w rodzinie.

Pomyślcie jednak o niewidocznych, dojrzałych jajach nabrzmiewających w poczwarcie, sztywnej i nieruchomej w swoim kokonie niczym zmumifikowana egipska królowa! Larwy wykluwają się, rozpruwają jej brzuch i wychodzą z niego żywe, ruchliwe i głodne, niczym z sarkofagu, który oblażą następnie jak robactwo i żywią się nim do ostatniej okruszyny. A później ruszają w świat.

„Żeby uniknąć takiego smutnego losu - pisze dalej Teale - niektóre gąsieniczniki, te spokrewnione z osami pasożyty, które składają jaja w ciałach gąsienic, muszą czasami

pozbywać się jaj w locie, kiedy nie mogą znaleźć ofiary, a z ich jaj lada chwila mają się już wykluć larwy”.

Jesteś samicą gąsienicznika. Dokonałaś kopulacji i twoje jaja zostały zapłodnione. Jeżeli nie znajdziesz gąsienicy, w której będziesz mogła je złożyć, twoje potomstwo zginie z głodu. Gdy larwy się wyklują, pożą każdego żywiciela, w którym się znajdują, więc jeśli ich nie zabijesz, rozrzucając je nad ziemią, zjedzą cię żywcem. Ale jeżeli pozbędziesz się ich nad polami, zapewne najpierw umrzesz ze starości, jeszcze zanim larwy się wyklują, by umrzeć śmiercią głodową, i wtedy całe to nieszczęsne przedstawienie dobiegnie końca. Czujesz, że moment narodzin jest coraz bliżej i bliżej, i starasz się dźwignąć na nogi...

Oczywiście gąsieniczniki nie dokonują żadnych świadomych wyborów. Gdyby tak było, ich dylemat pachniałby prawdziwą tragedią, a Ajschylos nie musiałby szukać swoich wzorców dalej niż wśród tych owadów. To znaczy byłby to materiał na prawdziwą tragedię, gdybyśmy, Ajschylos i ja, zdołali was przekonać, że gąsienicznik żyje w tym samym sensie jak wy i my i że to, co mu się przytrafia, jest ważne. Bo czy przyjmiecie coś takiego na wiarę?

A oto ostatnia historia, która pokazuje, że w przyrodzie siła i konieczność wzrostu działa niekiedy na opak. Mól domowy, którego gąsienica żywi się wełną, popada czasem w istną gorączkę linienia - Teale bez emocji określa ją jako „dziwną”: „Dziwny paradoks linienia można zauważyć w zachowaniu larwy mola domowego, która ma za mało pożywienia. Czasami popada ona w istną «gorączkę linienia», zmieniając skórę raz po raz i coraz bardziej z każdą taką wylinką zmniejszając swoje rozmiary”. Zmniejszając swoje rozmiary... Czy wyobrażacie sobie to szaleństwo? Czy powinniśmy chować swoje swetry? Można sobie wyobrazić, że proces zmniejszania rozmiarów ciała mola trwa w nieskończoność, a larwa gorączkowo kurczy się coraz bardziej, aż osiąga wielkość molekuly, a potem elektronu, ale nigdy nie udaje jej się skurczyć do zera i pozbyć się uczucia straszliwego głodu. Czuję się jak Ezdrasz: „Gdy tę wieść usłyszałem, rozdarłem swoją szatę i płaszcz, wrywałem sobie włosy z głowy i brody i wstrząśnięty usiadłem”*

II

Wcale nie robię sobie żartów i nie udaję, że ten straszliwy przymus jedzenia i rozmnażania się jest dla mnie absolutnie zagadkowy. Miliony milionów larw pąkli w wodach przybrzeżnych na długości kilometra, rzeki jaj termitów i ciągnące się na odległość kilku tysięcy lat świetlnych sznury mszyc powołują do istnienia na tym raczej obojętnym dla nich świecie kolejne pąkle, termyty i mszyce.

Życie niesie ze sobą ryzyko. Ślimaki szkarłatniki

[Nucella lapillus) pożerają pąkle, ich muszle drąży robactwo, a kra lodowa odrywa je

od skał i miazdzy na proszek. Czy gdybyś był mszycą, potrafiłbyś składać jaja szybciej, niż wydziobują je sikorki? Czy potrafiłbyś znaleźć gąsienicę na czas, by złożyć jaja? Czy potrafiłbyś wygrać z morderczym mrozem?

W świecie prymitywnych stworzeń czeka cię zapewne nudny zgon, jeśli prowadzisz nieskomplikowa-

* Księga Ezdrasza 9,3. ne życie. Jednak niektóre zwierzęta wiodą żywot tak złożony, że znacznie wzrasta nie tylko prawdopodobieństwo szybkiej śmierci każdego osobnika danego gatunku, lecz także liczba różnych rodzajów śmierci, jaką mogą umrzeć. Wyznaczone niektórym zwierzętom ścieżki życia są tak wyboiste, że niemal idiotyczne. Na przykład żyjący w kaczym stawie nitnikowiec, który tak beztrąsko wije się teraz pod powierzchnią wody, w drodze ku dorosłości na pewno nieraz o włos uniknął śmierci, i to w sytuacjach wydawałoby się, beznadziejnych. Przyjrzałam się bliżej cyklowi życiowemu tych nicieni, przypominających do złudzenia włosie z końskiego ogona, i dowiedziałam się, że chociaż uczeni nie są do końca pewni, jak przebiega rozwój osobników z ich kilku podgatunków, mają co do tego dobrze uzasadnione przypuszczenia.

Wszystko zaczyna się od długich wstęp jaj, owiniętych wokół stawowej roślinności. Wykluwają się z nich larwy i zaczynają szukać gospodarzy żyjących w środowisku wodnym, na przykład larw ważki. Larwa nitnikowca wkręca się w ciało larwy, którym się żywi, gdzie rośnie i skąd w jakiś tajemniczy sposób udaje się jej wydostać. Wtedy, jeśli nie zostanie zjedzona, płynie do brzegu i tam na roślinach wodnych przechodzi w stadium cysty. Wszystko to brzmi może mało wiarygodnie, ale nie jest niemożliwe.

Lecz teraz dopiero zaczynają się prawdziwe dziwy.

Najpierw najprawdopodobniej musi spaść nieco poziom wody w stawie. Dzięki temu roślinność zostaje odsłonięta i wtedy może się na nią dostać jakiś gospodarz żyjący w środowisku lądowym. Nitnikowce mają różnych żywicieli lądowych, na przykład świerszcze, żuki i koniki polne. Powiedzmy, że nasz nitnikowiec przeżyje tylko wtedy, jeśli natknie się na konika polnego. Doskonale. Ale gospodarz musi się pojawić jak najprędzej, bo nicień w stanie cysty dysponuje tylko skromnym zapasem tłuszczu i lada moment może umrzeć z głodu. Oto jednak zbliża się osobnik właściwego gatunku konika polnego, który jak na zamówienie żywi się przybrzeżną roślinnością. Wprawdzie nigdy nie widziałam, żeby koniki polne żerowały chętnie na trawiastych brzegach zbiorników wodnych, ale widocznie musi się to zdarzać. A zatem nitnikowiec ma szczęście, bo konik polny połyka cystę.

Następnie osłonka pęka i wypęła z niej nitnikowiec w całej swojej obrzydliwej okazałości - długość jego ciała może wynosić nawet do jednego metra. Tymczasem pozostaje

w ciele konika polnego, którym się żywi. Przypuszczam, że zjada go na tyle dużo, aby utrzymać się przy życiu, ale na tyle mało, żeby konik polny nie wyciągnął kopyt gdzieś z dala od wody. Entomolodzy znajdowali trzyszczę, martwe albo umierające na wodzie z niemal całkowicie wyzartymi wnętrznościami, których miejsce zajmowały białe, zwinięte w kłębek nitnikowce. Mniejsza z tym; teraz robak jest już prawie dorosły i gotów do rozmnażania, najpierw jednak musi wydostać się ze swego żywiciela.

Biolodzy nie wiedzą, jak do tego dochodzi. Jeżeli w decydującym momencie konik polny skacze sobie na słonecznej łące, daleko od kaczego stawu albo rowu z wodą, co jest całkiem możliwe, to z nitnikowcem koniec. Powiedzmy jednak, że konik przypadkiem żeruje w okolicach stawu. Być może robak przewierca się przez jego odwłok albo zostaje wydalony wraz z ekskrementami. W każdym razie oto leży już w trawie i wysycha na wiór. Teraz biolodzy musieliby przywołać rześisty deszcz, który spadłby z nieba w dogodnym dla nitnikowca momencie, żeby nasz bohater mógł trafić z powrotem do wody, dokonać aktu kopulacji i złożyć więcej pozornie skazanych na zagładę jaj. Prowadząc takie życie, wy też byście wychudli.

Inne stworzenia mają „równie łatwo”. Przywra żylna zaczyna swój żywot w postaci jaja w ludzkich odchodach. Jeśli wpadnie następnie do słodkiej wody, przeżyje tylko wtedy, gdy zdarzy się jej napotkać na swojej drodze pewien gatunek ślimaka. Przeobraża się w nim w stadium przetrwalnikowe, a następnie powstają z niego tysiące małych, ruchliwych istot, które wypływają z żywiciela i teraz muszą znaleźć w wodzie człowieka, żeby przebić się przez jego skórę. Następnie przemieszczają się wraz z krwią w układzie krążenia, osiadają w naczyniach krwionośnych jelita grubego i tam osiągają dojrzałość seksualną jako samiec lub samica. Teraz jednak z kolei muszą jeszcze znaleźć inną przywrę, płci przeciwnej, która przypadkiem przebyła tę samą daleką, okrężną drogę i wylądowała w jelitowych naczyniach krwionośnych tego samego nieszczęsnego człowieka. Inne przywry prowadzą równie nieprawdopodobne życie, zmieniając w jego trakcie aż do czterech gospodarzy.

Ale najbardziej zdumiewają mnie pąkle podrzędu Lepadomorpha, zwane też gęsimi pąklami. Oglądałam niedawno zdjęcia zrobione przez uczestników wyprawy na tratwie „Ra”. Jedno z nich przedstawiało pozostawioną przez jakąś znacznie większą jednostkę plamę smoły, którą Heyerdahl i jego załoga zauważyli na środku Atlantyku. Smoła unosiła się na wodzie już od dłuższego czasu i była pokryta pąklami. Ich obecność w tym miejscu właściwie nie wzbudziła niczyjej uwagi, ale dla mnie te pąkle stanowiły najbardziej interesujący aspekt całej wyprawy. Ile larw tych zwierząt musi umrzeć pośrodku olbrzymiego oceanu, żeby choć jedna z nich zdołała tam znaleźć plamę smoły, do której będzie mogła się przyczepić? Na

pewno widzieliście kiedyś pąkle wyrzucone przez fale na brzeg; porastają one drewniane elementy wraków statków, pływające w wodzie kawałki drewna albo gumy - wszystko, co dość długo pływa w morzu. Te pąkle w niczym nie przypominają pąkli skalnych, choć są z nimi blisko spokrewnione. Mają płaskie, lekko owalne, różowe skorupki wyrastające z elastycznej przyssawki przypominającej „gęsią szyję”, dzięki której przywierają do podłoża.

Zawsze żywiłam sympatię dla tych stworzeń, ale przypuszczałam, że żyją w pobliżu brzegu, gdzie łatwiej jest im znaleźć jakiś pływający w wodzie przedmiot, do którego mogą przywrzeć. Co one robią - co robią ich larwy - pośrodku oceanu? Dryfują i giną albo dziwnym zrzędzeniem losu, w świecie, w którym wszystko może się zdarzyć, przyczepiają się do jakiegoś przypadkowo znalezionego przedmiotu i żyją na nim do końca swoich dni. Czy gdybym, płynąc na pokładzie „Ra”, włożyła do wody rękę, mogłaby się do niej przyczepić pąkla Lepadomorpha? Czy gdybym nabrała do kubka wody z oceanu, trzymałabym w ręce gromadę umierających i martwych larw tych zwierząt?

Czy powinnam rzucić im do wody wiór drewna? Na jakim my świecie żyjemy? Dlaczego nie może się na nim rodzić mniej larw pąkli i czemu nie można im zapewnić większych szans na przeżycie? Czy świat jest życiotwórczy, czy raczej śmiercionośny?

Muszę znów spojrzeć na pejzaż naszego błękitno-

- zielonego świata. Pomyślcie tylko: ze wszystkich czystych, pięknych zakątków Układu Słonecznego tylko nasza planeta jest skażona, bo tylko na Ziemi występuje śmierć. Muszę przyznać, że morze to zbiornik śmierci, a ląd - splamiony krwią kamienny ołtarz.

My, żywe istoty, jesteśmy rozbitkami, kurczowo trzymającymi się wyrzuconych za burtę śmieci i żywiącymi się nimi. Jesteśmy uciekinierami. Budzimy się ze snu z przerażeniem, jemy, gdy dręczy nas głód i zasypiamy z ustami pełnymi krwi.

Śmierć: W.C. Fields nazywał ją „facetem w jasnej koszuli nocnej”. Kręci się po mieszkaniu we wszystkich zapomnianych przeze mnie kątach, we wszystkich korytarzach, których nie śmiem wspominać ani odwiedzać, bojąc się, że zobaczę rąbek jego wyświechtanej, ale oślepijąco jasnej szaty, znikającej właśnie w przedpokoju. Oto potwór, którego ewolucja uwielbia. Jak to możliwe?

Im szybciej postępuje śmierć, tym bardziej ewolucja przyśpiesza. Mszyca składa milion jaj, ale przeżyje najwyżej kilka z nich. Mimo całej ludzkiej inteligencji moja prawa ręka nie mogłaby stworzyć ani jednej mszycy, choćby pracowała nad tym przez tysiąc lat.

Ale jaja mszyc - jaja, które kosztują mniej niż dziesięć centów za tuzin, ba, za które właściwie w ogóle nie trzeba płacić - produkują mszyce bez najmniejszego trudu, jak morze wytwarza fale. To zmarnowane cuda i niegodziwy system. Arthur Stanley Eddington, zmarły

w 1944 roku brytyjski fizyk i astronom, twierdził, że cała natura działa zapewne według tego samego obłąkanego schematu. „Jeśli przyroda naprawdę nie stawia sobie żadnego wyższego celu niż zapewnienie domu jej najważniejszemu eksperymentowi - Człowiekowi - to znając metody postępowania Natury, najprawdopodobniej rozrzuciła ona po niebie milion gwiazd, z których jedna zupełnie przypadkowo być może osiągnie ów cel”. Bardzo wątpię, czy człowiek jest celem przyrody, ale wydaje mi się jasne, że takie są jej metody na wszystkich frontach.

Powiedzmy, że jesteś dyrektorem spółki kolejowej Southern Railroad. Dochodzisz do wniosku, że potrzebujesz trzech lokomotyw, żeby obsługiwać trasę LynchburgDanville. Trzeba na niej pokonać bardzo strome wzniesienie, więc olbrzymim nakładem pracy i kosztów każesz swoim fabrykom i warsztatom wyprodukować dziewięć tysięcy lokomotyw. Każda musi zostać wykonana z największą dokładnością w każdym szczególe, każdy nit i każda śruba powinny zostać dobrze umocowane, każdy kabelek trzeba odpowiednio skręcić i pokryć izolacją, a wszystkie wskaźniki i czujniki muszą być zarówno czułe, jak i precyzyjne.

Wysyłasz wszystkie dziewięć tysięcy lokomotyw na trasę. Chociaż przy przepustnicach siedzą inżynierowie, nikt nie obsługuje zwrotnic. Lokomotywy ulegają wypadkom, zderzają się ze sobą, wypadają z szyn, wywracają się, zacinają, a nawet stają w płomieniach...

Pod koniec tej masakry zostają ci trzy lokomotywy, czyli tyle, ile faktycznie ich potrzeba na trasie. Trzy to tak niewiele, że nie będą wchodzić sobie w drogę.

Zwołujesz zebranie zarządu i mówisz, co zrobiłeś.

Co ci powiedzą inni jego członkowie? Wiesz co. Powiedzą: w ten sposób nie można zarządzać linią kolejową.

A wszechświatem można?

Ewolucja kocha śmierć bardziej niż ciebie albo mnie. Łatwo jest to napisać i przeczytać, ale trudno w to uwierzyć. Słowa są proste, a myśl jasna - ale ty w nią nie wierzysz, prawda? Ja też nie. Jak mogłabym w nią uwierzyć, skoro oboje jesteśmy tacy mili i sympatyczni? Ale czy w takim razie wyznawane przeze mnie wartości naprawdę diametralnie różnią się od tych, które preferuje natura? To zasadnicze pytanie.

Czy zatem powinnam porzucić jedyny świat, jaki znam? Wybrałam życie nad brzegiem strumienia, żeby je kształtować na podobieństwo jego swobodnego biegu, ale wydaje mi się, że muszę powiedzieć: dość.

Wygląda na to, że strumień nie wynosi mnie na powierzchnię, ale raczej wciąga pod wodę. Popatrzcie tylko: drozd z bajki dla dzieci - Cock Robin - ginie wyjątkowo okrutną,

powolną śmiercią, lecz przyrodzie w niczym to nie przeszkadza; słońce wschodzi, strumień płynie przed siebie, a pozostali przy życiu towarzysze ofiary śpiewają dalej. Nie mogę podchodzić w ten sposób do waszej śmierci, ani wy nie możecie do mojej; co więcej, ani ja, ani wy nie możemy wykazać się podobną obojętnością wobec śmierci ptaka - ani nawet wobec śmierci pąkli. My cenimy jednostkę ponad wszystko, lecz natura nie dba o nią ani trochę. Przez chwilę wydaje mi się, że muszę jednak zrezygnować z życia nad strumieniem, jeżeli nie chcę się skazać na całkowite zezwierżenie. Czy zatem moim jedynym prawdziwym domem jest jednak ludzka kultura i jej system wartości? Czy to możliwe, że powinnam przenieść swoją pustelnię w okolice jakiejś biblioteki? Takie myśli kierują mnie gwałtownie na rozstaje dróg, gdzie nieruchomieję jak sparaliżowana i nie chcę iść dalej, albowiem oba szlaki prowadzą ku szaleństwu.

Albo ta ziemia, moja matka, jest potworem, albo ja jestem dziwolągiem.

Zastanówmy się nad pierwszą z tych możliwości: że świat jest potworem. Nawet trzyletnie dziecko potrafi chyba zrozumieć, jak niedoskonały i nieelegancki jest naturalny proces, w którym żywe organizmy rozmnażają się i umierają całymi miliardami. Nie spotkaliśmy jeszcze żadnego boga, który okazałby się równie litościwy jak człowiek, pomagający leżącemu na grzbiecie żukowi stanąć na nogi. Żaden naród na świecie nie ma tak odrażających obyczajów, jak modliszki.

„Zaraz, zaraz - powiecie - przecież natura nie zna dobra i zła; te pojęcia to wytwór myśli ludzkiej”. No właśnie: czyli jesteśmy moralnymi istotami żyjącymi w amoralnym świecie. Wszechświat, który nas wykarmił własną piersią, jest potworem - nie dbającym o to, czy będziemy żyć, czy też umrzemy, ba, nie dbającym o to, czy sam przestanie istnieć. Kosmos pozostaje niewzruszony i ślepy, niczym robot zaprogramowany po to, żeby zabijać. My jesteśmy wolni i rozumni, możemy więc tylko próbować go przechytryć na każdym kroku, żeby ocalić skórę.

Ten pogląd wymaga przyjęcia do wiadomości, że owemu potwornemu światu, napędzanemu przez przypadek i śmierć, toczącemu się na oślep znikąd donikąd, udało się w jakiś sposób stworzyć nas - wspaniałych ludzi. Pochodzę z tego świata, wypełzłam z morza aminokwasów, a teraz muszę się obrócić na pięcie, podnieść zaciśniętą pięść, pogrozić nią temu samemu morzu i zawołać: „Hańba!”. Jeżeli mi życie miłe, muszę zasłonić sobie oczy, oglądając z bliska łańcuch Alp szwajcarskich. Nasza cywilizacja powinna zdemontować teleskopy, a jej członkowie mogą zacząć poklepywać się po plecach: to my, maleńkie gluty miękkiej tkanki, pełzające po powierzchni tej planety, mamy rację, a cały wszechświat się myli.

Teraz jednak rozważmy drugą ewentalność.

Julian z Norwich, wielki angielski pustelnik i teolog, na podobieństwo proroków biblijnych przytacza słowa Boga: „Spójrzcie, ja jestem Bogiem; spójrzcie, jestem obecny we wszystkim, co istnieje; spójrzcie, nigdy nie odrywam rąk od moich dzieł i nigdy tego nie uczynię, przez całą wieczność... Jak więc cokolwiek może się potoczyć niepomyślnie?”. Ale dzisiaj żaden, nawet najbardziej prostoduszny i najszlachetniejszy człowiek na świecie nie myśli tak, jak kiedyś Julian.

Uważamy, że bardzo wiele spraw na ziemi przybiera niepomyślny obrót. Tak wiele, że muszę się nieco dłużej zastanowić nad tym drugim szlakiem, biorącym swój początek na rozstaju dróg, i zapytać, czy naszym bezwinnym i dobrodusznym światem nie steruje przypadkiem pełna wolność, i czy to czasem nie z naszymi, ludzkimi uczuciami jest coś strasznie nie w porządku.

Tamta żabka, którą wyssał olbrzymi pluskwiak wodny, zaznała zapewne przez chwilę, zanim jej mózg zamienił się w zupę, przebłysku czystej emocji - ale mną w związku z tym incydentem targały różne silne uczucia niemal codziennie przez kilkanaście lat.

Czy larwa pąkli dba o to, co się z nią dzieje? Czy świat obchodzi sieciarkę, która zjada własne jaja? Jeżeli nie, to dlaczego podnoszę taki raban? Jeżeli jestem dziwolągiem, dlaczego nie siedzę cicho?

Nasza uczuciowa nadwrażliwość jest w tak oczywisty sposób bolesna i szkodliwa dla człowieka jako gatunku, że nie mogę uwierzyć, że została wykształcona w toku ewolucji. Inne stworzenia mnożą się skutecznie, a nawet prowadzą ustabilizowane życie społeczne i nie potrzebują do tego wielkich emocji, dzięki czemu na dodatek nigdy nie pogrążają się w żalobie. (Choć warto wspomnieć, że przypuszczamy, że niektóre wyżej rozwinięte zwierzęta, jak psy, słonie, wydry i ssaki morskie, posiadają uczucia podobne do naszych i oplakują swoich zmarłych. Po co tak krzywdzić wydrę? Jaki stwórca może być tak okrutny? Nie dlatego że zabija wydry, ale dlatego że każe im cenić życie...). Wydaje mi się, że to uczucia są naszym przekleństwem, nie śmierć - uczucia, które rzucono na kilkoro ziemskich dziwolągów niczym swoistą klątwę Złego.

A zatem zgoda. To nasze emocje są tu nie na miejscu. Jesteśmy dziwolągami, ze światem natomiast wszystko jest w porządku, więc zróbmy sobie wszyscy lobotomię, żeby powrócić do stanu naturalnego. Możemy zatem opuścić bibliotekę, po lobotomii wrócić nad strumień i żyć nad jego brzegiem równie beztrósco jak piźmoszczur albo trzcina. Proszę bardzo - wy pierwsi.

Z tych dwóch idiotycznych ewentalności wolę raczej drugą. Chociaż to prawda, że

jesteśmy moralnymi stworzeniami w amoralnym świecie, jego amoralność nie czyni go potworem. To raczej mnie należy uważać za cudaka. Być może nie potrzebuję lobotomii, ale przydałoby mi się trochę spokoju, a właśnie strumień może mi go dać. Muszę znów pójść nad Tinker Creek. Tam jest moje miejsce, chociaż im bardziej się do niego zbliżam, tym bardziej moi bliźni wydają mi się dziwni, a mój dom w bibliotece coraz bardziej ograniczony. Z początku mimowolnie, a teraz już świadomie oddalam się od sztuki - gulaszu z ludzkich uczuć. Czytam raczej, co ludzie, dysponujący teleskopami i mikroskopami, mają do powiedzenia o pejzażu świata. Czytam o lodach polarnych i skazuję się na coraz dalsze wygnanie ze świata osobników mojego gatunku. Ponieważ jednak nie mogę całkiem uciec od biblioteki - od kultury ludzkiej, która nauczyła mnie mówić w jej języku - zasiewam ludzkie wartości nad brzegami strumienia i w ten sposób bronię się przed zezwierzęceniem.

To, czego poszukuję przez cały czas, nie jest wyjaśnieniem, lecz obrazem. Tak wygląda świat, od początku do końca, rozpalony ogniem gwiazdy, która zaczęła właśnie obumierać. Moja wściekłość i szok w obliczu bólu i śmierci jednostek należących do mojego gatunku to stara, bardzo stara tajemnica, stara jak człowiek, ale jednocześnie zawsze nowa i całkowicie nieodgadniona. Moje wątpliwości dotyczące płodności i marnotrawstwa życia wśród innych żywych organizmów wynikają tylko z przeczulenia. Ostatecznie to przecież mnie śnią się koszmary, nie im. To prawda, że wiele istot prowadzi nędzny żywot i ginie w straszny sposób, ale nie mnie ferować w tej kwestii wyroki. Nie jest mi także dane żyć jak one, a one z kolei, na swoje szczęście, nie mają świadomości.

Nie chcę kończyć tych rozważań zbyt szybko. Pozwólcie, że cofnę się daleko wraz z kamerą i spojrzę na to rozwidlenie dróg z dystansu, w szerszym kontekście łaciatego, cętkowanego i kręcącego się świata.

Możliwe, że rozwidlenie zniknie albo że zobaczę je jako jedno z wielu rozgałęzień w sieci i nie będę już umiała powiedzieć, która z dróg jest główna, a która stanowi tylko jej odnogę.

Oczywiście obraz płodności, jej nadmiaru, konieczności wzrostu i jego przypadków nie różni się niczym od obrazu, który namalowałam wcześniej, czyli od pejzażu skomplikowanej faktury, złożonej z niezwyklej różnorodności form. Tyle tylko że teraz cienie są głębsze. Rozrzutność i ekstrawagancja przybierają charakter niszczycielski i złowieszczy, a obfitość triumfuje.

Kiedy do pejzażu świata dodałam wymiar czasu, zobaczyłam, jak wolność potrafi jednocześnie wyhodować na jednej gałęzi piękno i makabrę. To ten sam pejzaż co poprzednio, tylko bogatszy o kilka szczegółów i z inaczej rozłożonymi akcentami. Widzę

rozrastające się z wielką siłą dynie i kawałek drewna zagrzebany w pustynnym piasku. Żdźbło żyta i bożodrzew z Bronksu dosłownie zabijają się o to, żeby wydać nasiona, a zwierzęta, żeby złożyć jaja. Zamiast jednej rybki pływającej w swoim ozdobnym akwarium widzę całe tony rybek składających i pożerających miliardy jajeczek. Ich celem - celem istnienia jajeczek - są oczywiście rybki, które powinny się z nich kolejno wykluwać (przyroda uwielbia koncepcję jednostkowego istnienia, chociaż nie jednostkę jako taką), natomiast celem złotej rybki jest błyszczeć. Wkraczamy na znajome terytorium. Zapomniałam tylko wspomnieć, że to śmierć wprawia w ruch ten świat.

Taką wizję jest trudniej zaakceptować, ale ludzkość niewątpliwie bierze ją pod uwagę. Nie potrafię się zadręczać obrzydliwym wyglądem i zwyczajami niektórych głębinowych meduz i ryb, chociaż z natury łatwo popadam w przygnębienie. Ale jeżeli chodzi o moją własną śmierć, jestem zdecydowanie przewrażliwiona. Tak czy inaczej, oba te zjawiska to odnogi jednego strumienia, który nawadnia świat. Wypływa ze źródła wolności, a sieć jego odgałęzień wydaje mi się niemal nieskończona. Pełen wdzięku przedrzeźniacz, spadający na ziemię, pije wodę ze strumienia i wchłania w jednej jej kropli piękno napelniające łzami jego oczy oraz śmierć, która porasta w piórka i odfruwa. Płatki tulipana przypominają mi chlupot tej samej skazanej na zagładę kropelki, która pęcznieje i pęka w odwołku bleskotki, kiedy wykluwa się z niej larwa.

Zawsze i wszędzie coś jest nie w porządku, ale to wynika z natury naszego świata. To tak, jak gdyby każda z tamtych glinianych form wypaliła w nim żywym ogniem błękitną smugę niebytu, cienistą pustkę, która nie tylko kształtuje strukturę kosmosu, ale sprawia, że chyli się on ku upadkowi i w końcu eksploduje. Może my, ludzie, bylibyśmy zdolni zaplanować wszystko nieco miłosierniej, ale nasz plan nigdy nie ujrzałby światła dziennego, dopóki nie zgodzilibyśmy się na skrajnie kompromisowe warunki - jedyne, jakie proponuje nam byt.

Świat podpisał pakt z diabłem; nie miał innego wyjścia. Układu tego musi przestrzegać wszystko, nawet atomy wodoru. Warunki są jasne: jeżeli chcesz żyć, będziesz musiał umrzeć. Nie można mieć gór i potoków bez przestrzeni, a przestrzeń to piękność, która poślubiła ślepcę. Ten ślepiec jest Wolnością albo Czasem i nigdzie się nie rusza bez swojego ogromnego psa, zwanego Śmiercią. Świat powstał z chwilą podpisania paktu. Naukowiec nazywa go drugim prawem termodynamiki. Poeta powiada: „Ta siła, która przez zielony lont prze kwiaty, prze mój zielony wiek”*. Nic więcej nie wiemy. Reszta to sam cymes.

* Dylan Thomas, Ta siła, która... przekład Stanisława Barańczaka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Podchodzenie zwierzyny

I

: znów idę nad strumień i prowadzę strumieniowe życie. Podpatruję i podchodzę zwierzynę.

Latem zmienia się też życie Eskimosów. Karibu uciekają przed komarami w tundrze z głębi lądu na wietrzne brzegi Morza Arktycznego i tam polują na nie zamieszkujący te tereny Eskimosi. W dawnych czasach, kiedy nie dysponowali jeszcze strzelbami o dalekim zasięgu, musieli podejść zwierzynę bardzo blisko, żeby zabić łanię albo byka. Zdarzało się, że czekając na korzystną dla nich zmianę pogody, żeby karibu nie mogły ich zobaczyć ani zwęszyć, wędrowali bez snu za rącznymi stadami przez wiele długich dni.

Również latem Eskimosi rozbijają obozowiska nad morzem i łowią śledzie w sieci. Na otwartych wodach w pobliżu delty rzeki Mackenzie polują na białe wieloryby - białuchy - i foki wąsate. Wpływają także swoimi smukłymi kajakami w głąb lądu po słodką wodę i polują tam na piżmoszczury, które niegdyś chwyтали w sidła albo zabijali kijami.

Latem Eskimosi pokonują morskie szlaki, przemieszczając się z obozu do obozu na wielkich łodziach wiosłowych, zwanych umiakami i poruszanych siłą kobiecych mięśni. Miejscowe plemiona żywią się w tym okresie rybami, gęsiami albo kaczymi jajami, świeżym mięsem i właściwie wszystkim, co im wpadnie w ręce - na przykład świeżą „sałatką” z surowej wciąż zieleniny, wyjętej z żołądka upolowanego karibu i polanej delikatnym sosem z jego kwasów trawiennych.

Na Wyspie Świętego Wawrzyńca kobiety i młodzież zajmują się chwyтaniem małych ptaków w sieci okrutnym, ale sprytnym sposobem: otóż kiedy po dłuższym czasie myśliwym uda się ogromnym wysiłkiem złowić kilka ptaszków, przewlekają im żywcem długi sznurek przez nozdrza i puszczają je w górę niczym rozwrzeszczane latawce. Ofiary trzepoczą się gorączkowo, próbując uciec, ale oczywiście nie mogą się zerwać z uwięzi, a łopot ich skrzydeł zwabia inne ciekawskie ptaki tego samego gatunku - i wtedy można je pochwycić w sieci już bez większego trudu.

Kiedyś Eskimosi szyli sobie coś w rodzaju podkoszulków z ptasich skór, które nosili pod futrzanymi kurtkami w czasie tęgich mrozów i w igloo, gdzie zwykle zdejmowali kurtki. Szycie takich podkoszulków z ptasich skór było trudnym i skomplikowanym zadaniem,

wymagającym wykonania tysięcy maleńkich szwów. Za nici służyły cieniutkie ścięgna, biegnące wzdłuż kręgosłupa karibu. Trzeba je było wysuszyć i wystrzępić, a następnie spleść w prymitywną nić.

Jej jedyną zaletą było to, że pęczniała pod wpływem wilgoci, dzięki czemu szwy stawały się wodoodporne; poza tym na ogół i tak smarowano je jeszcze cieniutką warstwą tłuszczu, aby umierający z głodu Eskimos mógł ssać nitki i w ten sposób utrzymać się przy życiu o jakieś pięć minut dłużej. Do szycia używali kościanych igieł, które wycierały się, przechodząc przez twardą skórę, i z każdym pchnięciem stawały się coraz krótsze i cieńsze - wysłużona igła mogła się więc w gruncie rzeczy składać niemal wyłącznie z ucha.

Gdy Eskimosi po raz pierwszy zetknęli się z wyżej rozwiniętą cywilizacją z południa, podziwiali ją przede wszystkim za jej trwałe igły. Jest bowiem rzeczą całkowicie zrozumiałą, że bez porządnego okrycia człowiek musi zginąć. Marynarz ze statku wielorybniczego z papierowym igielnikiem w kieszeni mógł uratować życie niejednego Eskimosa, dlatego witano go tak, jak zawsze i wszędzie wita się gości potężnych i bogatych.

Wątpię, czy Eskimosi nadal szyją podkoszulki z ptasich skór, bez względu na to, czy posługują się dziś igłami stalowymi, czy nie. Nie robią zresztą współcześnie bardzo wielu rzeczy, które robili dawniej - szyją i polują ze zwierzęcą zręcznością już jedynie w mojej wyobraźni, gdzie ich sylwetki za każdym razem rysują się wyraźnie na tle białego oceanu lodu.

Tu, u nas, panuje upał. Byłoby mi za gorąco, nawet gdybym nie miała na sobie nic oprócz podkoszulka z ptasich skór. Pod osłoną wieczornego chłodu idę na most nad strumieniem. Znowu wtykam nos w różne tajemnicze sprawy i ryzykuję. Mogę zobaczyć wszystko - ale może nie zobaczę nic poza światłem na wodzie. Wracam więc do domu albo podniecona, albo pełna spokoju, zawsze jednak wzbogacona duchowo i pełna chęci życia. „Rozprasza się ono i skupia, przychodzi i odchodzi”, powiadał Heraklit. A ja chcę po prostu stanąć światła na drodze - chcę, żeby ochłodził mnie jego niewidoczny oddech.

Latem wyprawiam się na bezkrwawe łowy. Liście otej porze roku utrudniają tropienie, upał oślepia, a zwierzęta kryją się przed czerwonoookim słońcem i przede mną. Muszę je wysledzić, mają one jednak zarówno zmysły, jak i wolną wolę, jest zatem oczywiste, że nie chcą być widziane. Mogę je podchodzić na dwa sposoby. Pierwszy raczej nie kojarzy się z podchodzeniem zwierzyny, ale jest to poniekąd *via negativa*, choć bywa równie skuteczny jak prawdziwe polowanie. Otóż kiedy tropię w ten sposób, staję na moście i czekam, starając się nie myśleć zupełnie o niczym.

Staję zwierzynie na drodze, jak Eskimosi warujący na wiosnę nad otworem w lodzie, z

którego korzystają foki, żeby zaczerpnąć tchu. Coś może się pojawić - i coś może zniknąć. Jestem niczym Newton pod jabłonią albo Budda pod swoim drzewem bo. Natomiast drugi sposób polega na tym, że po prostu wydeptuję w lesie własne ścieżki i wykazuję się niejaką aktywnością w poszukiwaniu zwierzyny. Wędruję wtedy brzegami strumieni i stawów, a to, co uda mi się tam wypatrzeć, tropię następnie uporczywie, jak Eskimosi podążający za stadami karibu. Jestem Wilsonem wypatrującym śladów elektronów w komorze mgłowej; jestem Jakubem walczącym w Peniel z aniołem.

Ani jedna, ani druga metoda nie ułatwia jednak obserwacji ryb. Chociaż przez większą część lata tropię piżmoszczury, sądzę, że w lecie to jednak ryby, ze względu na swoją tajemniczość i skrytość, określają jakość mojego życia nad strumieniem. Gęsty kożuch ryb, łóżko pełne ryb - to straszne, przerażające, ale teraz wychodzę wprost ze skóry, żeby zobaczyć trzy zaczarowane basy *Lepomis macrochirus*, wiszące na płyciźnie albo próbujące skubać unoszące się na wodzie płatki kwiatów czy bąbelki powietrza.

Już sam akt percepcji wzrokowej skrajnie utrudnia obserwację ryb. Moje oczy to niedoskonałe instrumenty, tkwiące w zbyt dużej czaszce. Jeżeli idę brzegiem strumienia pod słońce, nie mogę dostrzec, co dzieje się pod wodą, a zamiast ryb widzę tylko nartniki, odbijające się w wodzie liście, ptasie brzuszki, chmury i błękitne niebo. Przechodzę na drugi brzeg i maszeruję zwrócona plecami do słońca. Wtedy w obrębie niebieskiego cienia, jaki rzucam na wodę, mogę zajrzeć w jej głąb. Ale i wówczas ryby czmychają i trzepoczą się, pobłyskując srebrnymi ogonkami, kiedy tylko nakrywa je mój cień.

Od czasu do czasu, gdy stanę na moście albo zakradnę się cicho w cień nadbrzeżnego drzewa, udaje mi się podejrzeć, jak ryby stopniowo, jedna po drugiej, wpływają na płyciznę, krążąc w milczącym kręgu, wszystkie skąpane w błękitnie nieba i przypominające kształtem łyż. A na głębinie widzę, jak tworzą nieruchome, wiszące w wodzie szeregi, równoległe do życiodajnego prądu opływającego ich kształty, zapewne dlatego zwane opływowymi. Ryby posiadają gazowe pęcherze pławne, dzięki którym utrzymują równowagę, i właściwie dosłownie są do nich podwieszane, jak gondole balonów. Wiszą nieruchomo w przejrzystej wodzie; wyglądają na martwe, zaczarowane albo zastygłe w bursztynie. Przypominają identyczne elementy wiszących konstrukcji dekoracyjnych, zwanych mobilami - i nic dziwnego, bo najwyraźniej zainspirowały ich twórców. Taaka ryba! Woda nadaje rybom wielobarwne, akwarelowe odcienie. Nie upodobniają się kolorem do dna, lecz do światła, rozpuszczającego się w wodzie jak proszek. Znikają i pojawiają się na nowo jakby znikąd; ot, takie rybie sztuczki.

A teraz przejdźmy do wymiaru duchowego ryby.

Grecki akronim niektórych imion Chrystusa brzmi

„ichtys” - Chrystus oznacza więc rybę, a ryba Chrystusa. Im częściej obserwuję ryby w Tinker Creek, tym celniejsze zdaje mi się owo porównanie i tym bogatszy symbol, oznaczający nie tylko Chrystusa, ale i ducha.

Ludzie muszą żyć. Wyobraźcie sobie mieszkańców okolic Morza Śródziemnego - o ileż łatwiej jest im wyciągać z morza wolno żyjące, tłuste ryby, niż paść głodne bydło na tych ich kamienistych zboczach i dokarmiać je w zimie. Powiedzieć, że świętość jest rybą, to dostrzec wielkość łaski; to tak jakby należą do czysto materialistycznie nastawionej kultury, stwierdzić, że pieniądze faktycznie nie rosną na drzewach. „Nie tak jak daje świat, ja wam daję* - te ryby są więc pożywieniem duchowym. Objawieniem zaś jest umiejętność podchodzenia zwierzyny: „Zarzućcie sieć po prawej stronie łodzi, a znajdziecie”**.

Oczywiście istnieje też pewne ryzyko. Podczas połowu ryb zginęło w sumie więcej ludzi niż podczas

* Ewangelia wg św. Jana 14,27.

** Ewangelia wg św. Jana 21,6. jakiegokolwiek innej gatunkowej działalności człowieka, może z wyjątkiem wojny Rybak wypływa niekiedy bardzo daleko w morze... Jego łódź porywa wiatr, w burcie powstaje dziura, a on sam topi się i wszelki słuch po nim ginie. Gdzie te ryby? Kryją się w podwodnych szczelinach, w morzu targanym wichrem, czujne, zwinne i niewidoczne. Możesz próbować je nęcić, łowić w sieci, na błyszczący, ogłuszać pałką, zapędzić na brzeg w zatoczce, oszołomić wyciągiem z ziół albo schwytać w wielkie drewniane koło, obracające się w wodzie przez całą noc - i możesz umrzeć z głodu. Ale one bez wątplenia kryją się tam, w wodzie, wolne - nasze wiecznie pierzchające darmowe pożywienie. Możesz je zobaczyć, jeśli chcesz; złap je, jeśli potrafisz.

Rozpraszają się i skupiają; pojawiają się i znikają.

Może uda mi się zobaczyć olbrzymiego karpia, który wyskakuje z wody i znika w plaśnięciu piany, pstrąga, który pojawia się w kręgu rozchodzących się fal pod moją zwieszoną swobodnie dłonią, albo tylko błysk grzbietów obu tych ryb w ucieczce. Przez całe lato, co ja mówię, przez cały rok w kółko to samo, i to bez względu na zwierzę, które podchodzę. Ostatnio poluję niemal wyłącznie na piżmoszczury - to prawdziwe pożywienie dla oka. Przekonałam się na tych łowach boleśnie, że czekanie opłaca się bardziej niż pościg; dlatego teraz zwykle przesiaduję na wąskim mostku dla pieszych, gdzie strumień jest płytki i szeroki.

Siedzę samotnie i zachowuję czujność, ale pozostaję niemal nieruchoma i spokojna; czekam, wypatrując drgania wody, falujących coraz szybciej kręgów na powierzchni, które

sygnalizują, że jakiś piźmoszczur wyłonił się właśnie ze swojej podwodnej norki. Piźmoszczury są bardzo płochliwe. Czasem nie udaje mi się zobaczyć żadnego przez wiele wieczorów z rzędu - a czasem okazuje się, że czekałam na niewłaściwe zwierzę, jak Budda, który czekałby na spadające jabłko. Bo kiedy piźmaki nie chcą się pokazać, zdarza mi się obserwować inne stworzenia.

W zeszłym tygodniu nad strumieniem dokumentnie zepsułam obiad czapli zielonej. Była stosunkowo młoda i nie bardzo miała ochotę odlecieć, chociaż nie chciała także zbyt ryzykować, musiała więc przez cały czas mieć mnie na oku. Obserwowałam ją przez pół godziny, a ona przez ten czas melancholijnie polowała w strumieniu, wyciągając i wciągając swoją niewiarygodną, upstrzoną brązowymi plamkami szyję. Tylko trzykrotnie z szybkością błyskawicy zatopiła dziób w mulistej płyciźnie w poszukiwaniu żeru, ale za każdym razem miałam wtedy lekko odwrócony wzrok.

Żerowała na spokojnej płyciźnie - woda nie sięgała jej pomarańczowych nóg wyżej niż na pięć centymetrów. Znajdowała coś przy brzegu, wśród trzciny, połykała zdobycz, unosząc dziób i wyginając przy tym szyję, po czym człapała z powrotem na pas suchego piachu na środku strumienia, będący dla niej czymś w rodzaju wieży obserwacyjnej. Kręciła ogonkiem - tak krótkim, że nie sięgał niżej złożonych skrzydeł.

Przez większość czasu przyglądała mi się bacznie, jak gdybym mogła ją zastrzelić albo doprowadzić jej drobnicę na kolację, a chwilami mierzyła się ze mną wzrokiem. Moją jedyną bronią był bezruch, a jedynym pragnieniem - obserwować ją dalej. Wiedziałam, że odleci, jeśli wykonam najmniejszy fałszywy ruch. Po pół godzinie przywykła już do mojej obecności, jak gdybym była rowerem pozostawionym na moście albo konarem wyniesionym na brzeg podczas powodzi. Nie spłoszyła się nawet, kiedy powoli odwróciłam głowę i bardzo powoli rozprostowałam obolałe nogi. W końcu spłoszył ją jednak jakiś nieznaczący ruch albo błyskawica mojej myśli i wzbiła się do lotu, spoglądając na mnie z krzykiem, po czym leniwie odleciała w górę strumienia i zniknęła mi z oczu za jego zakolem.

Bardzo trudno jest mi podejrzeć u ptaków to, co chcą przede mną ukryć. Ptak wymaga pełnej koncentracji. Kilka razy, czekając na piźmoszczury, obserwowałam owady, które robiły wiele różnych dziwnych rzeczy, szczęśliwie nie zdając sobie sprawy z mojej obecności, jak tamta modliszka składająca jaja. Dwukrotnie nie miałam pojęcia, co zobaczyłam.

Za pierwszym razem była to ważka, krążąca nisko nad strumieniem w dziwnym rytmie. Przyglądałam się jej uważnie - co chwila z wielką szybkością zanurzała czubek odwłoka w wodzie. Leciała, zataczając ciasne kręgi i muskając wodę w najniższym punkcie

trajektorii każdego kolejnego koła. Nie przyszło mi do głowy nic innego poza tym, że składa jaja, i potem okazało się, że miałam rację. Pomyślałam, że widziałam, naprawdę widziałam na własne oczy, jak ważka składa jaja nie dalej niż półtora metra ode mnie.

Te dziwne ruchy odwłoka, przypominające ruch szyjącej igły, zyskały ważce miano „igły do cerowania”, a rodzice często straszili nią dzieci, mówiąc, że jeśli będą kłamać, przylecą ważki i zaszyją im usta w czasie snu. Co ciekawe, czytałam, że gdyby nie duża szybkość, z jaką składająca jaja samica przelatuje nad wodą, mogłaby ona zostać „wciągnięta w toń przez napięcie powierzchniowe”. Ważka, którą widziałam tamtego dnia, zafurkotała skrzydełkami i odleciała z dużą szybkością w dół strumienia: najpierw zmalowała do wielkości trutnia, potem stała się plamką, a później zniknęła.

Innym razem obserwowałam dziwnie zachowującego się nartnika. Kiedy nie udaje mi się znaleźć nic innego, przyglądam się, jak nartniki ślizgają się po wodzie, i obserwuję sześć punkcików cienia, rzucanego przez ich mącące powierzchnię wody odnóza, gdy przesuwają się sennie nad szlamem dna. Wzbudzają przed sobą zmarszczki i drobniusińskie fale. Zauważyłam, że kiedy wyczuwają albo dostrzegają takie same zmarszczki sunące w ich stronę, na ogół skręcają i oddalają się od ich źródła. Innymi słowy, unikają się nawzajem. Sądzę, że dzięki temu zwyczajowi równomiernie pokrywają zajmowane terytorium, co zwiększa ich szanse zdobycia pożywienia - czymkolwiek się odżywiają.

Ale pewnego dnia wpatrywałam się leniwie w wodę, kiedy moją uwagę wzbudziło coś niezwykle - jeden nartnik ślizgał się po wodzie na przekór instynktowi i zamiast oddalać się od nadbiegających ku niemu wodnych zmarszczek, wzbudzonych przez jakiegoś innego owada, zmierzał prosto na nie. Tym innym owadem okazała się muszka, która wpadła do wody i szamotała się teraz, próbując stanąć na nóżki. Nartnik wydawał się tym szalenie zainteresowany; gwałtownymi ślizgami podążał w ślad za trzepoczącą się gorączkowo muszką, raz w jedną, raz w drugą stronę, zbliżając się do niej coraz bardziej, jak Eskimosi podchodzący karibu. Muszka nie była jednak w stanie przezwyciężyć siły przyciągania napięcia powierzchniowego i jej wysiłki zaczęły się w końcu ograniczać do coraz rzadszego bzyczenia. Zniosło ją na sam brzeg, a nartnik podążył za nią, nie widziałam jednak, co było dalej, bo to miejsce zasłaniały wiszące nisko trawy.

I w tym przypadku dopiero później dowiedziałam się, co widziałam. Przeczytałam mianowicie, że nartniki zawsze posuwają się w stronę źródła światła. Jak pisze William H. Amos: „Taką przynętą dla nartnika bywa również światło odbijające się od zmarszczek wzbudzanych przez owada, który szamocze się w wodzie. Nartniki żywią się takimi owadami”. Wysysają je do ostatniej kropelki. Oto stworzenie, o którym naprawdę można

powiedzieć, że żyje tym, co woda wyrzuci na brzeg! W każdym razie nietrudno mi będzie zaobserwować owo zjawisko tego lata. Chcę się zwłaszcza przekonać, czy powolnie rozchodzące się zmarszczki wzbudzone przez nartniki odbijają mniej światła niż zmarszczki wzbudzone przez owady uwięzione w wodzie. Z drugiej strony jednak mogą upłynąć całe lata, zanim zobaczę, jak kolejny owad wpada do wody w środku stada nartników. Miałam szczęście, że widziałam to choć raz. Odtąd będę już wiedziała, co się tam potem dzieje, a jeśli owadzi aktorzy zechcą odegrać ostatni krwawy akt swojego dramatu za kulisami, po prostu rozchylę kurtynę z trawy z nadzieją, że to, co zobaczę, nie będzie później śniło mi się po nocach.

II

Podchodzić piźmoszczury, czyli piźmaki, uczyłam się kilka lat.

Zawsze wiedziałam, że mieszkają w strumieniu.

Czasami, kiedy późnym wieczorem jechałam gdzieś samochodem, w światłach reflektorów widać było szerokie kręgi zmarszczek na wodzie, wzbudzanych przez płynącego piźmoszczura - łukowatą falę, rozchodzącą się od jego wzniesionego, ciemnego, trójkątnego łba. Zatrzymywałam się, wysiadałam - i nic. Piźmoszczury wyjadają też nocami kukurydzę i pomidory z ogródków u moich sąsiadów i to oni właśnie ciągle mi powtarzali, że jest ich pełno w strumieniu. W tych okolicach ludzie nazywają je „piźmakami”, a Thoreau mówił o nich „piźmokury”. Oczywiście wcale nie są to szczury (ani tym bardziej kury). Przypominają raczej małe bobry i podobnie jak one wydzielają aromatyczny łój z gruczołów piźmowych, umieszczonych pod nasadą ogona - stąd właśnie pochodzi ich nazwa.

Czytałam w kilku poważnych pracach naukowych, że piźmoszczury są tak płochliwe, że niemal nie da się ich obserwować. Pewien ekspert, który poświęcił się długotrwałym badaniom dużych populacji tych gryzoni, koncentrując się na śladach zapachowych i przeprowadzając sekcje martwych osobników, twierdził, że zdarzało mu się nie oglądać żywych piźmoszczurów całymi tygodniami.

Pewnego gorącego wieczoru przed trzema laty stałam, z grubsza rzecz biorąc, ukryta za krzakiem. Nieruchoma jak posąg, wpatrywałam się w wody Tinker Creek z dalszego brzegu, naprzeciwko mojego domu, obserwując zapatrzone przed siebie ryby, zawisłe w bezruchu nad dnem głębokiej, zalanej słońcem zatoczki. Skupiłam się na głębi. Zatraciłam się już w sobie, zapomniałam o strumieniu, o pięknym dniu, o wszystkim z wyjątkiem wciąż bursztynowej głębi.

Nagle straciłam wzrok, lecz zaraz go odzyskałam - bo oto na powierzchni pojawił się młody, płynący na grzbiecie piźmoszczur. Przednie kończyny miał leniwie skrzyżowane na

piersi, a słońce oświetlało jego zwrócony w górę brzusek. Młody wiek zwierzaczka i jego gryzoniowaty uśmiezek w połączeniu ze śmiesznym sposobem poruszania się, wymagającym między innymi leniwych ruchów ogona oraz machania od czasu do czasu tylną, płetwiastą łapą, tworzyły w sumie czarujący obrazek dekadencji, beztroski i letniej gnuśności. Natychmiast kompletnie zapomniałam o rybach.

Zaskoczona, że cud zdarzył się tak szybko i że od razu wróciła mi świadomość, w której centralne miejsce zajmował teraz płynący na grzbiecie piźmaczek, najprawdopodobniej nie wytrzymałam i poruszyłam się, zdradzając swoją obecność - bo młody piźmoszczur (wiem dziś na pewno, że był bardzo młody) odwrócił się na brzuch, tak że widziałam już tylko jego unoszący się nad wodą łebek, i popłynął w dół strumienia, oddalając się ode mnie. Wyplątałam się z krzaków i jak głupia ruszyłam za nim w pogoń. Zanurkował zgrabnie, wynurzył się i zaczął wiosłować na drugi brzeg. Biegłam wzdłuż brzegu i zarośli, próbując nie stracić z oczu zwierzątka, które co chwila rzucało mi zaniepokojone spojrzenie. Młody piźmak zanurzył się raz jeszcze pod osłoną pływającej kurtyny gałęzi zwieszających się z nadbrzeżnych krzaków i zniknął.

Już nigdy więcej go nie zobaczyłam. A w każdym razie, chociaż widziałam potem wiele piźmoszczurów, już nigdy nie zobaczyłam żadnego przedstawiciela tego gatunku, który płynąłby na grzbiecie. Wtedy jednak jeszcze nie znałam tych zwierząt, więc wyczekiwałam na nie z wypiekami na twarzy, obserwując ocieniony brzeg. Dziś wiem, że nie przetrzymam cierpliwości piźmaka, który mnie zauważył. Mogę tylko zakraść się cicho „na miejsce”, kiedy zwierzak siedzi ciągle w norce i nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności - i czekać, aż wyjdzie. Ale tamtego dnia zrozumiałam tylko tyle, że chcę zobaczyć więcej piźmaków.

Zaczęłam je tropić dniem i nocą. Czasami widziałam kręgi wodne rozchodzące się szybko gdzieś przy brzegu, ale kiedy tylko kuciałam, żeby na nie popatrzeć, fale zamierały. Teraz wiem, co to znaczy, nauczyłam się stać całkowicie nieruchomo i umiem już wypatrzeć małą, spiczastą mordkę obserwującego mnie piźmaka, skrytego wśród porastającej brzegi roślinności. Tego lata odwiedzałam mosty i spacerowałam wzdłuż strumienia, ale żaden piźmak się nie pojawił. Pomyślałam, że widocznie po prostu trzeba mieć szczęście. Najwyraźniej muszę spędzić resztę życia, stojąc w krzakach na czatach. Udało mi się zobaczyć coś, co można zobaczyć raz w życiu, i już się to więcej nie powtórzy.

Potem którejś nocy zobaczyłam drugiego piźmoszczura i ten widok zmienił moje życie, bo dowiedziałam się wtedy, gdzie można ich wiele znaleźć, i zorientowałam się, kiedy najlepiej wypatrywać tych zwierząt. Zapadał zmrok; wracałam od przyjaciół samochodem. Licząc na łut szczęścia, zaparkowałam cicho nad strumieniem, wyszłam na wąski mostek nad

płycizną i spojrzałam w górę potoku. Od kilku tygodni powtarzałam sobie, że pewnego dnia jakiś piżmak przepłynie ten przesmyk wśród trzciny i że uda mi się go zobaczyć. Tym razem tak się właśnie stało. Szukałam piżmoszczura wzrokiem w tym przesmyku i zobaczyłam, jak płynie prosto na mnie. Pukajcie; szukajcie; proście. Miałam wrażenie, że gryzoń odpycha się od wody rozkołysanym, wiosłowym ruchem swojego spłaszczonego ogona. Był większy niż tamten płynący na grzbiecie młody i miał bardziej czerwoną mordkę, w której trzymał gałązkę tulipanowca. Zdumiało mnie jednak co innego: płynął dokładnie środkiem strumienia. Sądziłam, że ukryje się raczej wśród przybrzeżnych trzciny, a on tymczasem pruł samym środkiem, rzucając się wszystkim w oczy, jak hydroplan. Mogłabym mu się przyglądać bez końca.

Ale ponieważ stałam, a nie siedziałam na mostku, piżmak mnie zauważył. Zmienił kurs, skierował się ku brzegowi i zniknął za zatoczką w przybrzeżnym sitowiu. Poczułam przypływ najczystszej energii i pomyślałam, że przez kilka dni nie będę potrzebować powietrza.

Nie jestem już tak naiwna, chociaż wczorajszego wieczoru poczułam się niemal tak samo. Odkąd nauczyłam się obserwować piżmaki w tej części strumienia, widziałam ich wiele. Wciąż jednak wypatruję ich w chłodzie wieczoru i nadal wstrzymuję oddech, kiedy spod brzegów zaczynają rozchodzić się zmarszczki na wodzie. Wspaniałe w dzikich zwierzętach jest to, że w ogóle istnieją, ale najwspanialsze są te chwile, kiedy możemy je podglądać. Bo zwierzęta mają swoją godność i nie chcą wchodzić z człowiekiem w żadne relacje, nawet jako obiekty naszej obserwacji. Sama ich czujność przekonuje mnie, jak cudownie jest po prostu otworzyć oczy i patrzeć.

Piżmaki to podstawowe pożywienie różnych drapieżników. Los piżmoszczurów przywodzi na myśl dołę królików albo myszy: jeśli jesteś stworzeniem dość dużym, by pożreć ssaka, to będziesz polował także na piżmaki. Żywią się więc nimi jastrzębie, sowy, lisy i wydry. Największymi wrogami piżmoszczurów są jednak norki, które gnieźdzą się w pobliżu ich skupisk, wyłazą ze swoich nor i kręcą się przed piżmaczymi gniazdami jak modliszki przed ulem. Poza tym piżmaki zapadają na pewną szczególną, zaraźliwą chorobę krwi, która wycina w pień całe ich kolonie. Czasami jednak liczebność piżmoszczurów rośnie błyskawicznie, podobnie jak lemingów, będących zresztą ich bliskimi krewniakami; zwierzęta te albo padają więc całymi setkami, albo zasiedlają coraz większe terytoria, migrując do nowych strumieni lub stawów.

Zabijają je też ludzie. Pewien Eskimos, który polował na piżmaki kilka tygodni w roku, traktując to zajęcie wyłącznie dorywczo, twierdzi, że w ciągu czternastu lat zabił

trzydzieści tysięcy siedemset trzydzieści dziewięć sztuk tych zwierząt. Ich futerka dobrze się sprzedają, a cena na nie rośnie. Piżmak to najważniejsze zwierzę futerkowe na kontynencie północnoamerykańskim. Nie wiem, jakie ceny obowiązują teraz w delcie rzeki Mackenzie, ale w naszych stronach kuśnierze, którzy w 1971 roku płacili za skórę dwa dolary i dziewięćdziesiąt centów, dziś płacą pięć dolarów.

Szyją z piżmaczych skór futra i futrzane płaszcze, ale jak ognia unikają nazwy „piżmak”: najczęściej mówią, że to „foka Hudsona”. Dawniej traperzy sprzedawali nie tylko skóry tych gryzoni, lecz i mięso, nazywając piżmoszczura „królikiem bagiennym”. Jeszcze dziś wiele osób przerabia piżmaki na gulasz.

By mogły przetrwać tę rzeź, ich samice kocą się do pięciu razy w roku, a w każdym miocie przychodzi na świat sześć albo siedem młodych. Suche i bezpieczne gniazdo mieści się pod skarpią brzegową, tylko wejście ukryte jest pod wodą, zwykle kilka stóp pod powierzchnią, żeby zmylić wrogów. U nas gniazda to zwyczajne nory, wydrążone w gliniastych brzegach strumienia, choć w innych częściach kraju piżmaki budują pływające, stożkowate schronienia zimowe, które są nie tylko wodoszczelne, ale i jadalne - dla piżmaków.

Najmłodsze osobniki żyją w nieustannym zagrożeniu. Po pierwsze, pożerają je nawet węże i szopy.

Po drugie, ich matki łatwo tracą orientację i potrafią zapodziać gdzieś jedno albo kilka młodych z dużego miotu, jeśli zapomną policzyć noski małych. Uczępione matczyne sutek młode mogą od nich odpaść, kiedy samica jest zmuszona nagle wskoczyć do wody, i wtedy czasem się topią. Tym, które przestają już pić mleko, też nie jest lekko, bo nowe mioty pojawiają się tak szybko i nieubłagane, że starsze muszą zostać odstawione od matczynej pokarmu, właściwie kiedy jeszcze nie umieją prowadzić samodzielnego życia. Dlatego jeśli zagraża im śmierć głodowa, mogą pożreć młodszy od nich miot, jeśli tylko uda im się go dopaść. Dorosłe piżmaki, w tym ich własne matki, mogą z kolei pozabijać napastników, jeżeli za bardzo się zbliżą do nowo narodzonych maleństw. Dopiero kiedy uda im się uniknąć wszystkich tych niebezpieczeństw, mogą zacząć prowadzić dorosłe życie, wypływać na żer o zmierzchu i zjadać korzonki pałek wodnych, koniczynę, a od czasu do czasu raki. Paul Errington, uchodzący za poważny autorytet naukowy, pisze: „Piżmoszczur pod koniec pierwszego miesiąca po urodzeniu może być poniekąd uważany za zwierzę prowadzące w sensie egzystencjalnym dorosłe, niezależne od matki życie”.

Jeśli chodzi o mnie, uważam, że w piżmakach najcudowniejsze jest to, że wbrew pozorom nie mają zbyt bystrego wzroku, a na dodatek nie są szczególnie inteligentne.

Zachowują niebywałą czujność, jeśli uda im się mnie wyczuć albo zobaczyć, i wtedy nigdy nie zdołam się doczekać, by opuściły schronienie. Ale przy odrobinie wiedzy fachowej i niewielkim uszczerbku na mojej godności osobistej mogę się na nie skutecznie zacząć, a wtedy ich ciasne mózgownice nie zarejestrują mojej tchnącej oddechem obecności.

To, co się stało wczorajszego wieczoru, było nie tylko przejawem szczytowej piżmakowej głupoty, ale i ludzkiego wścibstwa, wyznaczającego granicę, za którą się już dalej nie posunę. Nie wyobrażałam sobie nawet, że mogę ją osiągnąć, czyli siedzieć obok żerującego piżmoszczura jak koło przypadkowego sąsiada przy stole na proszonym obiedzie.

A oto, co się zdarzyło. W zeszłym tygodniu zaczęłam odwiedzać nowe miejsce - jeden z kilku bezimiennych potoczków zasilających strumień. To w zasadzie płytka strużka wody, łącząca kilka stawków o głębokości najwyżej metra. Nad jednym z nich rozpięty jest maleńki mostek dla pieszych, znany miejscowym - a raczej tym z nich, którzy go znają - jako „mostek trolli”. Właśnie na tym mostku siedziałam mniej więcej godzinę przed zachodem słońca i obserwowałam strumień, płynący trzy metry dalej po mojej prawej ręce, w miejscu, gdzie, jak wiedziałam, piżmaki mają gniazdo. Właśnie zapaliłam papierosa, kiedy u wyjścia z nory zaczęły rozchodzić się kręgi na wodzie, a po chwili wynurzył się cały piżmak. Płynął wprost na mnie i skierował się pod mostek.

Kiedy tylko oczki zwierzązka znikają pod mostkiem, przystępuję do działania. Mam tylko pięć sekund na odwrócenie się, bym mogła go dobrze zobaczyć, kiedy wyłoni się z drugiej strony mostka. Zwieszam głowę nisko nad wodą - kiedy piżmak wyłoni się przede mną, z łatwością będę mogła, jeśli tylko zechcę, policzyć jego rzęsy. Problem polega na tym, że kiedy jego przypominające paciorki oczy pokażą się z drugiej strony mostka, znajdę się w pułapce, bo jeśli się znów poruszę, będzie to oznaczać koniec przedstawienia na ten wieczór. Dlatego będę musiała zastygnąć w każdej obłąkanej pozycji, w której przypadkowo zastanie mnie ta chwila, i to tak długo, jak pozostanę w polu widzenia piżmaka. Napinam więc wszystkie mięśnie, uderzam się boleśnie kostkami u nóg o beton i parzę sobie palce papierosem. Jeżeli piżmoszczur wyjdzie na brzeg na żer, będę zmuszona leżeć dalej z głową okilkadziesiąt centymetrów nad wodą, ale wtedy nie zobaczę nic poza rakami. Dziś umiem już spokojnie zmieniać pozycję podczas tych pięciosekundowych łamańców.

Gdy piżmak zniknął pod mostkiem, przesunęłam się na bok, żeby móc go wygodnie obserwować, i kiedy wypłynął z drugiej strony, dobrze mu się przyjrzałam.

Miał dwadzieścia centymetrów długości, nie licząc piętnastocentymetrowego ogona. Ogony piżmoszczurów są czarne i pokryte łuskami, a przy tym spłaszczone, ale nie poziomo, od góry, jak ogony bobrów, tylko pionowo, po bokach, niczym pasek od spodni, który ktoś

postawił na sztorc. Piżmakom zimą ogony zamarzają czasem na kość i wtedy obgryzają ich odmrożone tkanki, pozostawiając nierzadko tylko króciutki kikut.

Muszą wtedy pływać, odpychając się wyłącznie tylnymi łapami, i strasznie jest im trudno utrzymać kierunek. Ten piżmak, którego obserwowałam teraz, używał ogona głównie jako steru, a tylko z rzadka w charakterze śruby napędowej; poruszał się przede wszystkim dzięki przypominającemu pedałowanie ruchowi tylnych łap, wyprostowanych i poruszających się w dół iwokoło. Pazurki miał obciążone i skierowane na dół, jak kolarz wyścigowy palce u stóp. Podeszwy jego tylnych łap były dziwnie białe, a pazury ostre i zwięzające się ku końcowi, natomiast przednie łapy trzymał w bezruchu, przyciśnięte do piersi.

Wygramolił się na drugim brzegu naprzeciwko mnie i zaczął żerować. Najpierw ściał zębami wysoką trzcinę i zaczął ją stopniowo wpychać do pyszczka przednimi łapkami, jak stolarz, który przesuwa deskę przez tarczę piły. Wszystko słyszałam; brzmiało to tak, jak gdyby ktoś obgryzał lodygę selera naciowego. Potem piżmak wślizgnął się z powrotem do strumienia, trzymając wciąż trzcinkę w pyszczku, przepłynął z powrotem pod mostkiem, ale zamiast wrócić do gniazda, stanął na tylnych łapach na zanurzonym w wodzie kamieniu i dopiero tam flegmatycznie dokończył posiłek. Znajdował się w odległości najwyżej metra ode mnie. Nagle znów rzucił się do wody, przepłynął pod mostkiem, wy dostał się na brzeg, bezbłędnie odnalazł to samo miejsce co przedtem i zaczął pożerać resztkę lodygi ściętej przez siebie trzciny, tkwiącej jeszcze w ziemi.

Przez cały ten czas nie tylko wykonywałam skomplikowany manewr „w tył zwrot” za każdym razem, kiedy oczki piżmaka znikwały mi pod mostkiem, ale paliłam również papierosa. Gryzoń nie zauważył, że mostek wygląda zupełnie inaczej za każdym razem, kiedy przepływa na jego drugą stronę. Wiele gatunków zwierząt zdradza tę ułomność: nie dostrzegają niczego, co się nie porusza. Kiedy odwracał łebek, mogłam też spokojnie palić dalej, choć oczywiście nie wiedziałam, czy zaraz nie zwróci się z powrotem w moją stronę i nie zmusi mnie w ten sposób do zastygnięcia w jakiejś boleśnie niewygodnej pozycji. Denerwujące było także to, że wiatr wiał w jego stronę, niosąc zarówno moją woń, jak i dym z papierosa: czy naprawdę warto tak się męczyć dla stworzenia, które najwyraźniej jest ślepe i głuche?

Obgryzłszy ułamek trzciny, piżmak wszedł głębiej na ląd i nerwowymi ruchami zaczął podjadać kępki trawy i koniczyny. Wkrótce miał pełen pyszczek gęstej zieleni; wskoczył do wody, przepłynął znów pod mostkiem, skierował się w stronę gniazda i zanurkował.

Kiedy po chwili ponownie się wynurzył, najwidoczniej spożywszy po drodze trawę, powtórzył wyprawę na brzeg z niemal urzędniczą metodycznością i wrócił z kolejną porcją trawy i koniczyny w mordce.

Wynurzył się później raz jeszcze. Straciłam go z oczu na całą minutę, kiedy zniknął pod mostkiem, bo nie wypłynął tam, gdzie się go spodziewałam.

I nagle, ku mojemu niebotycznemu zdumieniu, wyszedł na brzeg właściwie tuż obok mnie. „Mostek trolli” znajduje się na wysokości niskiego brzegu, więc siedzieliśmy teraz obok siebie, ja i on. Mogłabym go dotknąć otwartą dłonią, nie prostując nawet ramienia w łokciu, więc znalazł się bliżej mnie niż na tak zwane wyciągnięcie ręki.

Żerował, wyginając grzbiet w ostry łuk, zapewne po to, by zminimalizować utratę ciepłoty ciała wskutek parowania. Na łądzie wyglądał jak rysunkowy zwierzątko z jakiegoś komiksu, a grzbiet miał szczuplutki niby kocię. Niezwykle starannie rozdzielał kępki trawy przednimi łapkami - widziałam, jak się zginają w wąskich stawach. Nie tyle obgryzał trawę i koniczynę, ile wbijał mocno zęby w ich łodyżki tuż nad ziemią, a potem napinał mięśnie karku i gwałtownie odpychał się przednimi łapkami w górę.

Miał lekko obwisłą szczękę, lśniące, czarne, blisko osadzone oczy i małe, spiczaste, kosmate uszka. Miałam ochotę sprawdzić, czy umie je postawić. Widziałam jego długie futerko, ociekające wodą i zbijające się w puszyste brązowe pasy, podkreślające zaokrąglone kształty gryzonia - futro to rozchyłało się, ukazując pod spodem jaśniejsze, jeszcze bardziej miękkie owłosienie, przywodzące na myśl sierść króliczą. Mimo że był tak blisko, nie udało mi się zobaczyć jego zębów ani brzuszka.

Po kilku minutach buszowania w trawie u mojego boku wszedł do wody pod mostkiem, powiosłował do gniazda z pełnym pyszczkiem trawy, trzymanej wysoko nad wodą - i tyle go widziałam.

Podczas tych czterdziestu minut, kiedy go obserwowałam, ani razu mnie nie zauważył, nie zwęszył i nie usłyszał. Kiedy był na wprost mnie, oczywiście nie poruszałam się wcale, tylko oddychałam. Ruszałam jedynie oczami, którymi za nim wodziłam, ale piżmak nie dostrzegł tego ruchu. Kilka razy przełknęłam nawet ślinę: i też nic. Przełykanie śliny zaciekawiło mnie dlatego, że przeczytałam gdzieś, że kiedy człowiek próbuje karmić ptaka z ręki, nie uda mu się to, jeśli niechący przełknie akurat ślinę. Zgodnie z tą teorią ptak podejrzewa, że przełykacie ślinę, bo macie na niego apetyt, dlatego zaraz ucieka. Ale piżmak nie mrugnął nawet okiem. Tylko raz, kiedy żerował na przeciwległym brzegu jakieś trzy metry ode mnie, nieoczekiwanie stanął na dwóch łapkach, rozglądając się bacznie - zaraz jednak znów zaczął się posilać.

Widać nie odkrył jednak mojej obecności.

Ja też nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem - przez te czterdzieści minut wczorajszego wieczoru byłam po prostu czuła i milcząca jak klisza fotograficzna; rejestrowałam wrażenia,

ale nie umiałam ich opisać.

Moja samoświadomość znikła; teraz wydaje mi się, że gdybym była podłączona do elektrod, wykres mojego EEG okazałby się długą, prostą, poziomą linią. Prowadzę podobne obserwacje tak często, że przestałam zwracać uwagę na to, że raz się skradam, a raz nagle przystaję; dzisiaj takie zachowanie to moja druga natura. Nieraz zauważałam, że nawet kilka minut tego typu zapomnienia działa na mnie niesłychanie ożywczo. Zastanawiam się, czy nie marnujemy większości naszej energii, bezustannie skupiając się na sobie.

Martin Buber przytacza słowa chasydzkiego mistrza, który powiedział: „Jeśli idziesz przez łąkę, snując czyste i świątobliwe myśli, to ze wszystkich kamieni i roślin, i ze wszystkich zwierząt tryskają iskierki ich duszy i osiadają na tobie, a wtedy zostają one oczyszczone i zapalają w tobie święty ogień”. W osobliwym języku chasydów można opisać udzielającą się nam w przyrodzie energię i w taki sposób.

Próbowałam pokazywać piźmoszczury znajomym, ale to się rzadko udaje. Możemy być nie wiem jak cicho, a zwierzątka nie chcą wyjść z ukrycia. Może wyczuwają szmer naszej trwającej w napięciu świadomości, szum wydawany przez dwie istoty ludzkie, które wprawdzie milczą, ale są świadome swojej tam obecności, a zatem świadome także samych siebie. Poza tym goście zawsze są zbyt poekscytowani, by sprawnie podchodzić zwierzyne. Ze mną też tak było; nie mogłam znieść upokarzającej myśli, że muszę wyprzeć się całej mojej ludzkiej natury dla jakiegoś piźmaka.

Dlatego poruszałam się, rozglądałam albo drapałam po nosie - ale wtedy żaden piźmak nie chciał się pokazać, a ja zostawałam sama ze swoją godnością, i tak w kółko. Aż wreszcie wpadło mi do głowy, że najlepiej nauczyć się od samych piźmaków, jak je obserwować i podchodzić.

Stara zasada traperska powiada: „Przystawaj często i często się przyczajaj”. Nie znam nic lepszego od tej rady, ale piźmaki pozwalają nam czasem na ciut więcej. Otóż jeżeli piźmoszczur jest odwrócony tyłem, mogę właściwie zatańczyć mu na ogonie, a on i tak tego nie zauważy. Kilka dni temu udało mi się podejść piźmaka żerującego na brzegu w pobliżu „mostka trolli”, bo zbliżałam się do niego, robiąc posuwisty krok za każdym razem, kiedy odwracał łebek. Rozkładałam ciężar ciała jak mogłam najrówniej, żeby nie wyczuł drgań ziemi i żebym mogła zastygać w bezruchu, nie łapiąc zbyt niezdarnie równowagi na jednej nodze, ilekroć odwracał się w moją stronę.

Kiedy podeszłam do niego na odległość trzech metrów, byłam pewna, że czmychnie, ale on wciąż wpatrywał się krótkowzrocznie w gąszcz koniczyzny i trawy.

Ponieważ widziałam już w życiu wszystko, podchodziłam coraz bliżej, chcąc

sprawdzić, kiedy „pęknie”.

Ku mojemu kompletnemu zdumieniu w ogóle nie pękł.

To ja pękłam pierwsza. Kiedy jedna z moich nóg znalazła się nie dalej niż o krok za jego grzbietem, postanowiłam na tym poprzestać. Oczywiście byłam doskonale widoczna, ale w odpowiednich momentach zamierałam w bezruchu i zbliżałam się do gryzonia tylko wtedy, kiedy się pochylał. Mogłam zrobić z nim wszystko, nawet go kopnąć. W końcu wrócił do wody, zanurkował i zniknął. Dlatego do dzisiaj nie wiem, czy pozwoliłby mi w końcu wejść sobie na plecy.

Nie zawsze podglądanie idzie równie łatwo. Kilkakrotnie miałam okazję przekonać się, że jedyny sposób, aby podejść żerującego piżmaka i przypatrzeć mu się z bliska, jest tak idiotyczny, że tylko kompletny bezwstyd pozwala mi potem żyć ze świadomością hańby.

Otóż muszę zdjąć czapkę, przykucnąć, powiedzmy, sześć metrów za jakimś niewysokim głazem, a potem położyć się na brzuchu i pełznąć ku niemu przez nagą łąkę jak wąż, by wreszcie zaryzykować i ostrożnie wyrzeć. Jeżeli wysunę głowę zza kamienia, kiedy piżmoszczur akurat jest odwrócony, to wszystko będzie w porządku. Ale jeżeli gryzoń dostrzeże ruch mojej głowy, od razu wskakuje do wody i całe moje czołganie na brzuchu idzie na marne. Nie można jednak przewidzieć, co się stanie; po prostu muszę zaryzykować, i tyle.

Czytałam, że w mało prawdopodobnym przypadku, kiedy zdarzy się wam stanąć oko w oko z niedźwiedziem grizzly, najlepiej jest przemawiać do niego łagodnie i przymilnie. Podobno ludzki głos działa kojąco na te zwierzęta. Nie miałam dotąd okazji wypróbować owej metody na grizzly, ale mogę zapewnić, że na piżmaki nie działa - bo one na dźwięk ludzkiego głosu ze strachu odchodzą od zmysłów. Doświadczyłam tego wielokrotnie. Kiedyś obserwowałam piżmoszczura żerującego na brzegu niedaleko ode mnie; kiedy już się na niego napatrzyłam, nie miałam nic do stracenia, więc powitałam go wylewnie i głośno. I hop! Przerażony piżmak podskoczył, obrócił się w powietrzu o sto osiemdziesiąt stopni, opadł nosem w trawę i zniknął natychmiast, jakby go ziemia pochłonęła. Widziałam jeszcze tylko przez chwilę jego wyprężony ogon, a potem i on bezszelestnie wsunął się w ziemię. Piżmaki na wszelki wypadek wykopują sobie na brzegu kilka awaryjnych dróg ucieczki i nie lubią żerować zbyt daleko od nich. Był to więc bardzo interesujący incydent, ilustrujący relatywną moc zarówno słowa, jak i sprytu.

Podchodzenie zwierzyny wymaga umiejętności, jak bejsbol albo szachy. Szczęście rzadko wchodzi tutaj w grę. Albo spisuję się dobrze, albo źle - to wszystko; dowiem się o tym dzięki piżmakowi, i to szybko. Podchodzenie zwierzyny jest grą z teraźniejszością w jeszcze

większym stopniu niż bejsbol, albowiem piźmak może zbliżyć się do mnie, zostać na miejscu albo dać dyla w każdej chwili, zależnie od moich umiejętności.

Czy potrafię siedzieć w bezruchu? W całkowitym bezruchu? To zdumiewające, jak wielu ludzi nie umie albo nie chce siedzieć nieruchomo. W domu nie byłabym w stanie - albo nie chciałabym - siedzieć bez ruchu przez trzydzieści minut, ale nad strumieniem owszem, skupiam się wtedy i staram o niczym nie myśleć. Nie jestem rozgorączkowana; oddycham powoli i równomiernie. Nie powtarzam sobie: „Piźmak!

Piźmak! Tam!”. W ogóle nic nie mówię. Kiedy nie mogę zmienić ułożenia ciała, staram się nie „zastygać”, bo wtedy blokuję i napinam mięśnie, toteż w końcu męczę się i nie wytrzymuję. Uspokajam się więc. Koncentruję się na otoczeniu; szukam równowagi i wytchnienia. Wycofuję się - nie do wewnątrz, ale jakby na świat, tak że staję się jedynie zespołem zmysłów.

Wszędzie widzę obfitość i bogactwo. Jestem skórą wody, nad którą igra wiatr. Jestem płatkami, piórkami albo skałą.

III

Prowadząc takie życie nad strumieniem, gdzie światło pojawia się i kryje w wodzie, gdzie piźmaki wynurzają się i nurkują, i gdzie na wszystkie strony rozpierzchają się epoletniki krasnoskrzydłe, poznałam pewien szczególny aspekt przyrody. Oto spoglądam na góry, które ciągle śpią, niebieskie, milczące i urzeczone. Powiadam sobie, że jest to obraz skupienia; świat trwa.

Ale potem patrzę na strumień i mówię: nie, świat ulega rozproszeniu, pojawia się i znika. Kiedy wychodzę z domu, wróble milkną i odlatują; na brzegach wrzeszczą zaniepokojone sójki, wiewiórki rozbiegają się, szukając schronienia, kijanki nurkują, żaby skaczą, węże zamierają w bezruchu, a małe ptaki śpiewające pierzchają. Dlaczego? Przecież nie zrobię im krzywdy - ale one po prostu nie chcą być widziane. „Przyroda chętnie się ukrywa” - powiada Heraklit. Uciekający przedrzeźniacz rozkłada na moment olśniewający wachlarz białych piór... a potem chowa się w listowiu. Luby...! Luby! Przyroda rzuca nam swoje groźne, potężne spojrzenie - oznaczające „chodź no tu” - upuszcza chusteczkę, odwraca się na pięcie i ucieka. Przyroda, w każdym razie taka, jaką ja znam, pojawia się i znika.

Zastanawiam się, czy to, co widzę i co zdaję się rozumieć, jest tylko przykładem wolności, który przypadkowo czasem powtarza się na moich oczach, czy też istnieje jakiś jego odpowiednik w innych światach leżących poza Tinker Creek. Uważam, że mój okołostrumieniowy świat przypomina w symboliczny sposób mechanikę kwantową.

Wielu z nas wciąż żyje w kosmosie fizyki newtonowskiej, mniemając naiwnie, że

prawdziwi, niepoprawni uczeni nie znajdują zastosowania dla takich mistycznych wycieczek, zajmują się bowiem, jak to naukowcy, tylko tym, co da się zmierzyć i poznać. Sądzimy, że przynajmniej fizyczne przyczyny zjawisk są dla nas poznawalne i że wraz z wynikami rozmaitych eksperymentów stopniowo rozwiewamy mgłę niewiedzy. Dodając fakt do faktu, zrywamy ze świata kolejne woale, aż wreszcie odsłonimy sedno sprawy, musujące źródło przypominające równanie, z którego biorą początek wszystkie łaski. Nawet niesforny Emerson pogodził się z tym doprawdy żalnym błędem dawnej nauki, pisząc pod koniec życia: „Gdy udoskonalimy mikroskop i będziemy mogli dobrze zbadać komórki, wszystko okaże się elektrycznością albo czymś w tym rodzaju”. Czyli rzekomo wystarczy, że udoskonalimy nasze przyrządy i metody badawcze, a będziemy mogli uzbierać mnóstwo danych i ponawlekać je na sznurki, jak Eskimosi ptaki, by umieć przewidywać występowanie zjawisk fizycznych wskutek fizycznych przyczyn.

Ale w 1927 roku Werner Heisenberg usunął nam ziemię spod nóg i wywrócił nasze rozumienie wszechświata na nice. Z niewiadomego powodu do przeciętnego zjadacza chleba nie dotarło jeszcze, że niektórzy fizycy zmienili się dziś w stado toczących obłąkanym wzrokiem, szalonych mistyków. Udoskonalili bowiem swoje przyrządy i metody na tyle, by zerwać ostatnią zasłonę - pod którą ujrzeli uśmiech kota z Cheshire.

Tak zwana zasada nieoznaczoności, ogłoszona latem 1927 roku, w gruncie rzeczy sprowadza się do stwierdzenia, że nie można równocześnie zmierzyć pędu i położenia cząsteczki. Na podstawie wyników statystycznych można się domyślić, jak zachowa się wiązka elektronów, ale zachowania pojedynczego elektronu nie da się przewidzieć. Elektrony sprawiają wrażenie wolnych niczym ważki. Możecie udoskonalać swoje przyrządy i metody badawcze aż do końca świata, ale nigdy nie zdołacie zmierzyć jednoczesnego pędu i położenia cząsteczki. Nie da się tego zrobić.

Elektron jest jak piżmak - nigdy nie będzie można podejść go idealnie i całkowicie zaskoczyć. A przyroda to tancerka, która rodzi się z wachlarzem w ręku; możesz ją przewrócić, rzucić na scenę i ze wszystkich sił próbować jej go wyrwać, ale ona nigdy tego wachlarza nie puści. Taka już jest - bo wachlarz stanowi organiczną część jej ciała.

Problem nie leży w tym, że brak nam danych, aby określić zarazem prędkość i położenie cząsteczki. Gdyby o to chodziło, mielibyśmy do czynienia z normalną sytuacją, mieszczącą się całkowicie w granicach ludzkiego rozumienia wytyczonych przez fizykę klasyczną. Sęk raczej w tym, że dzisiaj wiemy już, że uzyskanie wiarygodnych wyników tego rodzaju pomiarów jest po prostu niemożliwe. Owszem, można określić położenie elektronu, ale wtedy nie da się powiedzieć nic o jego pędzie; i odwrotnie, można określić pęd, ale wtedy

- ojej! - nieokreślone staje się położenie badanego obiektu. Dzieje się tak dlatego, że obserwację zdają się zakłócać zarówno przyrządy pomiarowe, jak i sam fakt istnienia obserwatora. W rezultacie fizycy powiadają, że nie są w stanie badać przyrody per se, lecz tylko wyniki swoich badań nad nią. A ja mogę obserwować niebieskawe ryby jedynie w rzucanym przeze mnie błękitnym cieniu, z którego uciekają w mgnieniu oka.

Zasada nieoznaczoności przewróciła naukę do góry nogami. Determinizm i przyczynowość nagle gdzieś znikają, a my pozostajemy sam na sam ze światem, zbudowanym z tego, co Eddington nazywa umysłem.

Posłuchajcie fizyków: sir James Jeans, następca Eddingtona, odwołuje się do losu i mówi, że „przyszłość jest, być może, w rękach bogów, o ile tylko istnieją”.

Eddington powiada, że „świat fizyczny jest całkowicie abstrakcyjny i nie posiada żadnej «aktualności» poza jego związkiem z naszą świadomością”. Z kolei Heisenberg stwierdził, że odtąd nie można rozdzielać metody i obiektu badania. „Światopogląd naukowy nie jest już naukowy w prawdziwym sensie tego słowa”.

Jeans dodaje, że nauka nie może się dłużej sprzeciwiać koncepcji wolnej woli. Heisenberg napisał dalej, że istnieje pewna siła wyższa, niezależna od naszych życzeń, która ostatecznie „podejmuje decyzje, sądzi i ocenia”. Eddington utrzymuje, że nasza rezygnacja z przyczynowości w wyniku przyjęcia zasady nieoznaczoności „zacierą wyraźną granicę pomiędzy tym, co naturalne, i tym, co nadprzyrodzone”. I tak dalej.

Ci fizycy stają się na powrót mistykami na podobieństwo Keplera, stojącego kiedyś w rozrzedzonym powietrzu na górskiej przełęczy i wpatrującego się w zachwycie w otchłań wolności. Tak, tylko że oni wspięli się tak wysoko dzięki metodzie eksperymentalnej i kilku szalonym skokom wyobraźni, które były też udziałem Einsteina. Wpadliśmy w niezłą kabałę!

Wszystko to znaczy ostatecznie jednak tylko tyle, że świat fizyczny, tak jak rozumiemy go obecnie, bardziej przypomina pojawiający się i znikający świat strumienia, który oglądam codziennie, niż świat niezmienny i trwały, którego symbolem zdają się być góry.

Cząsteczki odkryte przez fizyków śmigają i zmieniają się, jak wrotki w polu widzenia mojego mikroskopu, a ja muszę wierzyć, że otaczający tę dolinę pierścień granitowych gór jest w istocie zwiewną mgiełką takich samych cząsteczek. Cały wszechświat to rój szalonych, czułych nośników energii; słońce, które lśni na wilgotnym futrze na grzbiecie piżmaka, i gwiazdy przesłonięte na horyzoncie górami, ale odbijające się z wysoka w Tinker Creek. Wszystko to pojawia się i znika. Czapla odlatuje, trzepocząc skrzydłami. Ważka oddala się z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nartnik znika pod osłoną trawy.

Piżmoszczur nurkuje w wodzie, a od strony brzegu na powierzchni rozchodzą się zmarszczki. Stają się coraz słabsze, aż w końcu zamierają całkowicie.

Mojżesz poprosił Boga: „Spraw, abym ujrział Twoją chwałę”*. A Bóg odrzekł: „Nie będziesz mógł oglądać mojego oblicza, gdyż żaden człowiek nie może oglądać mojego oblicza i pozostać przy życiu”. Po chwili jednak dodał: „Oto miejsce obok mnie, stań przy skale. Gdy przechodzić będzie moja chwała, postawię cię w rozpadlinie skały i położę rękę moją na tobie, aż przejdę. A gdy cofnę rękę, ujrzysz mię z tyłu, lecz oblicza mojego tobie nie ukażę”. Więc Mojżesz wszedł na górę Synaj, czekał w bezruchu w rozpadlinie skały i ujrział Boga z tyłu. Czterdzieści lat później wspiął się na górę Nebo, skąd na drugim brzegu Jordanu ujrział ziemię obiecaną, do której nie było mu dane wkroczyć, ponieważ wcześniej umarł.

Ty wszystko widziałeś za ledwie w przelocie, Mojżeszu: tu rozpadlinę w skale, tam górski szczyt, a reszta jest wyrzeczeniem i tęsknotą. Wszystko trzeba tropić i podchodzić. Wszystko najpierw się skupia, a potem rozprasza; wszystko pojawia się i znika jak ryba pod mostem. Ducha też trzeba podchodzić. Zapominając

* Księga Wyjścia 33,18; 33,20-33,23. obozym świecie, możesz się na niego zacząć dosłownie wszędzie, bo wszak duch wszędy przemyka, i mieć nadzieję, że schwytasz go za ogon i krzykniesz mu coś do ucha, zanim ci się wyrwie. Możesz także gonić za nim wszędzie, jeśli masz odwagę, ryzykując naderwanie ścięgna udowego; możesz walić do drzwi przez całą noc, dopóki oberżysta nie zmięknie i w końcu ci nie otworzy - jeśli w ogóle jednak zmięknie; i możesz płakać, póki nie ochrypniesz, albo gorzej, możesz go nieustannie błagać, żeby się wcielił, jak w wierszu Johna Knoepfle’a: „chrystus to czerwony wędrowiec... a dzieci wołają / chodź tutaj chodź tutaj”.

Siedzę na mostku, jak na górze Nebo albo Synaj, i jednocześnie czekam spokojnie w rozpadlinie skały oraz bębnię w drzwi ze wszystkich sił mojej woli, wołając niczym dziecko: „Wychodź...! Wiem, że tam jesteś”.

Ale od czasu do czasu góry się rozstępują. Pojawia się „drzewo pełne światełek”, przedrzeźniacz spada na ziemię, a czas rozwija się w przestrzeni niczym sztandar. Wtedy się radujemy. Ostatecznie rzecz nie w tym, że piżmaki są czujne, ale że niekiedy udaje się je zobaczyć. Heisenberg nie był baletnicą, której przeszkadza wiadomy rąbek; dostał Nagrodę Nobla, nie wrócił więc do domu zde gustowany. Ja czaję się na mostkach i podchodzę zwierzęta na brzegu strumienia, czekając na chwile, których nie umiem przewidzieć, na moment, w którym fala zaczyna wzbierać pod wodą, a zmarszczki powierzchniowe rosną w siłę i rozchodzą się przez całą szerokość Tinker Creek, tam i z powrotem, tworząc fakturę pulsującą jak serce. To jakby impuls wynurzył się spod powierzchni, jakby ukazała mi się

ryba - ten przybór, ta wędrówka do punktu kulminacyjnego przypomina dojrzewanie orzechów, tkwiących jeszcze w łupinach, ale już gotowych je rozsadzić, lśniących świeżością jak kasztany

„Prawdziwie Pan jest na tym miejscu, a ja nie wiedziałem”*. Nawet pryskające na wszystkie strony strzępy świata, świat oglądany z tyłu - to dar, to obfitość. Kiedy Mojżesz zszedł ze skały na Synaju, lud bał się go, bo jego twarz świeciła.

Czy świecą także twarze Eskimosów? Leżę w łóżku i czuwam: mieszkam z Eskimosami w tundrze i ścigam z nimi pędzące z tętentem stada karibu; biegnę bez snu, półprzytomna, całymi dniami, zygzakiem po zlodowaciałych pagórkach i arktycznym mchu, i widzę ocean pod ścielącym długie cienie bladym słońcem - i biegnę tak w milczeniu przez całą noc.

* Księga Rodzaju 28,16.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Straż nocna

Stałam na łące Lucasów pośrodku tyraliery koników polnych. Było coś dziwnego w narastającym upale, w zapadającej nocy i w dojrzałości traw - coś, co kazało wielkiej armii owadów stawić się na łące, gdzie nigdy dotąd nie pojawiły się w takiej liczbie. Otaczało mnie ich chyba z tysiąc, tykających jak budziki i wędrujących po wysokich koniczynach, które sięgały niemal moich kolan.

Wyszłam na łąkę, żeby poczuć upał i popatrzeć na niebo, ale to te owady zwróciły moją uwagę i stały się pierwszorzędnym wydarzeniem. Z każdym moim krokiem trawa eksplodowała, wybuchając wokół odwłokami niczym szrapnelami, rozdzierającymi z sykiem powietrze. Widziałam koniki polne różnych rozmiarów, żółte, zielone i czarne, o krótkich albo długich czułkach, o ukośnych pyszczkach, o pasiastych skrzydłach, o szyjkach w kształcie ostrogi, o spiczastych łebkach - koniki mikroskopijne, cętkowane, pręgowane i kraciaste. Skakały jakby salwami, a potem opadały i przytrzymywały się niezdarnie łądyżek i źdźbeł, szeroko rozstawiając nóżki, żeby utrzymać równowagę, jak drozdy, gdy przysiadają na pałkach wąskolistnych.

Skrzeczwały na wysokości mojej głowy i odbijały się rykoszetem od moich łydek, chwytając się mnie kurczowo, by zaraz rozluźnić chwyt maleńkich nóżek.

Znalazłam azyl, ale pod gołym niebem. Łąka była nieskalana, świat jak nowy, a ja czułam się oczyszczona spacerem nad wodą spiętrzoną przez tamę. Ogarnęło mnie i obezwładniło nieznane, szalone uczucie.

A jeśli te koniki polne to w istocie szarańcza? - pomyślałam. - A jeżeli jestem pierwszym człowiekiem na Ziemi i stoję w roju szarańczy?

Czytałam o szarańczach. Hordy tych migrujących owadów pojawiają się na suchych, jałowych terenach, a potem równie nieoczekiwanie znikają. Składają jaja na całej równinie, ale rok później nie pojawia się na niej ani jeden owad. Entomolodzy znakowali badane okazy i analizowali ich budowę, ale nigdy potem nie udawało im się natrafić na oznakowane osobniki - owady wracały rojnie na tereny, na których zostały zaobserwowane, dopiero po wielu latach i nikt nie wiedział, w jakich to jaskiniach albo chmurach kryją się w przerwach pomiędzy kolejnymi inwazjami.

Dopiero w roku 1921 rosyjski przyrodnik Uwarow rozwiązał tę zagadkę. Szarańcza to

konik polny - jedno i to samo zwierzę. Chmary szarańczy to zwykle koniki polne, tyle że obłąkane.

Jeżeli wziąć zwyczajne koniki polne dowolnego gatunku z dowolnego suchego obszaru na kuli ziemskiej, na przykład z Gór Skalistych, i hodować je w dużej liczbie, stłoczone w szklanym słoju, owady wejdą po pewnym czasie w tak zwaną fazę migracyjną - czyli staną się szarańczą. Dosłownie i fizycznie zmieniają się na waszych oczach z doktora Jekylla w pana Hyde'a.

Przemiana ta będzie dotyczyć nawet samotnych osobników trzymany w słoju, jeśli poddać je gwałtownej stymulacji serią sztucznych bodźców. Najpierw niemal niezauważalnie wydłużają się im skrzydła i pokrywy chitynowe. Z początku bezbarwne, teraz nabierają coraz bardziej nasyconych kolorów, aż wreszcie stają się histerycznie żółte i różowe. Na pokrywach ich skrzydeł pojawiają się paski oraz cętki, które ciemnieją, by w końcu osiągnąć barwę połyskliwej czerni. Składają więcej jaj niż normalne koniki polne. Nie mogą sobie nigdzie znaleźć miejsca, są niespokojne i żarłoczne.

I teraz masz w słoju plagę.

W standardowych warunkach laboratoryjnych i na pustyni z jaj złożonych przez szarańczę wylęgają się pospolite, pojedyncze koniki polne. Jednak w szczególnych warunkach - na przykład podczas suszy, kiedy zwierzęta te żerują nieprzebranymi stadami - koniki polne przekształcają się w szarańczę. Porzucają wówczas zarówno swoje schronienie, jak i pożywienie, poszukując wyłącznie tłumu i chrzęstu skrzydeł swoich pobratymców. Ich szeregi rosną, a doliny roją się od owadów. Aż pewnego pięknego dnia wzbijają się w powietrze.

Miliony szarańczy w locie potrafią zasłonić niebo na dziewięć godzin, a kiedy wylądują, ratuj się, kto może, o Izraelu. „Przed nim ogień pożerający, a za nim płomień palący; ziemia ta jest przed nim jak ogród Eden, lecz po nim będzie pustym stepem i przed nim nikt nie ujdzie”*. Ktoś kiedyś napisał, że jeśli podsunąć szarańczy źdźbło trawy, „jej składające się z osiemnastu segmentów szczęki natychmiast zabierają się do pracy; zwilża je brązowa ślina, przypominająca olej silnikowy”. Pomnóż tę czynność przez wiele milionów okazów, a usłyszysz interesujący dźwięk; „Odgłos, jaki wydają miriady szczęk szarańczy, wyda się niewątpliwie znajomy każdemu, kto walczył kiedyś z ogniem na prerii albo słyszał, jak płomienie rozprzestrzeniają się pod wpływem silnego wiatru - są to ciche trzaski, chrzęsty i skrzypienia”. Każdy skrawek ziemi, każda gałązka pokryte są grubą na kilkanaście centymetrów warstwą owadów, od których kipią doliny i drżą góry.

Szarańcza: historia stara jak świat.

Will Barker opowiada o pewnym człowieku, który położył się spać pośród stada szarańczy. Dusząca chmara opadła go w mgnieniu oka i pokryła chrzęszczącym pancerzem. Metaliczne szczęki szczypały go i szarpały. Towarzysze mężczyzny podbiegli i zbudzili go szybko, ale gdy wstał, krwawił już z szyi i nadgarstków.

Na świecie żyje szarańcza, żyją też koniki polne.

A ja stałam po kolana w świecie.

Żaden owad na tej łące nie mógłby się zmienić w szarańczę, w żadnych okolicznościach. Pomyślałam, że jestem Królem Łąki, i podniosłam rękę. Wokół mnie natychmiast zaczęły skakać koniki polne, opisując w powietrzu niewyraźne łuki i opadając w rozko-

* Księga Joela 2,3. łysaną trawę u moich stóp. Cudownie - jak gdybym naprawdę była królem.

Duży szarozielony konik polny wylądował z chrzęstem na moim osłoniętym rękawem koszuli ramieniu, dysząc ciężko. „Splywaj” - powiedziałam, i owad zeskoczył ze mnie, poskrzypując. Tym razem wylądował na kłosie trawy kilka metrów dalej. Żdźbło ugięło się pod jego ciężarem i szarpnęło niczym dziki mustang, ale konik opanował sytuację. Gdy kołysanie ustało, intruz zniknął mi z oczu.

Szłam dalej krok za krokiem, wywołując ten jakby ogień z lekkiej broni maszynowej, i jednocześnie stając się jego celem. Nie mogłam się nie roześmiać. Zostałam zrobiona w konia - a raczej w konika polnego.

Chciałam obserwować te stworzenia, a one uciekały.

Okazały się tak cwane, że mogłam je podglądać tylko wtedy, gdy zakłócałam im spokój. Nie byłam w stanie wyczarować ich z ukrycia ani przywabić; mogłam je tylko płoszyć, wyzwalając najniższe owadzie instynkty samą moją brutalną obecnością. Bo dla nich byłam jedynie potężnym kłopotem, straszliwym niebezpieczeństwem, jak toczący się kamień. Zaczekaj! Gdzie się podziałeś? Czy żaden z was, obdarzonych składającą się z osiemnastu segmentów szczęką, nie zechce zamienić ze mną ani słowa na łące Lucasów? Znowu uniosłam rękę: ach, więc tu jesteście. Po chwili koniki zniknęły i trawy zamknęły się nad nimi. Byłam uradowana i zarumieniona. Byłam łąkowym niewolnikiem, któremu nadano szlachectwo; byłam panną młodą, czekającą na swoje szczęście przy pełnej oliwy lampie. Powiał świeży wiatr, a ja powitałam go tak samo, jak przywitałam przedtem koniki polne. Czubki najwyższych drzew schylały się bezszelestnie na granicy lasu.

Zawróciłam w stronę domu, gnając przed sobą cały szwadron koników polnych na drugi koniec łąki. Byłam robiona w konia przez te owady, piżmaki i góry - ale jak każdy

frajer, wróciłam, żeby dać się oszukać raz jeszcze. W końcu człowiek zawsze zostaje oszukany, ale jeśli zda sobie z tego sprawę zawczasu, nie może się nie śmiać. Przychodzi tu niby po to, żeby przypuścić szturm i oglądać uciekające zwierzęta - lecz w głębi duszy wie, że tak naprawdę jest tu po to, żeby się trochę pośmiać.

Mamy koniec lata, więc zieleń wciąż rosnącej, jak i już dojrzałej roślinności stanowi świetny kamuflaż.

Mogę obserwować piżmaka, przez dziesięć minut żerującego na brzegu - obgryza kępki trawy, które stroszą się w jego pyszczku i zwieszają nisko, ale kiedy zwierzak znika, nie widzę, żeby gdzieś ubyło zieleni. Rozgarniam ją dłońmi i przyglądam się jej uważnie, ale i wtedy nie dostrzegam żadnych szkód, nawet jeśli piżmoszczur wykazywał się wielkim apetytem.

Nie widzę nawet, by trawa była zgnieciona. Czy żadne zwierzę nie pozostawia w niej śladów, tylko ja? Kiedy w czerwcu z jaj modliszki wykluły się młode, przyglądałam się przez parę dni, jak mikroskopijne, półprzezroczyste maleństwa zeskakiwały z ootek, gramoliły się niezdarnie z gałązek żywopłotu na ziemię i znikwały w trawie. W niektórych miejscach schodziły w szereg, przypominającym ruchomy most, który łączył krzak z ziemią. W chwili, gdy przekraczały linię horyzontu i wchodziły w trawę, znikwały, jak gdyby dotarły na kraj świata i skoczyły w otchłań.

Nadszedł początek września i na wszystkich leśnych ścieżkach jest tłoczno. Patrzą na wodę, żeby zobaczyć niebo. O tej porze roku w każdym zaparkowanym samochodzie o tylną szybę tłucze się jakaś pszczoła.

Na brzegu spod moich nóg co chwila podrywają się żaby, w pułapkę niebieskozielonych alg wpadają pęcherzyki powietrza, a na wierzbowych liściach odpoczywają parami chrząszcze Popilli japońskiej. Słońce zagęszcza powietrze w galaretkę; wybiela je, spłaszcza, rozpuszcza. Niebo jest zasnute mleczną mgiełką - leniwe letnie niebo wygląda identycznie na całym świecie. Wszystkie dzieciaki mają na buziach odcisniętą kratkę, wyraźnie widoczne poziome i pionowe krechy prostych linii - bo całymi dniami wyglądają na świat, wciskając twarze w drzwi osłonięte siatką przeciw owadom.

Przyszłam do Lucasów, żeby spędzić tu noc - niech będzie, co ma być. Ich posiadłość to w gruncie rzeczy raj na ziemi. Mają tu wszystko: stary las, młodnik, skały, łąki, wolno płynącą wodę, wartkie potoki i jaskinie. Brakuje im tylko skrzypiącego lodowca, który zatrzymałby się tuż za domem. Ten magiczny ogród leży po drugiej stronie zakola Tinker Creek; jest zaciszny, bo niełatwo się do niego dostać. Mogłabym pójść tam przez stary las, skalistą ścieżką wzdłuż urwiska, ale w lecie trudno ją odnaleźć, jest tak zarośnięta młodymi

drzewkami, krzakami, krzewami kudzu i trującym sumakiem. Mogłabym też spuścić się na dół po wyłysiałych, trawiastych tarasach nieopodal urwiska, ale żeby się tam dostać, musiałabym spotkać się z pewnym agresywnym psem, który tylko czeka, kiedy zapomnę zabrać ze sobą kij. Postanowiłam więc ostatecznie wybrać trzecią drogę, wiodącą nad tamę.

Przygotowałam kanapki, napełniłam termos i wsunęłam do kieszeni maleńką latarkę. Potem już tylko karimata i śpiwór na plecy, i przez erodujące gliniaste wzgórze, gdzie modliszka złożyła wtedy jaja, ruszyłam w dół strumienia, do lasu motocyklistów, a następnie ścieżką rowerową na tamę.

Lubię tędy chodzić, choć gdybym stąd spadła, mogłabym już nie wstać. Tama ma metr albo nawet więcej wysokości; jej podmywane betonowe brzegi porastają gęste zielone algi, czesane przez opadający tu nagle strumień. Poda mną króluje bezład szybkiego nurtu i kamieni. Stawiam czoło niebezpieczeństwu, ilekroć przekraczam tamę, i zawsze odczuwam z tego powodu radość. Najtrudniejszy jest początek. Jak zawsze, tak i tego dnia zwróciłam się twarzą do wody; szeroko rozstawiłam nogi, szłam, a raczej przesuwałam się, boczkiem zamiast przodem i wkrótce, mokra jak nieboskie stworzenie, znalazłam się w innym świecie.

Wracając z wycieczki na łąkę koników polnych, wróciłam do punktu wyjścia, gdzie zostawiłam śpiwór, karimatę i kanapkę - na brzeg biegnący między domem a szczytem tamy. Za krawędzią urwiska zachodziło niewidoczne słońce. Rozpakowałam kanapkę i obejrzałam się na drogę, którą przebyłam, jak gdybym mogła zobaczyć koniki polne, rozbrykane znów na szerokiej łące albo kryjące się ze złożonymi skrzydełkami w krzakach czy miękkim poszyciu.

Po to tu przyszłam, tylko po to i po nic więcej. Szybki, krótki ruch w listowiu na urwiskach, atak realnych, żywych, nieruchomych stworzeń, różne kształty i zdolności tutejszych mieszkańców - to jest moje miasto, moja kultura i cały świat, jakiego potrzebuję.

Rozejrzałam się wokół.

Teren, który nazywam posiadłością Lucasów, to tylko część olbrzymiego majątku. Należy do najstarszych poręb w okolicy - to ogród w dzikiej głuszy. Ilekroć przechodzę przez tamę i osuszam nogi na brzegu, czuję się jak nowo narodzona. Po mojej prawej ręce płyną spiętrzone, milczące wody strumienia, w którym odbijają się pochylone nad nim tulipanowce, drzewa pawpaw i jesiony. Wyżej strumień zakręca, znikając mi z oczu; tu właśnie jest jego zakole, a tama została przerzucona nad najostrejszym łukiem. Niżej strumień prześlizguje się nad nią, ochlapując piaskowcowe występy albo nadbrzeżne głazy, wydaje chłodne tchnienie w postaci wodnej mgiełki, a potem znika za zakrętem pod stromym, lesistym urwiskiem.

Stałam otoczona przez wzgórza i wzniesienia, zamknięta i rozświetlona, w dolinie znajdującej się w innej dolinie. Nieopodal urwiska biegł szereg wysokich trawiastych

tarasów, na których można by uprawiać wiszące ogrody Babilonu. Za nimi znów wybuchał las, gdziekolwiek tylko udawało mu się zapuścić korzenie w niemal nagiej i pionowej skale. Wcinały się w nią także trzy jaskinie o kamiennych sklepieniach, do których wejścia zarastał wiciokrzew. Jedna z nich była tak mała, że mogłoby się do niej wślizgnąć tylko dziecko, i to na czworakach; druga okazała się na tyle duża, że można nią było wędrować bardzo długo, choć już po pierwszych paru zakrętach korytarza zaczynało brakować światła dziennego; trzecia jaskinia natomiast była ogromna i płytka, zarzucona drewnianymi szczapami i płatami metalowej siatki, jaką się grodzi kurniki. W przeciwległej ścianie znajdowało się wejście do drugiej, małej komory skalnej, gdzie tej wiosny samica świszczą wydała na świat młode.

Dalej ujrzałam usiane jaskiniami zalesione urwiska, ustępujące miejsca zarośniętym tarasom, które kiedyś z pewnością wykarczowano. Dzisiaj kłębiły się tam młode drzewka, otoczone wiciokrzewem i krzakami dzikich róż. Dobrze pamiętam, jak pewnej zimy próbowałam wdrzeć się na tę stromiznę - wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że nawet styczeń nie jest dość potężny, żeby ujarzmić liściaste Południe. Wśród krzaków - kiedy już znalazłam się w gęstwinie - zauważyłam wyraźne ścieżki, ale wydeptały je tylko króliki, nie nadawały się więc dla nikogo, kto mierzył więcej niż dwadzieścia centymetrów wzrostu. Podrapana, pokłuta i zdyszana wyłoniłam się w brzoskwiniowym sadzie Lucasów, do którego można też wejść o wiele bardziej konwencjonalną drogą, czyli stromym żwirowym podjazdem biegnącym wzdłuż strumienia.

Na płaskim terenie, w otoczeniu formacji skalnych, znajdowała się łąka koników polnych, a między trawiastym tarasem i tamą, zwrócone w stronę łąki, leżało serce miasta - dom Lucasów.

Weszłam na ganek. Moje kroki odbijały się echem wśród skał, ale trawa i koniczyna pochłaniały ten dźwięk. Dom Lucasów, prawdę mówiąc, składa się głównie z przestronnego, dwuskrzydłowego ganku.

Z trzech stron otacza go płot z pomalowanych na szaro drewnianych pali, splekanych, porozszczepianych i wypaczonych bez ratunku. Filary w czterech rogach ganku podtrzymują niski, spadzisty dach, osłaniający sprawiedliwie i bez żadnych uprzedzeń zarówno ganek, jak i sam budynek. Nadaje on jednak tyle dostojności i tak już wielkiemu przecież gankowi, że dom wydaje się przy nim najwyżej dodatkowym elementem, niczym Adam w raju. O jedno ze skrzydeł ganku od wielu lat wspiera się stary, inkrustowany stolik szachowy, stojący na rzeźbionej, pękniętej nóżce; tamtego dnia brązowe płyty lakieru, wystawione na działanie wilgoci i słońca, schodziły z niego pozwijane w trąbki niczym zeschnięte liście.

Dom nie był o wiele dłuższy od ganku. Znajdował się w nim tylko jeden pokój

(myślałam sobie o tym wielokrotnie - na Boga, powinniśmy budować więcej spartańskich domów); mieściły się w nim jednoosobowe łóżko, zbite z desek przyokienne biurko, krzesło

(albo dwa; drugie dla gościa, jak mawiał właściciel), i parę wąskich półek. Ściany to głównie okna, w sumie pięć, ale wszystkie z powybijanymi szybami, więc moje życie pod tutejszym dachem to przede wszystkim Tinker Creek i osy murarki.

Jest to jednak wspaniałe życie - naprawdę luksusowe. W domku założono instalację elektryczną, a z niewykończonego drewnianego sufitu zwiesza się goła żarówka w oprawce. Jest tu także przewód kominowy i można podłączyć kuchenkę. Za gankiem, pod jego bardziej oddalonym od strumienia skrzydłem, stoi duży, murowany grill, na którym da się upiec nawet całego wołu. A woły tuczą się zaledwie pięć minut stąd, na pastwisku po drugiej stronie wzgórza. Drzewa ocieniające domek to orzechy czarne i pekany - orzeszniki jadalne. Wiosną brzeg strumienia, płynącego dosłownie o krok od ganku, pokrywa się żółtymi kaczeńcami, które sięgają aż sadu brzoskwiniowego.

W środku panowały ciemności, jak zwykle, a pięć okien kadrowało jakby pięć różnych filmów o świetle i żywym świetle. Podeszłam do pierwszego z nich, wychodzącego na strumień, i pod moimi nogami zachrzęściły okruchy szkła. Chciałam popatrzeć na Tinker Creek, pochylony nad tamą i skręcający w cieniu pod urwiskiem, oraz poobserwować trzmielę wielkości kucyków, które buszowały w barwiących brzeg aromatycznych kwiatkach. Pod dom przykicał młody królik z puszystym białym ogonkiem, po czym znieruchomiał. Przycupnął pod moim oknem, położył uszka po sobie i ani drgnął, niczym żywy obraz kamuflażu przystosowawczego. Nie zdołał jednak, co wydało mi się bardzo zabawne, utrzymać się całkiem w bezruchu. Otóż był tak młodziutki i tak bardzo swędział go jeszcze grzbiet, że z dość głośnym szelestem próbował się podrapać, gwałtownie wyrzucając do przodu tylną łapkę - po chwili jednak znów przyjmował pozycję nieruchomej czujności. Tam gdzie woda spadała z zapory, walczyły ze sobą dwa motyle, szlaczkonie południowce. Szczepiały się i rozłączały, wzlatując co chwila w górę pionowym lotem, jak gdyby ściagały się wewnątrz przezroczystego, spiralnego pnącza.

I nagle stało się coś cudownego, chociaż zapowiadało się zupełnie zwyczajnie. W pewnej chwili ujrzałam samiczkę czyża złotawego. Wylądowała delikatnie na czubku purpurowego kwiatu ostu i zaczęła wyjadać ziarenka, rozrzucając dookoła puch z gniazd nasiennych.

Kadr mojego okna wypełniło światło. Puch wzbijał się i unosił we wszystkich kierunkach, szybując nad wodospadem na tamie, wpływając chwiejnie pomiędzy tulipanowce i dalej, na łąkę. Pchnięty jednym tchnieniem wiatru, skoczył w kierunku sadu, zawisł w

powietrzu nad dojrzewającymi owocami pawpaw i chwiejnie wspiał się na górę po stromym tarasie.

Szarpał się, drżał, dryfował i kluczył. Potem ruszył niepewnie w kierunku domku, skąd wiatr zdmuchnął go prosto nad las motocyklistów, gdzie wzbił się wyżej i zaraz wpadł w rozłożyste ramiona leszczyny. W końcu, niczym śnieg, zabłąkał się rozkosznie i na oślep nad rozlewisko w górze strumienia oraz jego główny nurt niżej, za skałami. Osiadał z drzeniem na czubkach źdźbeł trawy, gdzie zastygał leciutko, chociaż wciąż chwilami przeszywały go dreszcze. Wstrzymałam oddech. Pytałam samą siebie, czy naprawdę właśnie tu żyjemy, w tym momencie i miejscu, tu gdzie powietrze jest tak lekkie i swobodne...

Ta sama niezmiennność, która rozsadza gwiazdy i każe modliszce pożerać swojego partnera, otworzyła na moich oczach gruby, zręczny dziób czyża i rozwiązała pierzasty szyfr puchu. Jak coś może być nie tak na tym świecie? Gdybym była lżejsza i strzępiasta, też mogłabym unosić się na owym wietrzyku, ryzykując życie dla przyjemności, jaką jest bycie czystą igraszką żywiołu.

Oset wymienia się w przekleństwie Adamowym.

„Przekłeta niech będzie ziemia z twego powodu: w trudzie będziesz zdobywał od niej pożywienie dla siebie po wszystkie dni twego życia. Cierń i oset będzie ci ona rodziła”*. Straszna klątwa: ale czy to czyż połyka ciernistą gorycz wraz z nasionami ostu, czy ja? Jeżeli to drżące powietrze jest grzeszne, to każdy jego grzech musi być czystym szczęściem. Jeżeli ten ogród nad strumieniem oznacza żal i rozpacz, to poszukuję męczeństwa. Korona cierniowa zdobi moją głowę lekko niczym skrzydła. Wenecki malarz barokowy Tiepolo namalował kiedyś Chrystusa jako niemowlę o czerwonych usteczkach, trzymające w rączkach czyża, który zdaje się rozglądać wokół w poszukiwaniu ostów.

Grzechem był już chyba pierwotny akt Stworzenia - wyrwa w ciernistym pięknie rzeczywistości.

Samica czyża złotawego, siedząca na tym postrzępionym oście, z każdym ostrożnym uderzeniem dzioba wsuwała łebek coraz głębiej w gniazdo nasienne.

Delikatnymi nóżkami trzymała się kurczowo pionowej, ciernistej łądygi; po chwili z ostu trysnęły i posypały się resztki puchu. Czy ja potrafiłabym zjeść cokolwiek z takim wdziękiem? I czy umiałabym pięknie umrzeć? Wkrótce czyżyca odleciała z trzepotem pierzastych skrzydełek, poza kadr wybitego okna, w kie-

* Księga Rodzaju 3,17-18. runku głębokiego, błękitnego cienia urwisk, gdzie pod drzewami zapalały się już spóźnione wrzosy. Byłam nieważka; wydawało mi się, że moje kości to skóra wypełniona lotnym gazem; miałam wrażenie, że jeśli odetchnę zbyt głęboko,

moja głowa i ramiona oderwą się od tułowia i uniosą w powietrze. Alleluja.

Leżałam potem, na wpół wysunięta ze śpiwora, na wąskiej, płaskiej półce pomiędzy gankiem domu i brzegiem strumienia na wysokości zapory. Leżałam w miejscu, gdzie dopadłaby mnie powódź, szybka jak błyskawica, ale powódź w tym roku już mieliśmy.

Noc była pogodna, bo kiedy sztukateria wiszącego nade mną listowia zaszeleściła i rozstąpiła się, ujrzałam pogańskie gwiazdy.

Ze wszystkich stron otoczyły mnie rozmaite odgłosy. Rozwibrowałam się cała, niczym stojąca woda, którą marszczy wiatr. To cykady - nazywane przez Donalda E. Carra „armatami sierpnia” - wyległy na żer całą swoją potęgą. Ich piskliwe chrzęszczenie unosiło się nad łąką i odbijało echem od pierścienia urwisk, napełniając powietrze płacziwą, tajemniczą niecierpliwością. Słyszałam, jak zaczęły koncert o zmierzchu, i uderzyło mnie, że najpierw się naprawdę „rozgrzewają”, niczym rozstrojona orkiestra, bo początkowo tylko skrzypiały i zgrzytały kakofonicznie. Brzmiało to tak, jakby ktoś grał na wiolonczeli, używając grzebienia z powyłamywanymi zębami zamiast smyczka.

Dołączyły do nich także żaby, skrzecząc na niemożliwe do zidentyfikowania nuty, w moich uszach zawsze brzmiące wyjątkowo arbitralnie i anarchistycznie, a potem jeszcze świerszcze, grające swoją muzykę, niezmienną od czasów Pliniusza, który bez owijania w bawełnę zanotował kiedyś, że „...świerszcz nigdy nie przestaje rzępolić przeraźliwie przez całą noc”.

Wcześniej nad urwiskiem od strony sadu krzychał kogut przepiórki, raz stąd, raz stamtąd, a okrągłe nuty jego skargi wzbierały żałośnie nad łąką. Kogut, który krzyczy w lecie, jest samotny: nie udało mu się znaleźć partnerki. Odkąd się o tym dowiedziałam, każdy samiec przepiórki, którego słyszałam, miał dla mnie głos przesycony rozpaczą, wręcz samobójczo nieszczęśliwy. Dziś jednak ten samotny sygnał dziwnie podnosi mnie na duchu. Bezradność tego koguta, jego oślo uparte wołanie na dwie nuty przywodzi na myśl niepowodzenie, z którym już się pogodził. Jeden Bóg wie, co taki ptak sobie myśli w zawieszonych w bezruchu chwilach ciszy, oddzielających jego krzyki. I jeden Bóg wie, co ja myślę. Może samica przepiórki powinna zwać się „przepierką”? (Ktoś pokazał mi kiedyś, jak odpowiedzieć kogutowi gulgoczącym, opadającym coraz niżej głosem samicy. Taka odpowiedź działa jak zaklęcie. Ale co mogłabym zrobić w zaklętym kręgu kogutów, jeśli nie płakać wraz z nimi? Mimo to okazuję się na tyle okrutna, że od czasu do czasu odpowiadam ptakowi, żeby usłyszeć odzew gdzieś z urwiska i zaśmiać się gorzko). Tak, życie jest ciężkie, bardzo ciężkie, bez dwóch zdań. Ale czy samo czekanie i tęsknota to nie cud, na którym grają i wiatr, i słońce, i cień?

W swojej słynnej książce *Camping and Woodcraft*

(*Wędrówki z namiotem i czytanie lasu*) grający tylko na jednej, złowieszczej nucie Horace Kephart zauważa na marginesie: „Są ludzie, którzy nie mogą zasnąć w białym namiocie podczas pełni Księżycy”. Ilekroć o tym myślę, śmieję się. Podoba mi się, że ten wiszący na wyciągnięcie ręki nad lasem guziczek grozi sprawieniem lania mojemu duchowi.

Nie leżałam w namiocie pod listowiem i nie spałam, ale spłynęło na mnie zadowolenie. Księżycy w ogóle nie było widać; na wszystkich wybrzeżach świata zapowiadały się silne przypyływy. Siły lunarne wywołują też fale pływowe w powietrzu, leżałam jednak bez ruchu. Czy czułam niewidoczny ruch i fale, iczy w reakcji na nie zapierało mi tchu? Czy czułam światło gwiazd? W każdej minucie na jeden kilometr kwadratowy tej ziemi - na pastwisko dla wołów, na sad, do kamieniołomów, na łąkę i nad strumień - spada jedna tysięczna grama światła gwiazdnego. A w takim razie ile światła gwiazd rozbryznęło się na moich powiekach, policzkach i ramionach? Jaka jego część obsypała mnie i zbombardowała w formie cząsteczek, a jaka gładziła mnie i obmywała w postaci fal? Poszukując takich śladowych doznań, omal nie zsunęłam się po zbocz, kiedy usłyszałam, a jednocześnie poczułam w kościach bioder i nóg przebiegające ziemię drzenie i dudnienie szepianych gdzieś w oddali wagonów towarowych.

Nocny przybór i opadanie fal wypełniły moje myśli, które krążyły swobodnie i niewidoczne. Powietrze kołysało się tam i z powrotem, a światło gwiazd padało niczym deszcz. Za dnia przyglądałam się nartnikom, posuwającym się gwałtownymi ruchami i marszczącym głęboką przybrzeżną wodę, spowolnioną jeszcze przez zaporę. Wiedziałam, że czasem kolonię tych owadów przebiega jakieś tchnienie albo zew, a wtedy przeistaczają się w nowe, uskrzydłone formy. Wieczorami zbierają się na powierzchni swoich rodzinnych wód, a potem nagle wzbijają się w powietrze.

Migrują, żeglują nad łąkami, krążą pod drzewami, lecz w trzepocie połyskliwych skrzydełek suną wciąż dalej, w kierunku niezmiennego blasku: „widmowe statki powietrzne”, jak by powiedział Longfellow.

Teraz, nocą, ze swojej podziemnej nory w dolinie wychynał także skunks, by szukać w ciemności larw chrząszczy. Wielka sowa uszata złożyła skrzydła, spadła z nieba na dół i niespodziewanie spotkała się ze skunksem na zroszonej krwią ziemi. Powietrze napływające z tamtego miejsca, z oddali, rozrzedziła jakby słaba słodycz i poczułam aromatyczny wiatr, który wskazywał na obecność realnych stworzeń i możliwość autentycznie niebezpiecznego spotkania z którymś z nich... Zdarzenia, zdarzenia. Nad moją głową czarne, drapieżne chrząszcze wpełzały na wysokie konary drzew, zabijając po drodze więcej gąsienic i

poczwarek, niż były w stanie zjeść.

Czytałam kiedyś o pewnym tajemniczym nocnym wydarzeniu i odtąd pamięć o nim nigdy mnie nie opuszcza. Edwin Way Teale opisał bowiem proces tak absurdalny, że właściwie wymyka się on ze świata dziwów i wkracza do innego zdumiewającego królestwa, w którym panują nam miłościwie piękno i potęga.

Teale stwierdził co następuje: „Chłodnymi jesiennymi nocami węgorze śpieszące do morza pełzną czasami półtora kilometra albo dalej po rosistych łąkach, by dostać się do strumieni, które uniosą je ku słonej wodzie”. Chodzi o dorosłe, srebrzyste węgorze amerykańskie, a ich zstąpienie do wód z góry moich wspomnień to jakby upadek po długiej wiosennej wspinaczce, której dokonały te ryby przed kilku laty. Jako mierzące zaledwie kilka centymetrów długości węgorzyki wily się i gramoliły z trudem ze słonego morza w górę przybrzeżnych rzek w Ameryce i Europie, coraz wyżej, zawsze szukając „cichych, wyższych partii rzek i potoków, a także jezior i stawów, leżących czasem nawet na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów”. W tych wodach przeżyły, nie rozmnażając się,

„co najmniej osiem lat”. Pod koniec lata w ósmym roku życia osiągnęły dojrzałość, przestały żerować i utraciły ciemne ubarwienie. Stały się srebrzyste i teraz wędrują do słonych wód. Strumieniami do rzek, a rzekami do morza, w południowe rejony Oceanu Atlantyckiego, gdzie (mijając po drodze miliardy młodych węgorzy, zdążających na północ) spotykają się wszystkie w drodze powrotnej do Morza Sargassowego, na największe atlantyckie głębiny. Tam, pośród gronorostów zwanych sargasami, będą kopulować, złożą ikrę i padną. Cała ta skrótowo naszkicowana historia węgorzy wydaje mi się skrajnie ekstrawagancka i jest pożywką dla kolejnej myśli - o sensie takich szalonych, niepojętych gestów przyrody. Ale leżąc pod orzechem czarnym nieopodal domku Lucasów i zapory, byłam zainteresowana przede wszystkim uczuciami, więc moje myśli wybiegały ku łące.

Wyobraźcie sobie chłodną noc i łąkę, krople rosy opadające z łukowatych źdźbeł trawy. Nagle coś się dzieje: zieleń na skraju polany kołysze się i drży, bo oto nadchodzą węgorze. Najdłuższe nich mierzą półtora metra i wszystkie są srebrzyste. Zalewają łąkę, pełzną wśród traw i koniczyny i schodzą ci z drogi.

Jest ich zbyt wiele, żebyś mógł je policzyć. Widać tylko srebrny ślizgowy ruch, przywodzący na myśl poskręcane sznury bijącej z góry wody, jednokierunkowe kłębowisko i plątaninę ciągnącą się przez łąkę w dół zbocza do strumienia. Srebrzyste węgorze nocą: ledwo widoczne rojowisko, jak zmrużonym okiem sięgnąć, wijący się, gęsty potok srebra w trawie. Czy nie umarłabym, gdybym zobaczyła coś takiego? Czy gdybym przypadkiem zaobserwowała takie zjawisko, miałabym odwagę jeszcze kiedyś wyjść z domu? Czy może

ogarnęłaby mnie chęć, żeby przyłączyć się do tego hipnotyzującego pędu? Czy nie przestałabym jeść, nie pobladła i nie porzuciła wszystkiego, tylko po to, żeby iść wciąż przed siebie?

Czy to miejsce zawsze tak wyglądało, a ja nic o tym nie wiedziałam? Podmuchy, loty, szarpanina i wysokie skoki, a potem upadek na trawę. Dlaczego Bóg w raju nie pozwolił zwierzętom nazwać człowieka? Dlaczego nie walczyłam z konikiem polnym, który przysiadł na moim ramieniu, i nie przygwoździłam go do ziemi, żeby zaczął w końcu wzywać mojego imienia? Byłam puchem ostowym, a teraz wydawało mi się, że jestem trawą, miejscem spoczynku koników polnych, węgorki i modliszek - trawą szarpaną wiatrem, ostatecznym miejscem wszelkiego wytchnienia.

Koniki polne, puch ostowy i węgorki najpierw wędrowały w górę, a potem w dół. Jeśli przyjrzy się uważnie ręką zonglera, zauważycie, że są niemal nieruchome; zajmują precyzyjnie wyznaczone pozycje pod odpowiednimi kątami, a piłeczki zdają się opisywać w powietrzu idealne kręgi jakby z własnej woli.

Trudniejszy jest łuk wznoszący, ale nasz wzrok przykuwa raczej łagodne półkole spadku. Każda spadająca piłeczka zdaje się podążać w ślad za pięknem jak za powidokiem, omdlewająco osuwając się w powietrzu i niemal znikając nam z oczu, a potem... Spójrzcie tylko, opada kolejna piłeczka, rozsiewając wokół przezroczyste piękno; po chwili jeszcze jedna...

Wszystko minęło oszałamiająco szybko. Samiczka czyża złotawego, którą widziałam wcześniej, spała już w gęstwinie; kiedy układała się do snu, jej pazurki zacisnęły się kurczowo na gałązce. Osy spały ze zwieszonymi swobodnie odnóżami, wbiwszy szczęki w miękkie łodyżki roślin. Proszę państwa, niech każdy się czegoś trzyma, bo wszyscy lecimy w dół, z pieca na łeb.

Jestem wzdętą kupą gliny, którą ktoś nadmuchał i postawił na nogi. To, że upadam jak Adam, nie może dziwić: nurkuję, unoszę się w powietrzu, opisuję w nim łuki, przelewam się i zanurzam. Dziwię się, jak przyjemnie wiatr owiewa mi twarz podczas upadku.

Drugim powodem mojego zdumienia jest to, że w ogóle się wznoszę. Wznoszę się, kiedy wchłaniam w siebie świat niczym trawa.

Nie wiedziałam ani dawniej, ani teraz - nigdy - jaki to duch wstępuje w moją pierś i trzepocze się w okolicy serca niczym wzlatający w górę orzeł. Nazwałam go pełnią cudu, najwyższym dobrem, głosem.

Zamknęłam oczy i ujrzałam kikot pnia miotany wiatrem, olbrzymi kikot, lecący bokiem w polu mojego widzenia, otoczony szerokim rondem korzeni i ziemi, niczym

podrzucony w powietrze cylinder.

Zadałam sobie pytanie, co by się stało, gdyby te koniki polne były osiadającą na ziemi szarańczą, a ja stałabym z otwartymi oczami pośrodku ich roju. Czego więcej mogłabym sobie życzyć niż bycia obiektem totalnego działania, celem lotu i miejscem spoczynku chmar owadów, które penetrują moje ciało, odbijają się od niego, a nawet je gryzą. Odrobina krwi z nadgarstków i szyi to cena, jaką chętnie zapłaciłabym za napór tych chrzęszczących ciężarków na moich ramionach, za zapach pustyni, za odgłos pożaru brzęący w moich uszach - za to, że tkwiłabym w samym środku gęstniejącego mrowia, w zachwycie i objęciach wznoszącego się oraz opadającego realnego świata.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Rogi ołtarza

I

Tego wieczoru w kamieniołomach towarzyszył mi wąż. Leżał w cieniu urwiska, na płaskim występie piaskowca ponad ciemnymi wodami stawu. Ja siedziałam dziesięć metrów dalej, na wzniesieniu ponad leśną ścieżką, kiedy zauważyłam ciemny zygzak na skałach, leniwą sinusoidę, która nie może oznaczać nic innego niż węża. Podeszłam bliżej, by lepiej mu się przyjrzeć, ostrożnie zsuwając się ze stromej skały, i przekonałam się, że mierzył najwyżej dwadzieścia pięć albo trzydzieści centymetrów długości, ale był dość gruby.

Podeszłam jeszcze bliżej i wtedy zobaczyłam łatwe do rozpoznania faliste smugi brązu, przypominające klepsydry: był to mokasyn miedziogłowiec.

Nawet zimą nie ruszam się z domu ani na krok bez surowicy przeciwjadowej. Trzymam ją w gumowym futerale wielkości mniej więcej naboju karabinowego.

Instynktownie poklepałam się po kieszeni spodni, żeby sobie przypomnieć, gdzie schowałam ampulkę. Potem kilkakrotnie mocno tupnęłam nogą i przysiadłam na kamieniu bardzo blisko węża.

Młody mokasyn spoczywał na skale bez ruchu.

Chociaż leżał luźno rozciągnięty, początkowo widziałam jedynie kamuflażowy, pstry, plamisty deseń na jego skórze, który trudno było mi odróżnić od cętek światła tańczących wśród dzielącego nas zielska i głębokiej nocnej czerni stawu w kamieniołomie za skałą.

Po chwili z tej gmatwaniny wyłonił się nagle łeb: brązowy, połyskliwy, trójkątny i tępy niczym kamienny topór. Łeb mokasyna i pierwsze dziesięć centymetrów jego tułowia uniosły się nieco w powietrzu nad kamieniem. Przyglądałam się wężowi z podziwem, bo jego jasne łuski błyszczały świeżością jak wypolerowane.

Miał idealnie ukształtowane ciało, krzepkie i doskonałe. Trudno mi było uwierzyć, że nie został dopiero co stworzony na tym miejscu albo że właśnie nie urodziła go matka; sprawiał wrażenie osobnika tak zdrowego i nieskazitelnego, jak gdyby miał przed sobą całe życie.

Czy mnie widział? Siedziałam teraz zaledwie o metr od niego, na skraju trawiastego urwiska za półką z piaskowca, a on leżał między mną i stawem w kamieniołomie. Machnęłam ręką w jego kierunku - nic się nie poruszyło. Rzucone spođe łba spojrzenie i szydarczy

uśmiech pozbawionego warg gadziego pyska nic mi nie mówiły. Skąd mogłabym wiedzieć, na co patrzy wąż? Co widzi? Zmrużyłam powieki i przeniosłam wzrok na jego łeb, wpatrując się w oczy przypominające szklane oczka wypchanego ptaszka oraz w skośnie ułożone, zachodzące na siebie łuski, obramowujące jego nieprawdopodobny, nieodgadniony pysk jak tarcze - właśnie tak.

Owszem, zdawał sobie sprawę z mojej obecności.

Coś było w jego oczach, jakaś nie znana mi czujność...

Na litość boską, jak to jest mieć łuski na twarzy? W porządku, mokasynie. Ja wiem, że ty tu jesteś - ty wiesz, że ja tu jestem. To bardzo ważna noc dla nas obojga.

Wbiłam łokcie w twardą skałę i wyschniętą ziemię, układając się na zboczu, by zacząć długie czuwanie.

Chciałam go bowiem przetrzymać.

Jedynym innym jadowitym wężem w tych stronach jest grzechotnik leśny, *Crotalus horridus horridus*. Te gady osiągają w górach nawet dwa metry długości i bywają grubości ludzkiego uda. Nigdy nie widziałam żadnego na wolności - choć nie wiem, ile z nich widziało mnie. Częściej spotykam jednak mokasyny, grzejące się w piasku na słońcu, znikające w szczelinach skalnych albo pełnące przez polne dróżki ozmierzchu. Oczywiście mokasyny nie grzechoczą i - jak wynika przynajmniej z mojego doświadczenia - nie schodzą człowiekowi z drogi. Należy obchodzić je z daleka, jeśli się któregoś zauważy. Właściwie nie są to węże na tyle duże ani jadowite, by spowodować śmierć dorosłego człowieka, ale to one mają na swoim koncie zdecydowanie najwięcej ukąszeń w Ameryce Północnej, a w lasach na wschodzie kraju żyje co najmniej tyle samo mokasynów, ilu ludzi. Interesuję się nowymi badaniami nad grzechotnikami i mokasynami i dużo o nich czytam, a kolejne zespoły herpetologów, nie wiedząc czemu, zawsze wybierają moją część lasu na prowadzenie badań terenowych. Twierdzą, że jadowite węże są u nas równie pospolite jak zebry w Afryce Wschodniej albo orchidee w tropikach - to nasza specjalność, nasz żywy inwentarz. Dlatego zawsze staram się uważać. Ale nie boję się: trzeba mieszkać na naprawdę wyjątkowym odludziu, żeby mieć dalej niż dzień drogi do szpitala. A martwić się, że ukąsi cię grzechotnik, to trochę jak martwić się, że meteoryt spadnie ci na głowę - życie jest za krótkie, żeby się przejmować takimi sprawami. Nie warto się przejmować również dlatego, że samo ukąszenie jest zwykle bezbolesne.

Pewnego dnia rozmawiałam o wężach z panią Mildred Sink, która pracuje w centrali telefonicznej. Dzieliła nas wielka szyba i rozmawialiśmy przez ziejący w niej okrągły otwór. Telefonistka siedziała w ciemnym pokoiku, niewiele większym od kabiny prysznicowej, a w

trakcie rozmowy na jej biurku ciągle pomrukiwały czerwone światełka. Mildred zerknęła na nie, potem z powrotem na mnie, a kończąc swój wywód z wystudiowanym spokojem, wbijała we mnie przeciągłe, znaczące spojrzenie, by przykuć moją uwagę.

Tymczasem niezawodnie odnajdywała ręką właściwy klawisz i wciskała go fachowo. Obsługiwała telefony przychodzące, a jednocześnie opowiadała mi pewną węzową historię.

W dzieciństwie mieszkała na wsi, na północ od Tinker Creek. Miała czteroletniego braciszka. Pewnego pogodnego letniego dnia jej mały brat i mama siedzieli sobie spokojnie w dużym pokoju w domku letniskowym. Matka szyła i pochylała się w skupieniu nad robotą, a malec bawił się drewnianymi klockami na podłodze.

- Mamo... - powiedział. - Wiesz, widziałem węża.

- Gdzie?

- Nad strumykiem.

Pani Sink obszywała rąbek bawełnianej sukienki, wbijając igłę w tkaninę, którą następnie wygładzała ręką, a chłopczyk starannie wznosił różne budowle z klocków, ustawiał je i przestawiał. Po chwili powiedział:

- Mamo, tu jest za ciemno. Nic nie widzę.

Matka podniosła wzrok i dopiero wtedy zauważyła, że noga chłopca była tak spuchnięta, że jej obwód równał się obwodowi jego tułowia.

Mildred Sink pokiwała głową, patrząc na mnie znacząco, po czym zajęła się pomrugującym światełkiem na tablicy rozdzielczej, ale zaraz odwróciła głowę; ten rozmówca może sobie poczekać. Pomachałam do niej, przyciągając jej wzrok. Pomachała mi w odpowiedzi.

Wyszłam.

Mokasyn leżący przede mną spoczywał w bezruchu, a jego łeb wciąż unosił się nad skałą. Przyszło mi do głowy, żeby go szturchnąć patykiem, ale rozsądnie odrzuciłam tę myśl. Mimo to chciałam coś zrobić.

Marston Bates wspomina angielskiego ekologa, Charlesa Eltona, który wyraził się kiedyś w jakże typowy dla Brytyjczyków sposób: „Wszystkie zwierzęta zimnokrwiste spędzają zaskakująco wiele czasu, nic nie robiąc, a w każdym razie nie robiąc nic szczególnego”.

I ten mokasyn właśnie nic nie robił.

Zauważyłam jego ogon, zwężający się w koniuszek tak cieniutki, że niemal niewidoczny. Powróciłam wzrokiem ku głowie i powolutku powiodłam spojrzeniem wzdłuż całego ciała węża: zwęzał się, zwęzał, zwęzał, łuski, łuski, coraz mniejsze łuski, koniec.

I nagle zrozumiałam, że nigdy dotąd nie widziałam czegoś równie zdumiewającego jak ten ogon. Było mi wręcz przykro, że żaden organ mojego ciała nigdzie się tak nie zwęża. A może jestem balonikiem w kształcie człowieka, który ktoś nadmuchał przez dziurkę w opuszce palca jednej z moich rąk?

Oto pełnokrwiste, czujne stworzenie, unerwiony sznur materii organicznej, zrzędzeniem najrzadszego z przypadków rozciągnięty na skalę właśnie tu, a nie gdzie indziej. Mokasyn wyglądał jak rozszerzające się z wierzchołka nicości zgrubienie, jak pęd ku istnieniu; był krwią i gałkami ocznymi, nadmuchanymi przez maleńką jak główka od szpilki szparkę w pysku. Zawsze dotąd, ilekroć widziałam tę skałę, była ona po prostu płaskim kawałkiem piaskowca nad stawem w kamieniołomach - teraz jednak gościła i dźwigała na sobie ten kawałek bytu, który rozcinał powietrze wokół jak wbity młotem klin. Przyjrzałam mu się następnie od drugiej strony. Ciągnął się od ogona do łba niczym coraz głośniejszy werbel, narastający od milczenia do spęczniałego huk. Na wysokości wybruszonych policzków znowu zaczynał się zwęzać - diminuendo - aż wreszcie na czubku pyska linie jego ciała raz jeszcze spotykały się w nieskończonym punkcie, w którym zanikają wszystkie kąty i w którym przestrzeń znów przestawała być węzem.

Podczas gdy zajmował mnie ten cud, stało się coś tak niecodziennego i nieoczekiwanego, że prawie nie mogę uwierzyć, że byłam świadkiem równie groteskowego zjawiska.

Noc wstawała jak mgła znad czarnego o tej porze stawu w kamieniołomie. Do ucha śpiewał mi komar, którego odpędziłam machnięciem ręki. Przyglądałam się mokasynowi; komar przysiadł na mojej kostce - i tym razem przegoniłam go leniwym gestem. Wtedy, ku mojemu niebotycznemu zdumieniu, owad wylądował na wężu. Usiadł na jego grzbiecie w okolicach

„szyi” i pochylił trąbkę, żeby zrobić swoje. Zmartwiałam. Nie widziałam go zbyt dokładnie, ale udało mi się dostrzec pochyloną ssawkę, która wbijała się w skórę węża niczym studzienny świder przewiercający się przez skały powierzchniowe do wody gruntowej. Rozejrzałam się szybko dookoła, żeby zobaczyć, czy nie zauważę kogoś (myśliwego, idącego poćwiczyć strzelanie do pustych puszek po piwie, albo jakiegoś chłopaka na motorze), komu mogłabym pokazać tę zdumiewającą scenę, dopóki trwała.

A jeśli się nie mylę, trwała całe dwie albo trzy minuty, które mnie zdawały się godziną. Wyobraziłam sobie, że wąż, jak żaba wyszana przez olbrzymiego pluskwiaka wodnego, za chwilę zapadnie się w siebie i pozostanie z niego tylko skórny woreczek. Ale mokasyn ani razu się nie poruszył, nie dał żadnego znaku, że zdaje sobie sprawę, co tu się

wyprawia. W końcu komar wyprostował się, przednimi odnóżami potarł łebek jak mucha, po czym ociężale wzbil się w powietrze, gdzie zaraz straciłam go z oczu. Spojrzałam na węża, a potem dalej, na poszarpane rumowisko na zboczu wzgórza, skąd przed laty człowiek wydobywał kamień. Wstałam, otrzepałam się i wróciłam do domu.

Zastanawiałam się wtedy, czy tak to właśnie jest, i nadal się zastanawiam: trochę krwi tu, pobojuwisko czy rumowisko tam, a przecież wciąż żyjemy, chodzimy po trawie... Czy wszystko, co całe i zdrowe, musi zostać kiedyś wysrane, ukąszone albo nadgryzione?

Zobaczyłam nowe światło padające na złożoną fakturę świata, samą fabułę terażniejszości w czasie po upadku: widzę, jak my, istoty żywe, jesteśmy pożerani i jak sami pożeramy inne stworzenia - nie płyniemy na żadnej chmurce w powietrzu, tylko wleczeni się noga za nogą, podziobani, poszarpani i poobijani po naszej postrzępionej, nieregularnej, pięknej planecie.

II

Po powrocie do domu w pierwszej kolejności sięgnęłam na półkę z książkami, żeby się przekonać, czy jest możliwe, że widziałam to, co jak mi się wydawało, jednak widziałam. Znalazłam w książce Willa Barkera *Familliar Insects of North America* (Znane owady Ameryki Północnej) tylko następujące zdanie: „Samica tego gatunku (komar brzęczący, *Culex pipiens*) wyposażona jest w maleńką trąbkę, przypominającą świder, która może przebić wiele rodzajów skóry, w tym nawet grubą skórę żaby albo nakładające się na siebie wężowe łuski”. No więc chyba wszystko jest w porządku: najprawdopodobniej rzeczywiście widziałam to, co widziałam. Wszystko może się zdarzyć, absolutnie wszystko; a świat jest bardziej pogryziony, niż mi się śniło.

Mamy połowę września; w coraz słabszym świetle widzę poszarpane otworki w liściach żywopłotu z jaśminowca za oknem mojego gabinetu. Im uważniej mu się przyglądam, tym bardziej wątpię, czy na krzaku pozostał chociaż jeden cały, nietknięty liść. Wychodzę znowu z domu i oglądam listki jeden po drugim, najpierw na jaśminowcu przed gabinetem, a potem na drzewie wiśniowym w ogródku. W błękitnym świetle widzę odrapane i obdarte z kory łodygi oraz na wpół zjedzone liście, zwiędłe, zwarzone, pokryte bąbelkami, podziurawione, odcięte, usiane plamkami, rozdziobane, wzdęte, odpiłowane, poprzekłuwane i pomarszczone. Gdzie ja się podziewałam przez całe lato, kiedy coś jadło ten świat?

Przypominałam sobie jeszcze jedno zdarzenie z tego tygodnia. Pewnego dnia na drodze niedaleko strumienia spotkałam małego chłopca, dźwigającego wielkiego, długiego na prawie pół metra żółwia jaszczurowatego. Chłopiec niósł gada - który wyrywał się i gwałtownie kłapał paszczą - w wyciągniętych rękach, musiał więc być zmęczony, bo chociaż

dobrze widział, że jestem na spacerze i ewidentnie nie mam przy sobie żadnego pudełka, spytał mnie żałośnie:

- Ma pani jakieś pudełko?

Zaczęłam podziwiać żółwia, ale chłopiec był zmartwiony.

- Obsiadły go pawki - powiedział.

- Pawki?

- No wie pani, takie, co ssą krew.

Aha. Dopiero wtedy zauważyłam czarną pijawkę, zwieszającą się nad grubym pancerzem żółwiowym niczym smolna łąza. Chłopiec pokazał mi jeszcze jednego krwiopijcę, długości niemal pięciu centymetrów, wczepionego w ziarnistą skórę pod przednią łapą zwierzęcia.

- Czy one go zabiją? - zapytał chłopiec. - Czy ten żółw będzie żył?

Wiele, a może nawet większość dzikich żółwi, które spotykam na swojej drodze, to ofiary pijawek. Zapewniłam dzieciaka, że żółw jednak przeżyje. Dla większości zwierząt bycie gospodarzem dla różnych pasożytów to sposób na życie - jeżeli życie to w tym miejscu trafne określenie.

Myślę na przykład o lisie, o którym opowiadał mi leśniczy, Gene Parker. Zwierzak leżał na górskiej hali nagi, obciążony tylko różową skórą, nie mogąc się podnieść, zżerany żywcem przez parchy. Myślę też o rybie, na którą natknęłam się w wodzie u Lawsonów, w górze Tinker Creek, po drugiej stronie Tinker Mountain. Nie widziała na jedno oko, oślepione guzem białej pleśni wodnej, ciągnącej się aż do połowy rybiego grzbietu w bielmowych grudkach, przypominających nasączone wodą waciki. Być może została zraniona, gdy złapał ją jakiś wędkarz, a potem wypuścił z powrotem do wody, albo powódź wyrzuciła ją na skały, a potem w ranę wdał się grzyb, rozprzestrzeniając się coraz bardziej. Wspominam Lorena Eiseleya, który opowiadał mi kiedyś o pewnym badaczu, spotkanym przez niego w terenie - uczony radośnie pokazał mu zakrwawiony słój, w którym wił się niewiarygodny pasożyt, długi na kilka metrów, znaleziony w brzuchu królika. Nagle przychodzi mi do głowy pomysł na „Żywoty pasożytów” - coś w rodzaju piekielnej hagiografii. Przypominam sobie ochotki i przywry, których pasożytniczy cykl życiowy wymaga czasem zmiany aż czterech żywicieli. A ile z tych koników polnych, skaczących koło mnie na łące Lucasów, dźwigało w swoich odwłokach długachne, zwinięte w kłębki larwy nitnikowców?

Kiedyś dostałam w prezencie mały, ilustrowany, amatorski przewodnik po owadach szkodnikach - to znaczy książkę o owadach, które z takiego czy innego powodu stanowią zagrożenie dla cywilizacji bądź gospodarki ludzkiej. Nie wszystkie z nich to pasożyty, w

żadnym wypadku. Mimo to czyta się owo dzieło niczym diabelską summa theologica. Wśród wymienionych w nim szkodników znajdują się czerwce białe, strąkowce fasolowe, kołatki, chrząszcze ryjkowcowate, muchówki udnice, wciornastki, gąsienice ciem sówkowatych, pluskwiaki z rodziny tarczówkowatych, wydzielające cuchnące substancje, pasożytnicze muchy śrubowe, błonkówki, wszoły drobiowe, muchówki sernicowate, rozkruszki mączne, gąsienice ćmy Megalopyge operculańs z włoskami zawierającymi jad, świerzbowce i wełnowce szklarniowe. O karaczanach można w tym przewodniku przeczytać, że „w braku innego pożywienia mogą żywić się również ludzkimi włosami, naskórkiem i paznokciami”. (Kluczowe tu słowo „skóra” pozostaje jednak starannie ukryte). Kolorowe ilustracje przedstawiają zarobaczoną wołowinę i pokryte muchami rany, pokryte rdzą brunatną liście drzew, zwarzone zboże, obżarte krwią pchły, szynki rojące się od larw, ropiejące oczy tuczników i robaki w nozdrzach owiec.

Z innej książki dowiedziałam się, że owady pasożytnicze stanowią dziesięć procent wszystkich gatunków zwierząt. Trudno w to uwierzyć. Czy gdybyś był inżynierem, kazałbyś dziesięciu procentom twoich urządzeń działać w taki sposób, by mogły funkcjonować poprawnie, jedynie dręcząc, okaleczając albo zabijając pozostałych dziewięćdziesiąt procent twego dzieła? Ciągłe niewiele wiemy o tych sprawach.

Na przykład istnieje niemal tyle gatunków wszy, ile gatunków wszystkich innych zwierząt. Nie tylko wysysają krew, ale mogą także żywić się włosami, piórami, wyschłymi łuskami ciem, a nawet innymi wszami. Ornitologowie twierdzą, że dzikie ptaki są zawsze atakowane przez inny gatunek wszy. Ptaki śpiewające często przysiadają w piasku w pobliżu mrówczych kopców i biorą jakby prysznic z żywych mrówek - dlatego uczeni sądzą, że kwas mrówkowy zapewne odstrasza wszy. „Każdy gatunek alki jest żywicielem innego gatunku wszy, a na niezawszonego osobnika jeszcze nie natrafiliśmy”. Europejska kukułka jest wyłącznym gospodarzem dla aż trzech gatunków wszy, a lśniący ibis dla pięciu, przy czym każdy z nich specjalizuje się w konsumpcji innej części ciała żywiciela. Wszy gnieźdzą się w pustych dudkach ptasich piór, w sierści guźców, w płetwach arktycznych fok i w wolach pelikanów.

Pchły są niemal równie szeroko rozpowszechnione, choć znacznie bardziej „katolickie” od wszy w wyborze gospodarzy, bo pasożytują niemal na wszystkich stworzeniach. Co ciekawe, młode żywią się niemal wyłącznie odchodami rodziców i innych dorosłych osobników swego gatunku - dopiero pchły dojrzałe karmią się krwią swych ofiar.

Istnieje również całe mrowie gatunków owadów dwuskrzydłych, jak muchy i komary. To właśnie za ich sprawą hipopotamy przesiadują w błocie, a oszalałe karibu tratują swoje

młode. W Europie w 1923 roku padło dwadzieścia tysięcy sztuk bydła domowego wskutek ataku roju meszek, które wylęgły się na błotnistych brzegach Dunaju. Larwy niektórych pasożytniczych much żyją w żołądkach koni, zebra i słoń, a inne w nozdrzach albo w oczach żab. Jedne pasożytują na dżdżownicach, ślimakach i ślimakach nagich, drugie atakują i skutecznie wysysają komary już pełne wysanej krwi. Jeszcze inne żywią się takimi delikatesami jak mrówcze mózdzki, krew piskląt ptaków śpiewających albo płyn organiczny znajdujący się w skrzydłach sieciarek i motyli.

Życie owadów i ich pasożytów jest bardzo skomplikowane. Najczęściej larwa pasożyta pożera gospodarza żywcem w którymś z kilku stadiów jego rozwoju.

W tego rodzaju procederze specjalizują się zwłaszcza pasożyty błonkoskrzydłe z rodziny Hymenoptera, które dla uproszczenia będę tu nazywać osami. Niektóre z nich są tak „wyspecjalizowane” jako pasożyty, że ich samice żłobią przypominające ósemki kształty na jajach owada, w których złożyły swoje jaja, by inne osy już tego nie robiły. Znamy ponad sto tysięcy gatunków pasożytniczych os i wiele ich zwyczajów, chociaż niektóre wciąż pozostają dla nas tajemnicą. Brytyjski entomolog R.R. Askew powiada: „Rozciąga się przed nami szerokie pole badań o kuszącej perspektywie”.

Pole może faktycznie jest szerokie, ale przynajmniej jeśli chodzi o mnie, perspektywa wcale nie wydaje się kusząca, chociaż wielu moich ulubionych entomologów zdaje się fascynować tymi stworzeniami.

Weźmy następującą opowieść Edwina Way Teale’a.

Kiedyś przyniósł on do domu gąsienicę motyla monarchy [*Danaus plexippus*), by zrobić jej zdjęcia, gdy będzie się przepoczwarzać. Jasnozielona gąsienica w kształcie litery J zwisała głową w dół z liścia, jak wszyscy jej pobratymcy od niepamiętnych czasów.

„Przez całą noc wisiała w tej pozycji. O ósmej rano zauważyłem, że łuk jej ciała, wygiętego w kształt litery J, znacznie się zmniejszył. Potem, nagle, jak gdyby ktoś przeciął podtrzymującą ją od wewnątrz linkę, gąsienica wyprostowała się i zwisała zupełnie bezwładnie. Wyglądała niczym woreczek wypełniony jakąś gruzłowatą zawartością. Rozkołysała się jednak, kiedy grudki w jej wnętrzu zaczęły się poruszać i rozpychać.

O dziewiątej trzydzięci przez skórę gąsienicy przebiła się pierwsza z sześciu białych, tłustych larw. Każda mierzyła około centymetra długości”. Była to właśnie robota pasożytniczej osy.

Inna krewniaczka tego owada podróżuje ucepiona dorosłej modliszki, karmiąc się jej ciałem. Osa ta składa swe jaja w jajach modliszki pośród pienistych bąbelków, zanim stwardnieją. Larwy osy wykluwają się w ootece jako pierwsze i pożerają jaja modliszki.

Larwy innych podobnych pasożytów żywią się jajami karaluchów, pchłami, roztocznymi i muchami domowymi. Wiele błonkówek wyszukuje gąsienice motyli i ciem, i składa w nich jaja. Niektóre owady przechowują sparaliżowane jadem żywe gąsienice, w których złożyły jaja, w podziemnych norkach, gdzie „zachowują świeżość” aż do dziewięciu miesięcy. Askew, badacz najwyraźniej wyjątkowo spostrzegawczy, pisze:

„Pod skurczonymi szczątkami gąsienicy bielinka kapustnika często spotyka się całe masy żółtawych kokonów baryłkarza (*Apanteles glomeratus*)”.

Gatunków pasożytniczych os jest tak wiele, że jedne żerują na drugich. Pewien entomolog nie mógł wyjść z podziwu, kiedy badając galas dębowy, utworzony przez roślinożerną galasówkę dębiankę, odkrył pasożytnictwo piątej generacji. Oznacza to, że znalazł szczątki galasówki, na której pasożytowała inna osa, na której pasożytowała inna osa, na której pasożytowała inna osa, na której pasożytowała inna osa, na której pasożytowała inna osa - jeżeli dobrze liczę.

Inne rzędy owadów też mogą się poszczycić fascynującymi pasożytami. Na przykład wśród pluskwiaków warto wymienić pluskwy, owady, które pasożytują na dziesiątkach gatunków nietoperzy, oraz owady, które pasożytują na pluskwach. Pasożytnicze chrząszcze w stadium larwalnym żerują na innych owadach, a jako dorosłe osobniki - na pszczołach i kangurach.

Pewien ślepy chrząszcz jest pasożytem bobrów. Pluskwiaki z rodziny zajadkowatych, zwane też „całującymi pluskwiakami”, wgrzyzają się w wargi śpiących ludzi, wysysając ich krew i wstrzykując im toksynę, powodującą dojmujący ból.

Istnieje rząd owadów obejmujący wyłącznie pasożyty zwane owadami wachlarzoskrzydłymi, interesujące z uwagi na groteskowość ich form i cykli życiowych.

Wachlarzoskrzydłe pasożytują na ptakach zwanych nurkami i na innych owadach, takich jak skoczki, mrówki, pszczoły i osy. Samica spędza całe swoje życie w ciele gospodarza, z którego wystaje jedynie koniuszek jej strączkowatego odwłoka. Właściwie jest samym odwłokiem, pozbawionym skrzydeł, odnóży, oczu i czułków; jej szczątkowy otwór gębowy i odbyty są maleńkie, zdegenerowane i nie spełniają swoich funkcji biologicznych. Pożywienie - czyli ciało gospodarza - wchłania przez skórę odwłoka, który jest

„rozdęty, biały i miękki”.

Równie zdegenerowane jest życie seksualne wachlarzoskrzydłych. Samica owada tego rzędu wyposażona została w szeroki, prymitywny otwór, zwany kanalikiem lęgowym, znajdujący się w pobliżu jej szczątkowego otworu gębowego i dostępny z zewnątrz.

Samiec wtryskuje spermę właśnie w ten kanalik, skąd spływa ona do prymitywnego

odwłoka samicy i zapładnia swobodnie pływające w nim jaja. Larwy, które się z nich wykluwają, znajdują drogę do kanalika łęgowego i tą drogą wydostają się na „świat zewnętrzny”.

Nieszczęsne owady, na których żerują wachlarzoskrzydłe, wprawdzie nie padają przedwcześnie, ale często przechodzą różne metamorfozy. Na przykład kolory ich odwłoków rozjaśniają się. Gonady samców i samic ulegają „zniszczeniu”, więc gospodarze nie tylko tracą własne drugorzędne cechy płciowe, ale zyskują cechy płci przeciwnej. Zdarza się to szczególnie często wśród pszczół, u których różnice anatomiczne między samcami i samicami są wyraźnie widoczne.

„Gospodarza, na którym pasożytuje owad wachlarzoskrzydły, można niekiedy określić mianem obojnaka”

- pisze Askew.

I wreszcie, na koniec tego oszałamiającego przeglądu pasożytniczych owadów, dowiedziałam się ze zdziwieniem, że istnieją nawet pasożytnicze ćmy. Jedna z nich występuje w rogach [sic!] afrykańskich zwierząt kopytnych. Inny gatunek ćmy pasożytuje w postaci dorosłej na wydzielinie skórnej pomiędzy włosami sierści leniwca trójpalczastego. Pewna ćma, występująca w południowoschodniej Azji, w formie dojrzałej żywi się krwią ssaków. Warto wspomnieć również liczne ćmy oczne, których dorosłe, uskrzydłone osobniki pasożytują na otwartych oczach bydła domowego, karmiąc się ich krwią, ropą i łzami.

Pozwólcie, że powtórzę, że owady pasożytnicze stanowią dziesięć procent populacji wszystkich znanych nam zwierząt. Czy można to pojąć? Sądzę, że nie mówimy naszym dzieciom tego, co powinny wiedzieć o innych żywych stworzeniach. Pluszowe misie należałoby sprzedawać wypchane maleńkimi wszami, a dziesięć procent wszystkich dziecięcych śliniaczków i grzechotek przyozdabiać kolorowymi obrazkami much plujek, czerwi albo białych robaków. Jaką to dziesięćcinę płacimy diabłu? Jaki procent innych zwierząt niż owady to pasożyty? Czy to możliwe, że licząc także bakterie i wirusy, żyjemy w świecie, w którym jedna połowa zwierząt ucieka - albo ucieka, już okulawiona - przed drugą?

Stwórca nie jest purytaninem. Żadne zwierzę nie musi pracować na życie; zwierzęta mogą po prostu kraść i ssać cudzą krew, a mimo to łaskawie dostaną należną im olbrzymią porcję światła i powietrza.

Trudno uznać wszystkie te pełzające, półprzezroczyste wszy i białe, tłuste robale za przejaw obfitości i bogactwa, ale Stwórca, który je produkuje, a potem wypuszcza na świat, żeby bzykały, skradały się, latały i pływały, musi być niemal chorobliwie rozrzutny. Pasożyty są naszymi towarzyszami życia, drażąc swoje mroczne, niezgłębione korytarze w miękkich

tkankach żywych gospodarzy, poszukując, podobnie jak my, pożywienia, energii potrzebnej do wzrostu i rozmnażania się. Chcą tego, by mogły fruwać albo pełzać po powierzchni naszej planety, uzupełniając fakturę jej złożoności o oryginalne kształty i formy życia, uczestniczące w jego powszechnym tańcu.

Pasożytnictwo - swędzenie, brak tchu, robak zwinięty w brzuchu, jajo rozwijające się w zwierzęcym ścięgnię, wyżarta przez robaka dziurka w skórze - jest czymś w rodzaju daniny płaconej przez wszystkie zwierzęta, które żyją obok nas w realnym świecie. Nie jest to szantaż ani wymuszenie: czy za łyk świeżego powietrza nie zapłaciłbyś - ba, czyż wciąż nie płacisz? - odrobiną krwi utoczonej z szyi i nadgarstków? Pogadajcie z złotwim. To prawda, że dla niektórych zwierząt pasożyt oznacza powolną śmierć; dla innych, jak pszczoła zaatakowana przez pasożyta z rzędu wachlarzoskrzydłych, oznacza raczej dziwne, nowe życie. Dla większości z nas, ludzi, mieszkańców Zachodu, pasożyt oznacza na ogół lekkie ukłucie albo dręczące swędzenie tu czy tam, zafundowane nam przez świat, o którym wiedzieliśmy niemal od samego początku, że potrafi uszczyplnąć - więc nie ma się czemu dziwić. Ale pasożyty powodują także straszne choroby, wypełniające życiową chrzcielnicę, w której ślepy traf zanurza nas raz za razem wbrew naszej woli, aż wreszcie tak czy inaczej umieramy. Chrup! To cierń w ciele świata, jeszcze jeden znak (jakby było nam ich potrzeba więcej...), że świat jest realny, postrzępiony i podziurawiony tu i ówdzie zębiskami czasu, którymi jeży się tajemnicza, rozprężająca się spirala śmierci.

Z drugiej strony oczywiście rozumiem zdeklarowane drapieżniki. Sama do nich należę. Nie da się zaprzeczyć, że nasze zachowania bywają równie odrażające jak zwyczaje obrzydliwych drapieżników: na przykład wielkie pająki krzyżaki (*Araneus cavaticus*) oplatają siecią kolibry i wysysają z nich wszystkie soki, a szympansy czasami zabijają i zjadają mniejsze małpki innych gatunków. Gdybym odżywiała się jak delikatna biedronka, po dziewięciu dniach pożarłabym wszystkich mieszkańców Miasta chłopców*. Mimo to atak nawet najbardziej żarłocznego drapieżnika nie jest choćby w przybliżeniu tak złowrogi i nies-

* Amerykański film (reż. Norman Taurog, 1938), którego bohater, ksiądz Flanagan, zakłada miasto dla bezdomnych chłopców. mowity jak wykluwanie się larw z ledwo widocznych gołym okiem jajeczek. Gdy atakuje drapieżnik, ofiara przynajmniej ma szansę ocalić życie.

Któregoś wieczoru tego lata wyszłam z domu, by obserwować pizniki, i zatrzymałam się na długim mostku dla pieszych, rozpiętym w miejscu, gdzie strumień jest najszerszy. Żaden pizmoszczur się nie pojawił, ale coś zdarzyło się w pajęczej sieci rozwieszanej na

niższej poprzeczce relingu na moście. Otóż zauważyłam, jak pewien maleńki, bladozielony owad wpadł prosto w pajęczynę i zaczął się gwałtownie szarpać, zwabiając w ten sposób pająka, który od razu rzucił się do ataku. Ale malutki owad, co najmniej pięć razy mniejszy od drapieznika, wyrwał się w trzepocie skrzydełek z lepkich włókien, spadł jak kamień na twardej mostek z dużej wysokości, dźwignął się na nóżki, otrząsnął i odleciał. Poczułam się tak, jak kiedy dochodziłam do siebie po ciężkim, obustronnym zapaleniu płuc i nafaszerowana penicyliną wyszłam na kilka kroków przed dom: vive la chance.

Ostatnio zaczęłam prowadzić nieformalną listę

„stworzeń, którym udało się uciec”, najrozmaitszych istot, jakie zdarzyło mi się widzieć w różnych tarapatach. Zaczęłam od pajaków. Latem często spotykałam długonogie nososzniki oraz kosarze i w końcu leniwe liczenie ich odnóży po prostu weszło mi w krew. Szybko zauważyłam, że bez względu na rozmiary, niemal żaden dorosły osobnik, który wszedł mi w drogę, nie pracował na wszystkich ośmiu „cylindrach”. Większość biegła na siedmiu, a niektóre na sześciu nogach. Zauważyłam, że nawet w moim domu co większym pająkom brakowało jednego lub dwóch odnóży.

We wrześniu zeszłego roku szłam zwirową ścieżką w pełnym słońcu i o mało nie rozdeptałam konika polnego. Szturchnęłam go gałązką w nóżkę, żeby zobaczyć, jak skacze, ale owad nie zareagował. Opadłam więc na czworaki i oczywiście okazało się, że to samica, zagłębiająca swe opuchnięte pokładełko w drobinkach żwiru. Cała pulsowała delikatnie - w żadnym wypadku nie z takim wysiłkiem jak składająca jaja modliszka - a jej prawy czulek był złamany niemal u samej nasady. Dostała już za swoje. Pomyślałam, że była może na łące Lucasów wtedy, kiedy obskakiwało mnie tyle koników polnych. Widziałam wówczas takiego, któremu brakowało jednej z dużych, przypominających sprężynki tylnych nóg - nóg „łukowego” skoczka. Wydawał się przemieszczać stosunkowo sprawnie, ale oczywiście nie miałam pojęcia, dokąd się wybiera.

Przyroda w pewnym sensie chwyta nas za ogon.

Myślę tu o wszystkich widzianych przeze mnie motylach, których postrzępione tylne skrzydełka nosiły ślady ptasich dziobów. Widziałam cztery albo pięć motyli z gatunku *Papilio glaucus* pozbawionych całkiem jednego ze skrzydeł i motyla z gatunku *Agriolus vanillae* bez dwóch trzecich tylnego skrzydełka. Większą część mojej listy ocalonych stworzeń zajmują jednak ptaki, niemal zawsze atakowane od tyłu, z wyjątkiem tej sieweczki krzykliwej, na którą natknęłam się nie dalej jak wczoraj - brakowało jej bowiem wszystkich pazurków; smukłą nogę ptaszka kończył gładki, szary guz. Kiedyś widziałam też wróbla o ogonie rozszczepionym jak u jaskółki, ale po chwili przekonałam się, że jest to zwykły wróbel,

któremu ktoś wyrwał z ogona pęk środkowych piór. Widziałam też wróbla pozbawionego ogona całkowicie, podobnie jak drozda wędrownego i wilgowrona. Ten mój prywatny spis kończy na razie jedna wiewiórka z odgryzioną połową ogona i druga zupełnie bezogoniasta, a także młody piżmak, któremu jakiś drapieżnik odgryzł ogon niemal do samej nasady.

Znawcy wydają się potwierdzać moje zdanie: życie jest ciężkie. Gerald Durrell, zwolennik hodowli w zadbanych ogrodach zoologicznych, twierdzi, że wszystkie dzikie zwierzęta, które odławia, są zarobaczone, chore albo okaleczone. Howard Ensign Evans też spotyka w swojej części lasu takie pokiereszowane motyle, jakie ja widuję. Pewien przyrodnik z południowo-

- zachodniej Wirginii zanotował w swoim dzienniku w kwietniu 1896 roku, że „rusałki żałobniki, które przetrwały zimę, choć liczne, są wycieńczone”. Traperom rzadko trafiają się skóry bez skazy. Na fotografiach robionych przez cetologów widać ranne wieloryby o bokach rozplątanych na długość swojego ciała i porośniętych wzgórkami ogromnych kolonii skorupiaków, zwanych zawrzelami, wszami wielorybimi.

Paul Siple, podróżnik i badacz Antarktydy, pisze o focie krabojadzie, która żyje na dryfujących lodach wód kontynentalnych: „Rzadko można znaleźć dorosłego osobnika, na którego połyskliwym, srebrzystym ciele nie byłoby widać po obu bokach ohydnych blizn albo biegnących równolegle otwartych półmetrowych ran, zadanych przez orkę, z której paszczy foca jakimś cudem udało się jednak wyrwać”.

Myszę więc o fokach krabojadach i paszczy orki, usianej zębiskami „wielkości bananów”, jak pisze Siple. Jak foki zdołały ujść z życiem? Jak to możliwe, że uciekła nie jedna czy dwie, ale większość stada?

Oczywiście każdy drapieżnik, który zdziesiątkuje populację swych ofiar, będzie cierpiał głód, podobnie jak pasożyt, który wyniszczy gatunek swojego gospodarza. Agresywne i obronne zachowania drapieżników i ofiar (a płodność jest w tym przypadku zachowaniem obronnym) prowadzą do utrzymania równowagi między tymi dwoma populacjami, które, jeśli można tak powiedzieć, są pośrodku ilościowo stałe, a wystrzępione i nadgryzione na krańcach, jak napoczęte jabłko, w którym tkwi gniazdo nasienne. Zdrowe karibu właściwie zawsze zdoła uciec wilkom, gdyż zabijają one osobniki chore, stare i ranne, nie mogące nadażyć za resztą stada. To spostrzeżenie zupełnie oczywiste. Jest jednak zdumiewające, po jak kruchym lodzie przypadku stąpają nawet najsukuteczniejsze drapieżniki. Wilki czasem dosłownie zdychają z głodu w dolinach, w których roi się od zwierzyny. Ile fok krabojadów jest w stanie wymknąć się orce przez jej całe życie?

Powracam znów do obrazu tych opisanych przez uczonych „połyskliwych,

srebrzystych” fok, fok z dryfujących lodów Antarktydy, fok noszących ślady długich ran po niewyobrażalnie wielkich zębach. Bez względu na to, jaki przyjąć punkt widzenia - orki, foki, kraba, komara, mokasy, żaby, ważki, srebrzynka czy wrotka, wybór jest tylko jeden: posiłek albo przymusowy post.

III

Posiłek albo post. Wcześniej tego wieczoru przyniosłam do domu garść nadgryzionych niebieskawych liści jaśminowca i wiśni, które prostują się teraz siłą bezwładu na blacie mojego biurka. Nie uniknęły swojego losu, ale ich czas i tak dobiegał już końca. Przypominająca korek tkanka gęstnieje wokół nasady łodyżki każdego listka, dusząc je jeden po drugim. Nadszedł schyłek lata. Na melonach i dyniach osiada piaszczysty pył, a w jasnym, słodkim miąższu owoców tuczą się robaki. Cały świat gnije od ropiejących ran. Gdzie się podziały dobre, zdrowe owoce? Na świecie „Nie ma radości, ni miłości, ni światła / Pewności, pokoju ni lekarstwa na ból”*. Nagle myślę, że znam to, widziałam, uczestniczyłam w tym, a świat jest stary, jest głodnym starym człowiekiem, zmęczonym i schorowanym bez ratunku. Czyżbym za dużo chodziła, czy też zestarzałam się ponad mój wiek? Widzę mokasy, lśniącego świeżością na skalnym ołtarzu ponad śmierdzącym stawem, gdzie powinien rosnać las. Widzę kalekę siewczkę, pokiereszowane motyle, ptaki i żółwia jaszczurowatego udekorowanego bombkami z czarnych pijawek. Oto muchy, które wygryzają rany, inne muchy, które je obsiadają, i głodny świat, który nie będzie czekać, aż godnie umrę.

* Matthew Arnold, Dover Beach.

„Przyroda kładzie raczej nacisk na to, jak jest, niż na to, jak być powinno” - napisał Huston Smith. Uczę się tego na nowo każdego dnia. Dzisiaj myślę, że na tym świecie w pewnym sensie zdrowe są jedynie noworodki i że niejako z konieczności musimy się spodziewać, że w dorosłym wieku będziemy już nieco „nadgryzieni”. Należy się tego spodziewać. Zdrowie fizyczne nie jest czymś, co może nas uchronić przed działaniem przypadku, bo ono samo jest przypadkiem, przypadkiem niemowlęctwa, jak ciemniaczko noworodka albo tak zwany ząb jajowy u pisklęcia. Czy mierzące półtora metra długości srebrzyste węgorze, które w dojrzałym wieku wędrują nocami przez łąki, naprawdę noszą blizny i rany po dziobach czapli i ostrych zębach okoni? Myślę dalej o tych pięknych rekinach, które widziałam z brzegu, umięśnionych i unoszących się na rozświetlonej słońcem fali. Czy one również miały pręgi blizn? Czy w ich skórze kryły się roztocza, a serca toczyło robactwo? Czy tamten drozd, który rzucił się z dachu w dół ze złożonymi skrzydłami, żywił w swoich leciutkich dudkach stada żarłocznych wszy? Czy nasze prawo pierworództwa i dziedzictwa, na którego fundamencie zbudowano państwo, ma być jak bydło Jakuba, „pstre,

cętkowane i łaciate”, ale nie od ozdobnych śladów łaski, jak piękno, padające niby deszcz z wieczności, lecz raczej od krost po licznych atakach i ciosach czasu? „Wszyscy jesteśmy zegarami, na których tarczach widać minione lata” - powiada Eddington. Młody mężczyzna chwali się przed swoją kochanką bliznami; samotny starzec przed lustrem wygląda w wyobraźni swoje blizny, pragnąc widzieć się młodym i zdrowym.

Przez okno nad moim biurkiem wpływa monotony, monotony, monotony, po trzykroć monotony dźwięk - męczące rżepolenie cykad na tymbalach.

Sądzę, że gdyby uderzył we mnie meteoryt, powiedziałabym, że to ślepy traf, i umarłabym z przekleństwem na ustach. Ale my, istoty żywe, zjadamy inne żywe istoty, które nie wyrządziły nam nic złego. Wszyscy tkwimy w słoju laboratoryjnym i rzucamy się na wszystko, co się rusza. Gdyby bakterie zwane pneumokokami rozmnażały się szybciej i gdyby skutecznie skolonizowały moje drugie płuco, żyjąc i rozmnażając się, jak Pan Bóg przykazał w Piśmie, wydałabym zapewne ostatnie tchnienie, a moim pożegnalnym, idiotycznym dziełem byłaby pisanka wielkanocna, pomalowana w bobry i jelenie - jajko, które było już zapłodnione, kiedy je malowałam i kiedy w moich płucach rozwijały się kolonie bakterii. To absurd. Co się stało z manną? Dlaczego wszystkie stworzenia nie żywią się manną? Dlaczego manna rozpląnęła się w powietrzu, a my musimy masakrować inne wolno żyjące istoty, czyli siebie nawzajem?

Pewien szaman eskimoski powiedział, że największe niebezpieczeństwo życia polega na tym, że „żywimy się wyłącznie cudzymi duszami”. Czy jednak zwróciłby się w te słowa do Bogu ducha winnego człowieka, który zaraził go gruźlicą, czy raczej do kogoś, kto dał mu papę, smołę i cukier za wilcze i focze skóry? Zastanawiam się, ile już wyszarpałam zębami, jako pasożyt i drapieżnik, od mojej rodziny i przyjaciół.

Ciekawe też, jak długo będę mogła cieszyć się luksusem mojej względnej samotności. Tutaj, wśród naszych skał, ludzie nie chcą walczyć, miażdżyć, głodzić ani zdradzać, ale pomimo całej dobrej woli walczymy, miażdżymy, głodzimy i zdradzamy, nie inaczej. Pragniemy tego; garbujemy sobie nawzajem skórę, a potem przeżuujemy jej gorycz już do końca życia.

Jednak widok żółwia zaatakowanego przez pijawki oraz latających zwierząt z wyszarpanymi piórami czy skrzydłami oznacza coś innego. Wspominam na przykład zielonego owada strzepującego resztki pajęczyny ze skrzydełek i foki krabojady noszące ślady blizn po zębach orek. Tym ocalonym zwierzętom należy się szacunek. Mogę rozsądnie mówić na ten temat, tylko zwracając się do was bezpośrednio i szczerze, jako towarzyska waszej niedoli, której również udało się ocalić życie. Oto bezapelacyjnie jesteśmy, żyjemy

dalej. Sub specie aeternitatis ten problem może wyglądać nieco inaczej, widziany z czyichś poczerniałych kiszek, rozciągających się za wąskim żołądkiem, ale tymczasem, chociaż słyszymy brzęczenie i kłapanie paszcz za plecami, możemy się rozejrzeć wokoło jako ci, których ktoś podgryza, ale którzy z migotliwego punktu widzenia innych istot żywych pozostają wciąż niepokonani. Nie jesteśmy może ani w najczystszy, ani w najwspanialszym miejscu wszechświata, ale to czyste odwieczne miejsce, które rozciąga się nad nami kopułą, w ogóle nie jest żadnym miejscem. „Ojcowie wasi jedli mannę z nieba i pomarli”*. Nie znajdziecie bardziej mrozących krew w żyłach, bardziej poruszają-

* Ewangelia św. Jana 6,49. tych słów niż te słowa Chrystusa: „Ojcowie wasi jedli mannę z nieba i pomarli”.

Eskimosi z Alaski wierzą w istnienie wielości dusz.

Każda z nich prowadzi wiele żywotów pozagrobowych i ciągle powraca na ziemię, ale rzadko wciela się w człowieka. „Ponieważ nieczęsto przybiera postać ludzką, jest wielkim przywilejem być tu, jak my jesteśmy, w otoczeniu ludzkich towarzyszy, których ów przywilej objął również w tej reinkarnacji i którym z tego względu też należy się ogromny szacunek”. Być tu, jak my jesteśmy. Uwielbiam drobne fakty, procenty, wiadomości o prawdziwych, wyposażonych w odnóża kołatkach, pokrytych kutikulą skrytych pędrakach, oleicowatych chrząszczach, przywrach i roztoczach.

Fakty można jednak gromadzić podług wielu kluczy i łatwo jest coś przeoczyć. „Prawda wygląda tak, że jesteśmy malarzami codziennego życia i że jest bardzo istotne, abyśmy oddychali najgłębiej, jak potrafimy”

- powiedział kiedyś van Gogh.

A zatem oddycham, oddycham przy otwartym oknie nad biurkiem, gdzie atakuje mnie wilgotny aromat zwarzonych liści jaśminowca. Powietrze jest równie złożone jak światło, filtrowane przez lesiste zbocza górskie i wpadające do środka przez okno w kuchni. To słodkie powietrze jest tchnieniem liściastych płuc, bardziej przegniłych niż moje, przesianym przez ostrza niezliczonych ząbków. Jestem zmuszona uwielbiać poszarpane na strzępy powietrze. Ale muszę też przyznać, że myśl o tym, że ten stary ogród oddycha samotnie w mroku, kieruje moje myśli w jeszcze inną stronę.

Szczerze mówiąc, nie mogę nazywać świata starym, skoro widziałam i widzę go w jego świeżości. Z drugiej strony, uczciwość nie pozwoli mi też nagle przywołać konkretnych doświadczeń świeżości i piękna jako wiążących i unieważniających całą naszą wiedzę teoretyczną. Ale teraz przychodzi mi do głowy „drzewo pełne światelek” - ten cedr, którego przemianę w ogrodzie nad strumieniem widziałam na własne oczy.

To, że świat jest stary i poszarpany, nie powinno dziwić, lecz to, że może stać się bezspornie nowy, świeży i zdrowy, było i jest dla mnie taką niespodzianką, że łapię się na tym, iż odnoszę do niej wszystkie dziedziny nauki. I nagle coś każe mi się zastanowić: czy gałęzie tego cedru w istocie były wtedy usiane galasami? Najprawdopodobniej, prawie na pewno tak.

Widziałam już przedtem i potem te „cedrowe jabłuszka”, jak nabrzmiewały w zieleni: czerwonoszare, tłuste, złośliwe narośle. W porządku. Nauka nie unieważnia jednak tajemnicy, ani nie przesłania jej dalekich światła. I dziś, i jutro będę się kierować tym, co się stało wtedy, gdy z głośnym rykiem nadleciał jakiś niezaprzeczalnie nowy duch, obezwładnił mnie i zapalił światełka na tym drzewie. Stałam w trawie, jakbym unosiła się w powietrzu, które krążyło w moich żyłach niczym prąd elektryczny, oblepiało moje kości i zęby. Doświadczyłam tego widoku, widziałam „drzewo pełne światełek” i zostałam oszukana. Wiem, co się naprawdę stało z tym cedrem: przecież widziałam jego pulsujące komórki, naładowane energią jak skrzydła, bijące na chwałę. Ale za łatwo byłoby wyciągnąć wszystko naraz z kapelusza i powiedzieć, że tajemnica unieważnia wiedzę. Chociaż moja wizja świata duchowego nie zmieniałaby się ani na jotę, gdyby cedr spływał ropą z tych galasów, mają one znaczenie dla mojego rozumienia świata. Czy zatem mogę powiedzieć, że zepsucie jest jedną z ciemnoniebieskich skaz piękna, że postrzępiony i obgryziony rąbek świata to tałas, szal modlitewny, złożony element garderoby piękna?

To bardzo kuszące, ale naprawdę nie mogę tego powiedzieć. Mogę jednak potwierdzić, że zepsucie nie jest jądrem piękna. I chyba mogę nazwać wizję tamtego cedru oraz obraz zarobaczonych wnętrzości bliźniaczymi fiordami, które wcinają się w granitowe klify tajemnicy. I mogę powiedzieć, że to, co nowe, zawsze jest obecne jednocześnie z tym, co stare, chociażby stare było nie wiedzieć jak dobrze ukryte. „Drzewo pełne światełek” nigdy nie gaśnie, a jego światło ciągle oświetla stary świat, raz słabo, a raz jasno.

Jestem poszarpanym i nadgryzionym rozbitkiem w upadłym, grzesznym świecie, lecz jeszcze jakoś daję sobie radę. Starzeję się, jestem zjadana, ale sama również jadłam i jem innych. Nie czuję się oczyszczona ani piękna i nie panuję nad połyskliwą rzeczywistością, w której wszystko do siebie pasuje - błąkam się, przerażona i zadziwiona, po tym naszym pogruchotanym globie, o który nauczyłam się martwić, którego zwarzone drzewa wydychają delikatnie powietrze, którego skrwawione i pokryte bliznami stworzenia są moimi najdroższymi towarzyszami i którego piękno tętni i lśni nie w swoich niedoskonałościach, ale przede wszystkim, na przekór im, pod rwanymi wiatrem chmurami, w górze i w dole strumienia. Simone Weil mówi po prostu: „Pokochajmy tę naszą ziemską krainę. Jest realna; i

stawia opór miłości”.

Jestem ofiarą - przywiązaną sznurami do rogów kamiennego ołtarza świata, czekającą, aż zjedzą ją robaki. Biorę głęboki oddech i otwieram oczy. Przyglądam się bliżej i widzę, że w rogach ołtarza także żyją robaki, przypominające owady zatopione żywcem w bursztynie, widzę, że w skale można znaleźć owadzie pancerzyki, a przed moimi oczami trzepoczą się ćmy. Wzbija się wiatr, znikąd. Raduję się poczuciem rzeczywistości; krępujące mnie więzy rozluźniają się; odchodzę swoją drogą.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na północ

I

W e wrzeźniu ptaki milczały. Pierzyły się w dolinie, przedrzeźniacze na świerkach, wróble na jaśminowcu, a jaskółki na cedrze nad strumieniem. Na ziemi pod moimi nogami wszędzie leżało pełno długich, barwnych, dużych piór i biały, pozbawiony dudek puch.

Przez cały miesiąc upychałam ten nieważki plon po kieszeniach, a potem wtykałam pióra za ramę lustra.

Ciągle tam jeszcze są - gdy teraz patrzę w moje odbicie, odnoszę wrażenie, że mam na głowie ceremonialny pióropusz, wywrócony na lewą stronę.

W październiku przyszedł wielki niepokój, Zugunruhe, niepokój ptaków przed odlotem. Po długich, nietypowych o tej porze roku upałach nieoczekiwanie nastął zimny poranek. Podekscytowane ptaki, jękając się, przez cały dzień śpiewały nowe melodie. Sikory dwubarwne, które przez całe lato kryły się w liściastym cieniu gór, przysiadły na rynnie, sikory karolińskie urządziły sobie konwentykł na robinii akacyjowej, a bardzo dziwnie zachowujący się wróbel krążył jak koliber zaledwie kilka centymetrów nad rosnącymi przy drodze zaroślami nawłoci.

Obserwowałam ptaki z okna i nad strumieniem.

Rzeźki wiatr nastroszył mi włoski na ramionach. Zimne światło zapalało się i gasło między przerośniętymi, pochyłymi chmurami; płaty błękitu, przypominające obszarpane stado proteuszowych ptaków, zmieniały kształty i rozciągały się, falując i śmigając z jednego końca nieba na drugi. Pomimo wiatru powietrze przesycone było wilgocią. Czulałam owiewający moją twarz ostry zapach iltu i znów zaczęłam się zastanawiać, dlaczego cała ta śmierć - wszystkie te zgniłe liście, których spodnia warstwa przypomina czarne, rozmiękłe placki, oplątane białą pajęczyną pleśni, i miliony padłych letnich owadów - nie cuchnie znacznie bardziej obrzydliwie. Kiedy wiatr przybrał na sile, zza gór nadpłynął dziwniejszy, subtelniejszy zapach, niepokojący aromat mokrej kory, słonych bagien i błotnistej równiny.

Woda w strumieniu wciąż była nagrzana po fali upałów i niosła wielkie jak talerze liście tulipanowca, które znikwały w oddali. Widziałam, jak opadają do wody, najpierw w bystry nurt, a potem w stojące rozlewiska. Były to widoki tak różne jak pejzaże Kornwalii i Korfu. Ale poruszyły mnie wiatr, pomrugujące światełka i szalone krzyki sójek. Chciałam,

żeby zrobiło się zimniej, zimniej niż dzisiaj, zimniej niż kiedykolwiek, i żeby koniec roku przyszedł jak najprędzej!

Dzień wcześniej, podczas suchej, bezwietrznej pogody, roje uskrzydłych mrówek odbywały swoje loty godowe, świecąc przed moimi frontowymi i tylnymi drzwiami, a także na całej szerokości drogi. Bezskutecznie starałam się je sprowokować, żeby zaczęły świecić, kiedy obsiadły moje podniesione ramię. Potem tam, gdzie strumień zwalnia bieg, ujrzałam nagle stada odlatujących czyżów, które rzucały się z jednej wierzby na drugą, nad trzciniami. Wzbijały się w górę w gwałtownej, kłębiastej erupcji, a później osiadały na drzewie, pokrywając je z wolna coraz szerzej, jak koc, którym przykrywa się łóżko, aż jakiś nieznany impuls kazał im znów zrywać się ku niebu, w grupkach liczących po dwadzieścia albo trzydzieści sztuk, po czym przechylały się na boki, krążyły w powietrzu, składały skrzydła i nurkowały z powrotem w listowie jak deszcz.

Ruszyłam śladem czyżów w dół strumienia, do miejsca, gdzie brzeg wznosił się, przechodząc w klif i blokując światło, które obejmowało wierzby i wodę.

Na szczycie urwiska rósł las Adamsów, a w skałach gnieździły się setki żyjących w tej okolicy mokasynów, co potwierdzały nie tylko obserwacje lokalnych mieszkańców, ale i świadectwo przedstawiciela miejscowego urzędu do spraw rolnictwa. Październikowy niepokój był silniejszy niż kwietniowy czy majowy.

Wiosną pragnienie wędrówki jest częściowo powodowane nieokreślonym poirytowaniem, wywołanym długą beczynnością - jesienią natomiast ten impuls jest czystszy, bardziej niewytłumaczalny i palący. Pomyślałam nagle, że nie zaszkodziłoby mi poczucie zagrożenia, więc szybko porzuciłam strumień na rzecz jego brzegów i wspięłam się na klif. Chciałam znaleźć się wyżej; chciałam zobaczyć las.

Panował tu taki sam niepokój jak wśród ptaków.

Stałam pod tulipanowcami, jesionami, klonami, kwaśnodrzewami, sasafrasami, robiniami akacjowymi, surmiami i dębami. Swobodnie błędziłam wzrokiem dookoła, nie zwracając uwagi na nic, co nie byłoby pionową krechę, i widziałam tylko liście w powietrzu - albo raczej, jako że i moje myśli błędziły swobodnie, pionowe smugi żółtych plam, lecących znikąd donikąd. Tajemnicze kolorowe wstęgi rozwijały się w milczeniu dookoła mnie, blisko i daleko. Niektóre kolorowe żetony spadały gwałtownie: miotły się na boki w serii coraz słabszych amplitud, jak gdyby świadomie walczyły z upadkiem, używając wszystkich żeglarskich i lotniczych sztuczek, jakie tylko mogły zastosować. Inne leciały na dół, zataczając jedynie ciasne, samobójcze kręgi.

Tulipanowce zrzucały mi pod nogi płaskie, błyszczące niczym dublony liście.

Przeszłam pod klonem cukrowym - oszołomił mnie swoim eleganckim opanowaniem: wyglądał jak stojący w płomieniach człowiek, który nie zważając na nic, spokojnie popija herbatę.

W najdalszym zakątku lasu rósł mur paproci. Czytałam niedawno w książce Donalda Culrossa Peattiego, że tak zwane nasiona paproci czynią ich posiadacza niewidzialnym, że Dzyngischan nosił takie nasiono w swoim pierścieniu i że „dzięki niemu rozumiał mowę ptaków”. Czy będąc niewidzialna, stałabym się również tak małeńka, by mógł mnie unieść wiatr? Bym mogła rozpostrzeć na nim swoje ciało jak żagiel albo wzdęty liść i dotrzeć wszędzie, gdzie by mi się tylko zamarzyło?

W leśnej ściółce rosły grzyby, między innymi muchomory czerwone o różnej wysokości i średnicy kapeluszy, jakieś zaokrąglone, gładkie, brunatne grzyby, przypominające bochenki chleba, i upiornie wyglądające purpurowe twory, których nigdy wcześniej nie widziałam, w kolorze stułbiopławów, zwanych portugalskimi żeglarzami, albo rozkolców, w kolorze głębinowym, nasyconym wskutek strasznego ciśnienia, jak gdyby pod naporem ciężkiej od drzew i skał ziemi wszystkie inne odcienie zostały wyługowane.

Wtem spostrzegłam wiewiórkę, samca, który obserwując mnie kątem oka, zaczął jeść jakiś grzyb. Wiewiórki i żółwie - terapeuty karolińskie są odporne na substancje trujące zawarte w grzybach, jednak nie należy uważać grzybów za jadalne tylko dlatego, że żywią się nimi wiewiórki. Zwierzątko zerwało z nóżki nadgryziony kapelusz i wbiegło na dąb, trzymając go w pyszczku jak ozdobę, którą Murzynki znad rzeki Ubangi w Afryce przekłuwają sobie usta. Poruszyłam się, wiewiórka zwinęła więc ogon, żeby mnie nastraszyć. Nie wyobrażam sobie drapieznika, którego mogłaby przepłoszyć taka reakcja obronna - albo chociażby opóźnić jego atak. A może wiewiórka wzięła mnie po prostu za innego samca swojego gatunku? Było jasne, że podobnie jak kot, zwierzę to zawsze próbuje trzymać fason, ale wydałaby mi się groźniejsza, gdyby się nie ruszała i nie pozwoliła mi zobaczyć, jak niepokazny jest w istocie jej ogon. Przywarła do pnia, a następnie rozciągnęła się w kształt prostokąta. Zastosowała przy tym jakąś sztuczkę techniczną, więc jej rozkrzyżowane łapki ledwo było widać, jak łapki polatuchy, czyli latającej wiewiórki. Przez opuszczony, przypłaszczony do pnia ogon zaczęła przebiegać fala migotliwych dreszczy, a zwierzątko przez cały ten czas patrzyło mi prosto w oczy. Po chwili jeszcze bardziej wystraszona - a może ośmielona? - wiewiórka wbiegła na gałąź, wciąż trzymając w pyszczku kapelusz muchomora, zwinęła się w kłębek i przysiadła blisko pnia, tworząc teraz duży, niezgrabny cel. Podniosła ogon wysoko i zaczęła wściekle walić nim na boki, rytmicznymi uderzeniami, jak gdyby przykleił jej się do niego kawałek taśmy izolacyjnej i chciała się go pozbyć.

Gdy zostawiłam pierwszą wiewiórkę, żeby skonsumowała w spokoju swojego muchomora, o mało nie nadepnęłam na drugą, która gryzła się w nasadę ogona, w bok i drapała się tylną łapką w łopatkę. Nieopodal, swoim zwyczajem, jak szalona śmigła wiewiórka ziemna. Na mój widok zatrzymała się, stanęła słupka i przycisnęła mocno do piersi przednie łapki, tak że jej tylnych kończyn nie było widać, a ona sama wyglądała niczym petent, nieśmiało trzymający przed sobą kapelusz.

Las szeleścił swoimi sprawami. Ruszyły się włochate, pomarańczowoczarne, pasiaste gąsienice ćmy niedźwiedziówki. Przecinały trasę mojego spaceru we wszystkich kierunkach. Wspinały się na moje stopy i palce, gorączkowo poszukując schronienia. Skunks, który znajduje taką gąsienicę, najpierw bardzo delikatnie turla ją po ziemi, usuwając z owada co dłuższe włosy, i dopiero potem zjada zdobycz. Tego dnia trafiłam też na istną paradę patyczaków - spotkałam ich pięć albo sześć, uczepionych moich spodni niczym pasażerowie na gapę - chyba że był to jeden osobnik, którego po prostu widziałam pięć albo sześć razy. Znam entomologa, który twierdzi, że patyczaki, podobnie jak motyle monarchy, potrafią udawać martwe - choć nie wiem, jak można ustalić, czy patyczak udaje, że nie żyje, czy po prostu udaje patyk. Mniejsza z tym, w każdym razie samica patyczaka poczyną sobie bardzo bez trosko, składając jaja, albowiem „wydala je właściwie gdzie popadnie, upuszczając je to tu, to tam”

- co chyba może znaczyć, że ja i moje portki staliśmy się nieoczekiwanie wielką wylęgarnią patyczaków.

Niedaleko w poszyciu usłyszałam hałas, zbliżało się jakieś zwierzę. Sądząc po odgłosach, musiało być wielkości rysia, małego niedźwiedzia albo dużego węża. Hałas ucichł i znów się odezwał - był coraz bliżej. Sprawcą tego całego zamieszania okazał się jednak pipil.

Im częściej spotykam te kolorowe ptaki - o czarnych grzbietach, białych lamówkach na ogonkach i rudych łatach na białych piersiach - tym bardziej mi się podobają. Nie boją się ani trochę. Buszują wszędzie, na szczytach drzew i na ziemi. Ich śpiew przypomina mi przeraźliwy wrzask dzieciaka sąsiadów - „iiiiiii”

- a zwykle kończy go przejmująca, wibrująca nuta.

Szczególnie czarujący jest jednak ich zew godowy. Pipil ma dość odwagi i wdzięku, żeby wołać jasno i po prostu: „ćwir”. Nie znam innego ptaka, który ćwierkałby aż tak dosłownie.

Nie zauważył mnie. Przeszedł na drugą stronę ścieżki i zniknął z powrotem w lesie, pozostawiając za sobą, jak buldożer, szeroki pas zgniecionych równiutko liści i rozrzucając

wokoło grudki ziemi.

Kora pni drzew, których dotykałam, wydawała mi się chłodna. Zauważyłam dzięcioła włochatego walącego dziobem w sosnę i wielkiego, zielonego pasikonika umierającego na kamieniu.

Mogłam iść. Mogłam po prostu zboczyć ze ścieżki, wysunąć do przodu najpierw jedną nogę, potem drugą i pójść swoją drogą. Mogłam zejść do Point Barrow, na Mount McKinley albo nad Zatokę Hudsona. Schowałam letnią kurtkę; w zimowej jest mi ciepło.

Jesienią nadlatujące z północy krętymi szlakami kruki zwiastują wielką wędrówkę karibu. Ptaszyska o zmierzwionych piórach na szyi rozkładają skrzydła jak najszerzej i wykorzystują wznoszące się powietrzne prądy konwekcyjne, które niosą je na południe.

Tymczasem stada wielkich jeleniowatych spotykają się w arktycznych i subarktycznych dolinach, gdzie roją się, kłębią i rosną w siłę, jak wodospad o zasięgu fali pływowej, która rozlewa się w końcu po jałowej ziemi. Zimowa sierść karibu jest gęsta i piękna. Cienką sierść letnią, zrytą ukąszeniami muszek i bąków, pełną larw gzów oraz gnid, zrzuciły wielkimi płatami, ocierając się o drzewa lasów na południu, i teraz porasta je lśniące, nowe, brązowe futro, pod którym ściele się jeszcze dodatkowo pluszowy płaszcz pustych w środku włosów, chroniących przed zimnem i wodą. Karibu obrosły też w ochronną warstwę kremowego tłuszczu, na grzbietach grubą nawet na dziesięć centymetrów.

Słychać chrzęst chrząstek w stawach ich nóg, kiedy wielkimi krokami przebiegają tundrę na południe, pod osłonę drzew. Słychać je z oddali, zanim się pojawią i zanim znikną, bo huczą i dudnią niczym rzeka - chociaż czasami tykają również jak zegary.

Eskimosi największe polowanie na karibu urządzają właśnie jesienią, kiedy jelenie są tłuste, ich sierść jest gęsta, a skóra gruba. Jeszcze dzisiaj, jeśli kaprys albo warunki atmosferyczne zapędzą karibu z północy w jakąś nową, ukrytą, nieznaną dolinę, niektórym grupom Eskimosów żyjących w głębi lądu może grozić śmierć głodowa.

Na wybrzeżach Morza Arktycznego Eskimosi na specjalnych stojakach suszą latem ryby, którymi w zimie karmią psy. Pokrywa lodowa na morzu jest wtedy elastyczna, niemal giętka. Faluje, ale nie pęka, gdy wody pod nią wznoszą się i opadają. Ugina się i zapada także pod ciężarem kroczących po niej Eskimosów, wywołując gigantyczne zmarszczki wodne, które suną w kierunku horyzontu, można więc odnieść wrażenie, że ludzie idą po kruchym, podskakującym baloniku świata.

W jesienne dni dorośli i dzieci bawią się w kocią kołyskę, grę, którą znają od wieków. Mieszkańcy tych terenów zawsze wierzyli, że rozpięta na palcach skomplikowana płatanina sznurków może „spętać słońce” i w ten sposób „opóźnić jego zniknięcie”. Po kilkunastu

tygodniach, kiedy słońce schowa się już na zimę, dzieci bawią się, z każdego ośnieżonego wzniesienia zjeżdżając jak na sankach na zamrzniętych embrionach foczych, które wyciąga się specjalnymi szczypcami przez nosy ciężarnych matek.

Czułam ten zew północy, w przeszłości i teraz, i często się nad nim zastanawiałam. W literaturze poświęconej badaniom polarnym ciągle mówi się o tym zjawisku. Podróżnik zapisałby w swoim wymiętym dzienniku: „Szerokość geograficzna 82°15' N. Przebyliśmy dzisiaj trzydzieści kilometrów w kierunku północnym, pomimo dryfujących lodów”. Czy wybiorę się na północ? Mam długie nogi.

Półka z piaskowca cielistej barwy była splamiona sokiem szkarłatki niczym skrwawiony ołtarz. Brzegi plam już zbladły i wyblakły na kolor limfy, jak kropelka krwi utoczony z ranki. Rozglądałam się, a wtedy nagle po skale zsunął się przypominający kraba liść klonu i nie wiadomo skąd pojawił się żółto nakrapiany pies z jelenią giczą w pysku. Rozszczerzone kopyto przywiodło mi na myśl obciążone w dół palce baletnika. Trzymałam już kiedyś w ręku jelenią nogę - niektórzy miejscowi rzeźnicy używają ich do samoobrony, jako pałek. Sierść na nich jest sucha i całkowicie pozbawiona tłuszczu, a przez skórę wyczuwa się drobne kosteczki. Pies biegł ścieżką w moją stronę. Kiedy odezwałam się do niego, zszedł mi z drogi i oddalił się wielkimi susami, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo.

W najwyższych partiach lasu drzewa były czarne, szare i bezlistne, ale oplecione świeżymi, zielonymi pnączami. Ścieżka przypominała farwater, usłany złocistymi, niedawno opadłymi liśćmi, a na jej skrajach wiły się jasne pnącza i rosły zimozielone samosiejki, przeciskające się przez ten suchy kobierzec. Jeden młody świerk zakorzenił się w odcisniętym głęboko w błocie śladzie końskiego kopyta.

Znalazłam niewielką, dość szeroką nieckę ziemną, wyglądającą jak spłaszczona miseczka, której dno porastała trawa. Było to leśne pastwisko białej klaczy Itch. W mikroskopijnym stawku szerokości półtora metra zebrała się woda, na jej powierzchni unosiły się złote liście i odbijało się w niej jakby już zapomniane, smagane chmurami niebo. Po prawej stronie rosła palisada szczupłych, srebrzystopiennych, młodziutkich tulipanowców, których pozbawione jeszcze gałęzi i liści pieńki pochylały się ku sobie. Położone w gąszczu leśnego rozkładu maleńkie, nieckowate pastwisko sprawiało wrażenie, jakby znajdowało się tu od niepamiętnych czasów. Przypominało miejsce druidycznych rytuałów albo dekorację teatralną, ze stawem na środku sceny i znieruchomiałą publicznością w postaci częstokołu ze srebrzystych drzewek. Tu, nad tym stawkiem, mogliby romansować kochankowie w różnych przebraniach, a przemieniony w osła Spodek mógłby ryczeć do odbijającego się w wodzie księżycu.

Ruszyłam w stronę domu. Tego dnia zdarzyło się jednak coś jeszcze - i doszło do kolejnej konfrontacji z toczącym się wokół mnie niespokojnym życiem.

Zbliżałam się do długiej, pochyłej, skoszonej łąki w pobliżu domu. Okolicą zawładnęło stado czterdziestu drozdów, które obserwowałam ze skraju lasu.

W stadach widuję te ptaki jedynie jesienią. Rozproszyły się na trawie w równych odstępach, co dziesięć metrów. Wyglądały jak orkiestra dęta w pełnym składzie, ale rozchodząca się na wszystkie strony świata.

Zauważyłam wśród nich pisklęta z letniego wylęgu i młode, wciąż nakrapiane na piersiach osobniki, wybierające się w swoją pierwszą podróż na nie znane im południowe pola. Przynajmniej połowa grupy znajdowała się w bezustannym ruchu, przemieszczając się w aerodynamicznych podskokach.

Gdy weszłam na łąkę, wszystkie znieruchomiały.

Stały jak wryte, podniosły łebki i zaczęły mi się przyglądać. Ja też się zatrzymałam, nagle tak przestraszona, jak gdybym stała przed plutonem egzekucyjnym. Co robić? Zmierzyłam wzrokiem łąkę, wpatrując się w przechylone na bok łebki i czarne oczka drozdów. Ja tu zostaję. Wy lećcie. Ja zostaję.

Chcę udać się na północ, myśleć już tylko o tym i zacząć wreszcie podróż w stronę miejsca, gdzie każdy aparat fotograficzny, skierowany w nocy ku zenitowi, zarejestruje obroty gwiazd w postaci idealnych, koncentrycznie ułożonych kręgów. Szukam redukcji, odmiany, wylinki.

Nad brzegiem morza często spotyka się muszle albo ich szczątki, które ostry piasek i woda wyszlifowały na cieniutkie płatki. Nie da się wtedy stwierdzić, jaka to była muszla i jakie mieszkało w niej stworzenie; mógł to być trąbik, małż, porcelanka, skałoczep albo skrzydelnik. Mieszkaniec muszli dawno już się rozłożył, a jego rozrzedzona krew wymieszała się z wodą oceanu. Trzymasz w ręku tylko długi na kilka centymetrów, chłodny okruch muszli, ostry jak brzytwa i tak cieniuteńki, że prześwieca przezeń słabe, różowe światło. To czysta istota rzeczy, gładka kondensacja powietrza, idealna krzywa. Tęsknię za północą, gdzie wiatry bez problemu wylizałyby mnie na taki czysty płatek. W tym roku jednak nie udam się na północ. Zaczekam tutaj i tu zaczaję się na dryfujący biegun oraz mroźne powietrze. Będę czekać na mostach; i czekam oczarowana na leśnych ścieżkach i na skrajach łąk, na szczytach wzgórz i nad brzegami strumieni, każdego dnia, a każdy ruch z północy na południe przyjmuję jako dar losu. Północ obmywa góry niczym wodospad, jak fala pływowa, która rozlewa się po całej dolinie.

Idzie ku mnie. Słodzi śliwy i usypia ostatnie świerszcze oraz szerszenie; rozdmuchuje

plomienie leśnych klonów, zgina ciężkie, pełne kłosy traw, wsuwa swoje lodowate paluchy pod liściasty kompost i wpycha skoczogony, dżdżownice, stonogi oraz pędraki chrząszczy coraz głębiej w ziemię. Słońce w dzień chyli się ku południowi, a w nocy na niebie pojawia się szalony Orion, górujący nad Dead Man Mountain niby widmo Brockenu. Coś jest już z nami, a przybędzie tego jeszcze więcej.

II

Kilka dni później przypuściły na nas atak motyle monarchy. Zauważyłam najpierw jednego, potem drugiego, ale musiały napływać nieprzerwanym strumieniem przez cały dzień, żebym zrozumiała, że oto stałam się świadkiem ich słynnej migracji. Minęły jednak kolejne dwa tygodnie, zanim pojęłam skalę tego zjawiska.

Każdy z tych motyli, owoców dwóch albo trzech letnich wylęgów, wykuł się szczęśliwie z jednej z takich szmaragdowych ootek, jaką właśnie miała uformować gąsienica, o której pisał Teale, kiedy zwisała bezwładnie, zaatakowana przez pasożytnicze larwy, wygryzające sobie z niej drogę na wolność. Wiele motyli wykuło się tuż przed burzą, gdy wiatr zwiewał z drzew srebrzyste liście, a rozkrzyczane ptaki szukały schronienia w krzakach. Monarchy wybierały się na południe, do stanów leżących nad Zatoką Meksykańską, chociaż niektóre z nich pochodziły aż znad Zatoki Hudsona.

Wszędzie ich było pełno. Podskakiwały, szamotały się i odpoczywały w powietrzu albo tarzały się w piasku - ale nie ze swoją zwyczajną bez troską.

W ich łebkach kołatała się tylko jedna uparta myśl: na południe. Przyglądałam się im z okien gabinetu: trzy, cztery... Osiemnaście, dziewiętnaście... Co kilka sekund pojawiał się nowy motyl, a czasami występowały w parach. Nadlatywały prosto ku mojemu oknu z północnego zachodu i wschodu, wylaniając się zza czubków wysokich świerków, nad którymi nocami wisiała Gwiazda Polarna. Pojawiały się niczym Indianie w westernach: najpierw u stóp wzgórza było widać tylko pojedyncze plamki, a dopiero potem całą milczącą masę jeźdźców.

Wszystkie monarchy miały delikatne czarne odwłoki i ciemnopomarańczowe skrzydła, obrysowane i obwiedzione czarnymi pasemkami. Odpoczywający motyl tego gatunku przypomina miniaturowego tygrysa, zamarłego w bezruchu z szeroko otwartymi oczami, ale w locie wygląda niczym obdarzony wolną wolą jesienny liść, ożywiony, uniesiony w powietrze i zdający się wysysać z niego cieniutkie strużki energii, siłę życiową albo żywotne soki. Kiedy motyle kolejno wzbijały się w górę za moim oknem, ujrzałam delikatniejsze, spodnie powierzchnie ich skrzydełek, wiązki nówek i naprężone odwłoki, ale nie miałam możliwości bliżej przyjrzeć się temu stadnemu trzepotaniu i szarpaninie, bo

owady wlatywały powyżej okna i znikwały mi z oczu nad głową.

Wyszłam z domu i zobaczyłam monarcha, który zrobił coś absolutnie cudownego, a mianowicie zdobył pobliskie wzgórze z pozornie najwyższą łatwością.

Stałam akurat na moście nad Tinker Creek, u stóp bardzo stromego wzgórza po południowej stronie. Motyl przeleciał koło mnie nad mostem, na wysokości mojej głowy, po czym, z trudem już machając skrzydłami ze zmęczenia, wzbil się pionowo w górę na olbrzymią wysokość czubka korony nadbrzeżnego platana.

Stamtąd, ustawiając precyzyjnie skrzydełka pod odpowiednim kątem, poszybował w górę ponad stromą dróżką, bardzo powoli tracąc wysokość i korygując ją za każdym razem, gdy opadał niżej. Wreszcie wylądował na brzegu kałuży przed domem stojącym na szczycie wzgórza.

Ruszyłam śladem tego małego spryciarza. Zadygotał, chwilę leciał na zachód, ale potem wrócił nad kałużę i przypuścił szturm na dom. Znów wleciał w górę niemal pionowo, na wysokość dwóch kondygnacji, trzymając się ceglanej ściany, po czym wdarł się na spadzisty dach. Leciutko przefrunął nad nim, utrzymując się o pięć centymetrów powyżej jego powierzchni. Myk... - i zniknął mi z oczu. Zastanawiałam się, nad iloma jeszcze wzgórzami i domami będzie musiał przelecieć, zanim w końcu odpocznie. Sądząc po sile jego woli, można by pomyśleć, że jest w stanie taranować ściany.

Monarchy „jak na motyle, są twarde i silne”. Przelatują nad jeziorem Superior bez odpoczynku. Co więcej, badacze zaobserwowali w ich zachowaniu pewną dziwną cechę. Otóż zamiast lecieć prosto na południe, znajdujące się wysoko nad wodą owady z niewiadomych przyczyn skręcają w pewnym momencie na wschód. Potem, osiągnąwszy jakiś kolejny niewidzialny punkt orientacyjny, zbaczają jednak z powrotem na południe. Każde kolejne stado powtarza ten gwałtowny, tajemniczy manewr rok po roku. Entomolodzy stawiają hipotezę, że monarchy „pamiętają” miejsce, w którym znajdował się niegdyś wielki lodowiec, ale czytałam gdzieś, że zdaniem geologów jezioro Superior znajduje się w miejscu, na którym kiedyś wznosił się najwyższy szczyt górski na kontynencie amerykańskim. Nie wiem. Chciałabym to zobaczyć.

Albo być motylem i po prostu poczuć, kiedy trzeba skrócić. Na łądzie migrujące monarchy nocują na drzewach; składają skrzydła i zwieszają się z gałęzi całymi girlandami, oblepiając drzewa grubym, kosmatym jak niedźwiedzie futro pledem.

Zawsze sądzono, że motyle te są niezwykle gorzkie w smaku, ponieważ ich gąsienice żywią się wydzielającą cierpkie mleczko trojeścią. Czytając o mimikrze, nie można nie natknąć się na wzmiankę o monarchach i motylach z gatunku *Limenitis archippus*, bo te

ostatnie są na tyle podobne do monarchów, że bystrookie ptaki, które skosztowały kiedyś monarcha, im również dają spokój. Nowsze badania dowodzą, że karmione sokiem trojeści motyle są nie tyle niesmaczne, ile dosłownie wywołują mdłości, albowiem mleczko to zawiera „szkodliwe dla układu krążenia substancje toksyczne, działające podobnie jak digitalina”. I ptaki po nich chorują. Bardzo spodobał mi się eksperyment, jaki przeprowadził kiedyś pewien odważny entomolog.

Podobnie jak ja, słyszał przez całe życie, że monarchy mają niezapomniany, gorzki smak - więc ich skosztował. „Żeby przeprowadzić to terenowe w istocie doświadczenie, doktor Urquhart udał się na południe i spożył kilka monarchów na surowo... Jak się przekonał, motyl ten jest w gruncie rzeczy mdły i przypomina w smaku zasuszony chleb tostowy”. Zasuszony chleb tostowy? Kiedy obserwowałam migrację monarchów, pomimo całego piękna i prawdziwego przepychu tego widoku nie mogłam pozbyć się myśli, że oto obserwuję frunącą w powietrzu ogromną, roztrzępotaną tacę z gorzką herbatą dla starych, zniedołężniałych pensjonariuszy domu opieki.

Łatwo jest skłonić umierającego albo wyczerpanego motyla, żeby przysiadł człowiekowi na palcu. Widziałam kiedyś monarcha wędrującego przez parking na stacji benzynowej; szedł na zachód. Podstawiłam mu palec wskazujący, a on wdrapał się na niego i pozwolił mi się podnieść na wysokość twarzy. Skrzydełka miał spłowiałe, ale nie uszkodzone. W świetle odbijającym się na ich aksamitnej powierzchni widać było nawet najdrobniejsze szparki między łuseczkami. Okazało się, że to samiec; nóżki, którymi uczepił się mojego palca, miał krótkie, jakby dotknięte atrofią. Rozstawił je szeroko i trzymał się mnie kurczowo, ale delikatnie, z jakąś ledwo dostrzegalną uczuciową subtelnością lub z czysto duchowym wysiłkiem. Wiedziałam, że sprawdza odnóżami, jak smakują, i że swymi wrażliwymi narządami smakowymi spija wapory ze skóry mojego palca: bo motyle rozróżniają smaki odnóżami.

Kiedy się tak mnie trzymał, przez cały czas rozkładał i składał swoje wspaniałe skrzydła, ale jakby mimowolnie wzdychał.

Składając skrzydła, owiewał moją twarz jakimś prawie nieuchwytnym zapachem, więc pochyliłam się bliżej. Wtedy poczułam bardzo delikatną woń słodczy, a nazwę jej źródła miałam niemal na końcu języka...

Świetliki... Petardy... Wiciokrzew! Monarcha pachniał kapryfolium - nie mogłam w to uwierzyć. Wiedziałam, że gruczoły zapachowe wielu samców motyli wydzielają specyficzne i złożone wonie, ale sądziłam, że mogą je zarejestrować tylko odpowiednie przyrządy laboratoryjne. Znalazłam gdzieś kiedyś spis wszystkich nieprawdopodobnych zapachów,

wydzielanych ponoć przez motyle: drzewo sandałowe, czekolada, heliotrop, groszek pachnący. Ale to żywe stworzenie siedzące na moim palcu wydzielalo zapach, który wyczuwałam nawet ja... Motyl, ten kolorowy płatek, ten żetonik, który przyjmował temperaturę powietrza jak papierowa koperta, ten zaprogramowany przez naturę kosmaty robaczek z rozstawionymi czułkami - pachniał. Pachniał wiciokrzewem. A dlaczego nie kopytami karibu, dzikim rozmarynem, porostem z tundry, wierzbą karłowatą, słoną wodą z Zatoki Hudsona albo oparami znad jakby mlecznych rzek, niosących maleńkie cząsteczki glacialnego mułu? Ledwo już pamiętałam zapach wiciokrzewu; był tchnieniem minionego lata, urwisk w posiadłości Lucasów, zarośniętego ogrodu nad Tinker Creek i odurzającej słodczy, której wilgotnymi nocami mieliśmy niemal w nadmiarze, a która zrzędła teraz do rozmiarów wąziutkiej, sączącej się na południe strużki rzadkiego, czystego, mało znanego i niemal już zwietrzałego destylatu.

Przeszłam z motylem na palcu przez cały parking i posadziłam go na trawie. Wzbił się w górę, falując i szybując w powietrzu, po czym przysiadł na sasafrasiu. Wtedy straciłam go z oczu.

Przez kilka następnych tygodni znajdowałam pary motyli skrzydeł, leżących w trawie albo na drodze. Podniosłam jedno i oczyściłam z łusek; najpierw je starłam, a później wygładziłam skrzydło delikatnie czubkiem srebrnej łyżeczki do karmienia niemowląt. Końcowy efekt tej misternej operacji leży właśnie przede mną na biurku w gabinecie i przypomina sprężyste rusztowanie albo olinowanie balonu. Widzę czarne żyłki, na których wokół nicości rozpięty został jakby cieniuteńki żagielek. Powłoczka jest doskonale przezroczysta: widać przez nią nawet drobny druk. Jest cienka jak złuszczone po oparzeniu słonecznym płatek naskórka, ale mocna niczym pergamin ze skóry bizona.

W naszej dolinie drapieźniki pożarły bardzo niewiele motyli, pozostawiając nam ich skrzydła. Większość przeżyła i powędrowała dalej na południe.

Migracja monarchów trwała w najlepsze aż pięć dni, a ja przez cały ten czas czułam się jakby przytłoczona nią i wyzuta z sił. Powietrze drżało i rozpływało się, a czas przypominał rozwinięty zwój, poskręcany na brzegach i ciągle jeszcze drżący na stole albo kamiennym ołtarzu. Motyle fruwały w górze, połyskując jak stosy jednocentówek - jeden, drugi, trzeci i następne. Trzepotały się i szamotały, pikowały, rozcinając powietrze niczym indiańskie łodzie, przyspieszały lot i znikwały. Można by pomyśleć, że to fruną liście jesiennego lasu, zalewające dolinę jak wodospad albo fala pływowa - wszystkie liście wszystkich drzew liściastych stąd do Zatoki Hudsona. Kolory jesieni płynęły niby krew, jak gdyby rok zrzucił starą skórę, jakby liniał. Bo ten rok już się zwijał, wszedł w ostatni zakręt i

dotarł na próg, za którym czekał go tylko upadek głową w dół. A kiedy motyle wreszcie przeleciały i zniknęły, niebo zrobiło się czyste, a powietrze spokojne. Ciemna noc, w którą zanurzał się stary rok, nie była jak sen, ale jak przebudzenie - niosła ze sobą nową, konieczną surowość, prostotę i sroższą porę, za którą już się stęskniłam. Bezlistne, kruche drzewa stały nieruchomo, jasny i zimny strumień płynął dalej, a mój duch wstrzymał oddech.

III

Zanim na niebie pojawi się zorza polarna, igły czułych kompasów całego świata kręcą się niespokojnie długimi godzinami, wirując na statkach i w samolotach, dygocząc w szufladach biurka, na strychach albo w stojących na półkach pudełeczkach.

Wczorajszej nocy miałam poruszający sen. Śniło mi się, że odwiedziłam dom z moich dzieciennych lat; podłogę w suterenie pokrywał drobny, sypki śnieg.

Podniosłam obsypany śniegiem dywanik i znalazłam pod nim oprawiony plik rysunków wykonanych tuszem, które zrobiłam jako sześciolatka. W sąsiednim pomieszczeniu, nie połączonym jednak z suteroną, mieścił się tunel modlitewny.

Ze wszystkich stron spowijał go ubity śnieg. Miał cylindryczny kształt, a jego średnica równała się mniej więcej długości ciała dorosłego człowieka. Mógłby w nim wytrzymać tylko Eskimos, a i to nie każdy.

W tunelu brakowało zarówno wejścia, jak i wyjścia; zrozumiałam, że gdyby ktokolwiek, na przykład ja, mimo wszystko zdołał się jakoś do niego dostać, po długiej i ciężkiej walce zwyciężyłaby śmierć. W środku panowało mordercze zimno, a wiatr ani na chwilę nie przestawał świstać. Trudno było oddychać i wkrótce w ogóle zabrakło mi powietrza. Nie świeciło się tam żadne światło, a drobny, nie rozpuszczający się, miotany wiatrem śnieg padał wewnątrz od niepamiętnych czasów.

Czytałam niedawno zbiór apoftegmatów, przypowieści mieszkających na pustyni eremitów egipskich z czwartego i piątego wieku naszej ery. Ojciec Mojżesz powiedział kiedyś uczniowi: „Idź i posiedź trochę w swojej celi; ona cię nauczy wszystkiego, co trzeba”.

Kilka tygodni przed migracją monarchów odwiedziłam Carvin's Cove, staw położony między Tinker i Brushy Mountain, i tam na skraju leśnej ścieżki widziałam, jak mi się teraz wydaje, tego ojca Mojżesza w postaci żołędzia, wkręcającego się w ziemię.

Z otwartego pęknięcia w łusce wyprysnął naraz długi biały korzeń, który wbił się w glebę niczym strzała. Żołędź kołysał się swobodnie, ale korzeń mocno utkwiał w ziemi: pomyślałam, że jeślibym go szarpnęła, mogłabym ruszyć z posad cały świat. Nieopodal korzenia prawie natychmiast wykiełkował zieleniejący pęd, z którego wyrosły dwa włochate, ząbkowane listeczki, małe listki dębu *Quercus prinus*, wielkości ziarenek ryżu. W jednej

chwili żołądź został zgruchotany, rozsadzony, wciśnięty w ziemię z ogromną siłą i zarazem wyniesiony z furkotem w górę, dążąc jednocześnie do samounicestwienia i grand jeté en l'air.

Od tamtej pory nastaly zabójcze mrozy. Gdybym zablądziła teraz w górach albo w dolinie i zachowała się nierozsądnie, zginęłabym wskutek wychłodzenia organizmu, a mój umysł stałby się niezapisaną tablicą na długo, zanim woda w moim ciele zamarzłaby w kryształowe zadry, które przebiłyby i porozrywały ścianki komórek. Plony zostały zebrane, a spichlerze są pełne.

Liściaste drzewa w lasach na całym świecie tracą swoje owoce: „Dąb - żołądź, platan - niełupki, wawrzyn kalifornijski - pestkowce, klon - skrzydlaki, robinia akacyjowa - strąki, granat - jagody, kasztanowiec - torebki, jabłoń - jabłka”. Bliźniacze listki młodziutkiego dębu na ścieżce do Corvin's Cove uschły, opadły i zostały uniesione przez wiatr, a żołądź skurczył się i zwiędł. Ale łodyga roślinki magazynuje wodę, a biały, porowaty, chłonny, milczący korzonek delikatnie, bez chwili przerwy wysysa wilgoć z ziemi. Śmierć jaźni, o której opowiadają nam wielcy pisarze, nie jest aktem gwałtownym. Wraz z nią stajemy się po prostu częścią ogromnego, skalnego jądra wirującej Ziemi. To tylko powolne zatrzymanie pędu woli i gadaniny intelektu - to oczekiwanie pustego dzwonu o znieruchomiałym sercu. Fugę, tace, quiesce.

Najważniejsze to czekać.

W zeszłym roku widziałam trzy bernikle kanadyjskie. Leciwały nisko nad zamrażniętym kaczym stawem, nad którym właśnie stałam. Serce podeszło mi do gardła, kiedy usłyszałam łopot skrzydeł rozpędzonych ptaków, jeszcze zanim je zobaczyłam. Poczulałam na twarzy pęd młóconego powietrza, jakby ktoś wymierzył mi policzek. Gęsi przeleciały z głuchym furkotem nad stawem tam i z powrotem, a potem jeszcze raz. Przysięgam, że nigdy wcześniej nie widziałam takiego pędu, uporu i pracy skrzydeł. Przelatując nad wodą, ptaki powlekły ją cieniem jak lodem, wprawiły powietrze w wibracje i zniknęły. Jeszcze teraz, kiedy wspominam ten widok, moje myśli falują w rytm przytłumionej młócki upierzonych kości. „Bóg nasz przybył i nie milczy: przed Nim ogień trawiący, wokół Niego szaleje nawałnica”* - powiada psalm adwentowy. Pamiętam wstrząs, jakiego wtedy doznałam. Jeżeli czekasz, to coś nie tylko się zdarzy, ale zaleje cię jak wodospad albo fala pływowa. Gdy czekasz naturalnie, bez wiary i nadziei, pusty, przezroczysty, to, co się w końcu stanie, rozkołysze cię i zwali z nóg: zetnie cię, rozbije, ściśnie, stłucze i zmiadździ.

Utuczyłam się na bogactwie, ale przyjąłam oczyszczający hyzop. Odległe, srebrzyste listopadowe niebo,

* Księga Psalmów 50,3. uschłe gałęzie drzew, bezlistne, lecz dźwigające swoje czyste, tajemnicze kolory - to jest prawdziwy świat, bez pozłoty albo ozdób z pereł. Stoję pod bezchmurnym niebem, naga, samotna. Mroźny wiatr unosi moje szarpane niepokojem kości na wysokość lotu kruka. Płynę bez wysiłku na skrzydłach cichej tęsknoty, na opadającej fali woli, jak motyl, który wspiął się na wzgórze, swobodnie szybując w powietrzu.

Istnieje wyznaczona pora pewnego aktu hołdu, polegającego na „kołysaniu” mostkiem zwierzęcia ofiarnego, by zwrócić uwagę Boga. W dawnym Izraelu, gdy składano taką ofiarę dziękczynną, kapłan w czystej szacie stawał przed ołtarzem z pustymi rękami. Dopiero wtedy podawano mu mostek świeżo zabitego, nieskalanego, poświęconego baranka, a on kołysał nim przed Panem. Ostrze wiatru dokonywało reszty dzieła.

Bogu niech będą dzięki.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Wody oczyszczenia

I będą cię pytać, czego powinni się pozbyć.

Odpowiedz im: „Zbytku”.

(Koran)

„Z północy przychodzi blask złoty, to Boga straszliwy majestat”*

Dzisiaj przypada dzień zimowego przesilenia. Nasza planeta pochyla się łagodnie ku swojej gwiazdzie, utrzymuje przechył i krąży wokół niej, niezmiennie rozdarta między ucieczką i tęsknotą; wiruje więc bezwładnie, ale w uniesieniu, zbliżając się do szybkich, palących palców Słońca i oddalając od nich. Ostatniej nocy na niebie wzeszedł i rozlał się Orion, pogański i lunatyczny; jego ramię i kolano płonęło i trzymał wzniesiony miecz z trzech słońc - tylko po co?

Dzień był ładny, a nawet upalny; po przebudzeniu poczułam, że palce mam gorące i suche, jak gdyby należały do kogoś obcego. Stałam przy wielkim oknie, na którego szybie konik polny, wyglądający jak figurka

* Księga Hioba 37,22. woskowa, zadyszał pewnego lata „puf, puf” i pomyślał: „nie zobaczę już więcej tego roku, ale jeśli jednak go przeżyję, nie będę już taki naiwny” - i tęsknota otuliła moją szyję jak szal. „Albowiem Ojciec Niebieski pragnie, abyśmy widzieli, i dlatego zawsze przemawia do największych głębin naszego ducha tylko jednym głębokim, tajemniczym słowem” - powiada Ruysbroeck. Tylko jak brzmi to słowo? Czy jest to może jakaś tajemnica? A może Bóg jest nieśmiały? Albo ten dzwonek z lanego żelaza, zwieszający się pod kopułą mojej klatki piersiowej: kiedy się poruszałam, zawsze dzwonił i bił; długa sylaba dźwięku przenikała mi pierś i szpik kości, przypominający błoto, ale ja nie mogłam jej zrozumieć. Odbierałam tę monotonną zgłoskę jako westchnienie czy pojedynczą nutę, lecz między jej samogłoskami nie było ani jednej spółgłoski, która nadawałaby całości jakiś sens. Oderwałam się od okna. I wyszłam z domu.

W jaśminowcowym żywopłocie siedziała pszczoła, pszczoła miodna, którą ciepło wywabiło z ula, i natychmiast przyszedł mi do głowy pewien cudowny pomysł. Czytałam niedawno, że starożytni Rzymianie wierzyli, że echo zabija pszczoły. Wydało mi się mocno naciągana, chociaż uroczą hipotezą, że słowo mówione albo odgłos spadającego odłamka skalnego, odbijający się wśród urwisk echem - powietrzną nicością, która mimo wszystko

niesie i rozsiewa jakąś niepojętą energię - może porazić te krępe stworzonka w locie. Mimo wszystko postanowiłam sprawdzić, czy Rzymianie przypadkiem nie mieli racji. Była to równie dobra wymówka, żeby wyjść na spacer, jak każda inna. Być może dzięki temu ów dzwonek w mojej piersi wreszcie znieruchomieje - albo przynajmniej nieco się uspokoi.

Wiedziałam, gdzie mieszka echo - ale żeby znaleźć spóźnioną, grudniową pszczołę, musiałam zaryzykować, przewiązałam się więc swetrem w pasie i ruszyłam do kamieniołomu. Eksperyment chyba się nie powiódł, skłonił mnie jednak do kilku dalszych wycieczek i krótkich patroli wśród krajobrazów ostatniego dnia tego krótkiego roku.

Było gorąco, sweter okazał się więc niepotrzebny.

Po niewidocznej kładce daleko na niebie sunęła elegancko wielka, wysoka chmura, pełznąca na swojej płaskiej stopce jak ogromny, dumny ślimak. Wiatr niósł zapach mułu, indyków, prania, liści... Boże, co to za świat! Nie ma żadnego sposobu, by opowiedzieć chociaż o jednej sekundzie jego istnienia.

Na ścieżce prowadzącej do kamieniołomu znowu zobaczyłam porzucone akwarium; minął prawie rok, ale pęknięta była wciąż tylko jedna ścianka. Pomyślałam, że mogłabym tu założyć terrarium; albo mogłabym przenieść pół metra kwadratowego poszycia leśnego spod akwarium do środka, ukryć w nim jednocentówkę i mówić przechodniom: „Patrzcie! Patrzcie! Oto pół metra kwadratowego świata”.

Czekałam przez godzinę w kamieniołomie, błądząc tu i tam, rozglądając się za latającymi w powietrzu drobinkami, aż wreszcie znalazłam jedną pszczołę.

Wędrowała apatycznie wśród uschniętych trzcin na kamiennym brzegu, gdzie siedziałam kilka miesięcy temu, obserwując komara, który przebił skórę mokasy i ssał jego krew. Dalej na brzegu lodowe paluchy sięgały zielonego stawu w cieniu wznoszących się nad nim ogołoconych, nagich urwisk. Scenografia była idealna. „Dzień dobry!” - zawołałam z wahaniem.

„Dzień dobry!” - odpowiedziały mi urwiska pod lasem. Czy w skale zdrząły aż koniuszki korzonków?

Jeśli nawet tak, to przecież w ten sposób, czyli mówiąc

„dzień dobry”, nie można zabić żadnego zwierzęcia.

„Do widzenia!” - krzyknęłam. „Do widzenia!” - moje słowa wróciły, a pszczoła, niewzruszona, pełzła dalej wśród trzcin.

Przyszło mi do głowy, że może rzymscy przyrodnicy zaobserwowali to zjawisko, którego istnienia my nie potwierdziliśmy dotąd eksperymentalnie, ponieważ zabójcze jest tylko echo łacińskie. Łacinę znam jednak słabo. „Habeas corpus!” - krzyknęłam. „Deus

absconditus! Veni!”. Skalne urwisko natychmiast odbiło mój okrzyk: „Veni!”, ale pszczoła sennie wlokła się dalej.

Tymczasem to tyle. Dochodziło południe; wysoka chmura zniknęła. Czy odpłynęła do Zachodniej Wirginii, gdzie przysiadła na wysokiej półce, otoczonej drzewami, by potem cienkimi smugami przelewać się na jej drugą stronę? Obserwowałam pszczołę tak długo, jak mogłam, śledząc ją wzrokiem i co chwila tracąc z oczu, aż wreszcie nagle wzbija się w powietrze i zniknęła w lesie niczym zabłąkany balonik. Stałam samotnie wśród drzew. Wciąż zdawało mi się, że słyszę swój głos, którego brzmienie wydało mi się jednak obce, wprawione w wibracje przez oselkę skał i wciskające mi się z powrotem do gardła, słabnące i rozchodzące się wokół, samotne: czy można było mnie usłyszeć nad Hollins Pond albo z tyłu, na drugim brzegu strumienia i na szczycie wzgórza, nad którym zwykle przelatują szpaki? Czy był tu ktoś, kto mógł mnie usłyszeć? Znowu zadźwięczał dzwoneczek, rozbrzmiewający słabo w mojej piersi. Już idę, zaraz, zaraz. Opuszczam kamieniołom, ogarnia mnie apatia, ale jednocześnie czuję się poirytowana i spięta.

Szłam ścieżką wzdłuż Tinker Creek, w górę strumienia, oddalając się od domu, a kiedy las skończył się polaną i pastwiskiem, ruszyłam dalej brzegiem. Kiedy zbliżyłam się do łązkowatej wyspy, na którą od tej strony nigdy nie wchodziłam, drogę zagroził mi płot - wątłe, chybotliwe ogrodzenie z metalowej siatki, łączące oba brzegi. Trzymałam się go zwykle, wchodząc na wyspę z drugiej strony. Przystanęłam, dysząc ciężko; wdychałam słaby zapach świeżej wody i czułam we włosach ciepłe promienie słońca.

Grudniowa trawa na wyspie była wyblakła, zwiędła, blada na tle zapiaszczonych pni platanów i chrzęściła głośno pod stopami. Z tyłu ciągnęło się pastwisko, należące do Zmierzchu, konia, który pierwotnie nazywał się Północ, ale pewnej wiosny zmienił maść i zadziwił całą okolicę, stał się bowiem kasztankiem.

Daleko przede mną połyskiwała w słońcu i piętrzyła się wysoko Tinker Mountain. W połowie drogi na szczyt rozpościerał się sad Lucasów, a czarne gałęzie brzoskwiniowych drzewek kołysały się i zmieniały pozycję, szereg za szeregiem, jak na scenie pełnej szczupłych, dziewiczych tancerek, których nikt nigdy nie poprosi, żeby zatańczyły. Poniżej sadu zaczynało się pastwisko wołów, ustępujące zalewanym podczas powodzi równinnym łąkom, a dalej widać było platanowy pień, służący jako mostek łączący brzeg z moją wysepką, na której z przerażeniem obserwowałam, jak olbrzymi pluskwiak wodny wysysa zieloną żabkę.

Uciekające, puste niebo rozpinano się nad moją głową, na pozór oddalając się ode mnie tym szybciej, im usilniej przypatrywałam się jego sklepieniu, próbując ustalić dzielącą

nas odległość.

Przysiadłam w dole strumienia, na skraju wyspy, gdzie mała żaba została pożarta żywcem, i zaczęłam ssać spierzchnięte kłykcie. Przypomniałam sobie, jak zapadły się oczy tej żabki. Skrzywiła pyszczek w szramę przerażenia; lśniąca skóra na jej piersi i grzbiecie zdrząła tylko raz i zwiśla po chwili bezwładnie, niczym pusta sakwa - ale, och, ta para zgaszonych oczu! Jej oczy falowały i biło z nich zrozumienie, jak gdyby życie i jego sens były jedynie przypadkowymi dodatkami do idei, niczym zawartość byle słoika z dżemem, który można szybko i łatwo opróżnić. Czy olbrzymi pluskwiak wodny chwycił ofiarę za grzbiet, czy za udko? Czy zjadłabym żabie udko, gdyby ktoś mnie nim poczęstował? Tak.

Oprócz baraniego mostka, którym kapłan kołysze przed Bogiem, składa się w tej dziękczynnej ofierze jeszcze coś. Obok rozkołysanego mostka, Izraelici ofiarują Panu także baranią łopatkę. Mostkiem kapłan kołysze jednak przed ołtarzem, a łopatkę po prostu na niego rzuca. Chciałabym się dowiedzieć, czy rzuca nią w Boga? Czy kapłan rzuca w Boga poświęconą baranią łopatkę? Łopatką baranka, który zanim został zabity i poćwiartowany, był zdrowy i bez skazy, a nie ślepy, ułomny, okaleczony, spuchnięty, parszywy czy owrzodzony. Czy kapłan rzuca tę łopatkę na przybytek, między skrwawione rogi ołtarza? Czy rzuca nią w Boga? „Popatrz, do czego mnie zmuszasz”. A potem ją zjada. Ten gest kołysania to gwałtowna, desperacka próba zwrócenia na siebie uwagi Najwyższego, nie jest on jednak niestosowny. Jesteśmy ludźmi, więc z jednej strony wolno nam wchodzić w pewne układy z naszym Stwórcą, a z drugiej powinniśmy zabierać głos w imieniu Jego stworzenia. Boże, spójrz, co uczyniłeś temu światu, popatrz tylko na rozpacz, na okrucieństwo, na po trzykroć przekłete marnotrawstwo! Czy jest możliwe, że to z powodu takiego absurdu przez całą wiosnę gram w softbol z moimi niewinnymi towarzyszami niedoli na naszej pozbawionej świadomości planecie? Po co? Żeby ćwiczyć rękę? Rękę miotacza?

Jak wysoko, jak daleko mogłabym cisnąć maciupęńki strzępek zabiego udka, gdybym celowała w Boga? Jak wysoko, jak daleko? Ile czasu minie, zanim umrę?

Przebierałam w zwarzonej zimą trawie i owijałam źdźbła jak włosy wokół czubka palca, mierzwiąc ich koniuszki. Kolejny rok się zawinął, rozwinął i zaczął spadać donikąd, niczym rozwiana, pomalowana w esyfloresy flaga. Ostatni akt dramatu będzie krwawy, bez względu na to, jak wspaniała była dotąd sztuka; na końcu posypują ci głowę garstką ziemi i wszystko się kończy, na zawsze, jak powiada Pascal. Gdzieś, nie, wszędzie istnieje jakaś luka, taka jak rozdygotana szczelina Strumienia Cienia, otwierająca się pode mną niczym pęknięte nagle okno albo uszkodzony kadłub lecącego wysoko odrzutowca - szczelina, przez którą różne przedmioty wypadają albo są wysysane na zewnątrz, po czym w wielkim pędzie znikają

pasażerom z oczu, uciekają i giną, by nigdy już nie zostać odnalezione. Człowiek odczuwa rozdzierający ból straty przy każdym otwarciu powiek, w każdej Augenblick, kiedy nurkuje piżmak, odlatuje spłoszona czapla albo odpływa wirujący liść. W kociołku z pożywieniem dla żywych gotuje się śmierć: obsiadłe przez muchy mięso, błotnista sól i zioła gorzkie jak cebula morska - jeśli w ogóle udało się wam zdobyć coś do jedzenia.

Ilu ludzi modli się o swój chleb powszedni i umiera z głodu? Umierają codziennie i nieodwołalnie jak tamta żabka, świat z nimi igra i drażni się, chociaż Bóg wie, że kochają życie. W czasie zimowej klęski głodu Indianie z plemienia Algonquinów „jedli zupę z dymu, śniegu i koźlącej skóry, a na ich wychudzonych ciałach pojawiła się wysypka, pelagra, przypominająca wytatuowane kwiaty - «róże głodu», jak się wyraził pewien francuski lekarz; ci, którzy umierali, umierali więc obsypani różami”. Czy te róże to przejaw piękna, czy może po prostu kolejny pokaz siły?

A może piękno to zaledwie przynęta o złożonej strukturze, najokrutniejszy ze wszystkich żartów?

Znalazłam kiedyś u Farleya Mowata streszczenie pewnej eskimoskiej opowieści, o której od tamtej pory nie mogę zapomnieć. To krótka historyjka, zachowująca trzy klasyczne jedności, prosta i okrutna, rozgrywająca się przy świetle steatytowej lampy, napełnionej foczym tłuszczem.

Oto pewien młodzieniec zakochuje się na obcej ziemi w młodej kobiecie. Bierze wybrankę za żonę i oboje zamieszkują w namiocie jej matki. Za dnia kobiety żują skóry i gotują mięso, młodzieniec zaś poluje. Ale stara wiedźma jest zazdrosna; pragnie chłopca dla siebie. Pewnego dnia przywołuje córkę i proponuje, że zaplecie jej włosy. Gdy zadowolona, dumna z siebie dziewczyna siada, matka dusi ją jej własnymi włosami, a że wszyscy Eskimosi umieją doskonale sprawiać zwierzęta, starucha bierze następnie zakrzywiony nóż, przypominający kształtem wirującą w tańcu spódniczkę, zdiera skórę z pięknej twarzy córki i wkłada sobie ten skalp na głowę niczym maskę. Gdy chłopiec wraca tej nocy, kładzie się z matką w namiocie na dachu świata. Po polowaniu jest jednak cały spocony, więc skórną maską na twarzy jego teściowej kurczy się i zsuwa, odsłaniając pomarszczone starcze oblicze, a wtedy przerażony młodzieniec ucieka z namiotu na zawsze.

Czy to możliwe, że gdybym wspięła się na dach nieba i zaczęła marszczyć i tarmosić jego piękną tkaninę, aż wreszcie nabrałabym jej pełne garście i mogłabym ją szarpnąć obiema rękami, również rozdarłabym maskę, pod którą ukazałaby mi się bezzębna, brzydka twarz staruchy o oczach zamglonych rozkoszą?

Zerwał się gwałtowniejszy wiatr; miałam wrażenie, że zatyka mi nos, a jednocześnie

od jego podmuchów aż mi pulsował brzuch. Poruszyłam się i podniosłam głowę. Nie, myślałam o tym już miliony razy: piękno nie jest żartem. Jak długo musiałam się uczyć, żeby nie oglądać swoich pięciu palców, kiedy mogłam przyglądać się strumieniowi? „No, dalej - zwracam się do strumienia - zadziw mnie” - i on istotnie zdumiewa mnie z każdą swoją kolejną kroplą. Piękno jest realne.

Nigdy nie mogłabym temu zaprzeczyć - straszne natomiast jest to, że o tym zapominam. Marnotrawstwo i rozrzutność chodzą w parze w górę i w dół strumienia, wzdłuż skomplikowanej linii swobodnych duchowych wycieczek w czas. Po mojej lewej, jak i prawej ręce strumień zawsze chwycił i więził odległe światła na niebie, formował z nich płynne, nakrapiane kształty i sprowadzał je na ziemię.

Ach, Tinker Creek! Dzisiaj woda była w nim czysta, a jej poziom niski. Po rozlewiskowej stronie wyspy strumień sprawiał wrażenie przezroczystego jak szyba, rzucająca blask na runy piaskowca, łupków i śladów ślimaków w ilastym mule. Z drugiej strony, tam gdzie nurt jest wartki, widziałam oślepiającą obfitość łukowatych i wzniesionych powierzchni, cętki cienia i włókienka nieba. Oto wody piękna i tajemniczy, wypływające ze szczeliny w granitowym świecie; wypełniają kanaliki moich komórek światłem, przypominającym obsypaną płatkami kwiatów wodę i wirują w moich piersiach, potężne i lodowate, jak śruba wielkiego okrętu. Są to zarazem wody oczyszczenia, cierpkie i krystaliczne, które obmywają nas i oddzielają od świata. Pokrywają mnie rozbryzgi mokrych popiołów, spalonych kości i krwi; z szaleństwem w oczach lecę nad łąkami, buszuję w lasach - i chyba powinnam zerwać z towarzystwem ludzi.

Proszę was jednak o jeszcze odrobinę cierpliwości, ostatni raz. W innym starodawnym hebrajskim obrządku oczyszczającym kapłan musi znaleźć czerwoną jałówkę bez skazy, która nigdy nie zaznała jarzma, wyprowadzić ją poza teren obozowiska i złożyć na ofiarę, czyli spalić w swojej obecności, nie odwracając wzroku: „spali się krowę w jego obecności, zarówno skórę, jak i mięso, krew i zawartość jelit”*. Następnie w cuchnące płomienie kapłan powinien wrzucić symbolizujące długowieczność drewno cedrowe, oczyszczający hyzop i karmazynowe nitki, oznaczające strużkę żywej krwi. Na bazie tych niewinnych popiołów przygotowuje się wody oczyszczenia, za każdym razem na nowo - należy wziąć do naczynia nieco popiołu i zalać go źródlaną wodą. Taka woda ma właściwości oczyszczające. Człowiek - każdy człowiek - może potem zamoczyć w naczyniu gałązkę hyzopu i skropić nią - wystarczy tylko skropić! - człowieka nieczystego, który na przykład „dotknął kości zabitego albo zmarłego”**. No właśnie. Ale ja nigdy nie chciałam odgrywać tej roli. I to raczej kość dotknęła mnie.

Stałam samotnie, a świat kołysał się dalej. Jestem tutaj zbiegiem i wagabundą - szukającym znaków gościem. Pewnego razu mieszkająca wówczas w Kenii Isaak Dinesen, czyli Karen Blixen, z pełnym rozpaczy sercem wyszła przed dom, wypatrując jakiegoś znaku, jak ja. Ujrzała koguta, który rzucił się na kameleona,

* Księga Liczb 19,5.

** Księga Liczb 19,18. wyrwał mu język u samej nasady i połknął. Musiała wtedy wziąć kamień i dobić nim okaleczoną jaszczurkę. Ja jednak widywałam podobne znaki częściej, niż ich szukałam - ale dzisiaj zobaczyłam coś inspirującego, naprawdę ślicznego, choć błahego.

Stałam zagubiona i osowiała z rękami w kieszeniach, patrząc w stronę Tinker Mountain i wyczuwając ruch wirowy Ziemi. Nagle zauważyłam coś, co przypominało marsjański statek kosmiczny, który zbliżał się do mnie, obracając się wokół własnej osi.

Migotał odbitym światłem niczym śmigło i znacznie szybciej posuwał się naprzód niż w dół. Przyglądałam mu się jak urzeczona, kiedy wzbił się znów w górę w chwili, gdy miał już dotknąć krzaczka ostu; przez jakiś czas wirował w miejscu, aż wreszcie ruszył dalej i dopiero wtedy wylądował. Znalazłam go w trawie. Był to skrzydlak klonu, a raczej jego oderwana połówka, jedno uskrzydłone nasionko. Dzień dobry.

Gdy podrzuciłam je pod wiatr, odleciało, nabierając prędkości niczym żywa istota dążąca do z góry upatrzonego celu - nie jak upuszczona z wysokości albo unoszona wiatrem cząstka materii, pchana bezrozumnymi podmuchami prądów konwekcyjnych obiegających posłusznie ziemski glob, ale jak umięśniona, pełna energii istota. Albo jak stworzenie rozciągnięte na płask na owym innym wietrze, wietrze ducha, który wieje, gdzie i kiedy chce, ustaje, wzmaga się i słabnie.

Och, skrzydlaku klonowy, witaj, bądź pozdrowiony - pomyślałam; tak, muszę się przyznać, że właśnie tak pomyślałam.

A dzwonek w mojej piersi zabrzmiał wtedy dźwięcznie, słodką, donośną fanfara jakby rogów i trąbki, niosąc długie i niezbyt jasne przesłanie, które spróbuję mimo wszystko wytłumaczyć. „Szalony” to nazbyt mocne słowo na określenie pędu świata. Lepiej pasuje tu chyba „żywiolowy”, żywiółem tym zaś jest wielkoduszne, nieskończone tchnienie. Nigdy nie przestaje ono podsycać ognia, jest potężne i niepohamowane; strzępiaste drzazgi iskier sypią się na wszystkie strony, po czym pęcznieją w płomienie. Teraz, kiedy samotnie zachwieję się na porywistym wietrze i wyteżę słuch, będę myśleć właśnie o tym skrzydlaku. I gdy zobaczę fotografię widzianą z kosmosu Ziemi - zdjęcie planety przypominającej zawieszoną w przestrzeni dzieło malarskie - też będę myśleć o tym skrzydlaku. Ale kiedy uściskę twoją dłoń

albo spojrzę ci w oczy, pomyślę o dwóch skrzydlakach. Jeżeli sama jestem takim opadającym skrzydlakiem, to przynajmniej umiem się kręcić wokół własnej osi.

Thomas Merton napisał: „Zawsze istnieje pokusa, żeby prowadząc życie kontemplacyjne, cyganić, oszukiwać i sporządzać maleńkie posążki bałwanów”.

W ogóle w życiu istnieje olbrzymia pokusa, żeby cyganić i oszukiwać, zawierać maleńkie przyjaźnie, przygotowywać maleńkie posiłki i wybierać się w maleńkie podróże całymi maleńkimi latami, bez końca. To takie tchórzliwe, takie pozornie moralne - obejść szczeliny, przez które przeciskają się strumienie i wiatry, powiedzieć: „nie zasłużyłam na taką łaskę”, zresztą słusznie, a potem już tylko dąsać się do końca swoich dni, balansując na granicy furii. Lecz ja się na to nie zgodzę. Świat jest pod każdym względem bardziej szalony, niebezpieczny i złośliwy, a zarazem bardziej ekstrawagancki i kolorowy, niż się nam wydaje. Kujemy żelazo, podczas gdy powinniśmy się radować; hodujemy pomidory zamiast niszczyć świat - albo wskrzesić Łazarza.

Ezechiel piętnuje fałszywych proroków, mówiąc, że nie „załatali oni szczelin i wyłomów”. Szczeliny i wyłomy są najważniejsze. To rzadkie, nieskalane, olśniewające mieszkania ducha na różnych szerokościach i wysokościach, gdzie odkrywa on siebie po raz pierwszy, niczym wolny już człowiek, który odzyskał wzrok.

Szczeliny i wyłomy to rozpadliny w skałach, w których się kryjesz, żeby zobaczyć Boga od tyłu; to szpary pomiędzy górami i pojedynczymi komórkami, w których gwizdzą wiatr; to lodowate, zwężające się fiordy, wcinające się w urwiska tajemnicy. Penetruj szczeliny, jeżeli zdołasz je znaleźć, bo one także podlegają metamorfozom i znikają. Spróbuj podejść chociaż jedną z nich.

Wciśnij się w szparę w ziemi, wyrośnij z niej i otwórz coś więcej niż koronę klonu - otwórz cały wszechświat. Na tym zejdzie ci dzisiejsze popołudnie, jutrzejszy poranek i jutrzejsze popołudnie. Spędź je właśnie tak. Nie będziesz mógł przecież zabrać go ze sobą.

Żyję w spokoju i drzeniu. Czasami coś mi się śni.

Alicja z powieści Lewisa Carrolla interesuje mnie głównie od momentu, kiedy zjada czarodziejskie ciastko i staje się malutka. Chętnie bym się zmniejszyła albo dała się zmniejszyć, żebym i ja mogła się wcisnąć w każdą najmniejszą szparę, nawet w tę szczelinę, o której wiem, że istnieje w niebie. Właśnie szukam magicznego ciasteczka. Czasami jednak sama się otwieram, rozplątana jak owoc - a czasem robię się porowata niczym stara kość albo przezroczysta niby delikatnie zabarwione, skondensowane powietrze przypominające akwarelę i wtedy rozglądam się wokół, zdumiona, zastanawiając się, dlaczego nie rzucam cienia. Czasami ujeżdżam wierzgającego konia wiary, jedną ręką próbując schwycić, a drugą

młóćąc powietrze, ale, jak każdy straceniec, wbijam ostrogi w wierzchowca i wytaczam z niego krew, żeby jazda stała się jeszcze bardziej emocjonująca, bo ciągle chcę więcej i więcej.

Nic na tym świecie nie jest pewne. No, może z wyjątkiem naszych potrzeb, których istnienie gwarantuje najbardziej restrykcyjna ze wszystkich rękojmi, ujęta w najprostszych, najprawdziwszych słowach: „pukaj; szukaj; proś”. Ale trzeba jeszcze przeczytać to, co napisano pod spodem drobnym drukiem: „Nie tak jak daje świat, ja wam daję”. Oto kruczek. Jeżeli pozwolisz się na niego złapać, uniesie cię wysoko, do dowolnej szczeliny, z której powrócisz - bo powrócisz przecież - odmieniony, ale nie tak, jak myślałeś: będziesz już bowiem tylko śliniącym się wariatem. Wody oczyszczenia, bez względu na to, jak delikatnie zostaniesz nimi spryskany, pozostawiają niezmywalne ślady. Czy zanim dałeś się nabrać na ten numer, sądziłeś, że potrzebujesz, powiedzmy, życia? Czy wydaje ci się, że zdołasz zachować na zawsze własne życie albo cokolwiek, co kochasz? Ależ nie: wszystkie twoje potrzeby są spełnione. „Nie tak jak daje świat...” Widzisz, potrzeby twojego ducha są spełniane zawsze, gdy o to poprosisz. Tak możesz przekonać się najlepiej, że oburzająca gwarancja istnienia potrzeb zostaje dotrzymana. Widzisz umierające wokół ciebie żywe stworzenia i wiesz, że ty też umrzesz. I wreszcie pewnego dnia dociera do ciebie, że nie wolno ci potrzebować życia.

Oczywiście. I wtedy jest po tobie. Bo w końcu zrozumiałeś, że masz do czynienia z obłąkańcem.

Myślę, że konające ofiary w ostatnich chwilach życia nie proszą, tylko dziękują, jak gość dziękuje w drzwiach gospodarzowi. Ludzie wypadający z samolotów wołają: „dziękuję, dziękuję” aż do końca, a potem przyjeżdżają po nich zimne karawany. Bóg nie jest żartownisiem. Wszechświat nie został stworzony dla żartu, lecz całkiem uroczyście i serio, chociaż wydaje się niezrozumiały - stworzony przez moc, która pozostaje tajemnicza, niezgłębiona, święta i prędką.

Nic na to nie można poradzić, można jedynie o niej nie myśleć albo próbować ją zobaczyć. Wtedy człowiek kroczy nieustraszony, żywi się tym, co znajdzie, i wyrasta, gdzie go nie posieją - niczym wędrowny mnich, który doskonale wie, jak kruche jest jego życie. Nie znajduje on pociechy wśród ludzi, nie pamiętających o śmierci, nosi więc pod tuniką swoją wizję ogromu i potęgi niczym rozżarzony węgielek, który ani go nie parzy, ani nie ogrzewa, ale z którym za nic nie chce się rozstać.

Miałam kiedyś kota, a ściśle rzecz biorąc, starego, wojowniczego kocura, który wskakiwał mi przez otwarte okno na łóżko i bębnił łapkami w moją pierś, nie zawsze chowając pazury. Wciąż bywam przez niego raniona do krwi, maltretowana, duszona,

porażana i szarpana. Wczesnym rankiem czuję na ustach sól; własnym widokiem w lustrze zdumiewam swoje oczy, będące popiołami albo ognistymi kielkami, i szeroko otwieram usta z przerażenia lub oddycham głęboko.

Nasza planeta kręci się samotnie i śni. Moc pogrąża się w zadumie, wiruje, ślania się na nogach i pada.

Ziemia i moc zderzają się z wielkim hukiem. Zwierają się ze sobą i toczą w uścisku; błyskawica, pożar lasu.

Ziemia i moc rozchodzą się w milczeniu, pokorniejac, po czym znów się stykają z sykiem i wrzaskiem. „Drzewo pełne światełek” staje z szumem w płomieniach, a góry odlane w skale rozbrzmiewają echem.

Emerson widział tę scenę. „Śniło mi się, że unosiłem się według swojej woli w wielkim Eterze i że ujrzałem nasz świat, unoszący się również nieopodal, ale pomniejszony do rozmiarów jabłka. Potem anioł wziął go do ręki, podał mi i powiedział: «Musisz to zjeść». W ten sposób zjadłem świat”. Cały świat. Złożony, nakrapiany, nadgryziony, poszarpany, wystrzępiony i wolny. Kapłani Izraelitów składali ofiarę z mostka, którym kołysali przed Bogiem, i z łopatkki, którą rzucali na ołtarz, jednocześnie, swobodnie, z pełną świadomością, w geście dziękczynienia. Kołysali i rzucali, a żaden z tych gestów nie byłby kompletny bez drugiego, bo tylko oba naraz symbolizowały podziękowanie, składane z szeroko otwartymi i pełnymi życzliwości oczami. „Idź swoją drogą, jedz tłuszcz i spijaj słodycz”, powiedział dzwon. Pewien alchemik żyjący w szesnastym wieku napisał o kamieniu filozoficznym: „Można go znaleźć na otwartej przestrzeni, w wioskach i miastach. Jest we wszystkim, co stworzył Bóg. Dziewoje wyrzucają go na ulice. Bawią się nim dzieci”. Świat został pożarty przez olbrzymiego pluskwiaka wodnego, a ja podążam swoją drogą niczym Billy Bray*

- moja lewa stopa mówi: „Chwała”, a prawa powiada: „Amen”. Idę więc, wchodzę do Strumienia Cienia i wychodzę z niego, wędruję w górę i w dół jego brzegów, w uniesieniu i oszołomieniu, tańcząc przy dźwiękach bliźniaczych, srebrnych surm chwały.

* Billy Bray (1794-1868) - pochodzący z Kornwalii angielski kaznodzieja, nawrócony grzesznik.

Posłowie do wydania jubileuszowego, upamiętniającego dwudziestą piątą rocznicę publikacji Pielgrzyma nad Tinker Creek W październiku 1972 roku, na biwaku w Parku Narodowym Acadia na wybrzeżu Maine, przeczytałam pewną książkę o przyrodzie. Bardzo podobała mi się poprzednia publikacja tego samego autora, ale ta nowa była już jakaś wymęczona. Wszystko wydawało mi się w niej stare, oswojone i dobrze znane. Uchowaj Boże, bym miała rzucać na niego jakieś podejrzenia, ale co, u licha, stało się z tym

człowiekiem? Ot, po prostu postarzał się o kilkadziesiąt lat, to wszystko. Zastanawiał się na przykład bez końca, w jaki sposób świetliki generują światło. Ja wiedziałam - powiedzmy, że przypadkiem - że na światło świetlików składają się dwa enzymy, zwane lucyferyną i lucyferazą. Wydawało mi się, że jeśli autor tego nie wiedział, powinien był uzupełnić swoją wiedzę na ten temat. I tamtego wieczoru, czytając w namiocie, pomyślałam, że może sama powinnam napisać coś o tym świecie, zanim będę miała go dosyć.

Nieco wcześniej czytałam Świt Colette, książkę o codziennym życiu autorki, które swoją trywialnością zaszokowało moje metafizyczne „ja” - Colette zjadła bowiem dużo ładnie podanych posiłków i odbyła wiele pikantnych rozmów. Mimo to przeczytałam Świt od deski do deski, bo zaintrygowała mnie jego niezaprzeczalna egzotyka. Przyszło mi wtedy do głowy, że może moje życie też zainteresuje kogoś swoją egzotyką. Czy nie w tym samym czasie przeczytałam również cudowną Autobiografię Edwina Muirá? I czy nie zauważyłam, o ile lepsza jest pierwsza połowa książki, napisana w latach jego młodości?

Autor pewnego eseju w „New Yorkerze” z jesieni 1972 roku stwierdził, że matematycy osiągają największe sukcesy, kiedy są młodzi, ponieważ gdy się starzeją, „cierpią na utratę odwagi, potrzebnej do osiągnięcia doskonałości”. Uderzyło mnie to zdanie, więc zapisałam je sobie. Nigdy nie miałam problemów z odwagą, ale doskonałością raczej nie grzeszyłam.

Mając dwadzieścia lat, bronimy swoich pomysłów z niezłomnym męstwem. Więc może by tak napisać książkę o przyrodzie? Powiedzmy, coś w rodzaju teodycei? W listopadzie, kiedy wróciłam do Wirginii, zaczęłam się bawić tą myślą, robiąc notatki na fiszkach o wymiarach piętnaście na dwadzieścia centymetrów.

Podział opowiadania na części odpowiadające poszczególnym porom roku jest dość konwencjonalny, więc początkowo nie chciałam go stosować, ale ponieważ wszystkie pozostałe dwanaście zasad kompozycyjnych, które przyszły mi do głowy, rwało, z reguły nieodwracalnie, i tak włączyłam niteczkę fabularną tekstu, musiałam pozostać przy moim pierwotnym zamiśle. Bardziej interesował mnie zresztą wewnętrzny podział Pielgrzymy nad Tinker Creek na dwie części.

Chrześcijański neoplatonizm głosił dwie drogi poznania Boga, zwane *via positiva* i *via negativa*. Filozofowie preferujący *via positiva* twierdzą, że Bóg jest wszechmocny, wszechwiedzący i tak dalej - krótko mówiąc, że przysługują Mu wszelkie atrybuty pozytywne. Mnie bardziej przypadła jednak do gustu *via negativa*. Doświadczeni wędrowcy, którzy wybrali tę drogę (jak Grzegorz z Nyssy w czwartym wieku czy PseudoDionizy w szóstym), podkreślali, że Bóg jest niepoznawalny. Wszystko, co możemy powiedzieć o Nim

w sensie pozytywnym, jest nieprawdą, albowiem znane nam są wyłącznie atrybuty przysługujące światu czy Stworzeniu, które nie stosują się do Boga. Myśliciele kroczący po *via negativa* odrzucali wszystko, co nie jest Bogiem, mając nadzieję, że po takiej selekcji pozostanie im jedynie boski mrok.

Pierwsza część mojej książki, *via positiva*, koncentruje się na dobru, którym jest zarówno świat, jak i Bóg. Po rozdziale wprowadzającym następuje rozdział zatytułowany *Widzenie*, którego fragmenty tak trudno mi było połączyć, że mało brakowało, bym porzuciła swe dzieło wraz ze stosami szkiców i fiszek z notatkami. Punkt kulminacyjny tej części *Pielgrzyma...* stanowi *Złożoność*. Haniebnie słaba *Powódź* stanowi linię graniczną, a druga część książki rozpoczyna się rozdziałem *Płodność*, będącym ciemną stroną *Złożoności*. Punktem kulminacyjnym tej części jest *Na północ* (mój ulubiony rozdział, nie licząc ostatniego), w którym świat widzialny znika listek po listku. *Na północ* jest w drugiej części odpowiednikiem *Widzenia*, a rozdział ostatni pomaga zachować symetrię kompozycji.

Kończąc kolejne rozdziały, odkładałam fiszki z notatkami, które wprawdzie mi się podobały, ale których z takich czy innych powodów nie mogłam na razie wykorzystać, choć zamierałam ich użyć w dalszych partiach tekstu. Im dłużej pisałam, tym więcej takich fiszek przybywało, a kiedy dotarłam do rozdziału *Na północ*, pomyślałam sobie, że jeżeli teraz nie wykorzystam najsmakowitszych kawałków, to nie użyję ich już wcale, dlatego uradowana, głodna i rozgorączkowana od nadmiaru kofeiny, wrzuciłam je wszystkie właśnie do tego rozdziału.

Później żałowałam, że dziewiętnastowiecznym zwyczajem opatrzyłam rozdziały tytułami, bo ktoś nazwał tę książkę zbiorem esejów, którym *Pielgrzym...* nie jest. Ta niewłaściwa nazwa przyłgnęła jednak zarówno do tej, jak i do innych moich książek, z których jedynie *Teaching a Stone to Talk*

(*Nauczyciel kamień mówić*) była istotnie zbiorem fabularyzowanych esejów. Zapewne dlatego noszę też niezasłużone miano eseistki.

Ponieważ w Ameryce wielu skądinąd bardzo szacownych czytelników płci męskiej z zasady nie czytuje książek pisanych przez kobiety, chciałam podpisać *Pielgrzyma...* męskim pseudonimem. Jednak gdy jeden z rozdziałów przyjęło do druku czasopismo „*Harper's*”, a potem „*Atlantic Monthly*”, poczułam się tak mile polechtana, że użyłam w tych publikacjach prawdziwego nazwiska - więc w zasadzie było już po herbacie. Mimo to postanowiłam podpisać się jako

„*A. Dillard*”, mając nadzieję - jak każdy, w dodatku płonną - że znajdzie się ktoś, kto skupi się na tekście, a nie na obwołucie, na zdjęciu zdobiącym okładkę czy na wkładkach;

ktoś, kto nie będzie znał cudzych opinii o książce, jej innych czytelnikach i autorze; ktoś, kto nie będzie znał także płci pisarza, jego wieku ani narodowości, tylko przeczyta sam tekst, zaczynając skrupulatnie od pierwszego zdania. Ale redaktorzy i agenci literaccy odradzili mi w końcu podpisanie się jako „A. Dillard” i namówili mnie, żebym zgodziła się na obwolutę ze zdjęciem. Dzisiaj żałuję obu tych decyzji.

Przyznaję jednak, że życie pod pseudonimem byłoby kłopotliwe, a poza tym można byłoby mój gest uznać za przejaw niejakiej ekscentryczności.

Nigdy nie przypuszczałam, że publikacja książki zdolna jest wywołać takie emocje. Z dyrektorką działu promocji mojego wydawcy klóciłyśmy się codziennie przez telefon, i to na potęgę, dziwiąc się sobie nawzajem. Chodziło głównie o to, że ona usiłowała nakłonić mnie do przyjęcia nie kończącego się potoku propozycji, a ja je niezmiennie odrzucałam. Niektóre z nich były komiczne: czy nie zgodziłabym się na sesję zdjęciową dla „Vogue” jako modelka? Czy nie zechciałabym pisać dla Hollywood? Ostatecznie udało mi się wyjść z tego wszystkiego obronną ręką; ponieważ podjęłam decyzję, żeby unikać rozgłosu, nie zgodziłam się na wyjazd w trasę promocyjną, a przede wszystkim na występ w telewizji - ani w programie „Today”, ani w żadnym z niezliczonych programów „specjalnych”, ani nawet w moim własnym cotygodniowym programie, bo i taki mi zaproponowano, jeżeli dacie wiarę.

Potem pewna dziennikarka przeprowadziła ze mną wywiad przez telefon.

- Często wspomina pani o Eskimosach - zauważyła.

- Skąd ich tak wielu w tej książce?

Odpowiedziałam, że jałowy pejzaż arktyczny sprzyja oczyszczeniu i przygotowaniu duszy na przyjęcie boskiej epifanii. Na chwilę zapadła cisza, a potem dziennikarka powiedziała:

- Nie sądzę, żeby mój szef kupił taki tekst.

Jak prezentuje się Pielgrzym nad Tinker Creek dwadzieścia pięć lat później? Mam nadzieję, że nade wszystko odważnie i że to właśnie odwaga go ratuje. To, że jest bardzo odważny i pełen śmiałych metafor, wydaje mi się zaletą.

Rzuciłam się w wir pracy, nie bojąc się Boga; sądziłam, że w dwudziestym siódmym roku życia mam już całkowite prawo do tego, aby poruszać najważniejsze tematy na świecie.

Rzuciłam się w wir pracy, nie bojąc się też człowieka - sądziłam bowiem, że moją książkę przeczyta co najwyżej dziewięciu albo dziesięciu mnichów.

Obawiam się jednak, że popełniłam kilka błędów młodości: na przykład za bardzo upodobałam sobie górnolotne, patetycznie brzmiące zdania, a co więcej, uważałam, że żadne z nich nie jest skończone, dopóki nie stanie się przesadnie kwieciste. Niektóre fragmenty

wydają mi się puste i powierzchowne. Wstydzę się, że tak często powtarzam w tej książce „ja”, „mnie” i „mój” - choć z drugiej strony na szczęście używam pierwszej osoby tylko jako pewnego punktu widzenia, niby ręcznej kamery, skierowanej obiektywem na świat.

Cieżko mi wytłumaczyć owo zjawisko, ale ta trudna książka często znajduje się na listach obowiązkowych lektur w szkołach prywatnych i liceach publicznych, a nawet na wyższych uczelniach, podobnie zresztą jak kilka moich późniejszych publikacji. Podejrzewam, że właśnie dlatego wielu wykształconych dorosłych czytelników, którym Pielgrzym... mógłby się spodobać, a w każdym razie którzy byliby go w stanie zrozumieć, nigdy nawet nie otworzyło książki - bo po co tracić czas na coś, czym zabawiają się dzieci? Ale przez ostatnie dwadzieścia pięć lat dojrzało młode pokolenie uczniów i studentów, zapewne przeklinających kiedyś moje nazwisko - nazwisko, którym, o czym znów przypominam, początkowo w ogóle nie chciałam podpisywać tej książki.